



Robert Wójcik

**ODRODZENIE** **TEMPLARIUSZY**

WOJNA O EUROPE

Robert Wójcik

Odrodzenie Templariuszy

Wojna o Europę

Copyrights to:



Wirtualne Wydawnictwo „Goneta” Aneta Gonera

[www.goneta.net](http://www.goneta.net)

ul. Piękna 24/26A

00-549 Warszawa

Korekta: Dorota Brzostek

[dorotas113@wp.pl](mailto:dorotas113@wp.pl)

Okładka: Agnieszka Barć

[agnieszka.barc89@gmail.com](mailto:agnieszka.barc89@gmail.com)

Redakcja: Aneta Gonera

[wydawnictwo@goneta.net](mailto:wydawnictwo@goneta.net)

Skład do druku: Katarzyna Krzan

[kasia@a3m.pl](mailto:kasia@a3m.pl)

ISBN: 978-83-65227-41-6

Wydanie 1

Tekst w całości ani we fragmentach nie może być powielany ani rozpowszechniany za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych, w tym również nie może być umieszczany ani rozpowszechniany w postaci cyfrowej zarówno w Internecie, jak i w sieciach lokalnych bez pisemnej zgody wydawnictwa „Goneta” Aneta Gonera.

Konwersja do epub [A3M Agencja Internetowa](#)

## **Od redakcji:**

Powieść przygodowo-sensacyjna. Sytuacja w Europie nękanej atakami terrorystycznymi, niespotykanymi od pokoleń, a tym bardziej drastycznymi przy istniejącym obecnie niezwykle mocno rozwiniętym przemyśle zbrojeniowym skłoniła autora do zabrania swojego głosu w tym temacie. Zakon templariuszy był zakonem rycerskim z zasadami, przesycony honorem i posłuszeństwem wobec przełożonego. Średniowieczny zakon uległ potędze papieskiego Kościoła katolickiego, a jego bogactwa zostały zagrabione przez ówczesnych włodarzy. Dzisiejsi templariusze zostali przez autora wskrzeszeni we Francji w obliczu niebezpieczeństwa. Kilku bliżej nieokreślonej profesji ludzi zostało powołanych do zakonu, gdzie tracili swoją osobowość i imiona, przebijając się w szare skromne garnitury i przyjmując nadane im zakonne imiona. Żeby się do zakonu dostać, trzeba było mieć osobę wprowadzającą do organizacji. Wielki mistrz sam dobierał sobie podwładnych, zawsze o takich profesjach, które były dla niego istotnymi w prowadzeniu jego dzieła.

Członkowie nowo powstałego zakonu templariuszy nie znali siebie nawzajem i nie mieli prawa spotykać się prywatnie. Wyjątkiem jest tu bohater, Jean, który został

zaprotegowany do zakonu przez swojego przyjaciela Paula, z zawodu policjanta. Wszyscy przechodzili swoistą inicjację, a potem walczyli w ukryciu, ściśle podporządkowując się Regule. Ta partyzancka walka zyskała poparcie wśród wielu ludzi, również tych zamożnych, nieoszczędzających środków na działalność nowych templariuszy. Współcześni rycerze mieli zatem czym i za co walczyć. Ich przekonania były wystawiane na próbę, nie każdy dotrwał do końca. Wielki mistrz, który reaktywował zakon, wydawał się być człowiekiem skromnym i ascetycznym. Okazały się to jednak tylko pozory.

Walka z terroryzmem przyjmuje różne formy, nie zawsze jedynie militarne.



„Bo z żywota naszego widzicie jeno  
koreę, która go osłania...  
lecz nie znacie tkwiących w nim  
twardych nakazów”  
(Reguła templariuszy)



Jean był typowym skromnym, szczupłym mężczyzną, niepozornie, acz elegancko ubranym, jak przystało na paryżanina — w odcienie bieli, czerni i popieli. Jak zwykle, po godzinie siedemnastej, wracał pociągiem z pracy. Mieszkał niedaleko dworca Clichy-Levallois, więc spokojnym krokiem zmierzał do typowego czynszowego mieszkania w starej kamienicy. Minął nielegalnego sprzedawcę owoców, miłego, śniadego mężczyznę — pewnie z Pakistanu — i skręcił w lewo. Otworzył wielkie, stare drzwi zamkiem szyfrowym i wszedł do wyłożonej ceramiką bramy. Było ciemno, więc włączył światło. Zdumiony ujrzał trzech mężczyzn o wyraźnie arabskich rysach twarzy. Jeden z nich klęczał rozebrany na podłodze z nożem przyłożonym do szyi, drugi stał za nim i pilnował, aby ofiara nie wykonywała żadnego ruchu, trzeci z nich przeszukiwał rozłożone starannie na zimnej podłodze rzeczy. Wszyscy trzej patrzyli szeroko otwartymi oczami na zdumionego tym widokiem Francuza, który rzekł spokojnym głosem:

— Panowie, nie przeszkadzajcie sobie, ja tutaj mieszkam. Przepuście mnie?

— Dobrze, tylko bez numerów.

— Nie interesują mnie wasze sprawy.

— Pan mnie zna, prawda?

— Tak, od dziecka.

— No właśnie, więc będzie pan siedział cicho.

— Oczywiście. Nic nie widziałem.

— I o to chodzi.

Paryżanin spokojnie minął napastników i podszedł do kolejnych drzwi zamykanych szyfrem, prowadzących na klatkę schodową. Nagle poczuł dziwne ukłucie w okolicach nerek. Świat zawirował mu przed oczami. Jean upadł. Obudził się w białym łóżku, w białym pomieszczeniu. Zdumiony przez kilka minut lustrował pokój i twarze nachylone nad nim. Po chwili zrozumiał, że znajduje się w szpitalu, podłączony do jakiejś aparatury:

— Mamy pana, już nam pan nie ucieknie.

— O co chodzi?

— Dostał pan nożem w plecy, ale wszystko jest w porządku, pana życie nie jest zagrożone.

— Nie rozumiem.

— Ktoś chciał pana zabić, ale mu się to nie udało.

— Jak to?

— Niczego pan nie pamięta?

— Wracałem z pracy... Ach tak, chyba wiem, o co chodzi.

— Jutro będzie tutaj policja. Dzisiaj niech pan odpoczywa. Pana córka jest tutaj. Czy chce pan się z nią zobaczyć?

— Tak, naturalnie.

— W poręczy łóżka jest czerwony przycisk. Jeśli się pan źle poczuje, proszę dzwonić.

— Dziękuję.

— I niech pan zbyt długo nie rozmawia z córką, musi pan wypoczywać.

— Dobrze.

Mężczyzna powoli zaczął rozumieć. Mieszkający niedaleko znany mu Arab, którego mimo mroku rozpoznał w korytarzu, chciał zlikwidować świadka. Przerażony patrzył w piękną twarz córki, która właśnie weszła do szpitalnego pokoju.

— Tato, to ja! Poznajesz mnie?

— Tak, usiądź Marie.

— Bardzo się o ciebie bałam. Znaleźli cię Polacy mieszkający w domku dozorczy. To oni zadzwonili po pogotowie.

— Muszę im podziękować.

— Zdążysz jeszcze. Jak się czujesz?

— Dobrze. Ale właściwie, co się stało?

— Ktoś chciał cię zabić. Dlaczego?

— Nie mam pojęcia.

— Polacy mówili, że to byli jacyś Arabowie.

— Bardzo możliwe.

Jean patrzył na siedzącą na skraju jego łóżka śliczną, młodą dziewczynę. Była podobna do matki. Drobna, z jasną cerą, wielkimi czarnymi oczami i ciemnymi włosami układającymi się w długie loki.

— Jesteś piękną kobietą, Marie,

— Tato... przestań.

— Skąd wiedziałaś, że się tutaj znalazłem?

— Miałaś moje zdjęcie w portfelu z numerem telefonu, to, które dostałaś ode mnie na osiemnaste urodziny,

pamiętasz?

— Pamiętam. Mama wie?

— Nie, jest ze swoim fagasem na wakacjach, daleko od Paryża.

— Nic jej nie mów.

— Dobrze. Tato, przeprowadź się do mnie... przynajmniej na jakiś czas. Ci ludzie mogą znowu cię dopaść, a ja boję się o ciebie.

— Nie, nie trzeba, dam sobie radę, a policja na pewno zajmie się bandytami.

— Wątpię. Moim zdaniem grozi ci niebezpieczeństwo.

— Też zacznę nosić przy sobie nóż.

— Nie wygłupiaj się, nie jesteś ulicznym rzezimieszkiem.

— A szkoda. Mieszkam w takim miejscu, że niedługo nim zostanę.

— Muszę już iść. Lekarz dał nam tylko kwadrans.

— Dziękuję ci, Marie, jesteś dobrym dzieckiem.

— A ty najlepszym ojcem na świecie.

— Miło, że tak mówisz.

Dziewczyna pocałowała ojca w policzki i szybko wybiegła z białego pokoju. Po chwili obok rannego pacjenta zjawiała się pielęgniarka, nastawiła elektroniczną kroplówkę i szybko wyszła. Jean poczuł przyjemne ciepło rozchodzące się po jego ciele i natychmiast zasnął. Kiedy się obudził, było już jasno, a obok łóżka stał z zatroskaną miną znajomy lekarz. Spojrzał badawczo na pacjenta. Na jego twarzy pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech:

— Jak pan się dzisiaj czuje?

— Jeszcze nie wiem.

— Dobra odpowiedź. Za drzwiami czeka policjant. Twierdzi, że jest pana znajomym, i chce panu zadać kilka pytań. Czy myśli pan, że jest pan w stanie na nie odpowiedzieć?

— Sądzę, że tak.

— Dobrze, macie panowie dwadzieścia minut.

— Dziękuję, panie doktorze.

— Nie ma za co. Niech pan pamięta, dwadzieścia minut. Jest pan jeszcze bardzo słaby.

Doktor powoli wyszedł, a po chwili w drzwiach ukazał się potężnie zbudowany, szczupły, wysoki policjant w cywilnych ciuchach. Na widok leżącego mężczyzny na jego pooranej zmarszczkami twarzy pojawił się szeroki uśmiech:

— Jean, ile to już lat?

— Chyba dziesięć, może piętnaście.

— Nie chciałem tego spotkania w takich okolicznościach.

— Ja też nie. Ty prowadzisz śledztwo?

— Tak.

— To dobrze. Co się właściwie stało?

— Liczyłem, że ty mi odpowiesz na to pytanie.

— Wracałem z pracy, w bramie było trzech Arabów, dwóch stało, a jeden z nich trzymał nóż przy gardle klęczącego innego Araba, rozebranego do bielizny. Chciałem przejść, zrobili mi nawet przejście, podszedłem do drzwi prowadzących na klatkę schodową. Wtedy

poczułem ból w plecach. Obudziłem się tutaj. Resztę już znasz.

— Rozpoznałeś któregoś z nich?

— Nie, oni wszyscy są do siebie podobni.

— Groził ci ktoś kiedyś w jakikolwiek sposób?

— Nie, tylko kilkakrotnie młodzi Arabowie pokazywali mi gest ucinanej głowy.

— To się zdarza codziennie i jest raczej normalne, ludzie już do tego przywykli.

— Czy oni mnie zabiją?

— Nie wiem, prawdopodobnie nie, bo to zwykli złodzieje, jakich pełno w Paryżu. Po prostu znalazłeś się w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiednim czasie, to wszystko.

— A ci Polacy, którzy mnie znaleźli? Może oni kogoś widzieli, rozpoznali?

— Nie. Akurat wrócili wcześniej z pracy i natknęli się na ciebie w korytarzu. Zrozum, to ludzie z Europy Wschodniej, którzy nie lubią policji, nie chcieli nic mówić, zasłaniając się brakiem znajomości naszego języka. Nie, oni nam nie pomogą.

— Rozumiem. To co dalej ze mną będzie?

— Nic, wrócisz do pracy i tyle. Oczywiście zostaniesz jeszcze raz przesłuchany na komisariacie. Nie zamkniemy śledztwa tak szybko. Na pewno nie rozpoznałeś żadnego z nich?

— Było ciemno.

— Rozumiem. Dobrze, masz tutaj moją wizytówkę. Jak wydobrzejesz, zadzwoń, musimy koniecznie porozmawiać.

— Dziękuję.

— Jakbyś sobie coś przypomniał, zadzwoń na mój prywatny telefon.

— Tak jest.

— Do widzenia.

— Żegnaj.

Policjant sztywnym krokiem wyszedł z jasnego pokoju. Jean lubił Paula, wielkiego kolegę z lat dziecińczych, z którym wychowali się w jednej kamienicy. Kiedyś mieszkali w niej sami rodowici paryżanie, teraz hindusi, Polacy i przypadkowi ludzie nie wiadomo skąd. Tylko on został w mieszkaniu rodziców. Po rozwodzie musiał gdzieś się podziać, bo żona zabrała dom i córkę. Wrócił więc na stare śmieci. Pracował jako informatyk dla jednego z wielkich banków, zarabiał nieźle, ale płacił wysokie alimenty i to zadecydowało o takim, a nie innym miejscu zamieszkania. Rodzice zostawili mieszkanie jemu, czynsz nie był wysoki. Poza tym Jean miał tylko kilka minut do dworca kolejowego, a stamtąd tylko jedną stację do głównego węzła kolejowego Haussmann Saint-Lazare. Stamtąd miał dobry dojazd pociągiem do pracy w jednym z głównych wieżowców La Defense. Dlatego nie zmieniał mieszkania.

Jean szybko wracał do zdrowia. Kiedy wyszedł ze szpitala, odwiedził kolegę policjanta. Na tym etapie śledztwo znajdowało się w martwym punkcie. Po kilku

tygodniach, gdy mężczyzna wracał z pracy, znowu po otwarciu bramy natknął się na znajomego Araba z dwoma innymi kolegami.

— Witaj Jean, wywinąłeś się śmierci, co?

— Czego chcesz?

— Spokojnie, jesteś w porządku. Gliny nic nie wiedzą, ale jakbyś zmienił zeznania, to pamiętaj... dopadniemy twoją śliczną córkę, wiemy, gdzie mieszka, studiuje... wiesz, o czym mówię, prawda?

— Tak.

— To uważaj.

— Nawzajem.

— Co masz na myśli?

— Znam cię od dziecka, wiem, że prowadzisz niebezpieczne życie.

— Aaa, chyba że tak. No, ale siedź cicho. Pamiętaj! Wiemy, gdzie ona mieszka.

— Będę o tym pamiętał.

Arabowie zaśmiali się szyderczo i szybko wybiegli z ciemnej bramy. Jean czuł, że drżą mu dłonie, nie mógł otworzyć kolejnego zamka szyfrowego. Wreszcie jakoś się przemógł, wszedł do mieszkania, zamknął drzwi na wszystkie zasuwki, wypił dwa kieliszki koniaku jeden po drugim i postanowił działać. Odezwała się w nim krew przodków — jego dziadek walczył całe życie w Legii Cudzoziemskiej. Widocznie przekazał wnukowi jakiś gen odpowiadający za odwagę i zdecydowanie. Jean postanowił



walczyć. Pamiętał, że obok miejskich rowerów co tydzień spotykali się Arabowie. Często ich tam widywał — czekali na jakiś samochód, którym jeździli wspólnie na weekend, a potem wracali. Wśród nich był grożący mu napastnik i jego kompan, który zadał mu cios nożem. Jean postanowił ich śledzić. Pożyczył z pracy służbowy samochód i czekał z niecierpliwością na piątkowy wieczór. Wreszcie nadszedł ten dzień. Dyskretnie obserwował ze swojego okna w mieszkaniu grupkę Arabów stojącą spokojnie obok parkingu miejskich elektrycznych rowerów i palących papierosy. Wreszcie podjechał dostawczy biały samochód. Jean od razu zszedł na dół. Tak jak przypuszczał, wszyscy poszli do okolicznego arabskiego sklepiku. Wyszedł z bramy, podszedł do busa i przymocował za tylnym zderzakiem niewielki nadajnik. Szybko wrócił do mieszkania i uruchomił urządzenie, by sprawdzić w komputerze, czy wszystko działa. Sprawowało się idealnie. Nadajnik miał zasięg pięćdziesięciu kilometrów, ale spodziewał się, że Arabowie oddalą się na większy dystans. Wreszcie ruszyli. Początkowo kluczyli po paryskich ulicach, by wreszcie wyjechać na autostradę. Skierowali się do Wersalu. Jean postanowił działać. Pobiegł na dół, uruchomił samochód i ruszył za nimi. Kiedy dotarł na miejsce, było już ciemno. Arabowie siedzieli przy ognisku na polanie w środku lasu, obok jakiegoś starego opuszczonego pałacyku. Było ich dziesięciu. Jeden, chyba przywódca, stał z automatem AK-47 i demonstrował reszcie jego działanie.

Byli bardzo pewni siebie, bo nie wystawiali nawet wartowników. Jean postanowił się wycofać. To byli zwykli bandyci lub terroryści. Nie wiedział, co ma robić. Podbiegł do samochodu i ruszył w kierunku Paryża. Zrozumiał, że życie jego oraz bliskich mu osób znajduje się w niebezpieczeństwie. Arabowie zlekceważyli małego, tchórzliwego Francuza, ale wiedział, że pewnego dnia przyjdą i zamordują z zimną krwią nie tylko jego, ale też całą jego rodzinę. Nie chciał iść na policję, postanowił sprawę załatwić sam. W głowie ułożył mu się gotowy plan, postanowił działać.

Usiadł przy małym biurku, włączył komputer, długo i starannie wertował strony dla modelarzy, aż wreszcie po północy skończył pracę. Zamówił w sieci wszystko, czego potrzebował i polecił dostarczyć przesyłką do pracy, tak dla bezpieczeństwa. Części miały przybyć w ciągu dwóch tygodni. Najważniejsze wykona dla niego znajomy mechanik z warsztatu znajdującego się po sąsiedzku. Taaak, plan działania był gotowy. Postanowił wreszcie wypocząć. Wziął szybko prysznic i natychmiast potem zasnął.

Okolo dziewiątej rano mężczyznę obudził dźwięk telefonu. Jean spojrział na ekran. To Emma, jego przyjaciółka, z którą od czasu rozvodu romansował. Mieli dziś w południe się spotkać, ale przez swoje antyterrorystyczne działania zupełnie o tym zapomniał.

— Witaj kochanie, jak się czujesz?

— W porządku.  
— A rana na plecach?  
— Prawie się zagoiła, ale będę miał pamiątkę na resztę życia.

— Chcesz, bym dzisiaj przyjechała?  
— Jasne, czekam.  
— Na pewno?  
— Tak, na pewno, co za pytanie.  
— Masz jakiś smutny głos.  
— Obudziłaś mnie, to wszystko.  
— Ach... to przepraszam.  
— Nic się nie stało. Będziesz w południe?  
— Tak, oczywiście. Stęskniłam się za tobą.  
— Ugotuję coś dobrego.  
— Nie trzeba. Znam fantastyczną nową restaurację i załatwiłam już rezerwację.  
— Jesteś nieoceniona.  
— Wiem.

Emma nie żartowała. Knajpka była fantastyczna. Dostali stolik na zewnątrz, bawili się świetnie. Do mieszkania Jeana wrócili dopiero wieczorem. Wypili butelkę dobrego szampana i długo się kochali. Nagle dziewczyna podniosła się z przerażoną miną:

— Coś się pali! Czujesz?!  
— Nie, to nic takiego, to tylko Polacy na dole robią grilla.  
— Nie rozumiem.

— To dla nich normalne. Tam, na podwórku, słyszysz ten dźwięk? To odkurzacz. Rozpalają nim wielki grill, będą świętować i hałasować co najmniej do północy. Taki mają zwyczaj. Wszyscy mieszkańcy się do tego przyzwyczaili.

— Są nienormalni, czy jak?

— To ludzie z Europy Wschodniej, są inni, ale nieszkodliwi. Tanio wyremontowali mi mieszkanie, naprawili wszystko, mają do tego smykałkę, a przy okazji wypili cały zapas alkoholu i opróżnili lodówkę. Tacy już są, ale uratowali mi życie i jestem im winny spokój.

— Rozumiem. Te butelki po piwie na klatce schodowej to też oni?

— Naturalnie.

— Kochanie, przeprowadź się do mnie, mam piękny apartament i dość pieniędzy na utrzymanie nas dwojga. Dlaczego ciągle mieszkasz w tym chlewie, gdzie w dodatku grozi ci śmierć?

— Sam nie wiem.

— Przecież tutaj jest strasznie. Bród, smród i robactwo.

— Lubię to mieszkanie, tutaj się wychowałem.

— Kim był twój ojciec?

— Policjantem, a mama nauczycielką.

— Kiedyś Paryż był inni, bardziej francuski, teraz to metropolia, mieszanka wszystkiego, coraz mniej w nim Francuzów, a coraz więcej dziadostwa z całego świata.

— To prawda, ale my nadal w nim mieszkamy.

— Kiedyś będziemy musieli się wyprowadzić albo nas zabiją jacyś terroryści.

— Spokojnie, jesteś piękną kobietą.

— Starzeję się. Ty tego nie widzisz albo udajesz, że nie widzisz.

— Nieprawda.

— W firmie o nas plotkują.

— No to co. Przecież pracujemy w innych działach, ba, nawet w innych budynkach.

— Boję się.

— Nie rozumiem.

— Boję się przyszłości, mam dziwne sny.

— To psychoza po ostatnim zamachu.

— Zginęła w nim moja przyjaciółka. Poszła tylko do restauracji, nic złego nie zrobiła.

— Wiem o tym.

— Czy ktoś z nimi zrobi wreszcie porządek?

— Nie wiem.

— Dlaczego nie zostałeś policjantem, tak jak ojciec?

— Szczerze?

— Jak najbardziej. Możesz mi zaufać.

— Takie było życzenie mojego ojca.

— Jak to?

— Widział, co się dzieje, że już od lat siedemdziesiątych poprzedniego wieku zaczynało się wszystko psuć, tolerancja dla każdego bez granic, imigranci, demoralizacja życia, wypalenie wartości... Ojciec widział to i jako stary

gliniarz miał świadomość, że kiedyś nadejdą dni, kiedy policjanci będą ginąć na ulicy jak muchy. Jak widać, miał rację. Wziął kredyt i wygonił mnie na studia. Policjantem za to został mój przyjaciel z podwórka — Paul — który zdaje się, że spełniał wszystkie oczekiwania mojego ojca.

— Nigdy mi tego nie mówiłeś.

— Bo to nudna historia, kiepska na randki z pięknymi kobietami.

— Nie przesadzaj, to jest właśnie dla mnie ciekawe i dziękuję ci, że ją opowiedziałeś. No, ale ja muszę już iść. Ponawiam moją prośbę, żebyśmy zamieszkali razem u mnie.

— Muszę odmówić. Ale kto wie...? Może w przyszłości.

— Dziękuję za piękny wieczór i niezły szampan.

Mężczyzna odprowadził Emmę do samochodu, a następnie szybko wrócił do mieszkania, włączył komputer i wszedł na stronę oferującą darmowe kursy symulacji lotu dronem. Ściągnął aplikację, starannie usunął wszelkie ślady w sieci i porządnie zabezpieczył nowy program na komputerze. Przez kolejne dwa tygodnie każdą wolną chwilę poświęcał na trening i śledzenie samochodu Arabów. Po tygodniu znał ich każdy krok. Powoli kompletował części, aż wreszcie któregoś popołudnia po powrocie z pracy stwierdził, że jest gotowy na konkretne działanie.

Powoli i dokładnie złożył model potężnego drona z kamerą oraz małym reflektorem wyposażonym w specjalne baterie, które powinny wystarczyć na kwadrans lotu robota.

Według skrupulatnych wyliczeń urządzenie powinno unieść w powietrzu dwa kilogramy ładunku. Był gotowy.

Jean postanowił to uczcić i w tym celu udał się po dobre piwo do sklepu mieszczącego się na dole kamienicy. Po drodze spotkał znajomego przestępcę, który wsiadając na motor, pokazał mężczyźnie charakterystyczny gest ucinania głowy. Zwykle Francuz udawał, że tego nie widzi. Tym razem było odwrotnie — Jean zrewanżował się tym samym gestem, a napastnika zmroziło z zaskoczenia na kilka dobrych minut. Stał jak osłupiały i patrzył zdumiony za zadowolonym mężczyzną spokojnie wchodzącym do sklepu.

Teraz nadeszła najtrudniejsza część zadania. Przyszły mściciel wyciągnął z szuflady dwa cylindry grubej stali karbowanej niczym obronne granaty. Każdy z nich posiadał niewielki otwór zakręcany śrubą, również przewierconą. Jean wyciągnął lont, podpalił fragment i sprawdził stoperem szybkość jego spalania. Handlarz internetowy nie kłamał, palił się dokładnie tak szybko, jak podawała instrukcja. Następnie mężczyzna wyciągnął drobno zmielony czarny proch nieco udoskonalony mieszanką tajemniczych składników, powoli i starannie przesypał go do żelaznych cylindrów i zakręcił śrubami obydwie bomby, a następnie zamocował lonty wcześniej odpowiednio przycięte. Odetchnął głębiej. Granaty były gotowe. Zawinął pociski w papier i ukrył w zewnętrznej spizarce wystającej za oknem. Tak na wszelki wypadek. W ten sposób zawsze szybko mógł się pozbyć niebezpiecznych przedmiotów.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Dopiero teraz dostrzegł, że z emocji jest cały spocony. Przebrał się, nastawił pralkę, wziął prysznic i poszedł spać.

Przez najbliższe dni nic nie robił poza ćwiczeniami na symulatorze. Wreszcie w czwartek znowu pożyczył z firmy dostawczy samochód, załadował do niego drona starannie zamaskowanego tekturą oraz folią, odjechał sto kilometrów od Paryża i na wielkiej polanie przez pół dnia ćwiczył startowanie, wznoszenie i lądowanie pojazdu. Szybko się uczył, a symulator okazał się świetnym treningiem. Zadowolony wrócił do domu, zaparkował samochód pod wiaduktem i położył się spać.

Kolejny dzień minął pod znakiem dalszych treningów. Jean nawet odwołał randkę z Emmą. Tym razem za pomocą dwóch małych butelek napełnionych wodą ćwiczył zrzucanie bomb do celu namalowanego jaskrawą farbą na trawie. Nagle obok jego samochodu pojawił się inny dostawczak, z którego wysiadło kilku młodych ludzi z nieco mniejszymi od jego dronami. Zaniepokojony mężczyzna uważnie obserwował intruzów, którzy po krótkiej, ale wnikliwej obserwacji wydawali się nieszkodliwymi młodzianami z kółka modelarskiego.

— Dzień dobry, widzieliśmy z daleka pana pojazd. Jest świetny. Można obejrzyć?

— Proszę bardzo.

— Fachowa robota. Sam pan skonstruował to чудо?

— Tak, to prezent dla syna.



— Chciałbym mieć takiego ojca.

— Dziękuję.

— Mogę coś zasugerować? Niech pan inaczej ustawi silniki i parametry lotu. Te tutaj są maksymalne i nie do końca zdają egzamin.

— Jesteś pewny?

— Jak najbardziej. Ma pan przy sobie programator?

— Oczywiście.

— Mogę to panu poprawić, znam się na tym.

— W czym to pomoże? Będzie dłużej latać?

— Nie, tylko lot się ustabilizuje, baterie odpoczną i będzie mógł pan celniej bombardować butelkami okrąg na ziemi.

— Zgoda, oto programator, możesz działać, ale jeśli coś zepsujesz, odkupisz mi pojazd.

— Spokojnie, odrobina zaufania wystarczy. Jesteśmy z kumplem mistrzami regionu w tym temacie.

— Zaraz się o tym przekonamy. Mogę obejrzeć wasze pojazdy?

— Tak, proszę, są nieco inne od pańskiego, mniejsze i szybsze, ale ten kolos jest za to fantastyczny i ma możliwość bombardowania. Czegóż takiego jeszcze nie widziałem.

— To osobiste życzenie mojego syna.

— Ma wyobraźnię...

— Prawda.

Rzeczywiście młodzi ludzie usprawnili nieco projekt Jeana, potrenowali, pożegnali się i odjechali, a mężczyzna w milczeniu obserwował cofający samochód, który miał tablice rejestracyjne z innego okręgu. Może faktycznie to tylko dzieciaki, a może policjanci lub agenci kontrwywiadu. Postanowił więcej nie wracać w to miejsce.

Przygotowania uznał za zakończone, teraz tylko czekał na dogodny moment. Wreszcie nadszedł ten dzień, a raczej noc. Było jasno, ciepło i bezwietrznie. Jean zaparkował daleko od miejsca egzekucji terrorystów, po czym powoli przebijał się przez rzadki las, taszcząc na plecach rozłożonego na części ciężkiego drona. Wreszcie zmęczony dotarł na miejsce, spojrzął na polanę przez specjalną, wojskową lornetkę. Napastników było dziewięciu, mieli cztery automaty AK-47, z których trenowali celowanie. Uważnie studiował twarze napastników. Szybko rozpoznał dwóch, którzy chcieli odebrać mu życie. Reszta go nie interesowała, choć tak naprawdę chciał zabić ich wszystkich. Cicho i spokojnie złożył powietrzny statek. Sprawdził akumulatory, umocował jedną z bomb, przygotował własnej produkcji żarnik i uruchomił dron. Ten szybko wzniósł się w powietrze, zatoczył koło nad drzewami i poszybował w kierunku oświetlonej ogniskiem i kilkoma lampami elektrycznymi polany. Zdumieni terroryści zdążyli tylko unieść głowy, słysząc dziwny dźwięk. Po króciutkiej chwili obok ogniska upadł czarny przedmiot i prawie

natychmiast eksplodował, tworząc kulę ognia przy  
akompaniamencie potwornego huk. Nastąpiła dziwna cisza.

Jean działał jak maszyna. Zdawał sobie sprawę, że ma niewiele czasu, a pierwszy granat na pewno nie zabił wszystkich napastników. Tak też i było. Po minucie młodzi Arabowie zaczęli jęczeć, stękać i wyć. Dwóch z nich odniosło niegroźne rany i chcieli pomóc kamratom. Jeden pobiegł po apteczkę do samochodu, drugi wziął automat, przeładował i uzbrojony w potężny reflektor zaczął patrolować las. Francuz padł na ziemię i wysłał pojazd w ponowną misję. Tym razem bomba upadła nieco dalej, ale powaliła dwóch napastników, którzy byli w stanie chodzić. Jean wylądował dronem, następnie podczołgał się do obozowiska terrorystów, z którego słyszał tylko wrzaski i rżenia. Ktoś umierał i błagał o litość, co nie zrobiło na Jeanie żadnego wrażenia. Zabrał nadajnik z samochodu terrorystów i wycofał się między drzewa. Zapakował drona na plecy i uciekł z miejsca zbrodni. Wreszcie, cały mokry od potu, dopadł swojego samochodu, uruchomił silnik i odjechał w kierunku Paryża. Spodziewał się karettek, policji i żandarmerii, tymczasem panowała dziwna cisza i było spokojnie. Nerwy i stres powoli opuszczały jego ciało. Udało się, dokonał tego, uratował siebie i swoją córkę. Ogromna radość wypełniała mężczyznę dumą. Wreszcie zrobił coś dla Francji, zlikwidował grupę terrorystów, był bohaterem.

Wrócił do swojego miasteczka, zaparkował samochód pod wiaduktem, zabrał dron do domu i poszedł spać. Rano włączył telewizję, w której nie padło nawet jedno słowo o nocnym ataku. Uspokojony rozkręcił drona na części. Postanowił posprzedawać je modelarzom z całej Europy. Wcześniej zbierał zamówienia, założył fikcyjne konto i w ciągu kilku dni pozbył się wszystkiego, odzyskując część pieniędzy. W drodze do pracy wyrzucił do kolejnych śmietników ciuchy i buty, w które był ubrany tamtej nocy, wymienił opony w samochodzie służbowym. Wiedział jednak, że policja będzie szukać i węszyć i kto wie, może nawet trafią na niego.

Wreszcie po tygodniu Francję obiegła wieść o tajemniczej śmierci grupki terrorystów. Jean z uwagą śledził wszystkie wiadomości telewizyjne. Przypadkowy mężczyzna znalazł obozowisko młodych Arabów. Podobno zginęli w okrutnych mękach. Jean przygotował się na najgorsze. Czekał. Nagle zadzwonił do niego Paul:

— Witaj, przyjacielu.

— Cześć.

— Oglądasz czasami telewizję?

— Oczywiście.

— Musisz się do nas zgłosić na przesłuchanie i to jak najszybciej.

— Rozumiem. Mogę wiedzieć, o co chodzi?

— Tak. Wśród zabitych Arabów w ich ukrytym obozowisku rozpoznany został ten, który zaatakował cię

nożem. Tak przypuszczamy, ale musisz nam pomóc.

— Dobrze.

— Bądź jutro rano o dziewiątej. Zadzwonimy do twojej pracy.

— Dziękuję.

— Nie martw się, to potrwa tylko kwadrans.

— Do zobaczenia.

Jean odłożył słuchawkę i ciężko usiadł w fotelu, po czym wypił duszkiem kieliszek koniaku. Przez kilka minut zastanawiał się, gdzie popełnił błąd. Wiedział, że nie ma zbrodni doskonałej, jest tylko kiepski policjant. W myślach analizował swoje zachowanie z ostatnich dni, był nie dość ostrożny, zbyt pewny siebie, może za słabo szyfrował swój komputer. Wreszcie zmęczony poszedł spać. Rankiem znowu wziął prysznic, ubrał garnitur, włożył okulary i poszedł wolnym krokiem w kierunku posterunku policji. Szedł prawie godzinę, co pozwoliło mu nieco ochłonać i przygotować się na rozmowę z komisarzem policji. Wreszcie dotarł do prefektury, wszedł do gabinetu przyjaciela, który w tym momencie stał przy oknie i palił spokojnie papierosa. Na widok Jeana drgnął, uśmiechnął się, zawrócił do biurka, obszedł przyjaciela i przywitał się z nimi. W końcu obydwaj mężczyźni usiedli.

— Witaj, kiepsko wyglądasz.

— Mam ostatnio dużo pracy.

— Jak my wszyscy.

— O co chodzi?

— A no właśnie... Jak zapewne wiesz, ktoś wykończył dziewięciu terrorystów i to w bardzo ciekawy i nieszablonowy sposób, a mianowicie granatami własnej roboty... prawdopodobnie dwoma lub trzema. Sprawdzamy to. Nasi technicy są w szoku, a nieznany napastnik wzbudził u nich podziw. Jak na amatora był dobry, ale mniejsza z tym.

— A co ja mam z tym wspólnego?

— Dobre pytanie. Jeden z zabitych to prawdopodobnie twój niedoszły zabójca. Oto jego zdjęcie. Poznajesz go?

— Tak, to mój sąsiad z ulicy. Jeździł takim czerwonym, sportowym motorem.

— Zgadza się. Wielokrotnie notowany w naszej kartotece, pospolity przestępca, ostatnio związał się z radykałami, miał broń, szykowali zamach, mieliśmy ich na widelcu, ale ktoś nas ubiegł. Może konkurencja? Tego nie wiemy. Podpisz zeznanie.

— W jakim celu?

— Zamykamy oficjalnie twoją sprawę. Jesteś wolny.

— Dziękuję. Mam pytanie.

— Słucham?

— Jak on zginął?

— Dostał siedem odłamków chałupniczo wykonanej bomby, cztery w brzuch. Umierał dwie doby... straszna śmierć... wykrwawił się w bólu.

— Rozumiem.

— Całym swoim nędznym życiem na to zapracował, ale takiej śmierci nikomu bym nie życzył.

— Straszne.

— Ano, takie jest nasze życie, wszyscy walczymy o przetrwanie.

— Nie rozumiem.

— My, jako naród, my jako Francja i Europa — to jest wojna, śmierć za śmierć. Dzisiaj jesteśmy w stanie wojny i nie będzie pokonanych oraz zwycięzców, tylko ci, którzy przetrwają.

Jean spojrzał nieco zszokowany na przyjaciela, który stał dumny i wyprostowany niczym słynny generał z przeszłości. Zapalił papierosa i nieco speszonym głosem powiedział:

— Musimy się spotkać i porozmawiać, i to jak najszybciej.

— Czy coś się stało?

— Nie, nic takiego, ale dzisiaj Francuzi muszą być braćmi, wspierać się, jesteśmy starymi kumplami, więc warto czasem porozmawiać.

— Rozumiem. Gdzie i kiedy?

— U mnie w domu. Wiesz, gdzie mieszkam?

— Tak, pamiętam.

— Jutro o dziewiętnastej. Będziesz?

— Naturalnie.

— Żona przygotowuje dobrą kolację i wino, powspominamy dawne czasy.

— Super. To do zobaczenia jutro.

— Masz jutro wolny cały dzień. Załatwiłem to z twoimi przełożonymi.

— Fajnie.

— Uważaj na siebie. Mieszkasz w niebezpiecznym miejscu.

— Poradzę sobie.

— Mam nadzieję.

— Skoro mój prześladowca nie żyje...

— Właśnie.

Paul dziwnie spojrział na przyjaciela, ale ten udawał, że tego nie widzi. Pożegnali się i Jean wyszedł szybkim krokiem z budynku policji. Domyślił się, że jest spalony, a policja wie wszystko. Są zbyt dobrzy, aby taki amator jak on mógł ich oszukać. Prawdopodobnie śledzony był przez cały czas. Dlaczego Paul go krył? Tego nie wiedział. A może to tylko jego chora wyobraźnia, a policja na razie nic nie wie? Zmęczony wątpliwościami, targany dziwnymi przeczuciami i stresem wrócił do mieszkania. Ciężko opadł na fotel, wypił kilka kieliszków koniaku, przebrał się i zasnął. Kiedy otworzył oczy, była noc. Zmęczony poszedł do łazienki, gdy nagle usłyszał jakiś dźwięk przy drzwiach. Zdjął kapcie i boso, po cichu podszedł do drzwi. Ktoś manipulował przy zamku. Wizjer został zaklejony taśmą. Zdumiony wycofał się do pokoju. Z tajnej skrytki wyjął pistolet ojca. Był gotowy do obrony. Przeładował, odbezpieczył broń i czekał. Pierwszy napastnik powoli otworzył drzwi i delikatnie wsunął rękę uzbrojoną w nóż. Jean starannie wymierzył, po czym strzelił. Kula idealnie trafiła napastnika w dłoń. Dał się słyszeć potworny wrzask, po czym na korytarzu



zapanował dziwny chaos i tumult. Słysząc było odgłosy tupotu nóg kilku osób, zbiegających w szaleńczym pośpiechu po schodach.

Jean podszedł do drzwi. Futryna i ściana umazane były krwią. W przedpokoju powinien być nóż, ale ktoś zabrał dowód zbrodni. Sąsiadów nie było. Polacy wyjechali na dwa miesiące wakacji do swojego kraju, więc prawie cała kamienica opustoszała. Włamujący się do jego mieszkania mogli być zwykłymi złodziejami. Jean zmył krew, wykąpał się i czekał z naładowaną bronią do rana. Nic się nie wydarzyło. Mimo oświadczenia Paula o zwolnieniu Jeana u jego pracodawcy, mężczyzna zdecydował się jednak wybrać do biura. Zabrał ze sobą w teczce pistolet i zapasowy magazynek oraz paczkę naboju. Pojechał jak zwykle pociągiem. Kiedy dotarł na miejsce, zadzwonił do Emmy:

— Witaj, kochanie.

— Tak? Coś się stało?

— Myślałem w nocy o nas.

— To miło.

— Chciałbym skorzystać z twojej propozycji i zamieszkać u ciebie.

— Serio?

— Jak najbardziej. Mam nadzieję, że nie zmieniłaś zdania.

— Skądże. Porozmawiamy o tym podczas lunchu.

— Dobrze.

— Hm... To bardzo miła propozycja. Potrafisz pozytywnie zaskoczyć kobietę.

Jean rozłączył się. Czuł, że naraża piękną kobietę na pewne niebezpieczeństwo, ale nie miał innego wyjścia. Jego mieszkanie było spalone. Znajomy ślusarz miał wymienić zamek i założyć jeszcze jeden, solidniejszy. On musiał uciekać. Nie wiedział, kto był włamywaczem. Może to tylko pospolici złodzieje, jakich nie brakowało w jego dzielnicy, ale mogli to być też bandyci, których rodzina Araba w ramach zemsty nasłała na niego. W każdym bądź razie nie zamierzał rozstawać się z bronią. Na szczęście ojciec nauczył syna dobrze strzelać, trenowali na policyjnej strzelnicy i w okolicznych lasach, aż na koniec stary policjant wręczył z namaszczeniem broń synowi, twierdząc, że na pewno w przyszłości będzie potrzebna każdemu Francuzowi. Jak pokazał czas — miał rację. Nieco podenerwowany mężczyzna pożyczył znowu samochód. Ustalił z Emmą godzinę przeprowadzki i pomknął szybko do mieszkania. Ślusarz dobrze się postarał, zabezpieczył mieszkanie dwoma nowymi zamkami oraz wielką żelazną sztabą. Zadowolony Jean zapłacił ustaloną sumę, spakował cały dobytek do dwóch toreb i jednej walizki, po czym ruszył w kierunku dobrej dzielnicy, gdzie mieszkała jego kobieta. Kiedy dojechał na miejsce, odetchnął. Miał dosyć życia, no i musiał jeszcze spotkać się z Paulem. Był zmęczony.

Emma z zalotnym uśmiechem otworzyła drzwi swojemu mężczyźnie, który — niezgrabnie taszcząc dwie walizki — powoli opuszczał niewielką windę. Kamienica, w której mieszkała, była typową, wielką, sześciopiętrową budowlą z okresu „Złotej Francji”. Miała charakterystyczny kolor szarego piaskowca, windę, wewnętrzne podwórko mieszczące ręczną pompę wodną, mały trawnik i plastikowe pojemniki na segregowane odpady. Poza tym był tutaj portugalski cieć oraz wiśniowy dywan na krętych schodach, a w korytarzu unosił się miły dla nozdrzy zapach płynu do mycia drewnianych schodów. Tutaj naprawdę można było czuć się dobrze i bezpiecznie, a potrójny system zamków szyfrowych oraz dozorca zapewniały bezpieczeństwo. Wreszcie Jean, ciężko dysząc, wszedł do wielkiego i pięknego mieszkania kobiety. Nieco zaskoczony z podziwem oglądał portrety przodków Emmy zawieszane na ścianach salonu w grubych złotych ramach. Wielka biblioteka mieściła setki woluminów od czasów średniowiecznych po dzisiejsze. Zdumiony mężczyzna przez kilka minut oglądał setki przedmiotów związanych z rodziną Emmy.

— Witaj w domu.

— Raczej w pięknym muzeum.

— Nie przesadzaj. To tylko rodzinne pamiątki.

— Meble, przedmioty kultu, książki... to kawał historii.

— Mama pochodziła ze starej arystokratycznej rodziny.

To tylko pamiątki.

— Widziałaś moje mieszkanie?

— Tak, no i co z tego?

— Można powiedzieć, że mieszkam w chlewie, w towarzystwie karaluchów, pluskiew, mrówek, Polaków, Arabów, Hindusów i sam Bóg wie kogo jeszcze.

— Przesadzasz.

— Ile tutaj jest pokoi?

— Siedem. Do tego dwie łazienki, dwa schowki, dwie garderoby i duża kuchnia z osobną ubikacją.

— Nieźle.

— Dwa pokoje na końcu korytarza są twoje. Obok nich jest męska łazienka z prysznicem i gabinet mojego ojca.

— Dziękuję. Czy oni wiedzą, że istnieję?

— Oczywiście. Mieszkają wprawdzie w pałacu na południu Francji i nie lubią Paryża, i nigdy do mnie nie przyjeżdżają, ale istnieją różne środki komunikacji, prawda? Tacy już są i tyle. Nie martw się o nic.

— Dziękuję za wszystko.

— Chcesz ze mną sypiać?

— Oczywiście.

— Trzeci pokój na prawo.

— Rozumiem. Taka schadzka pod jednym dachem.

Nieco oszołomiony Jean wniósł walizki do pokoju ojca dziewczyny. Był to gabinet urządony w dobrym stylu, z wielkim dębowym zabytkowym biurkiem, obrotowym fotelem ze skóry, pełny starych przedmiotów i mieszczący leżankę pod oknem, co najbardziej spodobało się

mężczyźnie. Stary hrabia, widać, lubił odpoczywać. Mężczyzna wziął szybki prysznic, przebrał się w sportowe ubranie i udał się na poszukiwanie Emmy, którą w końcu znalazł w kuchni, szykującą warzywną kolację. Gdy go ujrzała, stwierdziła z uznaniem:

— Od razu lepiej wyglądasz. Zawsze widuję cię w wygniecionym, starym garniturze.

— Hm... lubię ten ciuch, przynosi mi szczęście.

— Jesteś przystojnym mężczyzną. Musisz inaczej się ubierać i... zmienić okulary.

— Kochanie, wiesz, że moda mnie nie interesuje. Ma mi być po prostu wygodnie.

— No, dobrze, już dobrze, nie chciałam cię urazić.

— Porozmawiamy o tym później. Mam zaraz ważne spotkanie i muszę już wyjść.

— Z kim?

— Nie z kobietą, na pewno... No, nie dąsaj się. To stary przyjaciel z czasów szkolnych. Jest policjantem i prowadzi śledztwo w sprawie napadu na mnie.

— Czy to ważne?

— Tak, nawet bardzo.

— Rozumiem. Kiedy wrócisz?

— Późno. Przykro mi.

— Będę czekała na ciebie z kolacją.

— Dziękuję. No, ale naprawdę muszę już iść. Jestem spóźniony.

— Wróc do mnie jak najszybciej.

— Postaram się.

Jean szybko wybiegł z budynku, znalazł zaparkowany kilka ulic dalej samochód, nastawił nawigację i ruszył w stronę obrzeża wielkiego miasta, gdzie w starym jednorodziennym domku mieszkał Paul. Spóźnił się kilka minut. Przyjaciel stał na schodach i z uśmiechem przywitał nieco speszzonego kolegę.

— Witaj w moich skromnych progach. Jadłeś dziś obiad?

— Nie miałem okazji.

— Świetnie, właśnie siadamy do stołu. Żona się ucieszy, zawsze cię lubiła. Zapraszam.

— Nie chciałbym sprawiać kłopotu.

— Bzdura. Zapraszam do jadalni.

— Dziękuję.

Zakłopotany Jean usiadł na honorowym miejscu. Żona przyjaciela była atrakcyjną, seksowną blondynką o ładnej, nienagannej figurze, choć urodziła sześcioro dzieci. Na widok Jeana uśmiechnęła się zalotnie i usiadła obok niego:

— Witaj, Jean, dawno u nas nie byłeś, prawda?

— Tak, od rozwodu.

— Przykra sprawa. Wiesz, co u twojej eksmałżonki?

— Nie, nie wiem. Widuję się jedynie z Marie.

— Przepraszam za to pytanie. Kiedyś byliśmy przyjaciółkami, a teraz z nikim nie utrzymuje kontaktu.

— Wiem o tym.

— Słyszałam o twojej historii. Musisz się przeprowadzić.

— Już to zrobiłem.

- Taak? To gdzie teraz mieszkasz?
- W szesnastce, u przyjaciółki.
- Dobre miejsce do życia, bezpieczne.
- Tak, to dla mnie bardzo ważne.
- Rozumiem.

Jean nieco się uspokoił, zjadł pyszną kolację, po czym udał się z Paulem do jego królestwa, czyli ładnie odremontowanej, starej piwnicy. Na ścianach wisiała flaga Francji oraz kilka starych map. Zdumiony mężczyzna dostrzegł również kilka pamiątek związanych z dawnymi czasami oraz cały arsenał broni.

- Idziesz na wojnę?
- Kto wie? O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Byłeś w wojsku, prawda?
- Tak, dwa lata, jako specjalista.
- Ale przeszedłeś szkolenie wojskowe?
- Dla służb specjalnych, nic wielkiego.
- Dobrze, a zatem znasz się na materiałach wybuchowych?
- To było dawno temu.
- Ale wszystkiego nie zapomniałeś?
- Nie rozumiem twoich pytań.
- Siadaj, Jean, musimy pogadać.
- Zgoda.

Mężczyźni usiedli naprzeciwko siebie w wielkich, starych fotelach. Paul przez kilka minut milczał i obserwował przenikliwymi oczami policjanta nieco

speszzonego, ale dziwnie spokojnego przyjaciela. Bawił się długopisem, wreszcie ciężko westchnął i zaczął mówić cichym głosem:

— Ile lat się znamy?

— Całe życie.

— Ufasz mi?

— Tak, jak najbardziej. Do czego zmierzasz? Mów wreszcie, o co chodzi.

— Wiem, że to ty załatwiłeś tych terrorystów.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Ładnie to zaplanowałeś, starannie i prawie dobrze.

— Masz dowody?

— Oczywiście. Śledziliśmy cię przez cały czas.

— Co mnie zgubiło?

— To, że powiedziałaś, że nie znasz napastnika, a to był gnojek z naprzeciwka.

— Niedobrze.

— Nie martw się, śledztwo w twojej sprawie zostało już zakończone, jesteś wolny. Wykończyłeś paru wrogów Francji, więc Ojczyzna nie zrobi ci krzywdy.

— Dzięki. Czego oczekujesz w zamian?

— Jesteś bystrym facetem, byłeś, zdaje się, najlepszym studentem, prawda?

— Uhm... w czołówce.

— Przydasz nam się.

— Nam...? Nie rozumiem. Mów jaśniej.



Paul powoli wstał z trzeszczącego pod jego ciężarem fotela, zaczął przechadzać się niczym dostoyny rycerz po zamku, wreszcie stanął przed przyjacielem i zaczął mówić uroczystym głosem:

— Nasza Ojczyzna jest w stanie wojny, walczymy o przetrwanie, przodkowie nas wzywają do walki. Czy jesteś gotów?

— Gotów...? Do czego? O czym ty mówisz? Stary, to jakiś żart?

— Nie masz innego wyjścia, bo już jesteś jednym z nas.

— O co chodzi?

Jean patrzył zaniepokojonym wzrokiem na uroczyście wyglądającego przyjaciela, który wyciągnął z niewielkiej szafy starą książkę oprawioną w skórę. Zbliżył się do swojego gościa i zapytał władcym tonem:

— Czy wiesz, co to jest?

— Nie, nie mam pojęcia.

— Rycerski kodeks honorowy. Oryginał. Z czternastego wieku.

— Co to ma wspólnego z nami?

— Więcej, niż sądzisz. Od jutra zostaniesz jednym z nas.

— Paul, mam dosyć tych chorych zagadek. O czym ty mówisz? Odbiło ci, czy co?

— Zabijając dziewięciu ludzi, wydałeś na siebie wyrok.

— Działalem w obronie własnej, chronilem siebie i swoją rodzinę.

— Wiem o tym, ale przekroczyłeś linię niewinności. Co wiesz o zakonie templariuszy?

— Niewiele, poza tym, że kiepsko skończyli.

— To prawda.

— Paul, proszę... miałem ciężką noc i nie najlepszy dzień. Mów więc wreszcie, o co chodzi, bo inaczej jadę do domu.

— Dobrze. Napijmy się jeszcze po kieliszku dobrego wina.

— Ale tylko po jednym. Przyjechałem samochodem.

— Dobrze.

Wielki policjant usiadł, a Jean uważnie obserwował wielką, podłużną głowę, wydatną szczękę i mocne zuchwy przyjaciela. Paul ze swoimi krótkimi włosami i idealnie ogoloną głową przypominał faktycznie rycerza z czasów wypraw krzyżowych.

— Zakon templariuszy istniał prawie dwieście lat, a proces ich likwidacji trwał lat siedem. Szczyt potęgi tych rycerzy-mnichów przypadł na połowę XIII wieku, a ta ich wielkość i fortuna stała się dla nich jednocześnie przekleństwem. Niepokoiła nawet królów. Jerozolima przepadła, więc komu byli potrzebni? Sprytny i przebiegły jak lis nasz król Filip Piękny zniszczył templariuszy. Teraz ja wraz z kilkoma przyjaciółmi postanowiliśmy odbudować zakon, według — oczywiście — współczesnych reguł.

— Powariowaliście?! To niemożliwe!

— A jednak... Za tydzień przyjedziesz do mnie o siedemnastej trzydzieści... żadnych telefonów... wtedy dowiesz się więcej.

— W co ty mnie wplątujesz Paul?

— Już jesteś jednym z nas. Zdałeś egzamin, zabiłeś wrogów naszego zakonu.

— Chcę o tym zapomnieć.

— Nie możesz.

— Mam jakieś wyjście?

— Żadnego.

— Jak to?

— Chcesz spędzić resztę życia we francuskim więzieniu? Zabiłeś dziewięciu ludzi, odpowiesz za to przed sądem. W końcu wszystkie te szumowiny, niestety, były też obywatelami naszego kraju i prawo dotyczy ich tak samo, jak wszystkich prawdziwych Francuzów.

— Czyżby szantaż?

— Powiedzmy.

— Ale mnie załatwiłeś.

— To dla dobra Francji. Poczytaj sobie o templariuszach. Ta wiedza na pewno ci się przyda.

— Zwariowałeś.

— Nie przesadzaj. Teraz jesteś w szoku, ale ci przejdzie. Chodź, odprowadzę cię do samochodu. Dasz radę prowadzić?

— Tak, jest już późno, ruch jest niewielki.

— Przykro mi, że tak wyszło, jestem kiepskim psychologiem.

— To prawda.

— Będzie dobrze. Pamiętaj! Za tydzień u mnie.

Jean włożył kluczyki do stacyjki białego peugeota partnera, uruchomił silnik, włączył światła i powoli ruszył pustą ulicą. Był przygnębiony i zaniepokojony. Nie lubił zmian, a te ostatnio wypełniały jego życie. Najlepszy przyjaciel zwariował i bawił się w rycerza. Do czego to wszystko zmierza? Świat oszalał. Postanowił skupić się na jeździe. To pomogło. Powoli dotarł na miejsce. Była północ. Za rzędem luksusowych czarnych taksówek znalazł miejsce do zaparkowania samochodu. Cud — jedyna rzecz, która mężczyznę naprawdę ucieszyła. Wyciągnął telefon. Było kilka nieodebranych połączeń od Emmy i jedna od Marie. Znalazł kody do zamków i spokojnie wszedł do wielkiej, pięknie wykończonej ceramiką ilustrującą naturę bramy. Emma czekała na niego, oglądając jakiś program na monitorze wielkiego, płaskiego telewizora, przypominającego prawie ekran kinowy.

— Jesteś, kochanie.

— Tak, przepraszam za spóźnienie.

— Podejrzewam, że nie jesteś głodny.

— Nie, nie jestem. Poczęstowano mnie pyszną kolacją. Wiem, że dzwoniłaś. Przepraszam, że nie odbierałem, ale zostawiłem telefon w samochodzie.

— Wszystko w porządku?

— Jak najbardziej. Śledztwo zamknięte, mogę spać spokojnie.

— Cieszę się. Chodźmy spać. Porozmawiamy jutro, późno już.

Jean wziął szybki prysznic. Musiał zmyć pot, jakim się oblewał podczas spotkania z przyjacielem. Po dokładnym osuszeniu się włożył luźne bokserki i poszedł do sypialni Emmy. Delikatnie położył się obok pachnącej drogimi perfumami kobiety, przytulił się do jej zgrabnego ciała i przez chwilę gładził miękkie włosy atrakcyjnej kochanki. Wreszcie zasnął. Kiedy otworzył oczy, był w łóżku sam. Z łazienki dochodziły odgłosy wody, co znaczyło, że Emma właśnie brała poranny prysznic. Poszedł do kuchni, zjadł grzanekę z kremem czekoladowym, przebrał się, umył i ogolił w swojej łazience, po czym wrócił do obszernej kuchni, gdzie dziewczyna piła kawę, patrząc na niego zalotnie.

— Dawno nie budziłam się z mężczyzną u boku.

— To bardzo dziwne, bo jesteś piękną, niezależną kobietą.

— Ależ wcale nie jest dziwne. Paryż to królestwo rozwiedzionych i samotnych kobiet w średnim wieku.

— Możliwe.

— Pojedziemy razem do firmy?

— Tak, jeśli tylko nie przestraszysz się mojego służbowego samochodu.

— Skądże! Ale uważaj, bo mogę cię porwać.

— Masz świetny humor.

— Nienawidzę samotności, boję się jej. Widzisz, ile mam pomieszczeń. Powinna tutaj biegać banda dzieci, a jestem sama, tylko czasami ktoś przyjdzie posprzątać, jakaś Polka lub Portugalka.

— Rozumiem.

— Teraz się to zmieni.

— Ubieraj się, kochanie, czas na nas.

Jean miał niewiele pracy. Kiedy uporał się z bieżącymi zadaniami, postanowił myślni wrócić do wczorajszej rozmowy z przyjacielem. Początkowo uważał Paula za groźnego wariata, ale teraz, kiedy ochłonął, zaczął studiować historię templariuszy i zdumiony dość szybko dał się wchłonąć internetowej lekturze. Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa Świątyni Salomona powstał około roku 1118, miał chronić pielgrzymów i szlaki, którymi wędrowali pątnicy do Ziemi Świątęj. Nazwa zakonu pochodziła od łacińskiego wyrażenia „templum”, co oznaczało świątynię. Pieczęć przedstawiała dwóch rycerzy jadących na jednym koniu, co miało symbolizować ubóstwo i pokorę. Na czele zakonu stał wielki mistrz po ślubach zakonnych. W Europie templariusze posiadali trzynaście prowincji, a na czele każdej z nich stał mistrz. Członkowie zakonu dzielili się na cztery grupy: braci-rycerzy, serwientów, czyli braci służebnych, kapelanów oraz zwykłej służby i rzemieślników. Czasem w zakonie służyli rycerze najemni, przyjęci na określony czas, którzy później opuszczali zakon i wracali do

zwykłego życia. Nie mieli oni prawa — podobnie jak bracia żonaci — do noszenia białych habitów i płaszczy. Początkowo templariusze faktycznie zajmowali się tylko i wyłącznie ochroną szlaków pielgrzymkowych, ale z czasem stali się ważną potęgą militarną ze względu na swoje bogactwo oraz liczbę rycerzy. Ich militarny charakter działalności spowodował wznoszenie licznych fortec obronnych na Wschodzie. Po upadku w roku 1291 Królestwa Jerozolimskiego templariusze wylądowali na Cyprze, a następnie we Francji, gdzie zostali uwięzieni przez króla Filipa IV Pięknego, swego dłużnika i zacieklego wroga. Zarzucono im herezję i odstępstwo od wiary, co równało się z wyrokiem śmierci. Potężny majątek tych niezwykłych zakonników został skonfiskowany, a wielu templariuszy spalono na stosie wraz z ostatnim mistrzem Jakubem de Molay.

Minął tydzień. Jean nieco uspokoił nerwy, wszystko wróciło do normy, nawet odwiedził swoje stare mieszkanie. Okazało się, że nie powtórzono próby włamania. Wynajął go polskim robotnikom budowlanym, którzy zapłacili kaucję i wyglądali na bardzo zadowolonych. Obiecali regularnie płacić wszelkie należności. Za radą Emmy mężczyzna spisał z szefem robotników umowę. Spokój Jeana zakłócało tylko dzisiejsze spotkanie z Paulem. Ostatecznie pojechał do domu przyjaciela pożyczonym od swojej kobiety dużym, czarnym trójkołowym skuterem, jakich pełno było w Paryżu.

Paula nie było w domu, ale przekazał żonie, aby Jean zaczekał w jego domu kilka kwadransów, gdyż policjanta zatrzymały sprawy zawodowe. Paul zawsze był oryginałem i dziwakiem, spędził nawet pięć lat w Północnej Afryce jako rekrut sławnej Legii Cudzoziemskiej, by po opuszczeniu wojska natychmiast wstąpić do policji, gdzie został natychmiast przyjęty ze względu chociażby na sam wygląd. Przestępcy po prostu bali się takich ludzi. Pierwsza żona policjanta zmarła nagle rok po ślubie. Miała wadę serca. Paul natychmiast znalazł drugą kobietę, bardzo podobną do poprzedniczki, ale nigdy się z nią nie ożenił, twierdząc z uporem maniaka, że to jest ta sama. Nawet wszystkim przedstawiał ją jako swoją żonę, choć tak naprawdę kochał tylko tę pierwszą.

Jean siedział w salonie i pił mocną, słodkawą, aromatyczną francuską kawę, gdy w pewnym momencie naprzeciwko niego usiadła uśmiechnięta kobieta przyjaciela i poprosiła:

- Opowiedz mi o Paulu.
- Co chcesz wiedzieć?
- Znasz mojego mężczyznę lepiej ode mnie.
- Tak naprawdę Paula nikt nie zna. Jest samotnikiem.

Zawsze taki był.

- Nawet jako dziecko?
- Oczywiście.
- Chciałabym usłyszeć jakąś historię o nim, taką z dzieciństwa. Wiesz, on rzadko ze mną rozmawia. Ciągłe jest



zajęty, taki typ pracusia.

— Zawsze taki był.

— Rozumiem.

— Uczęszczaliśmy do tej samej szkoły podstawowej. Paul jest ode mnie rok starszy, więc byliśmy w różnych klasach na innych poziomach budynku, ale widywaliśmy się na przerwach i po lekcjach. Był przeciętnym uczniem, dużo czytał i brał udział w różnych zajęciach pozalekcyjnych. Oczywiście od dziecka był wielki i silny, miał niewielu wrogów, których wychowywał pięściami. Miał sporo osiągnięć sportowych, zawsze fascynowało go wojsko, w którym spędził kilka ładnych lat. No i ukończył akademię wojskową. Poza tym zawsze był małomówny i szlachetny. Kiedy miałem jakiś problem z rówieśnikami, on je rozwiązywał, oczywiście w swoim stylu, czyli siłowo. Tak naprawdę miał tylko jednego przyjaciela — mojego ojca.

— Nie rozumiem.

— Po kolei... Jak wiesz, mieszkaliśmy w jednym budynku.

— Tak, kiedyś Paul wspominał mi o tym.

— No i mój ociec był byłym sierżantem Legii, a potem policjantem, co bardzo imponowało Paulowi. Przesiadywał stale z moim ojcem, a ten szkolił go jak żołnierza: uczył musztry, obchodzenia się z bronią. Traktował tego dzieciaka jak własnego syna.

— A rodzice Paula? Nie reagowali?

— Miał tylko matkę, ojca nie znał.

— Rozumiem.

— Wszyscy w kamienicy żartowali, że to mój ojciec jest jego biologicznym tatą.

— A mógł być?

— Nie mam pojęcia.

— W każdym razie nie jesteście do siebie podobni. Oho, zdaje się, że Paul wrócił. Przepraszam, pójdę się z nim przywitać. Dziękuję za rozmowę. Chciałabym jeszcze kiedyś do niej wrócić, jeśli można.

— Nie ma sprawy.

Po chwili Jean usłyszał tubalny, mocny, wesoły głos przyjaciela. Miał doskonały humor. Wszedł do salonu, przenikliwie zlustrował gościa i zakomunikował:

— To twój skuter blokuje mój podjazd?

— Tak, a coś się stało?

— Nie... — zawiesił na chwilę głos, by po chwili z szerokim uśmiechem dodać: — Żartowałem. Chodź, mamy mało czasu.

— Dokąd mnie zabierasz?

— Niedaleko. No, szybko, bo nie lubię się spóźniać.

Paul miał potężny japoński samochód terenowy. Był świetnym kierowcą, prowadził zdecydowanie, sprawnie poruszał się po nieco zatłoczonym o tej porze mieście. Po kwadransie Jean stracił orientację w ich położeniu. Zrozumiał, że było to celowe działanie przyjaciela, który zerknął z ukosa na Jeana i spytał:

— Wiesz, gdzie jesteśmy?

— Nie bardzo.

— To akurat dobrze. Ostrożności nigdy za wiele.

Wreszcie zaparkowali przed małym, średniowiecznym kościołem, nieco zaniedbanym, sprawiającym wrażenie zamkniętego.

— Jesteśmy na miejscu.

— Przywiozłeś mnie do kościoła?

— Kiedyś byłeś katolikiem.

— Nadal nim jestem, choć rzeczywiście praktyki moje pozostawiają wiele do życzenia, dawno nie uczestniczyłem we mszy.

— Nie szkodzi. Na pewno wszystko sobie przypomnisz.

Przyjaciele podeszli do wielkich, starych dębowych obitych żelazem drzwi. Paul szarpnął energicznie wiszący obok nich czarny sznur, by po chwili w niewielkiej furcie ukazała się drobna postać młodego księdza:

— Jesteście wreszcie. Zapraszam. Wszyscy już czekają na dole.

— Miałem dużo zajęć w pracy.

— Nic się nie dzieje.

Mężczyźni weszli do starego, ciasnego holu. Ksiądz był ich przewodnikiem. Po chwili otworzył niewidzialne wąskie drzwi w ścianie i wszyscy znikli w mrokach stromych schodów wijących się w dół krętym korytarzem bardzo słabo oświetlonym małymi elektrycznymi żarówkami. Po kilku minutach ostrej gimnastyki korytarz się skończył, a mężczyźni znaleźli się w wielkiej, wspaniałej podziemnej sali. To pomieszczenie z kolei było nieźle oświetlone białymi

jasnymi promieniami rzucanymi przez umiejętnie umieszczone lampy, które tworzyły niesamowity klimat podziemnej krypty. Pod ścianami znajdowały się dostojnie, równo ułożone nagrobki znamienitych rycerzy, o czym świadczyły ich rzeźby w kolczugach i pełnym uzbrojeniu. Na środku wielkiej sali znajdował się granitowy obelisk, pełniący funkcję okrągłego stołu, wokół którego ustawiono dziewięć wielkich, drewnianych foteli obitych skórą. Jeden z nich był nieco cofnięty od innych. Wszystkie postacie siedzące przy stole miały na sobie białe płaszcze z czerwonymi krzyżami. Robili niesamowite wrażenie w tym dziwnym świetle. Paul zwrócił się do kolegi:

— Witaj, Jean, w moim świecie.

— A jednak... Jednak to na poważnie...

— Oczywiście, przecież nie jestem wariatem.

— Jesteście templariuszami?

— Tak. Widzę, że przestudiowałeś losy zakonu.

— Mniej więcej.

— Twoje miejsce jest poza naszym kręgiem.

— Rozumiem.

— Nie jesteś jeszcze gotów, ale masz już prawo jednej przemowy i jednego pytania.

— Dobrze.

— A zatem, zaczynamy!

Spotkanie rozpoczęło się krótką i skromną mszą, a następnie bracia-rycerze odbyli dziwną spowiedź, po czym rozpoczęły się przemowy. Jako pierwszy wystąpił ksiądz.

— Bracia-rycerze, minęło wiele lat, odkąd nasz pierwszy założyciel Hugon de Payns wraz z ośmioma towarzyszami zaczął służyć w ubóstwie, pobierając skromną jałmużnę w sprawie bożej. Nasi bracia, Rycerze Boga, wieczni krzyżowcy stworzyli idealny zakon, który niestety umarł w mrokach historii, ale oto dziś znowu jest nas dziewięciu, godnych ich czcić i walczyć za Boga i wiarę. Ojczyzna nasza jest w potrzebie, trwa wojna!

W sali zapanowała cisza. Wszyscy patrzyli w anielską twarz młodego księdza. Miał wzniesione ku górze oczy, jakby patrzył na samego Boga. Pozostali stali niczym kamienne posągi. Jean zaczął dyskretnie obserwować nieznaną ludzi. Wszyscy byli mężczyznami różnego wzrostu, tuszy i wieku. Niektórzy byli młodsi, inni starsi. Poza Paulem Jean nie znał nikogo. Następnie po kolei przemawiali wszyscy bracia. Na koniec przemówił potężny policjant:

— Musimy być wielcy niczym potężny drugi najwybitniejszy templariusz Robert de Craon. To on po śmierci Hugona w roku 1136 zastąpił naszego twórcę. On to w roku 1139 umożliwił nadanie zakonowi bulli *Omne datum optimum*, co spowodowało wspaniały rozwój naszego zakonu i to, że nasz zakon podlegał tylko papieżowi. Mógł wznosić kaplice i nikt nie mógł zmieniać naszej Reguły.

Słowa Paula wywołały wśród siedzących braci pomruki aprobaty. Jean zrozumiał, że wszyscy uczestnicy nocnego spotkania świetnie znają losy zakonu. On zaś miał wielkie

braki z tej wiedzy. Zafascynowany atmosferą oraz wielkością chwili słuchał z zaciekawieniem dziwnej, wolnej dyskusji, jaka wytworzyła się po serii indywidualnych wystąpień:

— Jest nas już dziewięciu, bracia. Czas zacząć walkę!

— Spokojnie. Nasz nowy przyjaciel jest dopiero niezależnym serwientem bez prawa noszenia płaszcza.

— No tak, to prawda, czyli jeszcze trzeba poczekać.

— Wróg jest coraz mocniejszy. Mamy pierwszy cel.

— Niechaj przemówi nowy brat, posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

— Prawda, niechaj się wypowie.

Wszystkie twarze napięte i zaciekawione skierowały się w stronę Jeana, który nieco speszony wstał i drżącym głosem zaczął mówić:

— Przepraszam wszystkich, ale słabo znam wasze zasady i nie wiem, czy podołam. Proszę o czas.

— Zabiłeś dziewięciu wrogów Boga i Kościoła. Jesteś wybrany.

— Prawda to. Nie możesz się wycofać.

— Jest już za późno.

Przerażony Jean usiadł. Nie miał już prawa głosu. Tymczasem bracia długo rozmawiali o nowej Regule, historii oraz przyszłości ich zakonu. Nowy członek tego zgromadzenia czuł, że w jego życiu dzieje się coś wielkiego, jakby rodził się na nowo. Uległ hipnozie magicznego miejsca i powoli wpadał w atmosferę niezwykłości.

Zrozumiał, że nie znalazł się tutaj przypadkowo. Na koniec odbyła się krótka śpiewana modlitwa i powoli, ukradkiem, pojedynczo w różnych odstępach czasu bracia opuszczali kaplicę. Jako ostatni wyszli Jean z Paulem w towarzystwie uzbrojonego w wielki pęk kluczy księdza. Nie było pożegnania. Po prostu nagle mężczyźni znaleźli się obok samochodu. Milczący policjant uruchomił silnik terenówki i szybko ruszyli w kierunku domu na przedmieściach Paryża.

Całą drogę obaj mężczyźni milczeli, a po dotarciu na miejsce udali się do podziemnego królestwa Paula, gdzie w asyście butelki dobrego wina zaczęli rozmawiać.

— Jak ci się podobało pierwsze twoje spotkanie?

— Powoli zaczynam rozumieć.

— Wydaje ci się. Długa droga przed tobą.

— Wiem. Kim są ludzie, którzy tam byli?

— Braćmi-rycerzami. Mają tylko imiona, nadano im nowe, bo każdy, kto zostaje templariuszem — oczywiście poza przywódcą — dostaje nowe imię. Ciebie też to czeka. To taki stary zwyczaj.

— Kiedy mogę zostać jednym z was?

— A chciałbyś?

— Raczej tak.

— Kiedy z twojej głowy zniknie owo „raczej”, wtedy porozmawiamy.

— Jak długo istnieje wasz zakon?

— Kilka lat.

— Jak to?

— Powołał nas do życia ów młody ksiądz.

— Wszystko odbywa się tak, jak kiedyś?

— Skądże. Pierwsi templariusze aż dziewięć lat pozostawali we wspólnocie i ubóstwie, zanim otrzymali Regułę, prawo noszenia białego habitu oraz czerwonego krzyża na piersi. Biel to czystość, a czerwień to męczeństwo.

— Kim byli pierwsi bracia?

— Niewiele o nich wiemy. Znamy jedynie kilka imion, a zatem był brat Roland, brat Godfryd, brat Joffroi Bisot, Payen de Montdidier, Archibald de Saint-Amand i oczywiście brat Hugon de Pays — nasz mistrz.

— Dzięki czemu templariusze osiągnęli taki sukces? Ale tak według ciebie.

— Surowa dyscyplina i dobra Reguła.

— Co oznacza to magiczne słowo?

— Siedemdziesiąt dwa artykuły oraz prolog zawierający protokół z obrad synodu. Osiem pierwszych to obowiązki religijne braci. Kolejnych jedenaście reguluje porządek dni. Następne regulują uzbrojenie, liczbę wierzchowców, a jeszcze inne pouczają o posłuchu dla mistrza czy o ubóstwie braci. Ostatnie artykuły poruszają kwestie zakazów dotyczących braci, heretyków i jałmużny.

— Rozumiem. Kiedy mogę odbyć nowicjat? Jak długo będzie on trwał? Nie powinienem być szlachcicem?

— Jeśli chcesz wstąpić do zakonu, musisz prosić o to osobiście mistrza i kapitułę, czyli na razie nas. Oczywiście



najpierw musisz zapoznać się szczegółowo z naszą Regułą. Nasz mistrz zadecyduje o długości twojego nowicjatu. Nie musisz być szlachcicem.

— A kiedy zapoznam się z waszą Regułą?

— Wkrótce. Nie śpiesz się tak bardzo. Pamiętaj również, że mamy wiek dwudziesty pierwszy, a nie dwunasty, no i nie szukamy niewiernych w Ziemi Świętej, bo dzięki głupocie naszych rządzących posiadamy ich pod naszym nosem.

— To prawda.

— Sądzę, że na ciebie już czas. Emma może się niepokoić.

— Skąd wiesz?

— Musimy wiedzieć takie rzeczy, skoro masz być jednym z nas.

— Eee tam... trochę przesadzasz.

— Ostrożności nigdy za wiele.

— A to akurat prawda.

— Tymczasem przeczytaj te dwie książki. Za tydzień bądź u mnie o tej samej porze.

Jean wrócił do mieszkania swojej kobiety grubo po północy. Emma nie spała. Cierpliwie czekała na mężczyznę w swojej sypialni, siedząc w wygodnym fotelu. Ubrana była jedynie w jedwabny szlafrok w kolorze jasnego błękitu. Kiedy wszedł cicho do dużego pomieszczenia, natychmiast dostrzegł puste łóżko, po czym odruchowo spojrzął na siedzącą z poważną miną kobietę.

— Musimy porozmawiać.

— O co chodzi?

— Coś dziwnego dzieje się z tobą ostatnio, kochanie. Jesteś jakiś nieprzytomny, jakbyś żył w innym świecie... No i te twoje późne powroty. Martwię się o ciebie.

— Przepraszam, zasiedziałem się.

— Co to za książki targales pod pachą?

— To...? To od Paula. Jakaś historia, którą polecił mi do poczytania.

— Masz inną kobietę?

— Bzdura.

— Marie ciągle wydzwania do mnie z pytaniem o ciebie, twierdząc, że masz nieustannie wyłączoną komórkę.

— Akurat tak trafia, że akurat byłem zajęty i nie mogłem odebrać.

— Nie możesz ignorować córki. Ona cię bardzo kocha. Zaprosiłam ją na jutro do nas na obiad. Jest sobota. Mam nadzieję, że zostaniesz z nami.

— Ależ oczywiście. Wszystkie swoje dotychczasowe sprawy już załatwiłem.

— To dobrze.

— Przepraszam cię, kochanie, ale miałem ostatnio trudny czas.

— Wiem o tym. Kim jest ten twój wielki przyjaciel o twarzy bandyty?

— Policjantem.

— Rozumiem.

— Chodźmy już spać. Padam z nóg.

Całą sobotę Jean był przykładnym mężczyzną swojej kobiety, uzbrojony w torbę na zakupy z kólkami węższym niczym pies myśliwski na niewielkim targu znajdującym się przed ich kamienicą. Były tam świeże ryby, sery, dary morza, wędliny, owoce, warzywa z całej Francji. Następnie udał się do sklepu typu „Monoprix”, gdzie dokupił brakujące delikatesy. Zmęczony wrócił do mieszkania dziewczyny, gdzie zastał już swoją śliczną córkę w asyście chłopaka, którego widział po raz pierwszy. Był to typowy przedstawiciel młodego Paryża — dwudniowy zarost, okulary, nienaganny garnitur oraz płaszcz i buty, bardzo drogi zegarek i najnowszy telefon przypominający komputer. Miał na imię Thomas i czuł się świetnie w towarzystwie Emmy. Pochodził ze starej arystokracji. Chłopak zrobił na Jeanie dobre wrażenie, choć wolałby, aby jego córka wyszła za kogoś innego, skromniejszego. Tymczasem siedział grzecznie przy stole i myślami był w czasach templariuszy. Ich historia pochłaniała mężczyznę coraz bardziej. Z zadumy wyrwał Jeana głos Thomasa:

— Pan jest informatykiem?

— Tak, od wielu lat.

— Marie mówiła, że był pan najlepszym studentem. Czy to prawda?

— Nie ostatnim.

— Dlaczego nie założysz pan własnej firmy informatycznej?

— Nie każdy nadaje się do biznesu, a poza tym jestem zadowolony ze swojej pracy oraz z zarobków.

— Zna się pan na elektronice?

— Tak, trochę.

— Mam problem z komputerem w samochodzie. Czy myśli pan, że mógłby mi pomóc?

— Aż tak dobry nie jestem. A co powiedział serwis?

— Podali bardzo wysoką sumę.

— Przykro mi, ale nie potrafię ci pomóc. To drogi samochód i mógłbym uszkodzić jakiś obwód. Sam rozumiesz.

— Tak, naturalnie.

Dni płynęły spokojnie. Jean kilkakrotnie przeczytał obydwie książki o zakonie templariuszy. Jedną z nich znał prawie na pamięć. Nie chciał, aby Paul cały czas mu uświadamiał, jak niewiele wie. W końcu nadszedł dzień spotkania w starej kaplicy. Tym razem fotel Jeana stał, podobnie jak inne, przysunięty do granitowego stołu, czyli rozpoczął się okres jego nowicjatu. Otrzymał prawo trzech głosów podczas dyskusji. Tym razem spotkanie przebiegało w zupełnie innej atmosferze. Wszyscy skupili się na sprawach bieżących. Pierwszy głos zabrał Paul:

— Bracia, czas nagli, mam wieści, że w jednym z meczetów trwa werbowanie ochotników do tak zwanego Państwa Islamskiego. Obecny tam imam to fanatyk. Musimy koniecznie coś z tym zrobić.

— Co proponujesz? Czekamy na twoje zdanie.

— Zlikwidować. To jedyne rozsądne wyjście.

Zapanowała cisza. Nagle z miejsca wstał młody ksiądz, przyjrzał się uważnie twarzom zebranych, po czym zaczął mówić:

— Nie jestem zwolennikiem zabijania, ale zbyt dużo krwi popłynęło już na świecie z powodu tego tworu, jakim jest to państwo zła. Dlatego, bracia, poprę każde działanie, choć przychodzi mi to z trudem, ale cóż... trwa wojna! A to nie jest czas dla słabych i litościwych!

Wystąpienie wielkiego mistrza spotkało się z ogólną aprobatą. Jako kolejny głos zabrał mały, pulchny człowieczek w grubych okularach, który wyglądał na lekarza lub intelektualistę. Nosił dość niedbale zarzucony i przewiązany paskiem zbyt obszerny biały płaszcz:

— Proponuję dyskretne zlikwidowanie wroga za pomocą strzału z karabinu snajperskiego. Brat Hugo jest świetnym strzelcem, a my mamy broń, amunicję i wszystko, co niezbędne do tego zadania.

— Zgoda. Bracie Hugo, podejmiesz się wykonania tego zadania? To zaszczyt...

— Tak jest!

— A zatem nasz brat Pierre wszystko dogra i ustali. Za tydzień musimy już mieć szczegółowy plan. Pamiętajcie, bracia, o tym, że ów człowiek ma stałą ochronę, co trzeba uwzględnić w przygotowaniu zamachu.

— Dobrze, wielki mistrzu, będzie według twoich słów.

— Teraz zmieniamy temat. Mam pytanie do naszego nowego brata. Jak oceniasz nasze dzisiejsze spotkanie,

bracie? Proszę, wstań i mów, czy zapoznałeś się już z historią naszego zakonu?

— Dziękuję, wielki mistrzu, za prawo głosu w tak ważnym czasie. Najpierw odpowiem na pierwsze pytanie.

— Słuchamy, mów!

— Mamy wojnę, więc czas i Bóg rozgrzeszą nasze działanie. Jeśli nie zlikwidujemy tego człowieka, to kto wie, może on przyczyni się do zabicia kolejnych Francuzów? Nie znam się na planowaniu zamachów, ale wiem jedno — musimy być szalenie ostrożni, działać nader sprytnie, aby śmierć imama wyglądała jak najbardziej naturalnie. Takie jest moje zdanie.

— Rozsądek i mądrość przemawia przez twoje usta. Jak to według ciebie zrobić?

— Należy otruć wroga, a nie strzelać do niego.

— Uhm... dobry pomysł. Ale w jaki sposób?

— Istnieją specjalne trucizny. Wystarczy nasączyć nimi fotel, krzesło lub ulubiony przedmiot ofiary. W jakiś sposób trucizna musi zetknąć się ze skórą, a resztę załatwi czas.

— Jak mniemam, masz już gotowy plan, nieprawdaż?

— Och... to dopiero pierwszy szkic.

— Opowiadaj!

— Ten człowiek porusza się samochodem i to dobrym, bo skoro ma ochronę, to musi być to co najmniej limuzyna.

— Bracie Pierre, wiesz coś na ten temat?

— Zgadza się, wielki mistrzu. Jeździ opancerzoną limuzyną produkcji niemieckiej.

— Taki samochód musi gdzieś parkować, być serwisowany, słowem — pozostawiony na chwilę bez ochrony. Wtedy możemy i powinniśmy się nim zająć.

— Nadal jest to trudne.

— Proponuję umieścić nadajnik radiowy GPS, co nam ułatwi sprawę.

— Potrafisz to zrobić?

— Bez problemu.

Po tych słowach sala umilkła. Paul tryumfalnym wzrokiem spoglądał na wielkiego mistrza zapatrzonego gdzieś w dal niewidzącym wzrokiem. Wreszcie ocknął się, wstał i skierował swe słowa do nowego brata:

— Za tydzień zostaniesz przyjęty w nasze szeregi. Długo na ciebie czekaliśmy. Bóg dał znak, więc czas na pierwszą bitwę. A teraz powiedz mi, co sądzisz o naszym zakonie?

— Niewiele wiem, a to, co przeczytałem, dotyczy tylko historii, która nie zawsze pasuje do naszych czasów, jak choćby Reguła...

— Mamy nową, inną.

— Rozumiem.

— Czy coś jeszcze cię trapi?

— Tak, przyszłość. Co się stanie, jeśli wreszcie świat dowie się o nas, a to na pewno nastąpi? Czy w nasze ślady nie będą chcieli iść inni — Niemcy, Szwedzi, Finowie, Austriacy, Belgowie, Holendrzy, Norwegowie, Hiszpanie? Co wówczas? Czy powstaną tam nasze kapituły?

— Nasz nowy brat jest człowiekiem inteligentnym i przewidującym, a przyszłość może okazać się trudna, dlatego też już od dzisiaj będę myślał o tym. Kończymy spotkanie. Za tydzień musimy znać każdy krok naszego wroga. Czy nasz nowy brat się tym zajmie? Czy potrzebna jest pomoc?

— Nie, dziękuję, potrzebuję tylko numer rejestracji tego samochodu.

— Dostaniesz tę informację od przyjaciela, który cię tutaj wprowadził. Bracia, módlmy się, aby Bóg zesłał nam dar wytrwałości i mądrości, a także odwagi.

Bracia modlili się długo i żarliwie, aż wreszcie zaczęli dyskretnie znikać w tajemniczych podziemiach kaplicy. Przyszła też pora na Jeana i Paula. Dotarli do wnętrza samochodu terenowego. Paul nie ukrywał radości.

— Stary, to było genialne. No, teraz to już jesteś prawie jednym z nas!

— Nie przesadzaj.

— Kiedy na to wpadłeś?

— To znaczy? Nie bardzo rozumiem.

— No, na plan zabójstwa tego imama.

— Nie wiem. Samo tak jakoś wyszło. Zamach snajperski w wojskowym stylu to dobre posunięcie, ale na razie musimy działać dyskretnie.

— Dobrze powiedziane. No dobrze, a trucizna? Skąd ją weźmiesz?

— Jest już gotowa.



— Jak to?!

— W starym mieszkaniu miałem problem z pluskwami, więc trochę eksperymentowałem. Mam kumpla chemika, razem stworzyliśmy coś takiego, co zabije słonia.

— Mówisz poważnie?

— Jak najbardziej. To bardzo niebezpieczna rzecz i nawet coś podobnego występuje w naturze. Nasza trucizna zabija nagle, a każda sekcja wykaże zawał, gwarantuję.

— Zaczynam się ciebie bać. Czy aby na pewno jesteś tylko informatykiem?

— Tak, ale pamiętaj, jakich miałem przodków.

— Nieźle, coraz bardziej mi imponujesz, no, no.

— Kim jest Pierre?

— Na razie o to nie pytaj, wszystko w swoim czasie.

— Rozumiem.

— Wpadniesz do mnie na kielicha?

— Nie. Daj mi numer tego samochodu.

— Dostaniesz go zaszyfrowaną wiadomością w poniedziałek na telefon.

— Będę umiał złamać szyfr?

— Tak, do jego złamania potrzebna ci będzie jedna z książek, którą od mnie otrzymałeś.

— Dobrze

— Poradzisz sobie z tym zamiarem?

— Tak, bez problemu.

— A zatem do zobaczenia.

Jean uruchomił skuter. Noc była chłodna, narzucił skórzaną ochronę na nogi i powoli udał się w kierunku centrum Paryża. Przez całą drogę zastanawiał się, w co się wpakował, miał wątpliwości, martwił się o Emmę, Marie. Były sensem jego życia, tylko na nich mu zależało. Wiedział, że nie może się wycofać, bo natychmiast zostanie oskarżony o zdradę, a sam Paul bez wahania wykonałby na nim wyrok. Znalazł się w potrzasku. Z drugiej strony, po dwudziestu latach nudy, coś zaczynało się wreszcie dziać w jego życiu, czuł się potrzebny. Widział zagrożenie ze strony innej rasy i religii. W przeciwieństwie do wielu swoich rodaków oraz polityków był człowiekiem potrafiącym patrzeć w przyszłość, a ta nie wyglądała zbyt różowo. Wreszcie dojechał na miejsce. Emma jak zwykle nie spała.

— Witaj, kochanie. Będziesz tak znikał co tydzień?

— Mam nadzieję, że nie. Przepraszam.

— Daj spokój, jesteś dorosły. Mam tylko nadzieję, że nie wplątałeś się w jakieś głupstwo.

— Skądże.

— Jesteś na to zbyt inteligentny, prawda?

— Przesadzasz.

— A właśnie, że nie. Jako jeden z prezesów naszej firmy mam wgląd do dokumentacji pracowników. Kiedyś przejrzałam twoją.

— To nieładnie.

— Cóż... kobiety bywają ciekawskie.

— No właśnie. No i co ci z tej ciekawości wyszło? Na pewno w moim dossier nie ma nic ciekawego.

— I tu się mylisz. Miałeś robiony test na inteligencję.

— Tak, dawno temu, ale wyników nigdy nie poznałem.

— Wiesz dlaczego?

— Nie, nie mam pojęcia.

— Ponieważ twój iloraz inteligencji jest najwyższy ze wszystkich.

— Niemożliwe.

— Tak, kochanie, możliwe i tak jest naprawdę, a teraz zapomnij, że to usłyszałeś, superinteligencie.

— Już o tym nie pamiętam. Dziwne... podszedłem do tego na luzie, byłem młody...

— Papiery nie zapominają.

— Nieważne.

— Ładną masz córkę. Jest podobna do ciebie.

Kolejne dni mijały w napięciu. Jean umieścił nadajnik na luksusowym samochodzie, który wszędzie woził imama. Mężczyźnie pomógł w tym cygański dzieciak, który za dziesięć euro przykleił czarną plastelinę do podwozia samochodu. Po pięciu dniach Jean wiedział wszystko o całym dniu przyszłej ofiary, poza tym za kilka dni limuzyna miała przechodzić badania techniczne i serwisowe w wielkiej stacji na obrzeżach Paryża. Tam zamachowiec postanowił zaatakować. Odwiedził najpierw serwis, następnie za pośrednictwem internetu kupił zupełnie legalnie na obce nazwisko kombinezon oraz buty

identyczne jak pracowników obsługujących luksusowe samochody, następnie w automacie dworcowym zrobił sobie zdjęcia i podrobił identyfikator. Był gotów do akcji, niczego nie zaniedbywał, zapuścił zarost i zmienił okulary, zaopatrzył się również w czapkę z daszkiem, która zasłaniała sporą część twarzy. Zadowolony czekał cierpliwie na nadchodzący piątek, który zbliżał się szybko. Jak zwykle przybył do przyjaciela skuterem Emmy. Ten już czekał w samochodzie. Dał znać, by Jean milczał. Rozmowę zaczęli dopiero w korytarzu kaplicy, bardzo cicho i ostrożnie:

— Jak tam przygotowania do akcji?

— Bardzo dobrze.

— A twoja trucizna? Nie zwietrzała?

— Skądże. Mam świeżą, zadziała z całą pewnością.

— Dobry jesteś.

— To się dopiero okaże.

— O, są już wszyscy. Dzisiaj zostaniesz przyjęty, milcz i czekaj na słowa mistrza.

— Dobrze.

Sala została udekorowana białymi i czerwonymi lampionami, które płonęły, rozświetlając mroki kaplicy. Uroczystej atmosfery dodawały kopie mieczy templariuszy leżące na granitowym stole, a także biały płaszcz z czerwonym krzyżem, który wisiał obok rzeźby przedstawiającej Jezusa. Wielki mistrz wezwał nowego brata do siebie, podczas gdy sam stał w płaszczu i przyglądał się badawczo nieco speszonemu mężczyźnie:

— Bracie, czy pragniesz wstąpić do naszego zgromadzenia?

— Tak, pragnę.

— Bracie, czy ścierpisz to wszystko dla Boga? Czy jesteś zdecydowany? Czy chcesz być od tej chwili sługą i niewolnikiem naszego domu przez wszystkie dni twego życia?

Jean zrozumiał, że to była autentyczna przysięga templariuszy, ponieważ już znał te pytania. Spojrzał badawczo na księdza i wypowiedział magiczne słowa:

— Zniosę wszystko dla Boga i chcę być sługą i niewolnikiem tego domu na zawsze!

— Czy wolny jesteś od ślubów w innym klasztorze? Czy masz długi? Czy jesteś zdrowy? Czy jesteś człowiekiem wolnym?

— Tak, wolnym jestem od tego wszystkiego!

Wielki mistrz z uznaniem spojrzał na nowego brata, następnie podszedł do starych towarzyszy, zostawiając zaniepokojonego Jeana przy oświetlonej figurze Jezusa. Następnie ksiądz zatrzymał się przy stole, potoczył badawczo wzrokiem po zebranych i zaczął mówić:

— Rozmawiałem z tym zacnym człowiekiem, który czeka za figurą Zbawiciela, przedstawiłem naszemu nowemu bratu rygory naszego domu najlepiej, jak umiałem, on zaś oświadczył, że chce być sługą i niewolnikiem tego domu, a zatem nie ma przeszkód, by mógł stać się jednym z nas, jeśli podoba się to Bogu i nam — bracia?

Zapanowała cisza. Wszyscy milczeli, padły pytania, czy ktoś ma coś do powiedzenia, czy istnieje jakaś przeszkoda. Nikt nie zabrał głosu, tylko oddechy braci odbijały się delikatnym echem od starych łukowych sklepień. Wreszcie wielki mistrz zapytał:

— Czy chcecie, aby wprowadzono go do naszego domu w imię Boże?

W tym momencie padła jednogłośnie odpowiedź wszystkich braci:

— Wprowadźcie go w imię Boże!

— Bracie, czy nadal masz wolę wstąpienia do naszego zgromadzenia?

— Tak.

— Staniesz przed kapitułą, pozdrowisz szanowną kapitułę i będziesz klęczał ze złożonymi dłońmi przed tym, który nam przewodzi, następnie wypowiesz słowa, które usłyszysz.

— Dobrze.

Jean zgodnie z otrzymaną instrukcją klęknął przed wielkim mistrzem, złożył dłonie i wypowiedział słowa:

— Panie, stoję tutaj przed Bogiem, przed tobą i przed wszystkimi braćmi i usilnie proszę w imię Boga i Matki Najświętszej, abyście przyjęli mnie do waszego zgromadzenia.

Do Jeana podszedł Paul i zaczął wypowiadać mocnym głosem słowa, które wszyscy bracia wcześniej w momencie swojej inicjacji usłyszeli przed nałożeniem płaszcza:

— Szlachetny bracie, prosisz o wielką rzecz, ponieważ oglądasz tylko zewnętrzną korę naszego zakonu. Czekają cię tutaj surowe zakazy i ciężko ci będzie z nami żyć, walczyć i umierać. Czy będziesz mógł znieść to wszystko?

— Tak, panie.

— Szlachetny bracie, nie posiadasz tutaj bogactw, nie dogodzisz ciała ani też nie czekają cię zaszczyty. Czy chcesz być po wszystkie dni swego życia sługą i niewolnikiem tego zakonu?

— Tak, jeśli Bóg tak chce.

— Czy chcesz wyrzec się swojej woli i czynić to, co wielki mistrz ci nakaże?

— Tak.

— Czy jesteś całkowicie zdecydowany szlachetny bracie, by stać się sługą i niewolnikiem naszego zakonu?

— Tak, panie.

— A zatem my, w imię Boga, przyjmujemy cię do naszego zakonu!

W tym momencie dwaj bracia założyli na plecy Jeana biały płaszcz z czerwonym krzyżem, zaś Paul wręczył nowemu bratu miecz i metalową odznakę z herbem templariuszy, którą Jean miał zawsze nosić przy sobie. Ceremonia dobiegła końca. Nowy templariusz podszedł do stołu, złożył swój miecz obok innych, usiadł i wznosił toast za wielkiego mistrza lampką wyborowego wina. Wszyscy krzyknęli: „Witaj!”, po czym rozpoczęła się skromna uczta zorganizowana przez jednego z braci, właściciela piekarni.

Kiedy wszyscy się najedli i pogratulowali Jeanowi, otrzymał on nowe imię. Od dziś stał się bratem Alexandre'em i odtąd tym właśnie imieniem każdy miał się do niego oficjalnie zwracać.

— Skoro wszystko skończyło się dobrze, czcigodny bracie Alexandre, zdaj nam relację z twoich działań, jesteśmy wszyscy bardzo ciekawi.

Jean przez prawie pół godziny opowiadał o swoim działaniu, relacjonował każdy dzień godzina po godzinie. Na koniec usiadł i wypił kielich wybornego wina, czekając na pytania, jednak zapanowała cisza, przzerwana po dłuższej chwili przez wielkiego mistrza.

— Czy jesteś pewien, że trucizna zadziała?

— Absolutnie.

— Nikt cię nie rozpozna?

— Tego nie jestem pewien.

— Martwi mnie tylko ta śmierć, wiadomo już, że jest konieczna... czy ofiara umrze bezboleśnie?

— Tak, gwarantuję.

— Dobrze. To teraz proszę o pytania innych braci, jeśli takowe są, czekam.

Zapanowała cisza. Nagle wstał brat Gotfryd, wielki mężczyzna o smutnej twarzy, i zaczął mówić powoli i dobitnie, jak to było w jego zwyczaju:

— Chciałem tylko zapytać, czy nasz nowy brat nie potrzebuje pomocy w wykonaniu tak trudnego zadania? Jeśli tak, to zgłaszam się na ochotnika.



— Dziękuję, bracie Gotfrydzie, poradzę sobie. Poza tym jednej osobie łatwiej się ukryć.

— To prawda. W takim razie nie mam więcej pytań.

— Skoro tak, to koniec naszego dzisiejszego spotkania, bracia. Kolejne jak zwykle, za tydzień. Niechaj Bóg prowadzi brata Alexandre'a i dokona zemsty sprawiedliwości jego ręką.

— Amen.

Jean po powrocie z tajnego spotkania nie mógł zasnąć. Leżał przytulony do kobiety, która miarowo i cicho oddychała, dotykał jej jędrnego i ciepłego brzucha, ciągle myśląc o swojej akcji. Wreszcie zmęczenie wzięło górę i o trzeciej rano usnął. Miał koszmary wypełnione jasnymi wybuchami, trupami, krwią i ludzkimi wrzaskami; wszędzie poniewierały się szczątki ludzkich ciał, szalały pożary, a ciemny dym spowijał ulice Paryża. Przerażony otworzył oczy. Był cały mokry od potu.

— Obudziłeś się, kochanie?

— Tak, miałem zły sen. Która godzina?

— Dziesiąta.

— Co, już?! O rany, zasnęłam.

— Spokojnie, dzisiaj sobota, nie pracujemy.

— Och, racja, przepraszam. W takim razie spokojnie idę pod prysznic, jestem wykończony.

— O której godzinie wczoraj wróciłeś? Czekałem na ciebie, ale padłam. Złe się czułam.

— Nawet nie wiem, ale na pewno późno.

— Co wy tam z tym gliniarzem kombinujecie?

— Nic, prowadzi mały remont, pomagam przyjacielowi w założeniu instalacji elektrycznej i informatycznej.

— Rozumiem, a dlaczego od razu mi tego nie powiedziałaś?

— Uznałem to za nieistotne.

— Dzwonił ten Polak od mieszkania, chce się rozliczyć za pierwszy miesiąc.

— Dzięki, później się z nim skontaktuję.

— Co zamawiasz na obiad? Idziemy do restauracji, czy wolisz zjeść w domu?

— Dzisiaj wyjątkowo wybieram domowe zacisze.

— Dobrze, ugotuję coś dobrego.

Mężczyzna po rozmowie z najemcą mieszkania natychmiast wyruszył na spotkanie. Chciał zobaczyć swoje stare śmieci. Nie był tam od miesiąca. Pożyczył samochód Emmy, ponieważ siąpił deszcz, więc skuter nie był dobrym wyborem w taką pogodę. Zaparkował tuż przed wejściem. Spostrzegł, że ktoś uważnie go obserwuje, ale udał, że tego nie widzi. Kątem oka dostrzegł też czarnowłosą dziewczynę stojącą w oknie, siostrę napastnika, który pchnął Jeana nożem, a później wykrwawił się na leśnej polanie po posiekaniu jego ciała siedemnastoma odłamkami żelaza. Mężczyzna wpisał kod przy drzwiach i szybko wbiegł schodami na górę. Przez kilka minut dobijał się do drzwi, gdy wreszcie wszedł do środka. Przed nim z papierosem w rękę, śmierdzący przetrawionym alkoholem stał niski,

łysiejący, nieco otyły Polak, coś tam mamrocząc pod nosem. Po chwili obrócił się i wprowadził Jeana do pokoju. Ten przedstawiał okropny widok. Wszędzie walały się butelki po piwie i whisky, a także części garderoby, narzędzia i materiały budowlane. Jean naliczył osiem posłań, a na środku pokoju stał grill ze złamaną nogą podparty jedną z jego książek. Śmierdziało tanim tytoniem, wódką i Bóg wie czym jeszcze. Jean patrzył na ten widok nieco zażenowany.

— Co tu się działo w nocy?

— A nic, wypłata była.

— Następnym razem, jak się spotkamy, ma być idealnie czysto. Inaczej przyjadę z policją.

— Dobrze, będzie, jak chcesz. Tu są pieniądze.

— A gdzie są twoimi pracownicy?

— Do roboty poszli.

— Pijani?

— E tam, pijani. Wszystko jest okej, nic się przecież nie stało.

— Pamiętaj, ma być porządek, inaczej przestaniemy być przyjaciółmi.

— Wiem.

Zdenerwowany Jean przeliczył czynsz, po czym wyszedł z mieszkania. Lubił tych Polaków, uratowali mu przecież życie, ale dlaczego żyli jak świnie w chlewie, tego nie mógł zrozumieć. Cóż, Europa Wschodnia, nic dodać nic ująć. Kiedy wychodził z klatki, przy samochodzie stała wcześniej

widziana dziewczyna w oknie. Uważnie obserwowała mężczyznę, by po chwili się odezwać:

— To pana chciał zabić mój brat, wiem o tym, mówił mi.

— Nie wiem, nie jestem pewien.

— Tak, to był pan.

— Jakie to ma znaczenie? Przeżyłem, nie mam do nikogo żalu.

— Ale mściwa ręka dopadła mojego brata i jego przyjaciół.

— Przykro mi.

— Pan jest wielkim mężem, mój brat głupio zrobił, podnosząc na pana rękę, dlatego zginął.

— Nie wiem, o co ci chodzi, dziewczyno. Muszę już jechać.

— Dokona pan rzeczy wielkich, na pewno.

— Żegnaj, spieszę się.

Zdumiony słowami dziewczyny Jean postanowił przez jakiś czas nie odwiedzać starych śmieci. Polacy niech wpłacają czynsz na jego konto. Miał dość przygód, jak na jeden dzień. Kiedy wracał zakorkowanymi o tej porze ulicami Paryża, myślał o tajemniczej dziewczynie. Kim była? Co chciała mu przekazać? Dlaczego tak dziwnie mówiła i co wiedziała? Może to tylko przypadek? Postanowił z nikim o tym nie rozmawiać. Wreszcie dojechał do miejsca swojego zamieszkania, przez kwadrans szukał wolnego miejsca, wreszcie zaparkował ciasno na sąsiedniej ulicy, Uspokojony wrócił do Emmy, która akurat kończyła przygotowywanie

obiadu w postaci pieczeni mięsnej i warzyw przygotowanymi na parze. Do tego przyrządziła opiekane kartofelki, a potem podała ser, wino i deser. Zmęczony Jean usiadł przy stole.

— Jak było?

— Nieźle, tylko trochę chłopaki nabałaganili w moim mieszkaniu.

— To tylko robotnicy budowlani.

— Mieszka ich tam chyba z ośmiu.

— To normalne. Oszczędzają na czynszu.

— Jeszcze rok, a będą musieli mi zrobić remont. Dobrze, że wziąłem wysoką kaucję, inaczej kto wie, jak to by się skończyło. Czy oni wszyscy są alkoholikami?

— Bardzo możliwe.

— Więcej tam nie pojedę, niech płacą przelewem.

— Dobry pomysł.

— Dzieci innego Boga, chyba gorszego.

— Możliwe, ale nie mówmy już o tym. Czy nadal pada deszcz?

— Nie, już jest ładnie.

— Masz ochotę na spacer paryskimi ulicami?

— Nie wiem. Dawno nie byłem na nocnym spacerze.

— Masz jeszcze w sobie odrobinę romantyka?

— Chyba tak, ale to może być niebezpieczne.

— Przesadzasz.

Jean z Emmą wolnym krokiem przechadzali się po ulicach Paryża, mijając urocze knajpki pełne ludzi. Skręcili

w boczną ulicę, chcąc zawrócić jakby kołem w kierunku swojej ulicy, kiedy niespodziewanie podjechał do nich sportowy kabriolet mercedesa, w którym siedziało czterech przedstawicieli Północnej Afryki. Towarzyszył im oczywiście niesamowicie głośny rap oraz przekleństwa rzucające przechodniom. Choć był już wieczór, wszyscy zasłaniaли oczy ciemnymi, przeciwsłonecznymi okularami. Zaczęli się w sposób wyzywający zwracać do Emmy, w ogóle ignorując Jeana.

— Ty, śliczna, masz kilka równie ładnych koleżanek?

— A wiesz, że tak. Mieszkają niedaleko.

— Gdzie?

— W zoo, bałwanie, w wysokiej klatce. Zrozumiałeś?

Kompani obrażonego Murzyna zarechotali gardłowo, a ten wściekły rzucił w kierunku Emmy butelką po piwie. Nie trafił, a szkło — o dziwo — wytrzymało, nie rozbijając się. Wściekła kobieta nie należała do tchórzliwych pań. Podniosła z trotuaru nierozbitą zieloną butelkę i odrzuciła z ogromną siłą w kierunku napastników, trafiając jednego z nich prosto w czoło. Rozległy się dzikie wrzaski, po czym mercedes zawrócił na wąskiej ulicy i pognął w stronę uciekającej pary, która wpadła do pierwszej napotkanej restauracji i zmieszała się z tłumem ludzi. Mercedes wyhamował, śniadzi mężczyźni schowali pistolety i po chwili odjechali. Jeden z nich nadal krwawił z rozbitego butelką łuku brwiowego.

Jean rzekł:

— Mam nadzieję, że nie czają się za rogiem.

— No coś ty, kochanie, to tchórze. Zwiali. Ta dzielnica to nie ich rewir.

— Może masz rację. Jesteś odważna i nieźle rzucasz, zaimponowałaś mi.

— Wychowałam się z czterema braćmi, jakoś musiałam sobie radzić, a byłam najmłodsza.

— Rozumiem.

— To, co miałeś w ręku, to pistolet?

— Tak, dostałem broń od ojca. Jest legalna.

— Nosisz przy sobie spluwę?!

— Dziwi cię to? Nie chcę więcej noży w plecach.

— Fakt, zapomniałam, przepraszam. Potrafisz dobrze strzelać?

— Tak, nieźle.

— Teraz ty mi zaimponowałaś. Chodź, napijemy się po szklaneczce wina, skoro już tutaj jesteśmy.

— Dobry pomysł.

Dalsza część wieczoru upłynęła spokojnie, a Jean z Emmą bez przeszkód wrócili do mieszkania, wypili jeszcze niezłego szampana, po czym kochali się długo i namiętnie. Wreszcie zmęczeni zasnęli.

W poniedziałek Jean wziął pół dnia urlopu, czarnym skuterem podjechał do wielkiej stacji serwisowej, ze sporym sportowym plecakiem udał się do restauracji mieszczącej się wraz ze sklepem na zapleczu warsztatu. Tam, w ubikacji, sprawnie przebrał się w kombinezon

mechanika, włożył czapkę, okulary, nieco ucharakteryzował twarz, przypiął identyfikator i podszedł w kierunku rzędu warsztatów, gdzie akurat podjechała limuzyna z imamem i ochroniarzami. Podszedł do nich, niosąc w ręku sztywną podkładkę, do której klipsem przymocowane były dokumenty, i powiedział:

— Witajcie, panowie, jesteście punktualni, proszę zaczekać w restauracji. Przegląd potrwa około dwóch godzin.

— Szybciej się nie da? Mamy mało czasu.

— Postaram się.

— Mam nadzieję.

— Kluczyki są w środku?

— Tak. Dokumenty również.

— Dziękuję.

— Spływaj, nie mamy czasu na gadanie.

— Proszę zostawić numer telefonu. Zadzwoń, jak skończymy.

— Znajdź sobie.

Wielki Arab, będący kierowcą, zaśmiał się na koniec. Jean spojrzał w jego beczelnie uśmiechniętą twarz i postanowił, że on też zginie dzisiejszej nocy, ot tak, aby było śmieszniej. Wprowadził samochód na stanowisko warsztatowe, udając że czegoś szuka, posmarował trucizną w postaci bezbarwnego żelu, klamki, obicia, kierownicę oraz leżące stare księgi na dolnej kanapie limuzyny. Kiedy skończył, podszedł do dyspozytora siedzącego na końcu



ogromnej hali i oznajmił, że samochód jest gotowy do przeglądu, że właściciele zabronili zaglądać do środka oraz że osobiście odbiorą wóz ze stanowiska. Nieco zdumiony młody chłopak wszystko zanotował, po czym oznajmił, że zaraz skieruje tam mechanika. Jean powoli udał się do toalety na zapleczu warsztatu, gdzie przebrał się, po czym powoli poszedł do restauracji, gdzie zastał imama jedzącego obiad w towarzystwie ochroniarzy. Mężczyzna usiadł niedaleko i zamówił kanapkę oraz colę. Po godzinie wielki Arab odebrał telefon i wściekły poszedł po limuzynę, rozliczył się, odebrał samochód, po czym przyjechał, by zabrać kolegę oraz głównego pasażera. Wszyscy wsiedli i odjechali w kierunku centrum Paryża. Jean pognął skuterem za nimi. Na szczęście limuzyna jechała powoli i dostojnie. Nagle na jednym z licznych mostów gwałtownie skręciła i uderzyła w barierkę, po czym, taranując zabezpieczenia, wpadła do Sekwany. Ruch uliczny na chwilę zamarł. Po minucie policja była już na miejscu, a korek został rozładowany. Jean wrócił do mieszkania. Był sam, włączył telewizor. Trafił akurat na wiadomości. Wszyscy trzej pasażerowie limuzyny nie żyli. Z kamienną twarzą obejrzał informacje do końca. Wykonał zadanie. Sięgnął do karafki i napił się kilka łyków niezłego koniaku, a ogromny stres opadł z niego całkiem, powalając mężczyznę z sił. Odstawił kieliszek i zasnął na kilka kwadransów. Kiedy się obudził, jego umysł zaczął znowu sprawnie działać. Wydobył flakonik po tanich perfumach, w

którym była pozostałość po truciźnie, zawartość wylał do muszli klozetowej, starannie umył i wytarł szkło, buty i kombinezon, po czym zapakował w reklamówkę, której zawartość wylądowała w koszu. Nocą, zwykle w poniedziałek, śmieciarze opróżniali kosze. Identyfikator spalił na niewielkim balkonie. Odetchnął z ulgą. Zatarł wszelkie ślady. Czapkę i okulary wyrzucił podczas jazdy do jednego z przydrożnych koszy na śmieci. Znowu włączył telewizor, uważnie wysłuchał najnowszych wiadomości. Informacje potwierdziły się, nikt nie przeżył wypadku. To było najważniejsze. Usłyszał dźwięk telefonu. To Emma poinformowała, że wróci później z pracy. Był sam, więc zajął się rozpracowaniem treści oraz szyfru nowych templariuszy. Wcześniej, bardziej przypadkiem niż rzetelną pracą, odkrył numery limuzyny, a teraz spokojnie wziął do ręki telefon zawierający wiadomości od przyjaciela oraz broszurę o zakonie templariuszy. Po dwóch godzinach odkrył działanie szyfru. Był genialnie prosty, klasyczny, ale zawierał kilka pułapek. Bez książki nie mógł zostać odczytany w całości. Ktoś miał niezłą głowę, wymyślając coś takiego. Postanowił zawiadomić Paula, że rozpracował szyfr, zakamuflowaną wiadomość wysłał do przyjaciela. Odpowiedź przyszła błyskawicznie, również ukryta. Stary policjant znał książkę na pamięć. Bezbłędnie skarcił Jeana słowami: „Gratuluję — nie pisz do mnie niepotrzebnie, idioto”. Speszony mężczyzna zrozumiał, że popełnił błąd, poddając się emocjom. Postanowił więcej tego więcej nie

robić. Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Emma stanęła w progu.

— Jesteś, kochanie?

— Tak, witaj. Co tak późno?

— Miałam jakąś chorą kontrolę z centrali. Po co wzięłeś wolne?

— Musiałem naprawić skuter u mechanika.

— A co się stało?

— Jakiś drobiazg.

— Słyszałeś o tym wypadku?

— Tak, oglądałem wiadomości.

— Dziwna sprawa.

— Dlaczego?

— W radio podawali, że jeden z mężczyzn, który zginął, był kimś ważnym w społeczności arabskiej, jakimś przywódcą, radykałem. Może ktoś maczał w tym palce?

— Nie wiem, wypadek to wypadek, policja się tym zajmie.

— Racja, to nie nasza sprawa.

Nastrój w słabo oświetlonej kaplicy był podniosły i uroczysty. Śmierć wroga Francji zrobiła na braciach ogromne wrażenie, a sam bohater stał skromnie przy stole i przyjmował gratulacje. Wreszcie w podziemnej sali pojawił się sam wielki mistrz, bracia umilkli, popadając w zadumę. Po krótkiej modlitwie ksiądz wstał i zaczął przemowę:

— Bracia, oto nadszedł czas chwały. Teraz wiemy, że Bóg nie powołał nas przypadkowo. Oto wielki, zły człowiek

odszedł. Wiem, że zwerbował ponad stu bojowników. Kto wie, ile zła wyrządzili ci ludzie. Teraz radujmy się, dziękujmy bratu Alexandre za jego bohaterską i bezbłędną akcję. Bracia, Bóg jest wielki!

— Amen.

Wielki mistrz usiadł, upił kilka łyków wina i spojrzał na Paula, a ten natychmiast wstał i zaczął mówić:

— Sprawa jest czysta. Nikt nie znalazł śladów trucizny, kierowca dostał zawału i to wszystko, policja bada jeszcze pewne poszlaki, ale raczej niczego ciekawego nie znajda.

— A czy są zainteresowani?

— Raczej nie. Mieliśmy nawet telefon w tej sprawie z kontrwywiadu. Cała trójka była na liście osób niebezpiecznych, wszyscy są zadowoleni.

— Rozumiem.

— Z mojej strony to wszystko.

Teraz wstał brat, którego Jean nie znał. Miał rude włosy i nieco zmęczoną twarz, a jego imię brzmiało Lucas. Spojrzał spokojnie na wielkiego mistrza i zaczął przemowę:

— Oto dzień zemsty nadszedł, ale co dalej, bracia? Będziemy teraz czekać na kolejne zlecenie, które przyjdzie nie wiadomo kiedy, czy też zaczniemy wojnę totalną? Pytam was, o czcigodni.

— Co konkretnego, bracie, masz na myśli?

— Rekrutować nowych braci, tworzyć wielką organizację i przepędzić wrogów z naszej ziemi, słowem — krucjata!

— Czy wiesz, bracie, że nasi przodkowie dziewięć lat czekali w bólu i ubóstwie, nim rozpoczęli prawdziwą walkę? Cierpliwości.

— Każdego dnia Saraceni wchodzą do Europy zaproszeni przez Niemcy. To jest chore, to oznacza dla nas katastrofę, zaleją nas jak powódź.

— Dobrze prawisz, bracie Lucasie, ale jeszcze czas, nie jesteśmy gotowi.

— To wszystko, co chciałem powiedzieć.

Krewki brat Lukas usiadł cały czerwony i gniewnym wzrokiem patrzył gdzieś w dal. Wielki mistrz spojrział na niego przyjaźnie, po czym wstał i zaczął przemawiać:

— Nasz brat się niecierpliwi i ma rację, ale nie możemy na razie dokonywać rzeczy wielkich i wzniosłych, gdyż jesteśmy słabi i nieliczni. Pamiętajcie o tym. Poza tym, bracie, składałeś śluby posłuszeństwa. Będzie nowa akcja, a wówczas się wykażesz. Teraz módl się i żałuj za swą pychę i gorącą krew.

Po tych słowach brat Lukas wstał, zdjął płaszcz, skłonił się nisko wszystkim, po czym położył się na kamiennej posadzce przed figurą Jezusa i zaczął się głośno modlić w geście pokuty.

\* \* \*

Minęło kilkanaście dni od ostatniego sukcesu nowych templariuszy, gdy nagle w piątek po południu, wówczas, kiedy metro jest najbardziej zatłoczone, Paryż zadrżał w posadach; w ośmiu miejscach podziemnej kolejki wybuchły

bomby pułapki, ucierpiały setki ludzi, wielu zginęło. To była największa tragedia od czasów wojny, wszędzie słychać było charakterystyczne głosy syren karetek i policyjnych wozów francuskich. Wróg uderzył w najbardziej zatłoczone stacje przeładunkowe metra w okolicach największych dworców kolejowych. Paryż został sparaliżowany. Na ulicach pojawiły się setki żołnierzy i policjantów. Wcześniej widywano już trzyosobowe patrole, ale teraz po mieście poruszały się plutony komandosów wzmocnione wozami pancernymi. Niestety, ten pokaz siły na niewiele się zdał. Terrorysty nie chcieli walczyć z doborowymi francuskimi jednostkami komandosów. Oni mieli za zadanie siać strach i terror, co im się na razie udawało. Przerażone władze zamknęły dworce kolejowe: Montparnasse, Gar de Lyon, Saint-Lazare, Austerlitz, a także całe metro oraz koleje dojazdowe. To wywołało panikę i chaos. Tysiące ludzi ruszyło pieszo w kierunku swoich domów i mieszkań. Dopiero po kilku godzinach udało się przywrócić spokój i powstrzymać panikę. Podczas prowadzonych szczegółowych przeszukiwań miasta znaleziono jeszcze kilka potężnych bomb, które z niewiadomych przyczyn na szczęście nie eksplodowały. Sztab kryzysowy miał problem. Dotychczasowe zamachy polegały na misjach samobójczych, dzięki czemu szybko namierzano sprawców, których zabijano lub którzy sami wysadzali się w powietrze. Tym razem było inaczej. Zginęli sami cywile. Nikt nie przyznał się do zamachu, a wojskowi specjaliści wysoko

ocenili wykonane bomby. Ktokolwiek to był — znał się na rzeczy.

\* \* \*

Jean z Emmą z przerażeniem obserwowali wyliczany w telewizyjnych wiadomościach bilans strat. Na szczęście on wraz ze swoją kobietą postanowili w tym dniu wrócić do domu jego służbowym samochodem. Jean odezwał się ponuro:

— Ktokolwiek to zrobił, zasłużył na śmierć przez powieszenie.

— Kochanie, zginęło ponad dwieście dzieci! To straszne!

— Coś tutaj nie gra. Dlaczego nikt się jeszcze nie przyznał?

— A może tę informację zataił rząd, nie chcąc wywoływać zamieszek oraz zwiększać rozmiarów tragedii?

— Ponad siedmiuset zabitych i trzy tysiące rannych? To ile niby było tych bomb?

— Podawali osiem zgrupowanych ładunków i dziesiątki mniejszych rozrzuconych po mieście bomb. Były wszędzie: w koszach, w automatach z napojami i słodyczami, przy torach, w wagonikach metra, a nawet w ścianach i podłogach korytarzy.

— Pewnie Państwo Islamskie wynajęło zawodowców, bo zwykli terroryści by tego w ten sposób nie zrobili, są na to za głupi i prymitywni.

— Co teraz będzie?

— Nie wiem. Byle nie jak ostatnio, kiedy to nasz rząd uderzył dwudziestoma bombami w opuszczone bazy terrorystów i na tym koniec.

— Jesteś niesprawiedliwy.

— A gdzie nasze służby specjalne? Przygotowanie takiej akcji, kochanie, logistyka, materiały wybuchowe, to wszystko było długą i skomplikowaną operacją wojskową. Daliśmy się zaskoczyć jak dzieci.

— Masz rację, ale co dalej?

— Wojna, już tylko wojna.

— To ślepa uliczka.

— Wiem, ale nie mamy innego wyjścia, trzeba walczyć.

— Dzisiejszej nocy też jedziesz do Paula?

— Nie wiem, czekam na telefon.

— Boję się.

Spotkanie templariuszy z uwagi na panującą sytuację i blokadę miasta zostało przesunięte o czterdzieści osiem godzin. Na szczęście nikt z braci ani ich bliskich nie ucierpiał, ale i tak wszyscy mieli zacięte miny i gniew rysował się na twarzach rozmodlonych mężczyzn. Dlatego też wielki mistrz długo i starannie przygotował modlitwę. Chciał, aby choć trochę ostudził się zapał wojenny braci. Wreszcie, kiedy usiedli, on powstał i zaczął mówić cichym i spokojnym głosem:

— Bracia, Bóg nas doświadczył, setki niewinnych osób zginęło, a podstępny wróg znowu zaatakował jak szczur. Ukryty gdzieś głęboko zdetonował bomby-pułapki i zabił



naszych obywateli. Wiem, bracia, chcecie zemsty oraz daniny krwi, ale pamiętajcie, że pośpiech i wielki gniew to zły doradca, niechaj wypowie się nasz brat Antoine, który ma szerokie kontakty w policji.

Zapanował cisza, a wszyscy spojrzeli na Paula, który był wyraźnie zmęczony. Z posępną miną wstał, by przemówić. Dopiero teraz Jean usłyszał imię zakonne swojego przyjaciela:

— Przepraszam za mój wygląd, bracia, ale od trzech dni nie śpię, nie jem i ciągle nie mogę się pogodzić z tym, co się stało. Mieliśmy przecieki z wywiadu o tej akcji, skromne, ale jednak. Niestety, wróg nas zaskoczył. Spodziewaliśmy się ataku w poniedziałek i w tym też dniu miało zostać zamknięte miasto, ale terroryści musieli dostać cynk, więc zaskoczyli nas.

— Czy wiadomo, kto to za tym stoi?

— Tak, ci co zwykle. Mają swoją komórkę gdzieś w Paryżu, ale całość akcji przygotowana została w Niemczech i Belgii. Wśród tak zwanych uchodźców było kilkunastu wybitnych specjalistów od materiałów wybuchowych, dostali opiekę i papiery od rządu niemieckiego. Obawiam się, że to nie koniec naszych problemów.

— Czy nasze służby ich namierzyły?

— Mają tylko podejrzenia.

— A ty, bracie Antoine?

— Ja wiem, gdzie oni są.

— Jakim cudem?

— Mam swoich informatorów.

— Jesteś pewny bracie?

— Jak Bóg na niebie. Wiem, gdzie oni mieszkają. Jest ich siedmiu. Jednego, ich przywódcę, musimy dostać żywego.

Ostatnie słowa Paula wywołały radość i poruszenie wśród braci, nawet wielki mistrz wstał i przyniósł szczegółową mapę Paryża i okolic, uruchomił również potężny reflektor zamaskowany w stropie krypty. Jean z podziwem patrzył na wojskową, profesjonalną, wyraźną mapę miasta, jakiej jeszcze nigdy nie widział. Zaznaczono na niej każde miejsce mające choćby najmniejsze znaczenie strategiczne. Paul wziął do ręki wskaźnik i pokazał wszystkim miejsce ukrywających się terrorystów.

— To tutaj?

— Jesteś pewien?

— Tak, bracie Gotfrydzie. Jest tam dom nieco na uboczu, otoczony parkiem, strzeżony murem i wysokim żelaznym parkanem, ale to dla nas żaden problem.

— Ilu wartowników?

— Dwóch. Jeden przy bramie, drugi siedzi ukryty w domku ogrodnika. Ma tam prawdziwy arsenał, a oprócz tego jest jeszcze jeden snajper na balkonie. Ten jest najgroźniejszy. To nie wartownik, ale myśliwy.

— Co proponujesz?

— Plan akcji przygotowuje brat Hugo, który był oficerem służb specjalnych.

— Zgadzasz się, bracie?

— Tak jest.

— Kiedy będziesz gotowy?

— Za czterdzieści osiem godzin. Muszę udać się na miejsce, zbadać teren, przygotować broń i samochody. Proszę o pomocnika — brata Pierre'a.

— Co na to nasz brat Pierre?

— Zgadza się, wielki mistrzu, i proszę o błogosławieństwo.

— A zatem, do dzieła, bracia, ale pamiętajcie, bądźcie ostrożni.

— Rozkaz.

— Jutro o tej samej porze spotkanie. Obecność wszystkich obowiązkowa. Omówimy sprawy akcji. A teraz... módlmy się.

Tym razem Jean na prośbę przyjaciela zgodził się w ramach wyjątku zostać u niego w domu nieco dłużej, o czym powiadomił Emmę. U Paula zeszli do jego tajnej piwnicy. Jean popatrzył na przyjaciela z troską i rzekł:

— Kiepsko wyglądasz.

— Muszę się napić. Mamy niezły burdel z tymi zamachami. Wszyscy pilnie szukają kozła ofiarnego. Przecież ktoś za to musi odpowiedzieć.

— A ty nie boisz się?

— Skądże. Jestem kryty. Codziennie przez ostatnich pięć dni wysyłałem do wszystkich ostrzeżenia o zamachach, ale nikt mnie nie słuchał. Uważano powszechnie, że mi odbiło, no to teraz mają piekło na ziemi. Wiesz, ile było ofiar?

- Tak, słuchałem wiadomości.
- No, to zdrowie naszej organizacji.
- Zdrowie wielkiego mistrza.
- O tak, to geniusz. Dobry jest, prawda? Choć ma dopiero trzydzieści kilka lat.
- Fakt, ma mądrą głowę. O jakiej akcji wojskowej rozmawialiście dzisiaj? Nie bardzo rozumiem.
- Pojedziemy i rozwalimy drani, a jednego weźmiemy żywcem, to wszystko nam wyśpiewa.
- Jak to?
- Po prostu ich zabijemy.
- Czym?
- Mamy wszystko, począwszy od opancerzonych terenówek po najnowocześniejszą broń automatyczną i systemy łączności.
- Skąd? To kosztuje majątek.
- Jak wiesz, zakon templariuszy do biednych nie należał.
- No owszem, oni tak, a skąd my mamy środki?
- Z tego samego źródła, co nasi przodkowie.
- Dlaczego ja o tym nic nie wiem?
- Powoli. Jesteś jeszcze młodym bratem. Wszystko w swoim czasie.
- Czy i ja mam brać udział w tej akcji?
- Oczywiście, przecież potrafisz strzelać. Jutro dowiesz się reszty, a teraz już o tym nie mówmy.
- Zgoda.

— Napijmy się jeszcze po lampce koniaku. Jestem wykończony.

— Może byś się przespał?

— Mam takie plany. No, obyśmy za tydzień wszyscy byli żywi.

— Za nas.

— Dobry koniak, cholernie dobry.

— Muszę już wracać.

— Przyjechałeś skuterem?

— Tak, to najszybszy pojazd w obecnej sytuacji.

— Do zobaczenia jutro. I... nie spóźnij się!

Jean długo i wolno wracał do swojego obecnego lokum. Miasto było opustoszałe i wymarłe, setki patroli wojskowych pieszych i zmotoryzowanych krążyło po Paryżu i okolicznych miasteczkach. Zanim Jean dotarł na miejsce, był siedmiokrotnie kontrolowany, nawet skuter dwukrotnie sprawdzano. Wreszcie zmęczony zaparkował przed wielką stuletnią kamienicą. Emma nie spała. Leżała na łóżku, patrząc w biały sufit. Miała zapłakane oczy. Gdy tylko zobaczyła swojego mężczyznę, wyciągnęła w jego kierunku ręce i poprosiła żałosnym głosem:

— Chodź do mnie, Jean, i przytul mnie.

— Już dobrze, kochanie. Co się stało?

— Zginęła moja dobra przyjaciółka, razem z dziećmi. Chciała tylko pojechać do babci w odwiedziny. Dzieci miały dopiero po osiem i dziewięć lat. Dlaczego to się stało?

Dlaczego? Przecież ona nie miała niczego wspólnego z polityką, władzą, a tak kochała życie.

— Tak walczą terroryści.

— Niech nasz rząd ich zabije, wszystkich, łącznie z ich rodzinami! Precz z naszego kraju! Daliśmy im wszystko, a oni w zamian zabijają nas w okrutny sposób. Dość, powtarzam, dość tego!

— Spokojnie, skarbie, mam dobry koniak, napijesz się?

— W zamachach zginęło ośmioro naszych pracowników, trzydziestu jest rannych, jutro muszę ich odwiedzić w szpitalach. Jak ja to przeżyję, co ja im powiem?

— Tylko same dobre słowa.

— A za trzy dni osiem pogrzebów. Jak ja to przeżyję?

— Dasz radę. Teraz wszyscy musimy być silni.

— Po co nam to było? Po co? Niech zginie na zawsze głupia poprawność polityczna i tolerancja bez granic.

— Odpocznij, skarbie, a ja wezmę szybko prysznic.

Kiedy mężczyzna wrócił do sypialni, Emma już spała, uspokojona dwoma lampkami koniaku. Jean przykrył piękną, rozgniewaną kobietę i położył się obok niej. Jutro mieli oboje ciężki dzień.

Miasto powoli, nawet bardzo powoli wracało do życia. Otwarto część metra, niektóre stacje, tunele i przystanki musiały zostać wyremontowane, większość muzułmanów nie wychodziła z domu, ostrzeżona przez imamów, bano się zemsty; spłonęło kilka meczetów, a także pobito kilkudziesięciu przedstawicieli mniejszości narodowych.

Paryż był niespokojny, w powietrzu wisiała rewolucja i czuło się zapach krwi. Na szczęście tysiące żołnierzy czuwało nad tym, aby nikt nie zaczął znowu mordować w imię zemsty.

Jean wrócił z pracy. Wszędzie czuło się nastrój przygnębienia. Przed drzwiami ludzie układali kwiaty, maskotki i palili znicze w dowód pamięci o tych, którzy zginęli.

Miał kiepski nastrój. Po powrocie do domu przygotował obiad, ale niewiele zjadł. Po kilku godzinach do mieszkania dotarła Emma. Była blada i osłabiona, na oczy nałożyła przyciemniane okulary. Jean ze współczuciem patrzył na swoją kobietę, kiedy spytał:

— Jak tam dziś nastrój, kochanie?

— Kiepski. Nie mam ochoty na jedzenie. Możesz schować obiad albo wyrzucić, niczego nie przełknę, mam dość.

— A jak tam nasi współpracownicy w szpitalu?

— Dobrze. Niektórzy niedługo wyjdą. Na szczęście niczyje życie nie jest już zagrożone, a rany są niegroźne.

— To bardzo dobra wiadomość.

— Ponoć już wiedzą, że zrobili to islamscy bojownicy.

— Tak, jak przypuszczaliśmy.

— Kilku aresztowano na terenie Belgii oraz Niemiec, ale to plotki.

— Powoli znajdą wszystkich, zobaczysz.

— Oby! Wszyscy mają dość krwi, strachu i śmierci, a miasto wygląda jak w czasie wojny.

— Widziałem.

— Jestem zmęczona, idę wziąć kąpiel.

\* \* \*

Brat Gotfryd był świetnym żołnierzem i organizatorem, wzorowo przygotował plan akcji likwidacji komórki Al-Kaidy. Osobiście i drobiazgowo zbadał teren, przygotował trzy zespoły ludzi — ośmiu braci miało uczestniczyć w operacji „Templum”. Wielki mistrz miał zostać na miejscu i koordynować działania poszczególnych oddziałów. Do akcji likwidacyjnej mieli wyruszyć w kolejną, na szczęście bezksiężycową noc. Trzy opancerzone terenówki identyczne z tymi, jakie posiadały oddziały specjalne, wyposażono w najnowocześniejszy na świecie system łączności, a bracia mieli być ubrani i uzbrojeni jak komandos. Posiadali wyposażenie najlepszej jakości, składające się z kamizelek kuloodpornych, broni, specjalnych granatów, noktowizorów oraz automatów. Cały sprzęt znajdował się w zbrojowni umiejscowionej gdzieś na terenie kościoła. W podziemiach była również strzelnica, gdzie bracia trenowali obsługę broni. Wszystkie szczegóły akcji były wielokrotnie powtarzane, każdy znał swoje zadanie w najdrobniejszym detalu. Bracia mieli używać numerów zamiast swoich zakonnych imion. Każdy też posiadał przy sobie kapsułki z cyjankiem w przypadku niepowodzenia akcji skutkującego dostaniem się do niewoli lub w ręce policji. Templariusz miał obowiązek zażyć truciznę, aby nie wydać tajemnicy zakonu. Zdumiony Jean przymierzał wraz z innymi mundur,



buty, kamizelkę. Wreszcie byli gotowi. Prawie każdy z braci związany był kiedyś z armią lub policją, nikt nie dostał się do zakonu przypadkowo. Na koniec obejrzelili samochody, zapoznając się z ich wojskowym wyposażeniem.

Wreszcie odłożyli sprzęt na bok i przebrali się ponownie w swoje zakonne płaszcze, po czym zasiedli przy granitowym stole, gdzie czekał na braci skromny poczęstunek oraz kilka butelek dobrego wina. Wielki mistrz jak zwykle rozpoczął przemowę.

— Bracia, nie chcieliśmy tej wojny, ale cóż, skoro już nadeszła fala zbrodni oraz łez, musimy działać. Módlmy się, aby jutro nikt z nas nie zginął, abyśmy nie zastrzelili żadnego niewinnego człowieka.

— Amen.

— Dobry Boże, wybacz nam nasze grzechy, żadne zabijanie nie jest i nigdy nie będzie rozgrzeszone, ale w tym przypadku jest koniecznością. Spraw, aby ofiary nie były daremne.

— Amen.

— Prowadź nas, Panie, w imię twoje, niechaj prawica twa wskaże naszych wrogów, by dosięgła ich sprawiedliwość.

— Amen.

— Bracie Gotfrydzie, proszę przynieść chorągiew templariuszy i ustawić ją obok figury Chrystusa.

— Tak jest, wielki mistrzu!

— Ogłaszam stan gotowości do wojennej wyprawy templariuszy.

— Chwała Bogu Naszemu!

— Bracia, pamiętajcie, jak walczą templariusze. Nikt nie ma prawa do ucieczki przed wrogiem, a także wycofania się z walki bez pozwolenia. Należy wytrwać do ostatniej kropli krwi i umrzeć, będąc wdzięcznym za ten zaszczyt.

— Amen!

— Bracia, jutro idziemy na wojnę. Pamiętajcie o naszej regule. Jutro wszyscy mają mieć krótkie włosy, być idealnie ogolonymi, a nasze ciała mają zostać umyte i namaszczone wonnymi olejkami. Mamy wyglądać tak samo. Czy zrozumieliście?

— Tak jest!

— A zatem, bracia, przystąpmy do modlitwy.

— Amen!

— Wszyscy na podłogę i niechaj nikt się nie rusza! Módlmy się do Boga o wielkie zwycięstwo lub mężną śmierć!

— Amen!

\* \* \*

Dom, w którym ukrywali się terroryści, położony był w jednej z malowniczych miejscowości okalających Paryż i połączonych z metropolią linią kolejową wybudowaną na początku dwudziestego wieku. Miasteczko było piękne, senne i ładnie wkomponowane w liczne wzgórza. Nosило wdzięczną nazwę Chaville. Tam też w samotnym wielkim

dziewiętnastowiecznym pałacyku, w dobrej dzielnicy ukryli się twórcy zamachu na paryskie metro. Niestety, było ich znacznie więcej, niż podejrzewał Paul i służby specjalne. Ale o tym templariusze mieli się przekonać podczas wymiany ognia. W panującym jeszcze mroku cztery wielkie terenowe samochody powoli z wyłączonymi światłami zbliżały się w kierunku samotnego domu na wzgórzu. W pewnej, bezpiecznej odległości opancerzone terenówki zatrzymały się, otaczając siedzibę terrorystów. Jeden z atakujących szybko wspiął się na wysokie, samotne drzewo, po czym nadał meldunek przez radio:

— Jeden na balkonie, drugi na dachu z karabinem snajperskim, dwóch przy wejściu, jeden na obchodzie w parku.

— Coś ich dużo. Trójka, jesteś pewien?

— Potwierdzam.

Wśród templariuszy nastąpiła konsternacja. Następnie padło przypuszczenie rzucone w eter interkomu radiowego:

— Prawdopodobnie jest ich co najmniej dwunastu. Co robimy?

— Nic, postępujemy zgodnie z planem.

— Rozkaz.

— Jedyńka, likwiduj tych na dachu, piątka tego w parku, reszta wolno naprzód.

— Tak jest.

Snajper wdrapał się na sam wierzchołek drzewa, oddał tylko dwa strzały z długiego karabinu z tłumikiem, a

potężne pociski skutecznie zlikwidowały wartowników, co zostało skwitowane słowami:

— Jedyńka, dobra robota, zostaniesz na drzewie, będziesz nas osłaniał.

— Tak jest.

— Reszta powoli do przodu, czołgając się. Strzelać tylko w przypadku stuprocentowej pewności trafienia w cel.

— Rozkaz.

— Piątka, co jest?

— Kolejny załatwiony. Zostało dwóch przy bramie, jeden coś podejrzewa, idzie w naszą stronę.

— Podpuść wartownika jak najbliżej i użyj noża.

— Rozkaz.

Jean cały mokry ze strachu i napeężniały adrenaliną obserwował zdumiony małego otyłego brata Pierre'a nagle energicznie zrywającego się i rzucającego nożem w kierunku nic niepodjrzewającego napastnika, który trafiony idealnie w środek czoła bezgłośnie padł bez najmniejszego ruchu. Pierre podbiegł do terrorysty, wyjął sprawnie wojskowy bagnet z głowy zmarłego i dla pewności pociągnął ostrzem po gardle leżącego, po czym zwinnie niczym kot podczołgał się do drzwi i tam uśmiercił kolejnego wartownika.

— Piątka, jesteś naprawdę dobry. Przygotuj broń i cofnij się, walimy granaty hukowe.

— Tak jest.

— Wszyscy na stanowiska! Może być gorąco.

— Rozkaz.

— Przygotować broń. Czekać, nie ruszać się, jeszcze nie wchodzimy do obiektu. Potem strzelać bez rozkazu.

Po chwili kilka granatów hukowych uderzyło w okna pałacu, ale dla pewności Paul rozkazał wrzucić jeszcze trzy świece dymne. Napastnicy zaskoczeni wskakiwali z okien, strzelając na oślep, a tych załatwiły celne strzały snajpera.

— Uwaga, są dobrze uzbrojeni. Kilku jest nadal w pałacu. Teraz! Wchodzimy!

— Rozkaz!

— Nie dajcie się zabić. Dwójka, trójka i piątka od frontu, reszta za mną!

Jean jako drugi wpadł do pałacu. W rozległym holu było pełno dymu, jakieś ciało leżało z rozwaloną głową przy bocznym wejściu. Jego zadaniem było sprawdzenie wszystkich dolnych pomieszczeń. Wbiegł przez otwarte drzwi do salonu. Pusto. Nagle z boku pojawił się napastnik z automatem Kalasznikowa w dłoniach. Obaj wystrzelili jednocześnie, ale wróg nie miał kamizelki. Jean poczuł ogromny ból w klatce piersiowej, tracąc na chwilę oddech. Leżał na podłodze i patrzył na martwego przeciwnika. Po chwili jakieś silne ręce postawiły go na nogi, a w słuchawce usłyszał głos jednego z braci:

— Żyjesz. Biegnij na górę. Tam jest jatka. Musisz pomóc naszym.

— Tak jest.

— Szybko! Ja sprawdzę resztę. Masz granaty?

— Tak, cztery.

— Daj mi dwa. Muszę wykurzyć jednego szczura. No, a teraz na górę!

— Rozkaz.

Sytuacja na piętrze była ciężka. Kilku nieźle uzbrojonych i wyszkolonych napastników zaskoczyło templariuszy. Dwóch braci leżało rannych na podłodze. Jean ostrożnie, rozglądając się dookoła z bronią gotową do strzału, powoli wszedł po drewnianych krętych schodach na piętro. Usłyszał głos w słuchawce jednego z rannych braci:

— Nic nam nie jest. Ja oberwałem w nogi, trójka też. Jeśli masz granaty, rzuć kilka jeden po drugim w te otwarte szerokie drzwi. To załatwi sprawę.

— Dobra, ale najpierw muszę was stamtąd zabrać na dół.

— Nie mamy czasu. Zaraz będzie tutaj policja.

— Inaczej mogę was zabić.

— Wykonaj rozkaz!

Mężczyzna delikatnie ściągnął dwóch braci na schody, a po chwili we wskazane drzwi rzucił dwa granaty zaczepne. Eksplozje rozerwały cienkie ścianki, odsłaniając napastników, na co tylko czekał. Wypruł w kierunku zaskoczonych i ogłuszonych wrogów cały magazynek i natychmiast założył nowy. Na to z kolei czekali dwaj bracia, którzy wspięli się po dachu na drugie piętro pałacu. Tam cicho wykończyli trzech napastników, a teraz wbiegli do

salonu, zabili strażników i wzięli do niewoli przerażonego szefa terrorystów:

— No, mamy baranka. Teraz wszyscy biegiem do samochodów, zabrać rannych i zacierać ślady. No i... dobić dla pewności wrogów. Szybko!

— Rozkaz. Podpalić pałac?

— Tak. Przygotować specjalne świece i na mój sygnał odpalić.

— Tak jest!

Jean siedział bezpiecznie w pędzącym samochodzie z rannym terrorystą na tylnej kanapie. Po drodze minęli kilka samochodów policyjnych i strażackich jadących w przeciwnym kierunku. Nikt nie zatrzymywał terenówki na numerach zastrzeżonych dla służb specjalnych.

— Jak się czujesz?

— Nieźle. Oberwałem serią w kamizelkę.

— Wytrzymała, amerykańska, najlepsza na świecie.

— Trochę puściła, leci mi krew.

— Spokojnie, za kwadrans będziemy w kaplicy. Mamy tam szpital, a wielki mistrz jest świetnym chirurgiem. Zajmie się tobą jak własnym synem.

— A co z innymi?

— Mały Pierre ma postrzelone obie nogi, dwóch innych też oberwało, ale niegroźnie. Ja mam przestrzeloną lewą rękę, ale wyliżę się. Cóż... taka jest wojna.

— Ilu ich było?

— Nie wiem, ale chyba ze dwudziestu. Trzech chciało uciekać, ale ściągnął ich brat Gotfryd z drzewa. Kilku innych też. W sumie uratował nam życie.

— Jest dobry, to fakt.

— Najlepszy. W krytycznej sytuacji zeskoczył z drzewa, razem z innym z nas wpadł na górę, wykończył strażników, a resztę już znasz. Ty też się nieźle sprawiłeś.

— Uratowałeś mi życie. Dziękuję.

— Bzdura. Na dole było jeszcze ich paru, co mnie zatrzymało.

— Mamy przywódcę.

— Tak i jest nietknięty, więc wszystko nam wyśpiewa.

— Jak to?

— Wszystko w swoim czasie. Zaraz będziemy na miejscu.

Czarne samochody kolejno przekraczały bramę ogrodzenia strzegącego świątyni. Wysoki mur chronił templariuszy przed wzrokiem ciekawskich. Rannych braci przeniesiono do budynku stojącego obok kościoła. Była to plebania zamieniona w magazyn żywności i szpital, który mieścił się w rozległych podziemiach niepozornego, kamiennego domu. Jean zdjął kamizelkę. Na piersiach miał trzy ogromne, czarno-fioletowe siniaki, a z jednego z nich sączyła się strużka krwi. Wielki mistrz fachowo założył opatrunek, zdezynfekował ranę, kazał wypić jakiś dziwny płyn i pobłogosławił rannego brata.

— Byłeś bardzo dzielny, bracie Alexandre.

— Bóg dał mi siły.



— Amen. Przepraszam, ale mam dużo pracy. Idź do kaplicy i pomódl się, a później odpocznij.

— Jak tam trafić?

— Zaprowadzi cię jeden z braci.

— Dziękuję.

— Odpocznij. Ból będziesz odczuwał jeszcze przez co najmniej tydzień. Swojej kobiecie powiedz, że spadłeś ze skutera. Nie może znać prawdy.

— Rozumiem.

— Brat Gotfryd wskaże ci drogę.

Wielki i posępny templariusz sprawnie poprowadził Jeana wąskimi korytarzami. Ktoś musiał setki lat temu zadać sobie mnóstwo pracy, tworząc to podziemne miasteczko. Prawdopodobnie byli to prawdziwi templariusze. W kaplicy grobowej modliło się dwóch mężczyzn, klęcząc przed figurą Jezusa. Akurat jeden z nich skończył i podszedł do suto zastawionego stołu, przy którym siedział Paul, smacznie pałaszując parującą zupę mięsną.

— Pomódl się szybko bracie Alexandre, inaczej wystygnie ci obiad.

— Dobrze.

— A jest naprawdę pyszny.

Dopiero teraz Jean poczuł straszliwy głód. Dwadzieścia cztery godziny przed akcją mieli zakaz jedzenia czegokolwiek, pili tylko wodę. To na wypadek ran w okolicy jamy brzusznej i nie tylko. Teraz mężczyzna czuł potworny

głód, a panujące zapachy mogły zwalić człowieka z nóg. Był zbyt zmęczony, aby się żarliwie modlić, wyszeptał więc tylko szybko podziękowanie, po czym wstał i podszedł do granitowego stołu.

— Kto nam przyrzadził tę ucztę?

— Wielki mistrz. Jak widzisz, ma wiele talentów.

— Jak ręka?

— Kula przeszła na wylot, ale nic mi nie jest, trochę piecze.

— A pozostali?

— Spędzą kilka dni w kościelnym szpitalu, ale za dwa tygodnie będą już chodzić i wrócą do formy.

— Dobrze, że nikt nie zginął.

— Musimy się jeszcze wiele nauczyć.

— To prawda.

— Ale mamy baranka, jutro przesłuchanie.

— A jak nie zechce mówić?

— Jak zjesz, to coś ci pokażę. Masz siłę chodzić?

— Tak. Trochę boli mnie tylko klatka piersiowa przy głębszych oddechach.

— To normalne w twojej obecnej sytuacji.

W kaplicy było już sześciu braci, którzy w milczeniu się posilali. Paul dał znać ręką, by przyjaciel poszedł za nim. Podeszli do tajemnych małych i niezwykle wąskich drzwi, za którymi ukazały się ciasne schodki prowadzące bardzo ostro w dół. Korytarz oświetlały skromne ledowe żarówki, dając martwe światło. Po kilku minutach weszli do dużej

sali o łukowych sklepieniach. Na jej środku Jean dostrzegł coś jakby kamienne łoże ze skórzanymi pasami, a nad nim wisiała ogromna misa na czterech potężnych łańcuchach.

— Wiesz, co to jest?

— Nie.

— Nasza izba tortur.

— Co? Jak to?

— Nigdy nie słyszałeś o genialnej średniowiecznej metodzie kropli wody?

— Szczerze? Nie, nigdy. Jak to działa?

— Bardzo prosto. Do łoża przywiązuje się opornego jeńca. Tu, jak widzisz, układano jego głowę, unieruchamiając ją między dwoma kamieniami posiadającymi regulację boczną blokowaną żelaznymi klinami.

— Nie rozumiem.

— Po unieruchomieniu delikwenta wlewamy do wielkiej misy kilkaset litrów zimnej wody, a ta kapie w minutowych odstępach idealnie w czoło ofiary. Nikt nie wytrzyma tego eksperymentu, wariuje po dwóch godzinach i albo zaczyna mówić, albo popada w obłąd, a wtedy też wszystko powie, gwarantuję.

— To straszne.

— Ale bezbolesne i skuteczne.

— I to właśnie planujecie zrobić z jeńcem? A co potem?

— Nic, powie nam wszystko, co wie, a potem i tak go zabijemy.

— Tak po prostu?

— A co? Chcesz temu bandycie darować życie? W imię czego? Puścimy go, a on za chwilę znowu zacznie zabijać.

— Zostanie ciało.

— Wszystko jest obmyślane. Nasz znajomy ma krematorium niedaleko stąd. Za sowitą zapłatę spali ciało, a prochy będą nawozem w czyimś ogródku. Widzisz, jakie to proste?

— Przeraża mnie to.

— Przypominam ci, że jest wojna, więc nie ma miejsca na sentymenty. Wiesz, co oni by nam zrobili, gdybyśmy wpadli w ich łapy? W najlepszym razie ucięli głowy nożami i nadziali na stalowe płyty. Wierz mi, nie warto się z nimi patyczkować.

— Masz rację.

— Wracajmy na górę. Zaraz przybędzie wielki mistrz.

Jean szedł bardzo ostrożnie pod górę, nie mógł oddychać. Odczuwał boleśnie postrzał, zwłaszcza że środek przeciwbólowy przestał działać, a zanim zażyje kolejną porcję tabletek, musi wdrapać się najpierw po tych schodach.

Wielki mistrz siedział przy kamiennym stole i posilał się z bratem Gotfrydem. Na widok dwóch przybyłych spod ziemi templariuszy, uśmiechnął się szeroko:

— Siadajcie, czcigodni bracia, mam dobre wieści.

— Słuchamy, mistrzu.

— Nasi bracia czują się dobrze, niedługo wrócą do zdrowia.

— To wspaniale.

— Brat Alexandre powinien leżeć w łóżku przez kilka dni. Oto zwolnienie na ten czas z pracy.

— Dziękuję.

— Proszę też posypywać ranę tym oto proszkiem po każdym zdjęciu opatrunku.

— Tak, wiem.

— I zażywaj, bracie, co cztery godziny po dwie tabletki przeciwbólowe, które otrzymałeś ode mnie.

— Będę pamiętał.

— Twój przyjaciel odwiezie cię zaraz do domu.

— Dobrze, zdaje się, że tracę siły.

— Bóg z tobą, synu.

Wielki Paul wziął zemdłonego przyjaciela na ręce i zaniósł do samochodu, położył wygodnie na tylnej kanapie, po czym ostrożnie ruszył w kierunku Paryża. Przez kilka minut krążył po uliczkach, by sprawdzić, czy nie są przypadkiem śledzeni. Ranny Jean spał przez cały czas, gdy nagle otworzył oczy i zaniepokojony spytał:

— Gdzie jesteśmy?

— Przed kamienicą twojej Emmy.

— Zasnąłem.

— Straciłeś siły. Podaj mi kody do zamków.

— Mam w telefonie, poczekaj, zaraz znajdę... oto one.

— Pomogę ci wstać, dasz radę iść?

— Tak, lepiej się czuję.

— Tabletki zadziałały.

— A ty?

— Ja jestem cały i zdrowy. Nie dzwoń do mnie przez tydzień, żadnych prób skontaktowania się z którymkolwiek z nas.

— Tak jest.

— W swoim czasie my znajdziemy ciebie.

— Dobrze.

— A teraz przygotujemy niegroźną historię dla Emmy, ustalimy zeznania.

Kobieta miała łzy w oczach, kiedy olbrzymi policjant wniósł rannego Jeana do sypialni, krótko opowiedział zmyśloną historię i zwiął na klatkę schodową. Dziewczyna przebrała osłabionego przyjaciela, po czym zaczęli rozmawiać:

— Co się stało?

— Miałem pecha, to wszystko, nie martw się. Nawet skuter nie ucierpiał, to naprawdę nic groźnego.

— A co mnie obchodzi jakieś żelastwo. Ty jesteś najważniejszy. Powinniśmy pojechać do szpitala.

— Daj spokój, są przepełnione po ostatnim zamachu, a ja i tak wolę siedzieć tu, w twoim przytulnym mieszkaniu z tobą.

— No dobrze. Masz zwolnienie?

— Tak, na siedem dni. Będziemy mieli więcej czasu dla siebie.

— Zaniosę jutro do pracy. Powinieneś na siebie uważać, ostatnio masz dużo złych przygód.

— Przepraszam.

— Słyszałeś? Znowu była strzelanina, tym razem w Chaville.

— Nie, nic nie wiem, nie oglądałem wiadomości.

— To była jakaś akcja wojskowa, zabito osiemnastu terrorystów.

— Bardzo dobrze.

— Prawdopodobnie to oni przygotowali zamach w metrze.

— Coś jeszcze podawały media?

— Nie, chyba nie.

— Może wreszcie w mieście zapanuje spokój.

— Wątpię. Terroryci szykują zemstę.

— Skąd wiesz?

— Przeczytałam w internecie.

— Na razie nic nie zrobią.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Będą się bać.

— Akurat. Jakoś do tej pory nikogo się nie obawiali, to dlaczego mieliby właśnie teraz zacząć?

— Właśnie — do tej pory.

Jean zażył ponownie leki przeciwbólowe, tym razem podwójną dawkę i natychmiast zasnął. Kiedy się obudził, było już jasno. Spojrzał na elektroniczne cyfry budzika, dochodziła dziesiąta. Chciał wstać z łóżka, ale potworny ból

w klatce piersiowej natychmiast przypomniał mu o jego stanie i o ostrożności. Najpierw delikatnie obrócił się na łóżku na bok, następnie spuścił nogi, a za nimi ruszyła reszta ciała. W taki oto sposób wylądował na dywanie w sypialni na czworakach. Powoli, trzymając się ściany, wstał i — ciężko dysząc — doszedł, zataczając się niczym pijany do łazienki. Spojrzał w lustro. Widok swojej opuchniętej twarzy z sinymi obwódkami przeraził go. „Wojna to jednak nie przelewki” — pomyślał, delikatnie przemywając twarz. Na razie nie odważył się nawet na obejrzenie klatki piersiowej. Podtrzymując się ściany, dotarł do kuchni, tam wypił dwie szklanki soku, zjadł kawałek czekolady i powoli dotarł do salonu, gdzie z uczuciem ulgi usiadł w wielkim wygodnym fotelu i włączył telewizor. W wiadomościach niczego nie mówili o ich akcji, nie pokazywali nawet tego miejsca, tylko żółty pasek informował o śmierci osiemnastu terrorystów i zaginięciu ich przywódcy. Jean zrozumiał — organizacja ma sympatyków bardzo wysoko i potrafią wpłynąć na telewizję, policję, rząd. Kim byli dobrodziejcy i sponsorzy nowych templariuszy? Tego pewnie nigdy się nie dowie. W końcu jest tylko bratem służebnym, ma wykonywać rozkazy i nic więcej, takie było jego zadanie. Przykrył się kocem i znowu zażył kilka tabletek przeciwbólowych. Mężczyznę obudził dźwięk otwieranego zamka do drzwi. Usłyszał znajome głosy Emmy i córki Marie. Na szczęście nie było z nimi chłopaka dziewczyny.

— Tatko! Co się stało?



— Nic. Miałem małą krakę, chciałem popisać się przed kolegami, ale, niestety, jestem zbyt stary na młodzieżowe numery. Nie wyrobiłem się i zaliczyłem kamienne ogrodzenie domu Paula, tylko tyle.

— Oj tatko, tatko, ty chyba nigdy nie spowaźniejesz.

— No właśnie.

— Thomas cię pozdrawia.

— Dziękuję.

— Nawet mama pytała o ciebie.

— Taak? A co tam u niej?

— Nic. Uciekli na południe, nie chcą siedzieć w Paryżu, kiedy trwa w nim wojna.

— Rozsądne wyjście.

— Ale będzie już dobrze, prawda? Nasze służby specjalne załatwią tych bandytów.

— Pewnie tak.

— Śmierć za śmierć. Tak mówią ludzie na ulicach.

— Wszyscy pragną zemsty, a to droga donikąd.

— Dlaczego tak mówisz? Przecież to okrutni ludzie, zwykli terroryści.

— Przemoc zawsze zrodzi inną przemoc, wroga trzeba pokonać inteligentnie, precyzyjnie, zabić przywódców i zlikwidować źródła finansowania, odebrać broń i zmusić do kapitulacji.

— Tatko, mamy tylu Arabów we Francji, że to się nigdy nie uda.

— Możliwe, a ja nie powiedziałem, że szybko zwyciężymy.

Ostatnia akcja templariuszy wywołała chaos i strach w szeregach terrorystów. Nie wiedzieli, kto stał za zlikwidowaniem ich siatki Al-Kaidy. Porwanie i zniknięcie jednego z szefów i organizatorów wielu akcji terrorystycznych spowodowało u nich chęć zemsty. Najbardziej jednak niepokoiło wszystkich terrorystów dziwne milczenie mediów w tej sprawie. Zawsze napawali się radością, obserwując setki zasmuconych niewiernych, a tym razem było zupełnie inaczej. Medialna cisza.

Setki żołnierzy z naładowaną i odbezpieczoną bronią patrolowały ulice Paryża, a na skrzyżowaniach dzielnic zamieszkałych przez ludność muzułmańską, gdzie do niedawna nawet nie zapuszczała się policja, ustawiono opancerzone transportery wyposażone w działka i ciężkie karabiny maszynowe, które miały pilnować porządku. Przez kilka pierwszych dni parę stalowych bunkrów zostało zaatakowanych przez bojówki arabskie, ale wszyscy napastnicy zostali zastrzeleni, a ranni dobici. Po tych incydentach zapanował kruchy pokój.

Jean wracał do zdrowia, mógł już normalnie chodzić, siadać i wstawać z łóżka. Tylko czasami, gdy wykonał gwałtowny ruch, ból przypominał o ranie w klatce piersiowej. Za to twarz odzyskała dawny wygląd i świeżość. W piątek odwiedził mężczyznę przyjaciela, który zabrał

Jeana terenowym samochodem w kierunku kaplicy, dla bezpieczeństwa klucząc i nadkładając drogi.

— Jak samopoczucie?

— Nieźle, wracam do zdrowia.

— Bardzo dobrze. Będziesz potrzebny.

— Szykuje się kolejna akcja?

— Wszystkiego dowiesz się w kaplicy.

— Rozumiem.

— Wiesz, gdzie jesteśmy?

— Tak, to dzielnica muzułmańska.

— Spójrz na flagę wiszącą na budynku szkoły. Jest podarta i brudna. Tak właśnie hołota szanuje swoją nową Ojczyznę i odwdzięcza się za wszelkie dobro, jakie otrzymali. Daliśmy im wszystko, nawet chcieliśmy z nich zrobić Francuzów, a oni nie potrafią uszanować naszego trójkolorowego sztandaru.

— To prawda.

— I w imię czego na szkole jest napis: „równość, wolność, braterstwo”? W imię czego?!

— Nie nakręcaj się Paul, gadaniem niczego nie zmienisz.

— Prawda, masz rację, zachowuję się jak nasz słynny front narodowy, czyli jak zwykły krzykacz.

— No właśnie.

Paul zamilkł i zajął się prowadzeniem samochodu. Miał oczywiście rację. Przybysze z krajów arabskich nie chcieli integrować się z ludnością francuską, a właściwie to wręcz nienawidzili tubylców. Droga importu ludności z lat

siedemdziesiątych okazała się ślepą uliczką, błędnym eksperymentem, a wzniosłe hasła jej towarzyszące szlachetną bzdurą, za którą teraz płaciła Francja i cała równie głupia Europa zachodnia oraz północna. Rozmyślania Jeana przerwało dotarcie na miejsce, byli w ogrodach kościelnych. W tajnej, podziemnej kaplicy spotkali się wszyscy templariusze, nawet ranni w ostatniej akcji, którzy mieli teraz prawo niewstawania do modlitwy oraz przemowy. Wielki mistrz był zadowolony. Witał przy wejściu każdego brata ciepłym słowem. Wreszcie została zmówiona długa modlitwa dziękczynna, po czym bracia usiedli przy kamiennym stole, kładąc na niego swoje ozdobne miecze. Wielki mistrz zagał:

— Bracia, wojownicy Boga, osiągnęliśmy wielkie zwycięstwo. Wzięty do niewoli wróg przed śmiercią wyznał nam, gdzie znajduje się druga siatka wrogów Francji i Boga. Musi ona zostać jak najszybciej zlikwidowana. W jej skład wchodzi dziewięciu terrorystów, w tym dwóch przywódców. Wszyscy muszą zginąć.

— Prawdę mówisz, wielki mistrzu, trzeba ich zabić.

— Bracie Gotfrydzie, nie masz jeszcze prawa głosu.

— Wybacz, wielki mistrzu.

— Módl się, bracie Gotfrydzie i szanuj Regułę.

— Tak jest.

Po tych słowach zapanowała chwilowa cisza, a ogromnej postury brat Gotfryd, jeszcze większy i potężniejszy od Paula, wstał, zrzucił płaszcz, a następnie runął na kamienna

posadzkę przed figurą Jezusa, by żarliwie się modlić. Wtedy mistrz kontynuował swoją przemowę:

— A zatem, bracia templariusze, musimy przeprowadzić kolejną akcję, zanim wróg dokona zemsty za naszą likwidację ich zbrojnego ramienia. Jesteśmy osłabieni, ale duch w nas silny, a organizacja niezwykle sprawna. Jesteśmy zgranym zespołem, więc istnieje szansa na sukces. Jest jednakże pewien problem... chociaż właściwie to może być i zaleta... wszyscy wrogowie mieszkają w oddzielnych miejscach, jedni w Paryżu, inni w podparyskich miejscowościach. Ale i na to jest rada. Stworzymy trzy zespoły po dwóch ludzi, a każdy zespół będzie miał za zadanie wyeliminowanie trzech wrogów. Musimy uderzyć zniemacka w tym samym dniu i o tej samej porze, inaczej nasi wrogowie się zorientują i rozproszą lub nawet uciekną do Syrii lub Belgii. Słucham waszych rad.

Zapanowała cisza. Brat Gotfryd skończył modlitwę, założył płaszcz, ucałował wielkiego mistrza w pierścień zakonu, po czym zajął swoje miejsce przy granitowym stole i uderzył mieczem o kamień na znak, że odprawił pokutę.

— Bracia, nie mamy czasu, ruszymy do akcji nocą. Pamiętajcie! Nie bierzemy jeńców, to akcja czysto likwidacyjna. Siatka jest tylko bandą rzezimieszków, byłymi przestępcami, którzy bawią się w wojowników Allacha. Są uzbrojeni, zdesperowani i niebezpieczni, dlatego najgroźniejszych zabiję osobiście z pomocą jednego z braci. Pozostałych zlikwidują dwa zespoły naszych braci. Pierwszy

zespół tworzą brat Alexandre i Antoine. Zlikwidują dwóch terrorystów mieszkających w Saint-Germain. Zaś bracia Hugo oraz Lukas zlikwidują trzech zamieszkujących okolice ostatniego przystanku trzynastki Chatillon-Montrouge. Reszta zamieszkuje okolice Saint-Denis.

— Kiedy ruszamy?

— Mamy trzy dni na przygotowanie akcji. Dostaniecie wszystko, co jest wam potrzebne: broń, amunicję, sprzęt szpiegowski oraz pieniądze i przebrania. Pamiętajmy, że klucz do powodzenia to dobre planowanie. Nie wolno dać się zabić ani wziąć żywcem — to bardzo ważne. Kapsułki z cyjankiem każdy musi mieć przy sobie.

— Tak jest.

— A teraz, bracia, módlmy się!

— Amen!

Zapanowała cisza. Templariusze przez kwadrans modlili się żarliwie, by po dokonaniu podziału na zespoły udać się do wyznaczonych kwater innych od ich miejsc zamieszkania, gdzie mieli godzinę na zaplanowanie swoich akcji, by przedstawić je potem bratu Gotfrydowi oraz wielkiemu mistrzowi. Jean w towarzystwie Paula usiedli na skromnych drewnianych taboretach w jednej z cel. Mieli tylko lampkę i szczegółową mapę z zaznaczonymi miejscami i adresami dwóch terrorystów:

— Co o tym sądzisz?

— Nie jest źle Paul.

— Nie mów tak do mnie. Jesteśmy w celi templariuszy.

- Przepraszam, zapomniałem się.
- Dobrze, raz możesz się pomylić, ale do rzeczy.
- Pierwszy z nich mieszka przy jednej z głównych ulic, niedaleko zamku, to apartamentowiec zbudowany na terenie zlikwidowanego pałacyku.
- Znasz te tereny?
- Tak, stamtąd pochodzi moja była żona.
- Bóg nam sprzyja.
- Do budynku prowadzi stara brama.
- Rozpracuję kod w minutę, o ile działa. Później mamy drzwi głównego budynku.
- Tam też jest zamek szyfrowy i zwykły.
- Biorę to na siebie. Mam zestaw wytrychów.
- Jak to? Skąd?
- Instaluję i konserwuję takie zamki, muszę się na tym znać.
- No tak.
- Dalej klatką schodową na pierwsze piętro. Mamy na sobie kombinezony pogotowia gazowego, pukamy, wchodzimy, a reszta to twoje zadanie.
- Dobry plan. A co z drugim bandytą?
- Nieco gorzej, ale nic trudnego. Mieszka dwa kilometry dalej, o tutaj, w tych blokach, na szóstym piętrze. Zaskoczmy chłopaka o trzeciej w nocy, niczego nie będzie podejrzewał.
- Masz głowę nie od parady. No, dobrze, to chodźmy do sztabu.

Plan okazał się całkiem dobry. Wielki mistrz zorganizował furgonetkę z oznaczeniami pogotowia gazowego, załatwił również kombinezony oraz identyfikatory. Broń, amunicję, noże i paralizatory, a także specjalne kamizelki kuloodporne bracia odebrali kilka godzin przed akcją.

Minęła północ, kiedy Jean z Paulem mknęli ulicami Paryża w kierunku Saint-Germain furgonetką marki Renault:

- Potrzebujesz namiary do GPS?
- Nie. Znam drogę na pamięć.
- Masz broń?
- Naturalnie. Nawet zabrałem dwa granaty.
- Nie żartujesz, jak widzę.
- Jedziemy na bitwę, więc wszystko się może przydać.

Wjechali do miasteczka, gdzie przy głównej ulicy opadającej ze wzgórza zamkowego osadzonej drzewami, znajdowały się białe budynki uformowane w prostokąty. W jednym z nich mieszkał terrorysta. Do jego budynku prowadziła stara żelazna brama. Jean podszedł do niej i ze zdumieniem odkrył, że zamek szyfrowy nie działa, a furtkę otwierało się przez zwykłe naciśnięcie klamki. Mężczyźni weszli na spory dziedziniec, minęli jakiś zaparkowany samochód i podeszli do oszklonych drzwi.

Jean w ciągu kilku sekund otworzył tradycyjny zamek, a szyfrowy ustąpił po podaniu hasła.

- Dobry jesteś.



— Lata praktyki. To dziecinnie proste.  
— Teraz którą?  
— Na prawo i jeszcze raz na prawo, tam jest wąska klatka schodowa.

— Zgadza się.  
— Ciszej, jeszcze kogoś obudzisz.  
— Który to numer?  
— Dwa... korytarzem prosto.  
— Pukamy?  
— Nie, ja otworzę cicho drzwi.

Obaj mieli założone czarne rękawiczki z podgumowaną, gładką powierzchnią. Tego typu rękawice nie zostawiały odcisków. W mieszkaniu było ciemno, napastnik zasunął szczelnie rolety. Paul włączył światło, zaskakując terrorystę leżącego w łóżku wraz z kobietą. Tego templariusze nie przewidzieli. Nieco zaskoczony obecnością kobiety Jean chciał wydobyć pistolet, ale zanim to zrobił, stary policjant zastrzelił oboje, trafiając w głowy ofiar, które nawet nie zdążyły wypowiedzieć słowa. Jean mruknął z uznaniem:

— Dobry jesteś.  
— Wynosimy się stąd. Mamy mało czasu. Zamknij mieszkanie na klucz.  
— Zabieramy ich telefony?  
— W żadnym razie. Nie wolno nam niczego ruszać.

Mężczyźni sprawnie zbiegli na dół, a następnie wsiedli do samochodu i ruszyli w dół po stromym zboczcu.

— Niedobrze mi, Paul.

— Przywykniesz. Masz tu piersiówkę, pociągnij sobie spory łyk, to ci zaraz przejdzie.

— Co to jest?

— Dobra polska wódka.

— Pomaga?

— Tak, zawsze i w każdej sytuacji.

— Mocna i piekąca.

— Jeszcze jeden łyk.

— Już mi lepiej.

— Dokąd teraz?

— Musimy zatoczyć koło i zawrócić. To tamten blok na dole, zaraz za tą małą piekarnią.

— Uhm... już widzę.

— Tym razem pojedziemy windą.

Samochód pogotowia gazowego nie wzbudził niczyjego zainteresowania tym bardziej, że była paskudna deszczowa noc, a mężczyźni w okularach, z brodami, wąsami i czapkami z daszkami byli trudni do rozpoznania. Pojechali windą na szóste piętro. Terrorysta wynajmował boczną, małą kawalerkę. Jean wyraził wątpliwość:

— Mam nadzieję, że nie ma żony i dzieci?

— Sprawdziłem, powinien być sam.

— Oby. Uwaga, otwieram drzwi.

— Czekaj, coś słyszałem.

Kiedy weszli do pokoju, Jean zapalił światło. Naprzeciwko nich stał mężczyzna w samych bokserkach i mierzył do nich z ulubionego przez wszystkich arabów AK-

47. Cały się trząsał i przeklinał. Jean ze stoickim spokojem natychmiast zareagował, mówiąc:

— Proszę się nie niepokoić. Otrzymaliśmy zgłoszenie, że u pana przecieka gaz.

— Niczego nie zgłaszałem.

— Niech pan nie strzela, jesteśmy tylko pracownikami gazowni.

— Nikt do mnie nie dzwonił w tej sprawie.

— Mieliśmy polecenie zbadać wszystkie mieszkania w tym bloku.

— Bzdura. Szykujcie się na śmierć!

W tym momencie w gardło napastnika wbił się nóż, a następnie w czoło trafił pocisk z pistoletu. Paul chwycił upadającego kałasznikowa i zabezpieczył broń, po czym odłożył automat na łóżko.

— No, zjeżdżamy stąd. Szybko zgaś światło i zamknij drzwi na klucz.

— Dużo krwi.

— Co zrobić? Czasami tak bywa. Jedziemy szybko do kaplicy, ale nie na skróty.

— Rozumiem.

— No, zadanie wykonane. Ciekawe, jak tam inne zespoły.

— Czekał na nas, czy co?

— Miał lekki sen, usłyszał dźwięk otwieranego zamka, więc — jak każdy porządny bandyta — spał z bronią pod poduszką.

— Widział nas.

- I co z tego? Nikomu nie powie, gwarantuję.
- Jak ty to zrobiłeś?
- Nóż w rękawie. Zawsze mam tę zabawkę, przydaje się.
- Nigdy nie chybiasz?
- Nie, w Legii dobrze mnie wyuczyli.
- Uratowałeś nam życie.
- Drobiazg. Przyspiesz, mamy mało czasu.
- Tak jest.

W kaplicy na braci czekał zniecierpliwiony wielki mistrz. Z radością powitał całych i zdrowych braci tym bardziej, że bezbłędnie wykonali powierzone zadanie. Przywódca rozkazał templariuszom ukryć furgonetkę w podziemnym garażu, przebrać się i zdjąć charakterystyczny. Kiedy usiedli w wielkiej sali, zjedli skromny posiłek i popili lampką wina oraz wody. Wtedy usłyszeli dźwięk otwieranych drzwi. Stał w nich brat Gotfryd, który od razu poprosił:

- Chodźcie bracia, potrzebuję waszej pomocy, mój towarzysz oberwał.
- Już idziemy.
- Jak to się stało?
- Wybuchła strzelanina. W mieszkaniu zamiast jednego było czterech terrorystów. Nie wiem nawet, kiedy przyszli. Rzuciłem granat jeden za drugim, brat się wychylił i niepotrzebnie oberwał kilkoma odłamkami. Niby nic groźnego, ale trzeba operować.

— Zanieście rannego do szpitala i połóżcie w sali operacyjnej, zaraz się nim zajmę.

— A co u was?

— W porządku, ale sprzątnęliśmy też kobietę jednego z nich.

— Zdarza się.

— Drugi czekał na nas z bronią, ale oberwał nożem w gardło.

— To było dobre.

Na szczęście rany odniesione przez templariusza okazały się niegroźne. Hełm, który przezornie włożył na głowę, uratował mu życie. Po godzinie siedział już wraz z innymi przy granitowym stole i pił wodę. Nadal jednak nie wracał trzeci zespół. Po godzinie wreszcie pojawił się, wszyscy byli zadowoleni i cali. Mistrz z niepokojem zagrzemiał na nich, gdy tylko ich zobaczył:

— Dlaczego tak długo?

— Nawalił nam samochód. Głupia sprawa, złapaliśmy gumę.

— Jak tam wasza akcja?

— Wykonana bezbłędnie. Ponieważ mieszkali w domu jednorodzinny, wrzuciliśmy świece dymne przez uchylone okna, a kiedy wybiegli, po prostu ich pozabijaliśmy.

— Wszystkich?

— Tak. Przeszukaliśmy cały dom wraz ze strychem i piwnicami. Jestem pewien, że nikt nie przeżył.

— Dobrze. No, to mamy drugie zwycięstwo. Módlmy się, bracia. Bóg nam sprzyja.

— Amen.

— Na razie rozejdźcie się do domów i odpoczywajcie. Robimy przerwę w akcjach zbrojnych, żeby uspokoić miasto. Na pewno spora część bandytów i wrogów Francji nie żyje. Pozostali przy życiu powinni się teraz bać i pilnować przed kolejnymi nieprzemyślanymi krokami. Dziękuję wam za walkę i poświęcenie.

— Niech żyje Francja!

— Niech żyje.

— Spotkamy się za tydzień o zwykłej porze.

Jean z Paulem wsiedli do samochodu i powoli ruszyli w kierunku dzielnicy XVI. Stary policjant obserwował w milczeniu drogę, aż wreszcie zaczął mówić cichym głosem:

— Pierwszy raz zabiłem kobietę.

— To dobrze, bo ona na pewno rąbnęłaby do ciebie bez zastanowienia, gdyby miała pod ręką broń. Właściwie, to nie wiesz na pewno, czy tak przypadkiem nie było, prawda? Byli równie mocno zaskoczeni nami, jak my jej obecnością.

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewien.

— Coś w tym jest. Jakoś to przeżyję. A jak tam twoje życie prywatne?

— Nie narzekam. Tylko przez nasz zakon zostało ostatnio nieco zaniedbane.

— Każda wojna kiedyś się kończy.

— Owszem, tylko że ta — wydaje mi się — będzie bardzo długa.

— Przesadzasz.

Przyjaciele przestali rozmawiać, podjechali pod bramę kamienicy. Paul zatrzymał auto na żółtej linii dla taksówek. Mężczyźni pożegnali się uściskiem dłoni i każdy z nich odszedł w swoją stronę.

Jean nie wyzdrowiał jeszcze do końca po otrzymaniu postrzału w kamizelkę kuloodporną. Jedyna rzecz, o jakiej teraz marzył, to ciepła kąpiel i spokój, dużo spokoju. W domu zastał Emmę, która przywitała go ciepło:

— Jesteś już, kochanie.

— Tak, nareszcie w domu.

— Zaczyna mnie martwić to twoje znikanie.

— Mężczyzna w średnim wieku potrzebuje trochę spokoju i wolności.

— Rozumiem to, ale niepokoi mnie ilość czasu, jaki spędzasz poza domem. Tak się po prostu nie robi.

— Przepraszam. Obiecuję poprawę.

— Mam nadzieję, bo inaczej wrócisz do swojego szczurowiska.

— To niemożliwe, podpisałem umowę na rok.

— Nie interesuje mnie to. Wyrzucę cię i tyle.

— W takim razie będę już grzeczny.

Jean uspokoił nieco swoje nerwy. Piątkowe spotkanie templariuszy zostało odwołane. Wielki mistrz pragnął, aby zmęczeni i ranni bracia porządnie wypoczęli po ostatnich

akcjach. Poza tym Paul nakazywał ciszę i spokój, żeby nie nadużywać cierpliwości wysoko postawionych przyjaciół zakonu. Terrorysty wpadli w panikę, ponieśli wielkie straty. Mówiło się nawet o czasowej likwidacji paryskiej komórki, która miała się przenieść w bezpieczniejsze miejsce położone w Belgii lub Szwecji. W każdym razie przez trzy tygodnie nie działo się kompletnie nic, nawet ilość wojska w Paryżu została poważnie zredukowana. Była to jednak tylko cisza przed burzą.

Pewnej soboty Jeana zerwał z łóżka dźwięk telefonu. Usłyszał w słuchawce tylko kilka dziwnych słów wypowiedzianych przez Paula. To był alarm. Zerwał się na równe nogi, pobiegł do łazienki, szybko włożył sportowe ubranie, chwycił kask i pobiegł do windy. Po chwili był na dole kamienicy, niestety na niewielkim skwerku odbywał się właśnie targ spożywczy. Zdenerwowany włączył automatyczny rozruch skutera, włożył skórzaną kurtkę, zapiął kask i ruszył jak wariat w kierunku kaplicy, nie zważając na uciekających spod kół jego pojazdu ludzi. Wreszcie po kwadransie szaleńczej jazdy dotarł na miejsce. Specjalnym pilotem otworzył wielką, stalową przesuwaną bramę, ukrył skuter w jednym z tajnych garaży, po czym pobiegł wąskim korytarzem do podziemnej kaplicy. Przed drzwiami zatrzymał się na chwilę, aby wyrównać oddech, aż wreszcie wszedł, zabrał z wielkiego wieszaka swój płaszcz oraz miecz, oddał hołd figurze Chrystusa, ucałował pierścień wielkiego mistrza i usiadł na swoim miejscu. Po



chwili jego oczy przyzwyczyły się do smutnego mroku, gdyż nikt nie włączył oświetlenia elektrycznego. Tylko światło bijące z kilku grubych świec przebijało się przez mroki kaplicy. Nagle Jean dostrzegł, że miejsce zwykle zajmowane przez sympatycznego grubaska Pierre'a jest puste. Sądził, że się spóźni, ale jego domysły rozjaśniły słowa przywódcy, który stał prosto z niezwykle bladą twarzą:

— Witam was, bracia. Przepraszam za ten nagły alarm. Wiem, że wielu z was odpoczywało właśnie po ciężkim tygodniu pracy, ale stała się rzecz straszna. Pomódlmy się w ciszy i skupieniu.

Zapanowała nienaturalna cisza, żaden brat nie patrzył w stronę wielkiego mistrza, który podszedł do miejsca zajmowanego przez brata Pierre'a, wziął jego miecz i uderzył nim mocno o stół, aż pękło ostrze. Wszyscy natychmiast zrozumieli, że ich brat został zabity.

— Nocą nasz brat Pierre, którego wszyscy kochaliśmy za jego poczucie humoru i wielkie serce, został podstępnie zamordowany, a jego ciało okryło się hańbą. Synowie szatana odcięli głowę i nabili ją na ogrodzenie domu, w którym mieszkał. Stało się coś złego. To zdrada! Bracie Gotfrydzie, byliście przyjaciółmi, co mogło się stać?

— Nie wiem, wielki mistrzu, ale mam pewną teorię.

— Mów śmiało.

— Nasz brat się zakochał... Tak, naprawdę... jak nastolatek.

— Kim jest ta kobieta?

— Piękną istotą, pochodzi z Maroka.

— Co jeszcze wiesz?

— Odradzałem naszemu bratu tę miłość, ale był dobrodusznym i naiwnym człowiekiem. To, za co kochaliśmy naszego brata, zgubiło go. Miał też bardzo słabą głowę. Po kilku kieliszkach wina gadał dużo i od rzeczy.

— Kogo podejrzewasz?

— Sprawdzaliśmy tę dziewczynę z bratem Antoinem. Jej rodzina figurowała w tajnych aktach wywiadu, mogli być związani z Al-Kaidą w naszym mieście.

— Czy wiesz, gdzie teraz jest ta kobieta?

— Tak, wielki mistrzu, pracuje w sklepie w dzielnicy arabskiej.

— Pojedziesz tam z jednym z braci, teraz, natychmiast! I przywieziesz tę kobietę tutaj, do izby tortur. Tam ją przesłuchamy, wszystko nam opowie.

— Tak jest!

— Zróbcie to dyskretnie i sprawnie.

— Możesz być spokojny, wielki mistrzu.

— Czekamy tutaj na was. Gdy będziecie gotowi, dajcie znać.

Bracia Gotfryd i Hugo wybiegli z kaplicy, zostawiając płaszcze. Obaj dobrze znali zabitego Pierre'a, a teraz przez ich głowy przewijało się tylko jedno słowo: zemsta!

— Taka śmierć jest hańbą dla templariusza, a to, jak wróg postąpił z ciałem naszego brata, jest potwarzą dla naszego zakonu. Dlatego też ta krew musi być pomszczona.

— Tak jest, wielki mistrzu!

— Chciałem... modliłem się za nas wszystkich... abyśmy ponieśli śmierć męczeńską na polu chwały, za Boga i wiarę. A tymczasem nocą podstępnie zarżnięto naszego brata jak świnię. Zapłacą nam za to, zabijemy wszystkich, którzy za to odpowiadają, nie oszczędzimy nikogo — ani kobiet, ani dzieci.

— Jak rzekłeś, wielki mistrzu.

— Módlmy się, bracia.

Zapanowała grobowa cisza i tylko trzask płomienia na knocie zapalonej świecy przerywał upiorny spektakl, który trwał ponad godzinę. Nikt nie drgnął, nie wypowiedział żadnego słowa. Dopiero wejście do kaplicy brata Hugo wyrwało wielkiego mistrza z modlitewnego odrętwienia.

— A więc stało się, wszyscy idziemy na dół do izby tortur. Naprzód, bracia, i zabierzcie miecze.

— Tak jest!

— Musimy poznać prawdę.

Potężny brat Gotfryd ogłuszył drobną kobietę i w worku wyniósł z pustego sklepu, zapakował do dostawczego renaulta, by błyskawicznie znaleźć się ze zdobyczą w siedzibie zakonu. Kobieta została wniesiona do izby tortur i przywiązana do kamienia śmierci. Nieprzytomna leżała w ciemnościach, kiedy brat Hugo wylał na jej twarz wiadro

wody. Powoli odzyskiwała przytomność. Po chwili ujrzała stojących nad nią braci w białych płaszczach z założonymi kapturami i mieczami w dłoniach. Krzyknęła niczym ranne zwierzę i przerażona patrzyła na upiorne postacie.

— Gdzie ja jestem?

— Zabiłaś jednego z nas. Nie minie cię kara!

— Kim jesteście?

— Braćmi zakonnymi naszego przyjaciela, któremu ucięłaś głowę i sprofanowałaś ciało.

— To nie ja. Puśćcie mnie, błagam, ja go nie zabiłam, kochałam tego człowieka, był dla mnie dobry.

— Kto to zrobił?

— Moi kuzyni! Wszystko powiem!

— Dobrze, bracia Hugo i Gotfryd porozmawiają sobie z tobą, a później spotkasz się z szatanem.

Kobieta chciała krzyczeć, ale brat Hugo zakleił jej usta taśmą, natomiast drugi z braci napełniał misę wodą. Pozostali wraz z wielkim mistrzem udali się do kaplicy, by czekać na wyniki śledztwa. Tam w ciszy i skupieniu siedzieli lub modlili się, stojąc przy wielkim stole. Wreszcie pojawił brat Gotfryd, skłonił się nisko wszystkim uczestnikom nabożnego milczenia i zaczął mówić:

— Wielki mistrzu, oto, co wiem.

— Mów, jak zginął nasz brat?

— Owej feralnej nocy brat Pierre... niechaj Bóg mu wybaczy...! Upił się i pochwalił przynależnością do naszego zakonu. Na szczęście tak bełkotał, że jedno, co zrozumiała

ta nierządnicą, to fakt, że brał udział w zamordowaniu paru arabskich terrorystów. Natychmiast zadzwoniła do kuzynów, których jest czterech, przyjechali i zarżnęli naszego brata jak świnie, dosłownie... tak też potraktowali jego ciało.

Zapanowała cisza, wielki mistrz padł na twarz, a bracia zrobili to samo. Leżeli tak kilka minut, aż przełożony zakonu dał znać, że można już wstać.

— Opowiadaj dalej.

— Wielki mistrzu, mamy ich adresy oraz imiona i nazwiska. Wszyscy mieszkają w Paryżu, w jednym miejscu. Jesteśmy gotowi na zemstę.

— Dobrze się spisałeś, bracie Gotfrydzie. A co z nierządnicą?

— Nie żyje. Niczego więcej nam nie powiedziała. Brat Hugo zawiózł jej ciało do krematorium, wróci za godzinę.

— Stało się. Uważajcie bracia, z kim dzielicie łożę, szatan czai się wszędzie.

— Co robimy, wielki mistrzu?

— Modlimy się za brata Pierre'a. Niestety, nie możemy uczestniczyć w jego pogrzebie, gdyż nie możemy narażać zakonu. Czy miał krewnych?

— Nie, był samotny.

— A czy znajdzie się ktoś, kto go pochowa?

— Tak, sąsiedzi. Już pokryłem wszelkie koszty.

— Zostaną ci zwrócone z naszej kasy. Dobrze się spisałeś, bracie Gotfrydzie. Ty przyprowadziłeś do zakonu

naszego zmarłego brata. Znasz zasady. Musisz w ciągu siedmiu dni dostarczyć nowego, godnego zaufania męża. Czy znasz kogoś takiego?

— Tak, wielki mistrzu, wykonam i to zadanie.

— Musi nas być minimum dziewięciu. Tak stanowi Reguła.

— Za tydzień przybędzie do nas nowy brat.

— Mam taką nadzieję. Tymczasem musimy zaplanować akcję nocną. Nie zasnę, póki moje serce nie napełni się zemstą.

— Wiemy o nich wszystko, panie.

— A zatem, planujmy akcję.

— Tak jest!

Jean z przerażeniem patrzył na twarze braci. Byli jak maszyny do zabijania. Bez zbędnych emocji zaplanowali szczegółowo i metodycznie plan zabicia morderców brata Pierre'a.

Jean otrzymał funkcję kierowcy jednego z dwóch samochodów mających uczestniczyć w akcji. Dwa zespoły podjechały nocą do niewielkiego dwupiętrowego budynku w nieciekawej dzielnicy Paryża. Bracia weszli po linach na dach. Jean z podziwem obserwował wspinających się po pionowych ścianach mężczyzn niczym komandosi. Nie wyłączał silnika samochodu, podobnie jak drugi kierowca. Zgasił tylko światła.

Nagle ktoś kopniakiem wyważył od środka główne drzwi budynku. Był to wielki Gotfryd. Spokojnie wyszedł przed

kamieniczkę i z jutowego worka wyciągnął cztery głowy, które po kolei nabijał na żelazne pręty stuletniego ogrodzenia. Po chwili samochody pełne mężczyzn z piskiem odjechały w nieznanym kierunku. Akcja trwała niespełna kwadrans, nikt nie został nawet draśnięty. Dziewczyna przed śmiercią opisała szczegółowo rozkład mieszkania, sądząc, że ocali życie. Wielki mistrz z radością przyjął wieść o śmierci oprawców Pierre'a. Zaprosił braci na skromną ucztę w kaplicy. Jego twarz odzyskała dawny wygląd. Nie pochwalił wprawdzie nadziania głów na parkan, ale miało to być ostrzeżenie — templariuszy nie wolno zabijać!

Jean zjadł niewiele, był zmęczony i zestresowany nocną jazdą w towarzystwie ponurego i straszego Gotfryda, który traktował jego obecność jak zepsute powietrze. Z ulgą pożegnał braci oraz wielkiego mistrza i odjechał do domu. Dotarł tam o czwartej rano. Emma smacznie spała w wielkim łożu. Postanowił wziąć gorący prysznic. Po pierwszych entuzjastycznych chwilach spędzonych w zakonie zaczynał mieć wątpliwości. Bo kimże oni byli? Fanatycznymi mordercami, niczym więcej. Dzisiaj jego zakonni bracia wymordowali cztery osoby wraz z rodzinami — kobietami i dziećmi. Zastrzelili nawet jakąś staruszkę. To było zwykłe morderstwo, żadna walka. A może tak wygląda wojna? Nie mógł się wycofać. Wiedział, że zostanie szybko namierzony i zabity, a wcześniej torturowany, po czym spopielony w krematorium. Mężczyzna był zmęczony,

potrzebował odpoczynku. Chciał, by spokój w Paryżu trwał jak najdłużej.

Po długiej kąpieli wrócił do sypialni w nieco lepszym nastroju. Spał do dwunastej następnego dnia, a kiedy otworzył oczy, dostrzegł nad sobą uśmiechniętą twarz swojej kobiety.

— Co ci się śniło, mój mężczyzno?

— Nie rozumiem.

— Pół nocy krzyczałeś jakieś dziwne słowa.

— Przepraszam, niczego nie pamiętam.

— Spójrz na koszulkę, jesteś cały przepocony.

— Oglądałem wczoraj z Paulem trudny film, ciężki scenariusz.

— Ta przyjaźń się kiedyś dla ciebie źle skończy.

Jean nic nie odpowiedział. Spojrzał w wielkie, czarne oczy Emmy i pocałował dziewczynę w usta.

— Nie chcę o tym rozmawiać. Ty jesteś najważniejsza.

— To miło.

— Jest może jakiś obiadek?

— A byłeś grzeczny?

— Nawet bardzo.

— To może się znajdzie. A wiesz... o pierwszej przyjdzie Marie z Thomasem.

— Jeszcze nie zostawiła tego fircyka?

— Jak zwykle jesteś zazdrosny o córkę, a to naprawdę miły chłopak.

— Coś mi się w nim nie podoba.



— Nie przesadzaj. Jest z dobrej rodziny, ma dobrą pracę, kocha Marie i dba o nią.

— Możliwe, że masz rację.

— Nawet cię rozumiem. Marie to wyjątkowo piękna kobieta.

— Odziedziczyła urodę po mojej mamie.

— Poważnie?

— Tak. Wygląda prawie tak samo.

— Słyszałeś najnowsze wiadomości ze świata?

— Nie, nic nie wiem.

— W Niemczech znowu uchodźcy zgwałcili i utopili kilka kobiet. Mają być dzisiaj demonstracje w Kolonii. Straszne rzeczy.

— Dziwny naród ci Niemcy. Od stu lat z uporem maniaka chcą zniszczyć Europę. Najpierw rozpętali dwie wojny, teraz wpuścili sobie milion dzikusów, którzy prędzej czy później wyciągną noże i zaczną tworzyć Niemiecką Republikę Islamską. Zobaczysz, kochanie, że tak będzie.

— Tak uważasz?

— Oczywiście. Zresztą... chciałbym się mylić, rzecz jasna.

— U nas też jest ciężko. Stanowią prawie osiem procent populacji.

— Ale więcej już nie wpuścimy. I za to chwałę nasz rząd.

— Nie chcę już o tym mówić. Zbliżają się wakacje. Może gdzieś pojechalibyśmy we czwórkę? Najlepiej nad morze, tam, gdzie jest ciepło... uwielbiam słońce.

— Dobry pomysł. Idę się wykąpać i przebrać. Powoli dochodzi pierwsza...

— Pospiesz się.

— Dobrze, kochanie.

Perspektywa opuszczenia stolicy poprawiła humor Jeanowi. Marzył o tym, aby gdzieś uciec i przez miesiąc nie oglądać ponurej kaplicy pełnej morderców w białych płaszczach. Zadowolony ogolił się, wziął szybki prysznic, po czym ubrał dobrej jakości garnitur i włożył nowe okulary. Spojrzał w lustro. Nie wyglądał źle w krótkich włosach. Od zawsze nosił czarne loczki. Teraz był podobny do swojego zmarłego ojca, czyli wyglądał twardo i męsko. Nagle usłyszał wesoły głos córki:

— A gdzie tatko?

— Pudruje sobie nosek... zaraz przyjdzie.

— Co tak ładnie pachnie?

— Warzywa z pieczoną wołowiną.

— Jesteś niezrównaną kucharką, Emmo.

— Przesadzasz.

— Ostatnio jadłem tu u ciebie pyszny deser.

— Thomas, nie podlizuj się. I tak nie dostaniesz dzisiaj dokładki.

Jean wyszedł z łazienki, przywitał się z córką, która jak zwykle wyglądała ślicznie, podał rękę Thomasowi ubranemu w porządny i drogi garnitur. Wszyscy usiedli przy okrągłym stole, zmówili modlitwę, po czym rozkoszowali się

pysznościami, popijając dobre wino na przemian z wodą. Nagle Thomas zaczął mówić coś, co zaniepokoiło Jeana:

— W nocy znowu ktoś zakatrupił kilkanaście osób w dzielnicy arabskiej. To ponoć porachunki mafii muzułmańskiej, choć coś mi tutaj nie pasuje. Ostatnio zginął dyrektor banku, a jego głowę też ktoś nadział na ogrodzenie. Według mnie to zemsta.

— Jak to? Nie rozumiem.

— Tak, proszę pani, mamy w mieście wojnę chrześcijańsko-muzułmańską.

— A kto za tym stoi? Front Narodowy?

— Nie, oni tylko krzyczą. Moim zdaniem powstała jakaś tajna organizacja paramilitarna. Goście są dobrzy, potrafią zabijać.

— Skąd takie przypuszczenia?

— Prawie nic nie mówią o tym w telewizji, taka dziwna blokada informacji, a przecież policja chciałaby się pochwalić likwidacją terrorystów, więc sprawa jest podejrzana.

— Fakt. Niewiele o tym słyszałem.

— Ostatnio ktoś po prostu likwiduje terrorystów na własną rękę i chwala mu za to, bo jest bezpieczniej w Paryżu, naprawdę.

— Tak sądzisz?

— Nie tylko ja. Rozmawiałem ostatnio ze znajomymi. Ktoś ewidentnie robi porządek we Francji, a zaczął od Paryża. Dziwne to wszystko. Jakby wyręcza państwo. Sam

nie wiem... Faktem jest, że działa skutecznie i bezwzględnie.

— Pochwalasz coś takiego? To znaczy taką organizację?

— Oczywiście, jestem patriotą, a pan?

— Mam podobne zdanie.

Nagle rozmowę przerwał dźwięk domofonu. Marie siedziała najbliżej drzwi, więc pobiegła do nich, a po chwili wróciła zdumiona, mówiąc:

— Tato, jakaś pani czeka na ciebie w bramie.

— Niemożliwe.

— Idź, mówi, że to bardzo ważne.

— To jakaś pomyłka. Na nikogo nie czekam i nie znam żadnej jakiejś tam pani.

— Wyjaśnij to przynajmniej.

Jean z niechęcią skierował się do drzwi. Na szczęście winda stała akurat na ich piętrze, więc bez zwłoki wszedł do kabiny i wcisnął zero. Po chwili był już na parterze, odepchnął żelazną kratę i wszedł do wyłożonej dywanem bramy, gdzie zastał stojącą obok drzwi atrakcyjną kobietę. Przez chwilę obserwował dziewczynę. Ta zachowywała się podobnie, zerkając na telefon. Wreszcie uśmiechnęła się i spojrzała zalotnie na Jeana:

— Brat Alexandre?

— Nie wiem, o co chodzi? To jakaś pomyłka.

— Jestem templariuszem, jak i ty, bracie.

— To niemożliwe.

— Przyniosłam twój żołd. Dzisiaj mijają trzy miesiące twojego pobytu w zakonie. Przysłała mnie wielki mistrz.

— Nic o tym nie wiem.

— Tak mówi Reguła. To są pieniądze z wyliczeniem. Po przeliczeniu gotówki masz zniszczyć zaszyfowaną wiadomość, bracie. To wszystko. Niechaj Bóg cię prowadzi.

Dziewczyna wręczyła zaskoczonemu mężczyźnie papierową białą torebkę z czerwonym krzyżem na niej oraz pieczęcią wielkiego mistrza, wybiegła na zewnątrz, gdzie szybko wsiadła do czarnej terenówki z przyciemnionymi szybami i błyskawicznie odjechała. Zdumiony Jean stał przez chwilę w bramie, wreszcie schował przesyłkę do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym wrócił na obiad, gdzie posypały się do niego pytania:

— Kto to był?

— Faktycznie kobieta, nawet atrakcyjna, ale pomyliła mnie z kimś innym. Sądzę, że chodziło jej o naszego sąsiada.

— Szkoda, że przerwano ci obiad, tatko, bo akurat planujemy wakacje.

— Ooo, beze mnie?

— No coś ty.

— To na czym stanęliśmy?

— Jedziemy całą czwórką na południe, nad morze. Mamy cały sierpień dla siebie. Czy to nie cudownie?

— Zaraz, zaraz, dokąd, co, gdzie, kiedy? Gdzie będziemy spać?

— Rodzice Thomasa niedawno kupili w jednej z atrakcyjnych miejscowości stary dom, niedaleko La Rochelle... jest już wyremontowany. Spędzimy tam wspaniałe chwile, zobaczysz.

— Rozumiem, że to już postanowione i właśnie tam jedziemy, czy tak?

— Tak, samochodem Thomasa. Ma dużego citroena, który jest wygodny i ma świetną klimatyzację.

— To prawda?

— Owszem, a dla mnie to nie problem.

Nadszedł wieczór. Marie z Thomasem dawno już pojechali do rodziców chłopaka, a Emma brała długą kąpiel. Jean został sam. Postanowił zajrzeć do tajemniczej przesyłki. Ostrożnie złamał pieczęć, po czym zaniemówił. Zdumiony wyciągnął zawartość. Były to banknoty. Przeliczył. Piętnaście tysięcy euro w używanych starannie dobranych różnych nominałach. Podczas przeliczania sumy, pomiędzy nominałów wypadła niewielka kartka zawierająca zaszyfrowaną wiadomość. Po chwili Jean odczytał tekst: „To żółd młodego templariusza. Za trzy miesiące następna wypłata. Pieniądze dostarcza siostra Sarah, żadnych pytań — Wielki Mistrz”. Zaskoczony Jean ukrył pieniądze. Niezła sumka, akurat przydatna na wakacje. Podczas przyjmowania do zakonu nie było mowy o jakimkolwiek wynagrodzeniu. Piękna dziewczyna o niebieskich oczach była niezwykłym zaskoczeniem. O niej też przecież nie było mowy. Nigdy nie widział jej na

spotkaniach zakonu. Postanowił o tym porozmawiać z Paulem w piątek. Dalsze rozmyślenia przerwał mu głos Emmy:

— Jak samopoczucie, kochanie?

— Nieźle.

— Podoba ci się pomysł Marie?

— Tak, nawet bardzo. Nie wiem tylko, czy wypada tak wykorzystywać Thomasa i jego rodziców.

— Daj spokój. Mamy pieniądze, za wszystko zapłacimy.

— To dobrze, tak lepiej się będę czuł.

— Mogę obejrzeć twoje rany.

— Już się zagoiły.

— Nie do końca, ale wygląda to wszystko całkiem nieźle.

Pokochamy się?

— Czemu nie...

— Dawno tego nie robiliśmy.

— No cóż, czasami tak bywa.

Piątek był paskudnym dniem, wiał wiatr i padał gęsty deszcz, temperatura obniżyła się o kilkanaście stopni. Jean pożyczył od Emmy jej niewielki sportowy samochód i podjechał pod dom przyjaciela, który czekał już na niego w terenowym aucie:

— Witaj, co za pogoda.

— Dla nas bardzo dobra.

— Dlaczego?

— Im mniej ludzi nas widzi, tym lepiej.

— Fakt, masz rację.

- Mogę cię o coś spytać?
- Tak, słucham.
- Kim jest siostra Sarah?
- Nasza kurierka. Dostałeś wypłatę?
- No właśnie. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?
- Takie są zasady.
- Nie rozumiem.
- Każdy z nas jest na różnym stopniu wtajemniczenia, znasz przecież Regułę.
- No, owszem, tak.
- Im mniej wiesz, tym mniej możesz zaszkodzić zakonowi. Taka jest jedna z ważniejszych zasad.
- To znaczy, że jestem nikim?
- Nieprawda. Jesteś bratem, a wkrótce zostaniesz rycerzem. Wtedy dowiesz się więcej. Na razie to wszystko, co mogę ci powiedzieć. I jeszcze jedno... zapomnij o tej rozmowie i cierpliwie czekaj.
- No dobrze, dzięki za wyjaśnienie. Mam jeszcze jedno pytanie.
- Związane z zakonem?
- Nie.
- W takim razie słucham.
- Zbliży się sierpień, chciałbym z bliskimi pojechać na wakacje, nad morze. Czy jest to możliwe?
- Jak najbardziej. W sierpniu wszyscy mamy urlopy, ale jak dostaniesz wiadomość, musisz natychmiast wracać.
- To zrozumiałe.



— Jesteśmy na miejscu. Dzisiaj przyjdzie nowy brat. Milcz i nie zadawaj żadnych pytań.

Procedura przyjmowania nowego templariusza była identyczna jak w przypadku Jeana. Kandydat był niskim, szczupłym siwiejącym mężczyzną o żyłastych dłoniach, miał pewną postawę i cierpliwy zimny wzrok. Był prawdopodobnie byłym żołnierzem. Takie przynajmniej sprawiał wrażenie. Na końcu przemówił wielki mistrz:

— Bracia, cieszymy się wakacjami. To nasze ostatnie spotkanie w lipcu, kolejne nastąpi w pierwszym tygodniu września, jak zwykle w piątek o ustalonej godzinie, ale pamiętajcie, kiedy wybije godzina, musicie być gotowi w ciągu dwudziestu czterech godzin do walki. Planujcie więc tak swoje podróże, by dotrzeć na czas do Paryża. Mamy wielki, piękny kraj, ciepłe morza i oceany, góry i wielkie równiny, szanujmy ten dar Boży. Dzisiaj zaszczycił nas obecnością nowy brat. Niechaj Bóg prostuje jego ścieżki. Przykro mi, że jego nowicjat się przedłużył, ale niechaj czeka w pokorze na swoją kolej jako my wszyscy. Bracia, módlmy się o pokój i sprawiedliwość. Amen.

— Amen.

Po tych słowach wielki mistrz podszedł kolejno do każdego z braci i zamieniał z każdym kilka słów, a następnie wręczał specjalny telefon i złoty krzyż na grubym łańcuchu. To były prezenty. Telefon satelitarny umożliwiał rozmowę w każdym miejscu świata, zaś krzyż miał przypominać braciom, kim są i jak mają się zachowywać.

Jean po raz pierwszy ujrzał twarz wielkiego mistrza. Była inteligenta i dziwnie koścista, ciemnozielone oczy patrzyły uważnie w źrenice rozmówcy, mocny uścisk dłoni i pewne ruchy wskazywały na to, że przywódca również był kiedyś w wojsku. Wąskie usta i ostre zęby mówiły o skłonności do okrucieństwa i walki. Wreszcie ceremonia pożegnania dobiegła końca, bracia wypili po małej lampce wina i wyszli z kaplicy.

Jean zadowolony usiadł w samochodzie przyjaciela, który z kolei wydawał się być dziwnie smutny.

— Co się stało, Paul?

— Martwią mnie te wakacje.

— Dlaczego?

— Nie wiem, ale mam złe przeczucia.

— Daj spokój, ty też weź urlop. Zabierz żonę i dzieciaki gdzieś z dala od Paryża.

— Mam taki plan, ale mój wielki policyjny nos mi mówi, że za niedługo się spotkamy i to szybciej, niż nam się może wydawać.

— Obyś się mylił.

— Cóż, może jestem nieco przewrażliwiony, ale jakoś do tej pory to moje przeczucie mnie nie zawodziło.

— Co sądzisz o nowym bracie?

— To dobry kandydat. Twardziel... widać, że potrafi zabijać. Powinien się sprawdzić.

— Tak sądzisz?

— Innego by Gotfryd nie przyprowadził. On nie ma innych przyjaciół, tylko byłych legionistów.

— Rozumiem.

— Zostawmy to już. Kiedy wyjeżdżacie?

— Pierwszego. A wy?

— Trzeciego, ale mam jeszcze trochę pracy.

— A zatem będę szalał dwa dni dłużej.

— Pewnie tak. Pozdrów ode mnie rodzinę.

— Dziękuję, nawzajem.

— Mam jeszcze jedną sprawę niedającą mi spokoju.

— Pytaj, byle szybko, bo zaraz dojedziemy na miejsce.

— Czy wielki mistrz stoi na czele całej naszej organizacji, czy tylko dowodzi naszym komandem śmierci?

Paul spojrział na przyjaciela nieprzyjaźnie, a nawet wręcz wrogo. Przez chwilę milczał, by wreszcie odezwać się chłodnym głosem:

— Za dużo myślisz, stary. To akurat zła cecha. Jesteś żołnierzem Boga, masz walczyć i w razie czego umierać. Udam, że nie było tego pytania.

— Przepraszam.

— Nie pytaj mnie więcej o takie sprawy, zrozumiałeś?

— Tak.

— W porządku. Oczywiście nadal jesteśmy przyjaciółmi.

Mężczyźni pożegnali się uściskiem dłoni. Zdenerwowany Jean szybko wskoczył za kierownicę małego, sportowego samochodu Emmy i ruszył w kierunku centrum Paryża. Popełnił błąd, zadając przyjacielowi ostatnie pytanie. Teraz

wiedział, że będą na niego uważać. Paul na pewno powiadomi o tym wielkiego mistrza, bo był przecież swoistym jego zastępcą, choć oficjalnie nic na to nie wskazywało. Po trzydziestu minutach dojechał na miejsce, schował otrzymany od wielkiego mistrza telefon satelitarny do niewielkiego plecaka, z którym nigdy się nie rozstawał, a krzyż założył na szyję. Wszedł do bramy kamienicy. Próbował włączyć światło, ale żarówka nie zadziałała. Instynkt samozachowawczy kazał mężczyźnie się wycofać. Wrócił do samochodu, z plecaka wyciągnął pistolet, stary potężny wojskowy colt, ciężki i toporny, lecz bardzo skuteczny. Siedział i obserwował bramę, aż wreszcie dostrzegł białą furgonetkę, która przy niej zaparkowała. Dwóch mężczyzn w dresach wbiegło do środka samochodu, który odjechał z piskiem opon. Jean odczekał jeszcze kilka minut i wrócił do bramy. W kieszeni marynarki nadal tkwił pistolet gotowy do strzału. Mężczyzna nacisnął włącznik światła, które tym razem rozbłysło, oświetlając bramę. Ostrożnie wszedł dalej. Nie było nikogo. W końcu dotarł do windy, gdzie na drzwiach była przyklejona kartka z napisem: „I tak cię zabijemy, pomścimy naszych braci”. Zdumiony Jean zerwał kartkę, starannie poskładał i włożył do portfela, przez chwilę zastanawiając się, kto to mógł być. Wreszcie przypomniał sobie wizytę w swoim dawnym mieszkaniu i dziwną rozmowę z młodą dziewczyną. Widocznie wysłedzili go i zaplanowali zabójstwo. Ciężko westchnął. Dobrze, że za kilka dni jedzie na wczasy. Musiał

odpocząć. Wjechał na górę windą, po czym otworzył drzwi. Emma oglądała telewizję, ale na widok Jeana wstała i podbiegła się przywitać:

— Coś blady jesteś, kochanie.

— To przez tę pogodę. Nie lubię niskiego ciśnienia i deszczu.

— Była u mnie Marie. Wszystko gotowe. Nasze urlopy w firmie zatwierdzone. Ruszamy pojutrze. Cieszysz się?

— Nawet nie wiesz, jak bardzo.

— To cudownie! Kupiłam nawet kilka niezłych toreb. Mam nadzieję, że się pomieścimy. Może chcesz zobaczyć zdjęcie tego domku, w którym mamy mieszkać?

— Nie, niechaj to będzie niespodzianka.

— Dobrze, jak chcesz.

— Skarbie, jestem trochę zmęczony. Mogę iść pod prysznic? Miałem ciężki dzień.

— Przepraszam... naturalnie, idź.

— Dziękuję.

Jean poszedł do łazienki, z plecaka wyjął telefon. Był zaszyfrowany i gotowy do pracy. Paul miał numer dwa. Postanowił zawiadomić przyjaciela o wydarzeniu sprzed kilku chwil pod domem Emmy. Nadał specjalną informację: „Chcą mnie zabić. Czekali na mnie dzisiaj, ale coś ich spłoszyło”. Po chwili dostał odpowiedź: „Wiemy o nich. Masz ochronę. Śpij spokojnie. Sprawa załatwiona”.

Następnego dnia rano, kiedy Jean jak zwykle włączył wiadomości, ujrzał znajomy dostawczy samochód

wyławiany właśnie z Sekwany. Media podawały informacje o tragicznym wypadku: czterech młodych mężczyzn pochodzenia arabskiego nie żyło. Mężczyzna w milczeniu pokiwał głową. Organizacja była naprawdę potężna. Czuł, że teraz naprawdę może spokojnie jechać na urlop. Usłyszał za sobą głos Emmy:

— Już wstałeś, kochanie?

— Tak. Dzisiaj jest sobota, prawda? Jutro wyjeżdżamy?

— Tak. Och, jak się cieszę, że masz dobry humor.

— Wyjaśniła się jedna sprawa, która mnie gnębiła.

— A co takiego?

— Nic takiego. Pewien mały zakład z kolegami.

— Nie lubię hazardu.

— Wiem o tym. A wiesz, wygrałem.

— To dobrze. Chociaż taki z tego pożytek.

\* \* \*

Thomas był punktualnym i dobrze zorganizowanym człowiekiem. Wzorowo spakował samochód i pewnie ruszyli w kierunku autostrady. Z przodu auta był on z Marie, a z tyłu gnieździli się Jean z Emmą.

— To twój samochód?

— Nie, moich rodziców. Ja jeżdżę czymś mniejszym i szybszym.

— Rozumiem, ale ten mi się bardzo podoba.

— To topowa wersja.

— Musiała trochę kosztować.

— Tak, te wersje citroena C4 Picasso są drogie. No, a poza tym to wersja Gran, siedmioosobowa.

— Kiedyś sobie kupię coś takiego, mam dość skutera.

— Nie wykluczone.

Jean przez jakiś czas spoglądał za szybę, podziwiając równiny Francji. Wreszcie zasnął kołysany miękkim zawieszeniem samochodu. Kiedy otworzył oczy, dojeżdżali już na miejsce. Spojrzał na zegarek. Przespał siedem godzin. Zdumiony patrzył na uśmiechnięte twarze pozostałych uczestników wycieczki.

— Tato, ale chrapałeś... aż musieliśmy włączyć radio.

— Przepraszam.

— Żadna siła nie była w stanie cię obudzić. Nawet dwa postoje, które zrobiliśmy, przespałeś smacznie w fotelu.

— To przez tę magiczną poduszkę Emmy.

— Akurat... Nikt z nas nie zmrużył oka.

— Cóż mogę powiedzieć... jest mi przykro... widać byłem niezwykle zmęczony.

— Tato, my żartujemy. Miałeś prawo się przespać. Po to są wakacje, by wypocząć, czyż nie?

— Gdzie jesteśmy?

— Powoli dojeżdżamy na miejsce.

— Piękne miasteczko.

— I bardzo stare. Nasz dom pochodzi z końca siedemnastego wieku, choć sprawia wrażenie młodszego. Tutaj jest spokojnie i zawsze świeci słońce. Mamy też całkiem spory ogród otoczony kamiennym murem. Można

grillować, kąpać się w rozkładanym basenie i szaleć do woli.

— Słowem, załatwiłeś nam wakacje życia?

— Eee, przesadza pan.

— Wiesz, Thomas, ostatni raz byłem na wakacjach dwadzieścia lat temu.

— To przykre.

— Czasami tak bywa.

Dom był faktycznie stary, kamienny, piętrowy. Miał jedno wejście z przodu oraz drugie od strony ogrodu. W bocznym murze, gdzie przebiegała wąska uliczka, wybita została furtka z niewielką bramą. Na dole znajdowały się dwa salony, dwa korytarze, spora kuchnia i sypialnia, natomiast na pierwszym piętrze oprócz dwóch łazienek znajdowały się cztery sypialnie i dwie garderoby. Tam też postanowili spać Marie i Thomas, podczas gdy Emma i Jean zadomowili się na parterze. Mężczyźni przynieśli bagaże. Jean ze zdumieniem odkrył, że lodówka jest pełna.

— Byliście tutaj wcześniej, Thomas?

— Nie. Kilka przecznic dalej mieszka pewna moja ciotka. Poprosiłem kuzynkę wczoraj, aby nam zaopatrzyła lodówkę, to wszystko.

— Jesteś przebiegły niczym łasica.

— Dobry żart. Jesteście głodni?

— Nawet bardzo.

— Mogę przygotować pizzę. Czy ktoś będzie ją jadł?

— Chyba wszyscy, prawda?



— Tak, ja chętnie...

— I ja też.

— Wobec tego podgrzeję dwie, tak na wszelki wypadek.

— Jak daleko stąd do morza?

— Dziesięć minut samochodem.

— Pojedziemy dzisiaj?

— Zgoda, ale musimy się pospieszyć, bo za dwie godziny będzie ciemno.

— Uwielbiam morze.

Cała czwórka zjadła ze smakiem włoskie danie, wypła po lampce wina i szybko udała się do zaparkowanego przed domem samochodu. Thomas znał świetnie okolicę, sprawnie manewrował pomiędzy licznymi wąskimi drózkami, by wreszcie zaparkować pośród niewielkich, uroczych domków letniskowych, przed którymi rozciągała się plaża i płytka, ale bardzo rozległa zatoka. Emma westchnęła zachwycona:

— Nareszcie! Cały rok na to czekałam!

— Niech pani zdejmie buty i biegnie do wody. Ja tak też zaraz zrobię.

— Masz rację, Thomas. A ty Jean, co robisz?

— Rozbieram się. Mam na sobie kąpielówki. Muszę popływać w morzu, nic mnie nie powstrzyma, ręczę wam.

— Tato oszalał?

— Cicho, Marie, staram się tylko dobrze bawić.

— Ja też się wykąpię — podjęła natychmiastową decyzję Emma.

— Ma pani strój?

— Coś w tym rodzaju.

Po chwili wszyscy chlapali się jak dzieci i pewnie szaleństwo trwałoby dłużej, gdyby nie zapadający zmrok. Głos rozsądku odezwał się w postaci Jeana:

— Musimy wracać.

— Jaka szkoda. Ale przyjedziemy tutaj jutro?

— Oczywiście. Przecież przyjechaliśmy tu na wakacje.

— Zgłodniałem po tym szaleństwie. Chodźmy na piwo.

— Tutaj nie ma żadnej dobrej knajpki. Musielibyśmy pojechać do centrum starego miasta, a to kawałek stąd.

— Zjemy coś w domu, w takim razie.

— To niezły pomysł. W końcu mamy tam niezły zapas dobrego, zimnego piwa.

— W takim razie wracamy do domu.

— Pięknie tutaj.

— I nie ma tej strasznej paryskiej zimy.

— Przeprowadźmy się tutaj, Jean.

— Może kiedyś... Thomas, ile tutaj kosztuje mały domek lub apartament?

— Dużo mniej niż w Paryżu, ale i zarobki są niższe.

— To oczywiste.

— Tak, ale tutaj jest prawdziwa Francja, piękna, słoneczna i wolna.

— Racja.

Marie i Emma przygotowały smaczną kolację złożoną z pieczonych ziemniaków, gotowanych darów morza z ryżem,

kielbasek na gorąco oraz sera na deser. Było też dobre czerwone wino, woda oraz piwo. Wszyscy odśpiewali wieczorną modlitwę dziękczynną, po czym usiedli do dużego stołu.

— Hm... nieźle to wszystko wygląda.

— Smakuje jeszcze lepiej, zaręczam.

— To pana telefon satelitarny?

— Tak, dostałem od przyjaciela.

— To sprzęt policyjny, bardzo drogi i profesjonalny. Pana kumpel ma gest.

— No cóż, chciałem odmówić, ale...

— Można obejrzeć?

— Proszę bardzo.

Thomas uważnie badał spory telefon, wreszcie ze zdumioną miną podał przedmiot właścicielowi, mówiąc nieco rozczarowanym głosem:

— Jest zaszyfrowany, a pan mi pewnie nie poda kodu.

— Niestety nie.

— Szkoda.

— Przykro mi, takie są zasady. Ty również nie zdradziłbyś mi hasła.

— Jasne.

Zapanowała chwilowa cisza, tylko Thomas z nieukrywanym zdumieniem obserwował Jeana. Telefon zrobił na nim ogromne wrażenie. Nagle Marie spojrzała na ojca swoimi wielkimi, czarnymi oczami i zmieniła temat rozmowy:

— Tatko, co to za krzyż nosisz na szyi? Jest złoty?

— Raczej tak.

— Skąd masz ten przedmiot? Musiał być bardzo drogi.

Mogę go obejrzeć?

— Tak, nie ma problemu.

— Jest przepiękny.

— To replika średniowiecznego oryginału. Noszę ten krzyż jako ochronę... na wszelki wypadek... od czasu tamtej przygody w bramie.

— Tutaj jest coś napisane.

— To po łacinie. W wolnym tłumaczeniu znaczy: zawsze wierny i posłuszny Bogu.

— Piękne. Chcesz obejrzeć, Thomas?

— Jak najbardziej.

Mężczyzna długo i starannie oglądał złoty przedmiot, ważył w dłoni krzyż, zerkał pod światło mocnej lampy, aż wreszcie coś go zainteresowało. Przez chwilę, jakby się wahał, gdy wreszcie zwrócił krzyż Jeanaowi ze słowami:

— Jest prawdziwy, sporo waży, złoty, a na wewnętrznej stronie ma herb zakonu templariuszy.

— Taaak... nawet nie wiedziałem. Jesteś tego pewien?

— Jak najbardziej. Kiedyś jako nastolatek interesowałem się dziejami tego zakonu.

— I jak ich oceniasz?

— Narosło sporo mitów i legend na ich temat. Cóż, na pewno byli dzielnymi ludźmi, dobrze walczyli i potrafili nieźle zarządzać majątkiem.

— Nauczyli się tego od weneckich kupców.

— Pan też jest zorientowany w dziejach templariuszy?

— Bardzo powierzchownie. Wiem tylko, że kiepsko skończył.

— Tak, zgadza się, po upadku Akki, 28 maja 1291 roku nastąpił koniec Królestwa Jerozolimskiego, a raczej jego resztek. Część templariuszy odpłynęła na Cypr, inni przybyli do Paryża, a tych którzy zawierzili Saracenom i honorowo oddali ostatnie twierdze, po prostu ograbiono i wyrżnięto.

— Twoja wiedza mi imponuje.

— Dziękuję, ale nie wiem wszystkiego. To też tylko wiedza powierzchowna.

— Co się z nimi stało?

— Wiesz, Marie, kiedyś istniała komandoria w Paryżu. Dom zakonny templariuszy znajdował się na prawym brzegu Sekwany, w obecnej dzielnicy Temple.

— Serio?

— Mhm... W warowni templariuszy spoczywał cały skarbiec królewski, którym nieźle zarządzali, aż wreszcie ciężar tego obowiązku przekroczył nawet ich możliwości.

— I co było dalej?

— Panią też zainteresowała ta historia? W roku 1295 całością dochodów królewskich rządził Skarb Luwru wzorowany zresztą na banku templariuszy, podlegający urzędnikom króla. Ale w wyniku konfliktu króla z papieżem o podatki, skarb templariuszy został im zwrócony w roku

1303 i znajdował się w ich rękach aż do aresztowania w roku 1307.

— Kto wtedy rządził Francją?

— Filip IV, zwany Pięknym. To nie był dobry ani mądry król, ale miał bardzo przebiegłych doradców, a najważniejszym z nich był Wilhelm de Nogaret, nauczyciel prawa w Montpellier. W starciu z nim ostatni mistrz templariuszy Jakub de Molay nie miał żadnych szans — wtrącił Jean.

— A dlaczego?

— Ostatni mistrz templariuszy został wybrany w roku 1294. Wtedy nie bardzo można było dokonać lepszego wyboru. Kwiat rycerstwa padł podczas oblężenia Akki. Sami rycerze zakonni chcieliby widzieć kogoś innego na czele zakonu, ale stało się tak a nie inaczej — wytłumaczył Jean.

— A ty, Thomas, co sądzisz o ostatnim mistrzu templariuszy?

— No, wie pan, trudne pytanie. Nie żyłem w tamtym okresie, moja wiedza może opierać się tylko na opisach i źródłach z okresu życia wielkiego mistrza.

— Powiedz swoje zdanie.

— W chwili wyboru sytuacja templariuszy była trudna, stali się niejako zbędni, inne zakony lepiej sobie poradziły, natomiast nasi bohaterowie stacjonowali na Cyprze jako cudzoziemcy. Wyspa była własnością szpitalników, którzy mieli tam rozległe dobra. Wielki mistrz miał dwa wyjścia: albo wrócić do Francji, albo kupić dobra na Cyprze i tam

założyć komandorię. Wybrał to pierwsze i powrócił do naszej Ojczyzny na czele bardzo bogatego orszaku niczym zwycięski król, a tak naprawdę był przecież przegranym. Nie należał ani do ludzi szczególnie bystrych, ani przebiegłych, dzielnie walczył, był odważny, ale brakowało ostatniemu mistrzowi wyobraźni i lekkości umysłu.

— Ładnie powiedziane. Mów dalej, jesteśmy ciekawi, dlaczego przegrał z królem i papieżem — zachęcał młodzieńca Jean.

— To długa historia. Nie chce wam się spać?

— Skądże. To taka ciekawa historia. Opowiadaj. Tu, w tej starej komnacie jest odpowiedni nastrój dla niej.

— Muszę się napić trochę wina, zaschło mi w gardle.

— Pij szybko i mów dalej, czekamy.

— Skoro chcecie... — Thomas upił kilka drobnych łyków wina z kieliszka, wyprostował się, spojrzał na swoich słuchaczy i zagaił: — Na czym to skończyłem?

— Ostatni wielki mistrz...

— A już wiem. A zatem, nasz bohater okazał się człowiekiem ciasnego umysłu i kompletnego braku rozeznania sytuacji swojego zakonu. Wydał memoriał na temat połączenia zakonów templariuszy i szpitalników, ukazując w nim swoją naiwność i brak polotu. Kiedy zapoznał się z tym król, wiedział, że ostatniego mistrza łatwo pokona i zniszczy.

— Dlaczego miałyby atakować templariuszy?

— Widzisz, Marie, zakon templariuszy tworzył na terenie Francji własne państwo. Templariusze posiadali własną strukturę wewnętrzną, dochody i dobrze uzbrojoną armię. Żaden władca nie mógł sobie na coś takiego pozwolić, co zrobili by rycerze pozbawieni zajęcia. W razie konfrontacji z papieżem, na pewno stanęliby po jego stronie. Gdyby powiódł się plan połączenia zakonów, któremu był przeciwny poprzedni mistrz, wówczas templariusze nie zostaliby osądzeni i zniszczeni.

— Dlaczego tak sądzisz, Thomas?

— No cóż, w przypadku połączenia dwóch zakonów, dom macierzysty znajdowałby się na pewno poza Francją, może nawet na Cyprze, a wówczas proces o zdradę i herezję nie byłby możliwy.

— To racja. Co komu we Francji do jakiegoś zakonu poza granicami kraju.

— Pozostało jedno. Albo zakon będzie pod kontrolą króla, albo zostanie zlikwidowany, a jego bogactwa przejmie król, który słynął z niepohamowanej chciwości. Biurokracja za jego czasów rozrosła się niemożebnie wraz z ilością urzędników, na których bez przerwy brakowało Filipowi IV środków, a ogromne dochody templariuszy, pozbawione konkretnego przeznaczenia były zbyt łakomym kąskiem dla bankrutującego władcy.

— Ale sprawa oskarżenia zakonu templariuszy, którzy cieszyli się dobrą opinią w ówczesnych czasach, nie było sprawą prostą — wtrącił Jean.



— Ma pan rację. Albo król był niezwykle odważny, albo nie miał żadnych skrupułów. Akt oskarżenia przygotowali doradcy króla na podstawie zeznań i kłamstw wielkiego zdrajcy Eskiwiusza de Floyrana i jego kompanów. Wielki Kanclerz Francji, arcybiskup Narbonne Gilles Acelin, miał wątpliwości i ustąpił ze stanowiska, nie godząc się na to wielkie święństwo. Zastąpił go nieposiadający takich skrupułów Wilhelm Nogaret i sprawa ruszyła do przodu. Zgodnie z prawem kanonicznym sądzić templariuszy mógł tylko papież. Król i jego prawnicy działali bardzo sprytnie, ubiegając papieża. Stwierdzili, że templariusze czują się zagrożeni i uciekając, zabiorą ze sobą wielkie skarby.

— Jak wyglądał akt oskarżenia?

— Był szczytem święństwa i bezczelności. Składał się z dwóch części. Pierwsza to wniosek prokuratora, a druga to instrukcja śledztwa. Resztę już znacie, prawda?

— Nie do końca.

— W piątek, 13 października 1307 roku, aresztowano zaskoczonych templariuszy, którzy przecież uważali się za lojalnych poddanych króla Francji. Skonfiskowano ich dobra. Nigdzie nie stawiano oporu. Reguła nie pozwalała dobywać miecza przeciw chrześcijanom, a poza tym templariusze byli rozproszeni i słabi, przecież kwiat rycerstwa zginął w Ziemi Świętej.

— I co? Templariusze przyznali się do zarzuconych im niegodziwości i herezji?

— Z aktu oskarżenia wynika, że tak.

— Jak to?

— Przyznali się do plucia na krzyż, sodomii oraz wypierania się wiary.

— To niemożliwe.

— Tak wynika z dokumentów procesowych. Na pewno wielu zaprzeczało, inni zostali torturowani i potem zabici, ale najważniejsze to osaczenie dostojników zakonnych, receptora Normandii Galfryda de Charney, wizytatora Francji Hugona de Pairauda i mistrza Jakuba de Molay. Przede wszystkim to oni musieli się przyznać.

— I co zrobił wielki mistrz?

— Nic, wyznał swe zbrodnie pod wpływem tortur, co spowodowało ogromny skandal i zachwiało pozostałymi zakonnikami... po prostu zwątpili. Na dodatek wielki mistrz przysiągł, że powiedział prawdę dla dobra zbawienia swej duszy, a nie na skutek przemocy lub lęku przed cierpieniem. To był koniec. Ostatni mistrz okazał się być człowiekiem słabym, łatwowiernym i dał się manipulować jak dziecko siepaczom króla.

— To już był koniec templariuszy?

— Prawie. Ówczesny papież, Klemens V, zaprotestował, jednak później zmienił decyzję. Ostatecznie zagrał na tyle sprytnie, że to on, a nie król Francji miał teraz sądzić templariuszy. Nastąpił długotrwały proces, o którym można opowiadać godzinami. Ostatecznie, gdyby nie słaby charakter papieża Klemensa V, król Filip Piękny nigdy nie odważyłby się zaatakować i zniszczyć templariuszy.

— Wielki mistrz spłonął na stosie, a co stało się z pozostałymi templariuszami?

— Ich losy są bardzo różne. Jedni zginęli w więzieniach z rąk inkwizytorów, inni pojednani z kościołem wstąpili do różnych katolickich zakonów, jeszcze inni nadal byli rycerzami, a niektórzy powrócili do swych rodzin. Straszny los spotkał jedynie francuskich templariuszy. Braci w Niemczech, Anglii, Hiszpanii czy też Portugalii nikt nie odważył się oskarżyć, jednak Świątynia przestała istnieć. W końcu powstała we Francji i tutaj też znalazła swój koniec.

— Smutne to?

— Tak, Marie, ale najciekawsze jest to, że po procesie templariuszy papież Klemens V zaniemógł i zmarł 20 kwietnia 1314 roku, a Król Filip Piękny umarł niewiele później, bo 29 listopada 1314 roku. Wyglądało to jak klątwa templariuszy za ich cierpienia.

— Poważnie? A kiedy został spalony wielki mistrz i jego pięćdziesięciu czterech braci?

— Ma pan pewną wiedzę...

— Nie tak rozległą, jaką ty posiadasz.

— Dziękuję. A odpowiadając na pana pytanie, to Jakub de Molay zginął spalony na stosie w Paryżu dokładnie 18 marca 1314 roku.

— Masz głowę do dat. Podziwiam to u ciebie.

— Sporo o tym czytałem.

— A co sądzisz o tak zwanej klątwie templariuszy?

— Prawdopodobnie wielki mistrz tuż przed śmiercią w płomieniach — jak głosi legenda — odwołał swe zeznania, rzucił przekleństwo na papieża, króla oraz jego ministra Wilhelma de Nogaret, czyli jak nam już wiadomo, organizatora procesu templariuszy. „Nim minie rok, spotkamy się na Sądzie Bożym”... Tak podobno brzmiało ostatnie zdanie mistrza. Choć coś w tym jest, to pamiętajmy, że Nogaret zmarł już wcześniej, bo w 1313 roku.

— A więc przepowiednie się sprawdziły?

— Tak, można tak powiedzieć.

— A według ciebie, co stałoby się z templariuszami, gdyby nie urodził się król Filip IV Piękny i wiarołomny papież Klemens V?

— Trudno powiedzieć. To już jest rzecz jak snucie bajek i przypuszczeń. Prawdopodobnie templariusze tak naprawdę stali się niepotrzebni, era krwawych krucjat zakończyła się bezpowrotnie, w XIV wieku świat zaczynał się zmieniać. Według mnie zakon nie przetrwałby kolejnego stulecia.

— Cóż... pewnie masz rację, Thomas. Ooo, ale jest już późno. Wakacje wakacjami, ale czas na spoczynek.

— To fakt. Nastawię tylko zmywarę i do łóżeczka.

— Dziękujemy za ciekawą opowieść i mile spędzony wieczór.

— Po to tutaj przyjechaliśmy.

Jean nie mógł zasnąć. Przez chwilę miał obawy, że zostanie zdekonspirowany. Później przeczuwał, że Thomas

również jest templariuszem. Coś niepokoiło mężczyznę w tym młodzieńcu, który — o dziwo — zachowywał się wobec niego, Emmy oraz Marie jak najbardziej w porządku. Wreszcie zmęczony zamknął oczy i zasnął.

Kiedy obudził się rano, łóżko było puste. Spojrzał na zegarek w telefonie. Dochodziło południe. Przerażony zerwał się na równe nogi i pobiegł do kuchni. Dom był pusty. Samochodu również nie było. Z niedowierzaniem skonstatował, że wszyscy go zostawili i pojechali do miasta. Zadzwoił do Emmy i spytał urażony:

— Dobrze się bawicie beze mnie?

— Przepraszam, kochanie, próbowałam cię obudzić, ale to było bezcelowe, nie dawałeś się w żaden sposób przywołać do rzeczywistości, spałeś jak zabyty.

— Nie rozumiem.

— Wiem, że zwykle masz lekki sen, ale tym razem nie mogłam sobie poradzić. Dziwne to, ale prawdziwe. Przykro mi. Teraz jesteśmy na lodach w centrum miasta, później idziemy zwiedzać wieżę w porcie.

— A co ja mam robić?

— Opróżnij zmywarę i wstaw resztę naczyń z wczorajszej kolacji. Możesz też przygotować mięso na grilla, to znaczy zrób marynatę. Przyjedziemy wieczorem głodni i spragnieni.

— Dobrze.

— Naprawdę mi przykro.

Mężczyzna starannie ułożył czyste naczynia w kuchennych szafkach, zaczął zapełniać zmywarę brudnymi kieliszkami po winie, gdy nagle coś zwróciło jego uwagę. Na dnie jednego z kieliszków dostrzegł resztki białego proszku. Zdumiony uważnie obejrzał szkło. To był jego kieliszek, dwa pozostałe miały odciski szminki, a Thomas pił inne wino. Mężczyzna zamarł. Usiadł na taborecie i raz jeszcze postawił obok siebie trzy kieliszki, by dokładnie się im przyjrzeć. Wszystkie zawierały resztki alkoholu. Jego wino było odrobinę jaśniejsze. To oznaczało, że ktoś... — Thomas? — dosypał do jego wina proszek usypiający. Nie przewidział, że trucizna nie rozpuści się do końca w alkoholu. Teraz dotarło do Jeana, że sok, który wypił podczas podróży, otrzymał również od chłopaka dziewczyny. A więc jednak Thomas, to on był podejrzanym. Dlaczego próbował neutralizować jego osobę? Sprawa robiła się mocno podejrzana. Mężczyzna uruchomił zmywarę, przygotował marynatę i mięso na grill, wypił zimne piwo, rozłożył zestaw do pieczenia na wolnym powietrzu, usiadł wygodnie w ratanowym fotelu i słuchał śpiewu ptaków, gdy nagle zerwał się na równe nogi i pobiegł do swojego pokoju. Otworzył drzwi i spojrzał na swój ulubiony plecak, niby wszystko było z nim w porządku, ale Jean ostrożnie otworzył zawartość. Thomas był inteligentny i sprytny, ale nie wiedział, że templariusz zastawił kilka pułapek, które natychmiast zawiadomiły właściciela, że ktoś majstrował przy jego rzeczach. Pistolet był sprawdzany, telefon

satelitarny, portfel oraz kieszonka z gotówką — nic nie zginęło, wszystko było starannie włożone na swoje miejsce, ale Jean wiedział, że Thomas bardzo interesował się zawartością jego rzeczy. Kim on był? To dlatego tak szybko i łatwo zorganizował wyjazd na wakacje. Jean był jego celem. Postanowił wszystkiego się dowiedzieć. W swoim czasie, nie od razu... cierpliwie poczeka, aż tamten popełni błąd.

Nagle zadzwonił telefon komórkowy. Na wyświetlaczu pojawiło się imię: „Emma”, której głos usłyszał w słuchawce:

— Jesteś, kochanie?

— Tak, wszystko przygotowałem i czekam na was niecierpliwie.

— To świetnie. Za pół godziny wracamy.

— Coś się stało, że tak szybko wracacie?

— Nic, kompletnie nic. To tylko Marie stęskniła się za tobą. Poza tym jest okropnie gorąco.

— Czekam na was, wracajcie. Piwo i woda mrożą się.

— To super. Rzuć też już coś na ruszt, bo jesteśmy głodni.

— Dobrze, robi się.

Jean na chwilę zapomniał o swoich podejrzeniach, zajął się przygotowywaniem uczyty dla wracających z miasta towarzyszy. Upiekł w piekarniku frytki, zrobił dobry sos do mięs, zestaw sałatek oraz pieczone warzywa. Wreszcie zmęczony usiadł na swoim ulubionym miejscu i spokojnie pił dobre belgijskie czereśniowe piwo. Wreszcie usłyszał

samochód, po chwili w ogrodzie pojawiły się kobiety, a w kilka minut później Thomas. Gdy Jean ich zobaczył, spytał:

— Jak było w mieście?

— Cudownie, tatusiu, ale więcej bez ciebie nie pojedziemy.

— Zaatakowało mnie nadmorskie powietrze.

— To normalne. Moi rodzice też lubią tutaj długo pospać.

— A ty nie?

— Jestem przyzwyczajony, dość często tutaj bywam.

— Teraz rozumiem, dlaczego tylko ja tak spałem.

— Nic się nie stało.

— Tatusiu, daj nam jeść, jesteśmy potwornie głodni.

— Wszystko jest gotowe, siadajcie. Trzeba tylko nakryć stół.

— Pomożemy ci. Razem będzie szybciej i weselej.

— Zgoda.

Po kwadransie cała czwórka smacznie pałaszowała obiad, zachwycając się pogodą, starym miastem, morzem oraz pysznym jedzeniem. Nagle Thomas wstał i poszedł do kuchni, oznajmiając, że idzie po piwo, o które poprosił również Jean. Kiedy chłopak wrócił, w jednej ręce trzymał piwo czereśniowe, natomiast w drugiej jasne, klasyczne. Już miał wręczyć owocowy trunek Jeanowi, kiedy ten zaproponował wymianę:

— Wiesz, Thomas, tym razem chętnie napiję się zwykłego. Lubisz też czereśniowe, prawda?

— Tak, ale...

— No to, zgoda, daj mi zwykłe.



— Jest trochę ciepło.

— Nic nie szkodzi. Chyba nie obrazisz się na mnie? No, to twoje zdrowie. Dziękuję ci i przepraszam za kłopot.

— Dobrze, może ja też napiję się zwykłego.

— O nie. To byłby dla mnie afront, gdybyś musiał znowu opuścić nasze towarzystwo. Pij do dna jak twardziel.

Zaskoczony Thomas zrobił dobrą minę do złej gry i wypił czereśniowe piwo, zawierające sporą dawkę środków nasennych. Chłopak jeszcze przez jakiś czas był żwawy, żartował i dowcipkował, by wreszcie pobiec pod prysznic i o siódmej paść, co wywołało powszechną radość:

— A mówił, że jest przyzwyczajony.

— Tato, on prowadził całą drogę, niewiele spał w nocy, miał prawo być zmęczonym.

— Marie, ja tylko żartowałem.

— Już dobrze.

— Jedziemy nad morze? Ja prowadzę.

— Super. A ty, Marie?

— Może jutro. Zostanę tutaj, posprzątam i też się położę. Poza tym nie chcę wam przeszkadzać.

— No coś ty?

— Musicie już jechać. Kluczyki są w samochodzie, dokumenty w schowku, w bagażniku jest zapas wody i soku.

— Dzięki. To już uciekamy.

— Zabierzcie ze sobą stroje kąpielowe i nie wracajcie za szybko.

Jean wreszcie poczuł się wyluzowany i zadowolony z wakacji, pocałował mocno w usta swoją kobietę i pobiegł do sypialni, błyskawicznie włożył kąpielówki, świeżą koszulkę i zabrał ze sobą plecak. Po chwili oboje siedzieli w samochodzie i szybko mknęli wąskimi uliczkami w kierunku plaży.

— Ależ jest cudownie, prawda, Jean?

— Tak, kochanie. Bardzo chciałbym na starość mieszkać w tym miejscu. Ta piękna pogoda działa na mnie zniewalająco. Poza tym zawsze uważałem, że mam w sobie coś z ulicznego pijaczka albo że kiedyś byłem piratem... wiesz, w takim starym porcie.

— Niezły żart.

— A teraz naprawdę mocno poważnie. Co sądzisz o Thomasie?

— Jest w porządku.

— Nie zauważyłaś w nim czegoś dziwnego?

— Co sugerujesz?

— Jesteś psychologiem z wykształcenia, w firmie zajmujesz się ludźmi, więc pytam cię jako eksperta.

— Rozumiem. Dobrze więc... czasami odnoszę wrażenie, że dziwnie długo się tobie przygląda, jakby chciał cię lepiej poznać.

— Rozpracować...

— No właśnie. Dlaczego pytasz?

— Jest chłopakiem mojej córki, a ojcowie bywają zazdrośni.

— Nie przesadzaj. To bardzo inteligentny i uroczy chłopak, z dobrej rodziny, świetnie wykształcony i obyty, dobry materiał na twojego zięcia.

— Niewiele o nim wiem.

— Skreć w prawo i zmień temat, bo inaczej pomyślę, że masz obsesję.

— Przepraszam.

Plaża była prawie pusta. Tylko nieopodal para młodych ludzi bawiła się z owczarkiem niemieckim, który z zainteresowaniem podbiegł do nowych plażowiczów w poszukiwaniu dalszej zabawy. Jean pogłaskał dużego psa, ale ten po chwili pognął do swojego pana. Jean spoglądał za zwierzęciem i mruknął w zamyśleniu:

— Kiedyś kupię sobie takiego psiaka. Są mądre i lubią się bawić.

— Nie wiedziałam, że interesujesz się psami.

— Ja też nie, aż do dziś, do tego spotkania.

— Chodźmy do wody.

— Właśnie, kto pierwszy do boi.

Jean z Emmą spędzili na plaży trzy godziny. Gdy wreszcie słońce zaczęło powoli chować się za linię morza, zmęczeni spakowali swoje rzeczy i wrócili do samochodu. Rozpromieniona i zaróżowiona na policzkach Emma rzekła entuzjastycznie:

— Było cudownie! Przyjedziemy tu znowu jutro?

— Jak najbardziej.

— Świetnie pływasz. Gdzie się tak nauczyłeś?

— W wojsku.

— Jak to? Nie wiedziałam nic o tym.

— Owszem, byłem przez jakiś czas żołnierzem. Stare dzieje.

— To dlatego tak lubisz porządek.

— Nie tylko dlatego. Taką mam naturę.

— Coraz bardziej mi imponujesz. Masz jeszcze jakieś tajemnice?

— Jak każdy prawdziwy mężczyzna — twarz Jeana rozjaśnił szeroki uśmiech.

— No, no, no... Chyba nie bardzo chcę o tym słyszeć.

Kiedy wrócili do domu, młodzi ludzie siedzieli w ogrodzie i pili wino, przegryzając serem i frytkami. Jean zdumiał się, widząc Thomasa w niezłej formie. Widocznie posiadał jakąś odtrutkę. Postanowił jednak bardzo ostrożnie pić alkohol lub inne napoje, zwłaszcza podawane mu przez młodzieńca, który gdy ich tylko ujrzał zapytał:

— Jak było nad morzem?

— Cudownie! A ta woda...! Ciepła i aksamitna. Musicie jutro z nami pojechać.

— Chętnie.

— Dużo ludzi było na plaży?

— Nie, tylko kilka zakochanych par. No i my, lubieżne dziadki.

— Bez przesady.

Emma z Marie udały się do kuchni przygotować zakąski ciepłe i zimne oraz posprzątać kuchnię. Mężczyźni zostali

sami. Jean przysunął się do Thomasa, sięgnął do plecaka i wydobył pistolet, przeładował, odbezpieczył i przyłożył zaskoczonemu chłopakowi do brzucha:

— Co pan robi?

— Kim jesteś naprawdę? Gadaj.

— Czy pan zwariował?

— Dlaczego interesuje cię moja osoba? Grzebałeś w moich rzeczach, wsypujesz mi do alkoholu i soku środki nasenne. Mów, inaczej cię rąbnę. Pamiętaj, że wypadki się zdarzają, a to — jak dobrze wiesz — jest dobra broń i do tego jak najbardziej legalna.

— To pan ma swoje tajemnice.

— Gadaj. Czas się kończy.

— Pracuję dla rządu...

— Jakiego?

— Naszego. Jestem agentem kontrwywiadu.

— Bzdura. Za słaby jesteś.

— Mam papiery. Mogę pokazać.

— Dokumenty można podrobić.

— Ja nie żartuję.

— Ja też nie.

Thomas zachował stoicki spokój, kiedy Emma stawiała na stole zakąski oraz piwo i wino, by po chwili znowu udać się do kuchni. Jean znowu napał na chłopaka:

— Wracamy do rozmowy. Dlaczego interesujesz się moją osobą?

— Ma pan profesjonalny sprzęt, sporo gotówki i broń.  
Czy to mało powodów?

— Kto cię nasłał?

— Nikt, to moja prywatna sprawa.

— Dlaczego mnie usypiałeś?

— Musiałem pana sprawdzić, a to niełatwe, bo jest pan trudnym przeciwnikiem.

— Kochasz moja córkę?

— Jak najbardziej.

— Dobrze... kończymy tę grę. Pokaż papiery, na razie rozejm, ale jeden twój ruch i zastrzele cię.

— Kim pan jest?

— Zwykłym francuskim obywatelem i patriotą. No już, idź po papiery, inaczej nie dożyjesz rana.

— Ale teraz jesteśmy kwita?

— Nie chcę córce psuć urlopu.

— Dziękuję.

Jean po kilku minutach uważnie i profesjonalnie zbadał legitymację zdumionego chłopaka, obejrzał broń, po czym oddał wszystko Thomasowi.

— Musisz się jeszcze sporo nauczyć.

— Zdaje się, że pana nie doceniłem.

— Zapomnij o tej rozmowie. Tak będzie najlepiej dla nas obu.

— Dobrze.

— To było pierwsze ostrzeżenie. Drugiego nie będzie.

Marie siedziała na łóżku i patrzyła przez okno na niebo rozświetlone milionami białych gwiazd, jakiś ptak głośno wyśpiewywał miłosne trele, gdy do sypialni wszedł Thomas:

— Nie śpisz jeszcze, kotku?

— Oglądam niebo. Tutaj jest naprawdę cudownie.

— To prawda. Paryż przy tym miejscu to piekło na ziemi.

— Spokojnie, czysto i można posłuchać śpiewu kosa.

— Widzę, że masz skłonności do romantyzmu.

— Chyba jak każda prawdziwa kobieta. Czy to źle?

— Nie, oczywiście, że nie. Chciałbym z tobą porozmawiać.

— O czym?

— O twoim ojcu.

— Daj spokój, nie ma w nim niczego nadzwyczajnego. Jest dobrym ojcem. Mam z nim bardzo dobry kontakt.

— Dobrze znasz całe życie twojego tatuśka?

— Raczej tak.

— Dlaczego raczej?

— Od dwudziestu lat już z nim nie mieszkam, tylko z mamą i jej nowym facetem, choć z tatą widywałam się regularnie. Ma swoje mieszkanie w Paryżu, które właśnie wynajął, bo zamieszkał u Emmy.

— Rozumiem. A co robił w młodości?

— Nie wiem. Studiował, trochę służył w wojsku, a później poszedł do pracy jako elektronik i informatyk. To wszystko. Dlaczego nie spytasz bezpośrednio jego o to wszystko? Na pewno odpowie ci na wszelkie pytania.

— No właśnie, niekoniecznie — wyrwało się Thomasowi nieco zbyt głośno.

— Słucham?

— Nie nic, skarbie. Chodźmy już spać.

Thomas poniósł porażkę, ale nie należał do ludzi, którzy łatwo się poddają. Było w osobie Jeana coś, co budziło w nim niepokój. Postanowił na razie czekać cierpliwie, zbierał siły, choć zdawał sobie sprawę, że przeciwnik również przygotowywał się do ostatecznego starcia pod przykrywką rozejmu. Rankiem cała ekipa wstała punktualnie, a po skromnym śniadaniu postanowili wyruszyć do starego i niezwykle uroczego portowego miasteczka, malowniczo położonego nad brzegiem morza po środku cieśniny Pertuis d'Antioche — Fortu Boayard. Zaparkowali samochód na jednej z bocznych uliczek tuż przed portem i ruszyli w kierunku starego miasta.

— To ten słynny fort z programu telewizyjnego?

— Tak, Marie, ten sam.

— Można wejść do środka?

— Nie. Można go obejrzeć z zewnątrz z pokładu statku, który opływa fort dwukrotnie w trakcie jednego rejsu. Trwa to około dwóch godzin. I właśnie tam zmierzamy.

— Tak długo?

— Niestety. Posmarujcie sobie twarze, inaczej wilgotne słone powietrze i słońce oparzą wam skórę.

— Dobra rada. Popłyniesz z nami Thomas?



— Oczywiście. Zawsze lubiłem oglądać ten fort i to z dużą przyjemnością. To wspaniała budowla.

— Czy jest duży?

— Spory. Ma ponad sześćdziesiąt metrów długości i trzydzieści szerokości.

— To zabytek, prawda? Kiedy został wybudowany?

— W 1857 roku, ale nigdy nie sprawdził się w walce. Później był więzieniem i został porzucony, a od 1990 roku kręca w jego wnętrzu teleturniej. To wszystko.

— Który statek wybierzemy?

— Ten mały, z prawej... będzie fajnie rzucało. Mam nadzieję, że nie cierpicie na chorobę morską?

— Nie, raczej nie. Płynmy już.

— Pamiętajcie, że ostrzegałem.

Stateczek wypływał za kwadrans. Była to niewielka, wysłużona jednostka, pomalowana w biało-niebieskie barwy. Na jej częściowo odkrytym pokładzie zgromadziło się około czterdziestu turystów. Statek zawył syreną i powoli ruszył do swojego miejsca przeznaczenia. Właśnie zaczął się odpływ, co objawiło się też niewielką ilością wody w porcie. Stateczek powoli sunął kanałem wodnym, aż wreszcie nieco przyspieszył ku radości uczestników rejsu. Idylla trwała do końca basenu portowego, gdzie woda była spokojna i gładka, ale kiedy minęli ostatni falochron zaczęło gwałtownie rzucać jednostką w dół i w górę. W rezultacie po kwadransie połowa uczestników rejsu czuła się co najmniej niepewnie, o czym świadczyły ich zielonkawe

twarze. Jean i Emma akurat dobrze znosili rejs. Zadowoleni stali na dziobie i zachwycali się morskim powietrzem. Natomiast Marie czuła się kiepsko, ale była dzielna. Właśnie zaczął się przypyływ, więc stateczek, skacząc z fali na falę, ochlapywał ludzi od czasu do czasu słoną wodą. Wreszcie wszyscy ujrzeli wyłaniającą się z daleka kamienną budowlę wznoszącą się na dwadzieścia metrów nad powierzchnią wody. Odezwał się Thomas, wskazując pewien element konstrukcji dobudowany niejako do tej kamiennej:

— Ten pomost dobudowano dla potrzeb telewizji.

— Szkoda, że nie można zwiedzać środka — stwierdziła Emma, przekrzykując odgłosy wzburzonego morza.

— Niestety... to raczej nigdy nie będzie możliwe.

— Fajnie wygląda, taka kamienna wyspa. Ooo... ile statków opływa budowlę dookoła.

— To wielka atrakcja dzięki teleturniejowi.

— A jak tam Marie?

— W porządku. Zażyła tabletkę i czuje się już dobrze.

— Mamy wspaniałą pogodę, opalimy się.

— Będzie pamiątka.

Zgodnie z zapowiedzią Thomasa statek powoli dwukrotnie okrążył kamienną budowlę, by ruszyć w drogę powrotną, a że akurat trafił na przypyływ, więc silnik pracował na pełnych obrotach, powodując niesamowity huk i drgania całego statku. Wreszcie po czterdziestu minutach walki z morzem stateczek dobił do portowego brzegu, a

ludzie z zadowoleniem opuścili jego pokład i natychmiast zgłodniali pobiegli do licznych, okolicznych knajpek.

— Uff, ciężko było. Jak się czujesz, Marie?

— Od kilku minut wyśmienicie. To co? Idziemy coś zjeść?

— O tak, my też zgłodnieliśmy. Thomas, co proponujesz?

— W jednej z knajpek podają fantastyczne naleśniki z kremem czekoladowym i bitą śmietaną.

— Wobec tego chodźmy.

— To niedaleko.

Stare miasto było wspaniałym zabytkiem, wąskie urokliwe uliczki pełne tajemniczych małych przejść, średniowieczne mury obronne i wysokie wieże oraz kościoły dopełniały atrakcji. Grupa przyjaciół po kilkunastu minutach dotarła do niewielkiej knajpki położonej w bocznej uliczce. Restauracja prowadzona była przez dwie młode dziewczyny. Knajpa rzeczywiście serwowała głównie naleśniki. Wszyscy usiedli na zewnątrz pod wielkimi parasolami przy małym okrągłym stoliku. Gdy już każde z nich zajęło miejsca, Thomas spytał:

— No i jak życie po morskiej przygodzie?

— Nieźle, ale trochę mnie mdliło.

— Cóż, ja za pierwszym razem też byłem chory.

— Mnie tam nic nie dolega.

— O tak, pan cały czas był zdrowy i zadowolony. Pływał pan wcześniej na statkach?

— Tak, w młodości, ale to było dawno temu. Co zamawiacie?

— Zdajemy się na Thomasa.

— Racja, też tak zrobię.

Cała czwórka zajadała się smacznymi naleśnikami, popijając słodkie danie sokiem i wyjątkowo dobrym piwem podawanym w niewielkich szklankach. Wreszcie, nasyceni, postanowili wrócić do domu. Zmęczeni, ale zadowoleni powitali kamienne mury starej budowli, wewnątrz której było przyjemnie chłodno. Emma westchnęła:

— Mówcie co chcecie, ale ja jestem zmęczona.

— Wszystkim nam przydałby się mały odpoczynek.

— Wobec tego, co robimy?

— Jest piąta, o siódmej kolacja. Ja idę spać, a ty Emmo?

— Też. Oczy mi się zamykają. Cały czas czuję kołysanie.

— Dobrze. To w takim razie my również schowamy się w sypialni. Kto wstanie pierwszy, ten przygotowuje obiad.

— Zgoda.

— A mamy coś do jedzenia w lodówce?

— Tak, na pewno nie padniemy z głodu.

Emma z Jeanem leżeli w wielkim, białym łożu, zmęczeni i wsłuchiwali się w śpiew ptaków. Oboje mieli zamknięte oczy, ale nie mogli zasnąć. Wreszcie kobieta powiedziała:

— Nigdy mi nie wspominałeś o tym, że pływałeś statkami.

— Nie było za bardzo o czym. To krótki epizod w moim życiu.

— Opowiedz mi o tym.

— Nie ma za bardzo o czym. To było podczas służby wojskowej, mieliśmy zajęcia desantowe.

— Dlaczego poszedłeś do wojska?

— Taka tradycja. Wszyscy mężczyźni w mojej rodzinie służyli Francji: pradziadek, dziadek, ojciec, no i ja.

— Powinieneś mieć syna.

— Ale urodziła się córka. Nie żałuję, a czasy się zmieniły.

— Wiesz, kochanie, chyba nie pojedę dzisiaj nad morze. Ciągle boli mnie głowa po tym rejsie statkiem.

— Dobrze. I tak pogoda się psuje i kto wie, czy nie będzie padać.

— Tutaj jest jak w raju.

— Fakt, też mam takie odczucia.

Wreszcie oboje zasnęli. Mężczyznę po dwóch godzinach obudziło bębnienie deszczu po stalowym parapecie okiennym. Jean wstał i zamknął okno. Gdy szedł do łazienki, usłyszał głosy Marie i jej chłopaka w korytarzu, więc zagadnął:

— Już wstaliście?

— Tak, obudziła nas burza.

— Burza? Nie słyszałem grzmotów, dopiero deszcz bębniący o parapet...

— Widocznie spałeś, tatku. A gdzie Emma?

— Kiepsko się czuła, bolała ją głowa, więc jeszcze chrapie w łóżeczku jak niemowlę. Co tak ładnie pachnie?

— Smażony łosoś i frytki. Tylko to było w lodówce.

— Pachnie smakowicie, więc kolacja na pewno będzie pyszna. Wracam do Emmy i ją budzę. Jak myślicie, kiedy będziecie gotowi?

— Za pół godzinki, może dwadzieścia minut.

— Dobrze. W takim razie obudzę śpiocha za kwadrans.

— Będziemy czekać w salonie. Dzisiaj tam zjemy kolację.

Wieczorny posiłek przebiegł we wspaniałej atmosferze, a pomimo skromnego i prostego jedzenia wszyscy bawili się świetnie. Wreszcie około dwudziestej trzeciej rozeszli się do sypialni. Dopiero teraz Jean dostrzegł, że jego satelitarny telefon miga jaskrawym kolorem. Sprawdził wiadomość. Była zaszyfrowana. Przez chwilę nasłuchiwał dźwięków dochodzących z łazienki. Emma brała prysznic. Rozłożył dokumenty, a po trzech minutach odszyfrował wiadomość. Był to alarm kontrolny, który miał na celu sprawdzenie czujność braci. Potwierdził odebranie wiadomości, po czym schował wszystkie swoje rzeczy do plecaka. Skoro byli sprawdzani, coś się musiało wydarzyć, więc przecucie nakazywało czujność. Mężczyznę zaniepokoił ten alarm. Chciałby w tym wspaniałym miejscu spędzić chociaż tydzień w spokoju. Do pokoju wróciła Emma.

— Czemu jesteś taki blady? Wydarzyło się coś złego?

— Skądże. Chyba jestem niewyspany.

— Możliwe. Weź długi, gorący prysznic, to poczujesz się od razu lepiej.

— Masz rację. Kto sprząta kuchnię?

— Nikt, wstanę rano i się tym zajmę.

— Pomogę ci.

— Dzięki. Dam sobie radę.

Jean długo przebywał w łazience. Postanowił się jeszcze ogolić i wyprać nieco zmęczone trampki. Kiedy wrócił do sypialni, jego kobieta smacznie spała. Położył się obok niej, ale wcześniej postanowił otworzyć okna. Noce bywały ciepłe, choć nie gorące, powietrze schładzała bryza wiejąca od morza. Wreszcie zasnął dziwnym, niespokojnym i meczącym snem. Obudził się cały mokry. Spojrzał na cyferblat swojego zegarka elektronicznego. Dochodziła szósta. Postanowił nieco posprzątać kuchnię i w ten sposób pomóc Emmie. Cicho otworzył drzwi od sypialni, kiedy do jego uszu dotarł dziwny dźwięk na górze. Schował się do bocznej garderoby, mając dobry widok na korytarz przez otwory wentylacyjne w drzwiach. W pewnym momencie zauważył sylwetkę mężczyzny. Po chwili poznał Thomasa. W ręku chłopaka znajdował się telefon komórkowy. Młody człowiek powoli wyszedł na zewnątrz budynku. Zaintrygowany Jean ruszył za nim. Thomas wsiadł do samochodu, w którym uruchomił niewielki przenośny komputer. Coś intensywnie studiował przez kilka minut, aż wreszcie po kilku chwilach zaczął wystukiwać cyfry na telefonie. To był szyfr. Chłopak składał komuś meldunek. Kiedy skończył, Jean był już bezpieczny w kuchni i właśnie uruchamiał zmywarkę, zaskakując chłopaka, który chcąc pokryć zmieszanie odkryciem Jeana w kuchni, spytał z nutą wesołości w głosie:

- Dzień dobry. Nie może pan spać?
  - Witaj. Ktoś musi posprzątać, prawda?
  - To ładnie z pana strony. To w takim razie ja skoczę do piekarni po bułki na śniadanie.
  - Co robiłeś w samochodzie?
  - Nic, zostawiłem tam komputer. Chciałem tylko sprawdzić pocztę.
  - Jakoś ci nie ufam.
  - Przesadza pan. Jest rozejm, prawda?
  - Powiedzmy. Kup jeszcze kilka budyniowych ciastek. Dziewczyny je lubią.
  - Zgoda, wrócę za dwadzieścia minut.
- Jean siedział w kuchni i patrzył na wschodzące słońce, gdy nagle w pomieszczeniu pojawiła się Marie i uśmiechnęła się radośnie w kierunku zaskoczonego ojca.
- Nie śpisz, moja mała córeczko?
  - Uwielbiam, jak tak do mnie mówisz.
  - Nie powinienem tak cię już nazywać, wszak niedługo skończysz studia.
  - Ale ja to lubię. Czuję się wtedy bardzo fajnie, jakby dzieciństwo wróciło do mnie, kiedy jeszcze wszyscy byliśmy razem.
  - Przykro mi, że tak nie jest.
  - Rozumiem to i nie mam do ciebie pretensji. Jesteś najlepszym ojcem na świecie.
  - To raczej nieprawda.
  - A gdzie jest Thomas?



— Pojechał do piekarni po bułki i ciasto na śniadanie.

— To miło z jego strony. Tatku, lubisz mojego chłopaka?

— Najważniejsze, żebyś to ty lubiła jego i była szczęśliwa. Moja opinia tutaj niczego nie zmieni ani też nie jest nikomu potrzebna.

— Obserwuję was obu i mam złe przeczucia.

— Spokojnie, córeczko, poradzimy sobie. No, a teraz muszę wracać do Emmy.

Mężczyzna czuł się nieswojo, skoro nawet Marie zauważyła, że coś jest nie tak. Sprawa zaczynała niepokoić Jeana. Wszedł cicho do sypialni. Emma, siedząc na łóżku, mocno ziewała i przeciągała się leniwie:

— Obudził mnie ten twój wielki telefon. Przed chwilą zaryczał trzy razy.

— To niedobrze. Coś musiało się stać.

— Idę pod prysznic. Jestem nieprzytomna.

— Uhm...

Jean sprawdził wiadomość. Otrzymał niebieski alarm, czyli w ciągu czterdziestu ośmiu godzin musiał być w Paryżu. Zmartwiony wyłączył telefon i usiadł na łóżku, czekając na Emmę, która zadowolona wróciła po kwadransie. Od razu zauważyła niewesołą minę swojego mężczyzny:

— Coś się stało?

— Tak. Muszę jutro być w Paryżu.

— Żartujesz?

— Nie, niestety nie żartuję. Mam nadzieję, że za kilka dni wrócę.

— Naprawdę musisz jechać?

— Tak, naprawdę. Będzie ci tutaj dobrze w towarzystwie Marie i Thomasa.

— Bez ciebie to już nie będzie to samo.

— Obiecuję wrócić najpóźniej za tydzień.

— Masz, to są klucze od mieszkania. Jak zamierzasz się dostać do Paryża?

— Pojadę pociągiem. Zaraz zarezerwuję bilet.

Wszyscy uczestnicy wycieczki stali na peronie smutni, kiedy ruszył szybki pociąg o aluminiowym opływowym nosie. Marie nawet spłynęły dwie łzy po policzkach. Bardzo kochała ojca i chciała spędzić w jego towarzystwie cały miesiąc.

— On wróci, prawda?

— Tak, Marie, najpóźniej za tydzień. Taką złożył mi obietnicę, więc mam nadzieję, że się z niej wywiąże.

— Będę za nim tęsknić.

— Nie tylko ty. Każdy z nas lubi twojego tatę.

— Ma pani rację.

Jean wysiadł na dworcu Montparnasse, jak zwykle zatłoczonym w sezonie wakacyjnym. Wojskowe patrole były widoczne wszędzie. W mieście panował nieznośny upał, mężczyzna wziął dwie butelki specjalnej wody rozdawanej przez pracowników kolei. Była niesmaczna, ale dobrze gasiła pragnienie. Pobiegł w kierunku metra. Przejechał się

długim ruchomym pasem dla zmęczonych podróżnych, po czym wsiadł do metra i po półgodzinnej niewygodnej podróży w dusznym wagoniku był na miejscu. Wbiegł do kamienicy, pozdrawiając dozorcę, wjechał windą na piąte piętro, zamknął starannie drzwi i wysłał wiadomość przez specjalny telefon. Po chwili przyszła odpowiedź: miał się stawić o dwudziestą czwartą w kaplicy. Odetchnął ciężko. Coś jednak się stało. Zmęczony wziął prysznic i poszedł spać, a o jedenastej ze snu wyrwał go ostry głos elektronicznego budzika. Zerwał się na równe nogi, włożył na siebie sportowy strój, na głowę założył czapkę z daszkiem, po czym szybko udał się na dół kamienicy. Mały sportowy samochód Emmy na szczęście stał niedaleko. Jean ruszył szybko w stronę kaplicy. Po chwili zauważył, że jest śledzony. Zatrzymał renaulta przy jednej z restauracji i wysłał apel o pomoc. Czekał chwilę, po której dostrzegł śledzącego go, a za nim nagle pojawiła się czarna terenówka. Wiedział, że teraz mógł bezpiecznie pojechać do kaplicy. Kątem oka dostrzegł, że z czarnego samochodu wysiada dwóch mężczyzn, po czym zbliża się do śledzącego go pojazdu i wylegitymowali się, pokazując policyjne odznaki.

W kaplicy Jean zastał wszystkich braci łącznie z nowym templariuszem, który miał już prawo noszenia płaszcza. Kiedy wszedł do środka, wielki mistrz spojrzał na niego surowym wzrokiem i zaczął mówić:

— Witaj, bracie Alexandre. Rozsądnie postąpiłeś, wszczynając alarm.

— To dla bezpieczeństwa zakonu. Kim byli moi prześladowcy?

— Dzieciaki z Frontu Narodowego. Należy do nich chłopak twojej dziewczyny. To on ich nasłał. Jest ciekawski, zbyt ciekawski.

— Przepraszam, wielki mistrzu.

— Chciał sforsować zabezpieczenia twojego telefonu, jest na naszym podsłuchu.

— Wiem o tym, wielki mistrzu. Co z nim zrobicie?

— Nie podnosimy ręki na chrześcijan. Dostanie ostrzeżenie, tak jak jego koledzy.

— Twierdził, że jest w kontrwywiadzie.

— To prawda, ale jest tam tylko pomocnikiem szyfranta, nikim więcej.

— Przykro mi, że tak się stanie.

— Najważniejsze, że zachowałeś czujność i przejrzalesz młodego człowieka.

— Dziękuję, wielki mistrzu.

— Ta sprawa jest zamknięta. Nie pytaj mnie więcej o nic, czego dotyczyła.

— Tak jest,

— A teraz, bracia, módlmy się.

Nastąpiła cisza, a wszyscy templariusze modlili się długo i żarliwie. Wreszcie odśpiewali kilka hymnów. Nagle wielki mistrz rozkazał braciom usiąść, a sam zaczął mówić,

przechadzając się po kaplicy i stąpając cicho stopami obutymi w skórzane trzewiki na miękkiej podeszwie.

— Przepraszam, bracia, że przerwałem wam wakacje. Dręczy mnie z tego powodu sumienie, ale stała się rzecz straszna. W Belgii, która niedługo zostanie pewnie częścią Państwa Islamskiego, powstała nowa groźna grupa terrorystyczna.

Templariusz przestał mówić, zatrzymał się przed figurą Jezusa i zapalił przed nią kilka świec, by już po chwili kontynuować wątek:

— Podczas swojego zebrania ogłosili świętą wojnę z Paryżem, jak to określili. Jutro wyruszy z Brukseli silny oddział około czterdziestu gotowych na śmierć fanatyków, by — jak to określili — odbić nasze miasto z rąk niewiernych psów. Musimy ich zabić, nim poleje się krew niewinnych cywilów.

— Wszystkich czterdziestu, wielki mistrzu?

— Tak, bracie Gotfrydzie, Mają dużo broni i amunicji.

— Co jeszcze wiemy?

— Niewiele, ale będziemy ich śledzić. Znamy rodzaj ich transportu. Broń przerzucili dużo wcześniej, a przy sobie będą posiadali tylko kilka sztuk pistoletów.

— Na pewno gdzieś się zatrzymają po drodze.

— Dobrze myślisz, bracie. Wówczas zaminujemy ich samochód, a wysadzimy w powietrze, kiedy już będziemy bezpieczni z dala od nich.

— A pozostali?

— I tutaj jest problem, bo znamy tylko jeden ich samochód, a zatem możemy zabić tylko pięciu wrogów. Reszta, niestety, dotrze tutaj, do Paryża i to wkrótce.

— Jak ich znajdziemy?

— Poczekamy i zobaczymy, kto kogo pierwszy znajdzie. Może to oni nas? Cóż... to będzie krwawa wojna, bracia, nadchodzi prawdziwy czas zabijania dla nich i dla nas.

Po tych słowach zapanowała głucha cisza przerywana tylko odgłosami płomieni woskowych świec, które syczały od czasu do czasu. Z tej ciszy wyrwał braci ostry głos wielkiego mistrza:

— Jesteście gotowi na śmierć w imię Boga?!

— Tak jest!

— Ta nowa wojna będzie dla nas ciężka, a zatem niechaj każdy będzie przygotowany na najgorsze. Oby nikt z nas nie zginął. Pilnujcie się! Każdy z was jest tu bardzo potrzebny!

— Tak jest!

— Ponieważ sytuacja jest nadzwyczajna, a wróg liczny i groźny, osobiście będę uczestniczył w akcjach bojowych. Cii... Podjąłem już decyzję. Zakazuję mnie zatrzymywać.

— Tak jest!

— Pierwszy zespół zabije niewiernych dzisiejszej nocy, bracia Antoine i Alexandre udadzą się do zbrojowni, wezmą materiały wybuchowe, broń, amunicję i dobry samochód. Tutaj jest pozycjoner GPS, który was naprowadzi na cel. No, w imię boże, wykonajcie rozkaz.

— Tak jest!

— A zatem, bracia, godzina wojny wybiła. Módlmy się...

Jean z Paulem pożegnali braci i udali się do zbrojowni, skąd pobrali niezbędne dla nich wyposażenie i sprzęt, które zapakowali do trzech toreb podróżnych. Tak zaopatrzeni wsiedli do szybkiego czarnego samochodu. Jean był zdumiony i jednocześnie zachwycony, z podziwem oglądał potężną maszynę:

— No, no, to świetny wózek i kosztuje fortunę.

— Daj spokój. Jak tam wakacje?

— Fajnie, tylko że krótko.

— Jeszcze wrócisz do rodziny.

— A co u ciebie Paul?

— Nic, siedzimy nad morzem na południu, po drugiej stronie Francji.

— Rozumiem.

— No, skupmy się na akcji, włącz sprzęt.

— Są jeszcze w Belgii.

— Trzymaj się. Trochę przewietrzmy tę maszynkę.

Wielka czarna limuzyna z piskiem opon ruszyła przez wąskie uliczki. Gdy wypadli na autostradę, samochód zaryczał miło mocą swojego silnika i pognał w kierunku granicy z Belgią. Wreszcie znaleźli się całkiem blisko swojego celu, samochodu pełnego wrogów, który bez żadnego postoju powoli jechał w kierunku Paryża.

— Co robimy?

— Nic, czekamy, Jean.

— Mamy karabin snajperski i specjalne naboje. Może by tak uszkodzić im tylne koło, wtedy na pewno się zatrzymają.

— A trafisz?

— Bez problemu. Jest pusto... Załaduję karabin.

— Ale delikatnie, by tylko powietrze uchodziło.

— Wiem, poradzę sobie.

Jean był dobrym strzelcem. Nawet Paul gwizdnął z zachwytu, gdy od razu za pierwszym strzałem trafił. Po minucie niewielka ciężarówka przed nimi zaczęła tańczyć. Akurat niedaleko był zjazd na postój, więc samochód powoli skręcił w prawo. Czarna limuzyna zatrzymała się kilometr dalej za rzędami równo zaparkowanych ciężarówek z całej Europy.

— Bierzemy spluwy i dwie bomby. Załóż kominiarkę i bluzę. Musimy być niewidoczni. Chodź za mną i cokolwiek by się nie działo, nie używaj broni bez tłumika.

— Tak jest!

— Pójdziemy laskiem. Stoją tam, na lewo.

— Widzę.

— Będziesz mnie osłaniał. Przy samochodzie jest tylko dwóch, reszta poszła do baru.

— To dobrze.

— Zaczekamy, jak skończą. Wtedy samochód zostanie bez osłony.

— Myślisz, że są aż tak głupi?



— Owszem, są mocno pewni siebie, a nas zwyczajnie lekceważą, uważając nas za ludzi głupich i słabych.

— Nie dziwię się. Sami ich tutaj zapraszamy, rozpieszczamy, żywimy i utrzymujemy w imię idiotycznej poprawności politycznej.

— Dobrze powiedziane. Zatrzymaj się, tu jest dobre miejsce na oczekiwanie.

Dwóch mężczyzn zmieniło koło w dostawczaku. Jean z Paulem dokręcili śruby, zamknęli samochód i spokojnie poszli w kierunku baru. Paul natychmiast pobiegł do samochodu i pod podłogą umieścił dwa ładunki wybuchowe:

— Mamy ich, Jean. Już niedługo spotkają się z tym swoim Allahem.

— Ilu ich jest?

— Siedmiu. Sami młodzi mężczyźni. Pewnie niedawno przyłączyli się do Europy. Niemiecka kanclerz jest niezwykle gościnnie i chętnie takich zaprasza, tfu...

— Taa...

— No, zwijamy się, nikt nie może nas zauważyć.

— Teraz!

Czarna limuzyna powoli wjechała na autostradę i wlokła się prawym pasem. Była druga w nocy, kiedy mijala ich biała ciężarówka. Mężczyźni o śniadej cerze jadący w jej wnętrzu podczas mijania luksusowego auta trąbili i pokazywali gest podrzynania gardła jego pasażerom. Paul

odpowiedział im szerokim uśmiechem, co nieco ostudziło nastroje napastników.

— Mają świetny humor, widziałeś?

— Trochę ich speszyłeś tym rechotem.

— W końcu to my mamy prawo do radości.

— Ale oni o tym nie wiedzą.

— Wysyłają do walki takich idiotów...

— Jak sam mówiłeś, kompletnie nas lekceważą, są odpowiednio zindoktrynowani przez tych swoich imamów.

— Gdzie ich zdetonujemy?

— Mam takie ładne upatrzone miejsce... lasek przed Paryżem.

— Będą tamtędy jechać?

— Jestem tego pewien, a to już niedaleko.

Stary policjant miał rację. W pewnym momencie ukazał się kierunkowskaz do zjazdu z autostrady, w którego kierunku skierował się biały samochód dostawczy, gwałtownie skręcając i mknąc w dół zbocza. Kiedy znalazł się w lesie, eksplodował. Oba ładunki zadziały jednocześnie. Wielka złota kula rozerwała samochód na setki części. Nikt nie miał prawa tego przeżyć. Paul z uśmiechem patrzył na płonące resztki furgonetki.

— Gotfryd dobrze się sprawił. Ma talent.

— Zjeżdżajmy stąd.

— Racja. Wielki mistrz się ucieszy.

— Siedmiu wrogów mamy z głowy.

— I co z tego, codziennie przybywają ich tysiące.

— Teraz trochę odpoczniemy. Mam przynajmniej taką nadzieję.

— Taaa...

— Ciekawe, dlaczego do tej roboty wielki mistrz wybrał akurat nas dwóch?

— Bo obaj znamy się na materiałach wybuchowych, jesteśmy przyjaciółmi i wie, że jeden odda życie za drugiego.

— Co racja, to racja. Wiesz, kim jest wielki mistrz?

— Najlepszym z nas. Sam się wkrótce przekonasz.

— Ach tak?

— No, wjeżdżamy do Paryża.

— Tutaj jest prawie normalnie.

— Wróg został osłabiony, ale nie rozbity, odrobinę jedynie okaleczony, lecz rany i czeka na zemstę.

Wielki mistrz z radością przyjął informację o zlikwidowaniu siedmiu groźnych przeciwników. Z powodu alarmowej sytuacji zebrania braci odbywały się codziennie.

Podczas jednego z takich spotkań w kaplicy nagle włączył się alarm. Przywódca templariuszy drgnął, po czym zerwał się na równe nogi, przerywając planowanie operacji Gotfrydowi:

— Bracia, prędko do zbrojowni! Ktoś nas zdradził! Zdjąć płaszcze, nałożyć kamizelki kuloodporne! Szybko! Nie mamy czasu!

— Co się dzieje, wielki mistrzu?

— Wróg nas otacza. Szczegóły zaraz sprawdzę w centrum monitoringu. Gotfryd na wieżę, weź karabin snajperski i tyle amunicji, ile zdołasz unieść!

— Rozkaz!

— Brat Alexandre weźmie karabin maszynowy i będzie ostrzeliwał podwórze.

— Tak jest!

— Brat Antoine — flanką. Zabierz granaty.

— Pozostali bracia wraz ze mną będą bronić świątyni.

— Rozkaz!

Wielki mistrz miał rację. Wróg rozpracował położenie kwatery templariuszy. Nieopodal zaparkowało kilka samochodów osobowych i furgonetek, a po chwili kilkanaście postaci uzbrojonych w AK-47 biegło w kierunku muru świątyni. Pozostali w liczbie około trzydziestu atakowali z flanki. Panowała dziwna cisza. Nagle powiał silny zachodni wiatr, pojawiły się pierwsze oznaki nocnej burzy. Wszyscy obrońcy mieli na sobie kamizelki kuloodporne oraz posiadali nowoczesne środki łączności. Komenda była jasna: nie strzelać bez rozkazu. Kiedy kilku terrorystów wbiegło na podwórze, zaskoczyła ich panująca cisza i spokój, opuścili broń i zaciekawieni spoglądali na stare, ciemne mury średniowiecznej budowli. Po chwili kolejny odział Arabów wbiegł na dziedziniec. Zaczęła się nawałnica, wielkie krople deszczu uderzyły o ziemię, napastnicy zaczęli szukać schronienia, gdy nagle podwórzem targnęło kilkanaście eksplozji. Okazało się, że

przedpole kryjówki templariuszy zostało zaminowane przez wielkiego mistrza. Setki niewielkich, śmiertelnych kulek wypełniło powietrze, a po chwili większość terrorystów leżała na ziemi, w tym niektórzy martwi. Rozpoczęła się bitwa. Rozległ się głos wielkiego mistrza, przekrzykujący odgłosy nawałnicy:

— Bracia, Bóg nam sprzyja! Nie wychylajcie się i strzelajcie celnie! Ognia!

— W imię Boga! — rozległ się gromki odzew broniącego się oddziału.

Jean siedział w niewielkim bunkrze z uniwersalnym amerykańskim karabinem maszynowym i kilkoma skrzynkami amunicji. W pewnym momencie dostrzegł kilka postaci ostro gestykujących i wskazujących na wieżę, gdzie szalał Gotfryd. Miał już na swoim koncie co najmniej pięciu zabitych. Szachował całe natarcie przeciwnika. Nagle jeden z napastników wychylił się zza murku, trzymając na ramieniu rosyjski granatnik. Na to czekał Jean. Skosił kilku kryjących się za murkiem przeciwników serią z karabinu maszynowego. Brat Alexandre wysoko ocenił karabin maszynowy M60, zwłaszcza że dotychczas słyszał wiele złego o tej broni, która okazała się celną i stosunkowo niezawodną. Po chwili templariusz usłyszał głos Gotfryda w słuchawce:

— Dobrze strzelasz. A teraz kryj się, bo zaraz oberwiesz z kilku PPG-7, zlokalizowali twoje stanowisko. Uważaj!

— Dzięki!

Tylko tyle zdążył powiedzieć Jean, bo po sekundzie leżał ogłuszony na podłodze bunkra, a z nosa ciekła mu strużka krwi. Uderzenie zmiotło mu z głowy hełm i cisnęło jego ciałem o skrzynki z amunicją.

— Oberwałeś?

— Nie wiem, ale mogę walczyć.

— To strzelaj, bo inaczej nas rozwalą!

— Tak jest!

— Masz czterech w polu widzenia, zlikwiduj ich, nie mogą się przedrzeć! Dasz radę?!

— Tak, wielki mistrzu!

— To strzelaj!

Jean ustawił karabin na worku z piaskiem, przeładował, spokojnie wycelował i wypruł długą serię w kierunku zaskoczonych wrogów, którzy byli pewni, że bunkier jest zniszczony. Rozszalała się prawdziwa strzelanina. Podwórce oświetlało kilka mocnych lamp, inne zostały rozbite. Jakiś karabin maszynowy strzelał pociskami smugowymi. Tak wyglądała prawdziwa wojna. Nagle niedaleko bunkra zajmowanego przez Jeana wybuchł granat, a po chwili drugi i jeszcze dwa.

— Spokojnie, bracie, to jeden z naszych likwiduje wroga. Chcieli cię wysadzić w powietrze.

— Rozumiem, dzięki.

— Jak sytuacja z amunicją?

— Dobrze, mam jeszcze dwie skrzynie.

— Strzelaj ogniem ciągłym. Nie dopuść wroga do drzwi świątyni.

— Tak jest!

— Otrzymali posiłki. To będzie długa noc.

Nagle deszcz przestał padać, niebo rozjaśniło się księżycowym blaskiem. Kilkunastu nieźle uzbrojonych napastników bieгло w kierunku bunkra Jeana, a wszyscy strzelali jak obłąkani, usiłując zlikwidować pozycję obronną templariusza, który wymienił rozgrzaną do czerwoności lufę karabinu i kęsał przeciwnika, jak tylko mógł. Krótkie serie smugowych pocisków raz za razem uderzały we wroga. Ale Jean był ranny, miał rozbitą głowę, kilka odłamków w rękach i nogach, słabł z każdą chwilą. Nagle usłyszał jakies kroki za swoimi plecami. Okazało się, że to sam wielki mistrz przyszedł mu z pomocą.

— Jak tam? Trzymasz się?

— Słaby jakiś jestem.

— Nic dziwnego. Walczymy już trochę czasu bez przerwy.

— Nikt nam nie pomoże?

— Znajdujemy się na uboczu, a do tego była wielka burza. Jesteśmy zdani tylko na siebie. Wypij to, a teraz ja sobie postrzelam.

— Ty musisz dowodzić, wielki mistrzu.

— To już ostatni atak, nie mają sił, połowa zginęła, reszta jest ranna. Wygraliśmy.

Jean wypił wzmacniający napój, obserwując wielkiego mistrza obsługującego uniwersalny karabin maszynowy. Robił to z wielką wprawą. W pewnym momencie zupełnie niespodziewanie przestał strzelać. Skończyła się amunicja.

— No, to koniec. Gotfryd, widzisz ulicę z ich samochodami?

— Tak jest!

— Zlikwiduj resztę, łącznie z kierowcami, żadnych świadków.

— Rozkaz.

— Dasz radę iść, bracie?

— Tak, ale powoli.

— Chodź do szpitala, muszę cię opatrzyć i wyjąć odłamki.

— Nie udźwignę karabinu.

— Bez obaw. Zajmę się żelastwem. Dzielnie walczyłeś.

— A jak tam inni bracia?

— Wszyscy byli bardzo dzielni, a co najważniejsze, nikt nie zginął, choć poza mną i Gotfrydem wszyscy są ranni, niektórzy nawet ciężko.

— Co dalej, wielki mistrzu?

— Nic, będziemy walczyć, wojna ciągle trwa.

— Znaleźli naszą kryjówkę.

— Nie szkodzi. Tak łatwo nas nie pokonają.

Nagle wąski korytarz zawirował przed oczami Jeana. Mężczyzna osunął się na kamienną podłogę. Stracił sporo krwi i był fizycznie wyczerpany.



Kiedy otworzył oczy, był już ranek, a on leżał w niewielkiej celi. Przez małe, wąskie okienko sączyło się światło dnia. Był sam. Obok jego łóżka stał stojak na kroplówki. Po chwili do małego pomieszczenia wszedł Paul z ręką na temblaku i dwoma opatrunkami na nogach i głowie, na co Jean zażartował:

— Witaj stary, wyglądasz jak weteran z Wietnamu.

— Dobry żart. Siebie widziałeś?

— Nie, a bo co?

— To lepiej nie patrz

— A co?

— Nic. Jeśli ja jestem weteranem wojny w Wietnamie, to ty jesteś co najmniej weteranem akcji Pustynna Burza. No, posprzątaaliśmy co nieco na swoim podwórku. Teraz specjalne firmy robią porządek. Teren kościoła jest zamknięty.

— Wszystkich zabiliśmy?

— Tak ponad pięćdziesięciu.

— Nieźle, a jak tam nasi?

— Może być. Byliśmy dobrze przygotowani na atak. Wielki mistrz wiedział, że w końcu nas namierzą.

— Jak to się stało?

— Tego jeszcze nie wiemy, prawdopodobnie przypadek.

— Co z nami będzie? Zostaliśmy zdekonspirowani.

— Przesadzasz. Wszystko jest w normie. Dojdiesz do siebie i wrócisz nad ciepłe morze.

— A wróg?

— Na jakiś czas mamy spokój. Wierz mi, tak szybko nas nie zaatakują. Lepiej powiedz, jak się czujesz?

— Trochę jestem zmęczony.

— Zaraz przyjdzie piękna pani doktor. No, muszę lecieć, trzymaj się.

— Dzięki za odwiedzin.

Jean zamknął oczy, zasnął. Był bardzo zmęczony i osłabiony. Kiedy je znowu otworzył, ujrzał przed sobą piękną kobietę o jasnych włosach i błękitnych oczach.

— To pani.

— Tak, już się widzieliśmy. Jak się pan czuje?

— Dobrze, tylko nie mam siły.

— Stracił pan sporo krwi.

— Co pani tutaj robi?

— Jestem jednym z was. Odpowiadam za wasze zdrowie i łączność ze światem. Zaraz otrzyma pan kroplówkę, która powinna pana wzmocnić.

— Dziękuję.

— Teraz proszę odpoczywać.

— Co pani tutaj robi? Jest wojna, a pani jest taka piękna i młoda.

— Walczę za mój kraj, to wszystko!

Mężczyzna zamknął oczy. Lek podawany dożylnie dawał przyjemne ciepło. Po chwili spał niczym małe dziecko. Był ranny, jak kilku innych braci. Wygrali bitwę, ale zostali mocno osłabieni, potrzebowali posiłków, ale wielki mistrz bał się zbyt wielkiej liczby uzbrojonych i wyszkolonych

braci, bo mogliby się stać niebezpieczni dla państwa, a wówczas zostaliby błyskawicznie zlikwidowani.

Kiedy Jean się obudził, była już noc. Pusty już stojak na kroplówki stał obok. Postanowił iść do łazienki. Powoli zaczął wstawać. W tej samej chwili do celi wszedł wielki mistrz:

— Widzę, że czujesz się dobrze.

— Muszę skorzystać z toalety. Która godzina?

— Szósta rano.

— Już? Spałem tyle godzin?

— Cóż, trochę oberwałeś, a w takim stanie najlepiej dużo spać. Chodź, pomogę ci, ubikacja jest obok.

— Dziękuję. Co słychać na zewnątrz?

— Porządki. Dziś w zasadzie już nie ma śladu po bitwie.

— A media?

— Nikogo tutaj nie było i nikt nie przyjedzie, rozumiesz, bracie?

— Tak, chyba tak.

— Dasz sobie radę?

— Naturalnie.

Jean poczuł się lepiej, zjadł nawet śniadanie, postanowił odwiedzić brata, który leżał w celi obok. Był to nowy o imieniu Lucas. Ucieszył się na widok wchodzącego do jego celi mężczyzny, który od progu zagadnął:

— Dzień dobry. Nie przeszkadzam?

— Skądże. Dzielnie walczyłeś bracie, kilka razy ocaliłeś nam życie.

— Niemożliwe. Gdzie byliście?

— Broniliśmy kościoła. To nasza twierdza. Ale było nas zbyt mało.

— Jak to?

— Budynek kościoła jest niczym forteca, sprytnie przebudowany i wzmocniony, ma liczne stanowiska i klucznice flankujące ogień, ale do obrony potrzeba co najmniej dwudziestu pięciu ludzi, nas było zaledwie czterech, w tym sam wielki mistrz.

— Rozumiem. Jak przebiegła sama bitwa? Ze swojego bunkra niewiele widziałem poza dziedzińcem i kawałkiem ogrodu.

— Cóż... po prostu się broniliśmy. Ty karabinem maszynowym utrzymywałeś przedpole, my broniliśmy budynku, brat Gotfryd likwidował z wieży wszystko, co się rusza. Pozostali nasi ganiali jak w ukropie, rzucając wszędzie granaty. A wielki mistrz razem z nimi. To dzielny człowiek.

— Owszem, uratował mnie. Jak oberwałeś?

— Nieszczęśliwie. W nogi. Zmieniałem stanowisko, dostali mnie, ale walczyłem dalej, ręce mam sprawne, dzięki temu żyję.

— To była prawdziwa bitwa.

Mężczyźni rozstali się, Jean wrócił do swojej celi, położył na łóżku i natychmiast zasnął. Tak przeleżał cztery dni, aż wreszcie wielki mistrz pozwolił mężczyźnie wstać i wyjść do ogrodu. Otrzymał nowe, dobrej jakości ubranie i kilka

butelek wzmacniającego napoju. W odnowionych po bitwie ogrodach Jean spotkał Paula, który rażno kuśtykał o kulach w stronę przyjaciela:

— Witaj, Paul. Co się stało i skąd te kule?

— Miałem je przez cały czas, tylko przed tobą udawałem twarziela.

— Kiedy wracasz do rodziny?

— Za tydzień, a ty?

— Nic jeszcze nie wiem.

— Wyglądasz zdrowo i... jakie eleganckie ubranie, no, no.

— To prezent od wielkiego mistrza. W sumie to nie wiem, dlaczego.

— Nagroda za dzielność. A i to jeszcze nie wszystko.

— Nie rozumiem.

— Otrzymasz czarny samochód terenowy, lekko opancerzony. Zostałeś prawdziwym rycerzem.

— Jak to? Nie rozumiem?

— To już postanowione. O wszystkim dowiesz się wkrótce.

— Nie dokonałem niczego wielkiego.

— Przeciwnie. Zastrześliś dwunastu wrogów.

— No popatrz, nie wiedziałem. A co się z nimi stało?

— Cóż... zostali nawozem Paryża. Tylko taki z nich pożytek.

— Co będzie dalej?

— Nic. Wojna.

— Każdy konflikt kiedyś się kończy.

— Ten nigdy się nie skończy, wierz mi, on będzie trwał wiecznie.

Przestali rozmawiać, gdy dojrzelili idącego w ich kierunku wielkiego mistrza. Miał opatrunek na głowie i ręce. Na widok braci uśmiechnął się, po czym przez chwilę spoglądał, aż wreszcie się odezwał:

— Witajcie, bracia, dobrze was widzieć w zdrowiu.

— Myślałem, że wielki mistrz nie ucierpiał w walce.

— To tylko draśnięcia. Jak się czujesz, bracie Alexandre?

— Nieźle, tylko jestem ciągle głodny.

— To przez tę nową krew.

— Nie rozumiem.

— Musieliśmy ci zrobić transfuzję krwi, bracie. Masz nietypową grupę, jedynie nasza siostra Sarah posiada krew tej samej grupy. Jak ją spotkasz, możesz jej podziękować.

— Nie wiedziałem, nikt mnie nie poinformował. Oczywiście, że jej podziękuję.

— Dzisiaj w nocy wielka uroczystość. Przyjdź do mnie o siedemnastej, musimy pomówić, a teraz wypoczywaj, bo musisz być silny.

Wielki mistrz pożegnał braci, podszedł do kilku czerwonych i białych róż, powąchał jedną z nich, westchnął, przeżegnał się i wrócił do kościoła, by nadzorować naprawę uszkodzonej świątyni.

— A nie mówiłem? To twój awans.

— Co oznacza być rycerzem?

— Dowiesz się. No, na mnie już pora. Mam pomóc Gotfrydowi w zbrojowni, prowadzimy małą inwentaryzację.

— A gdzie pozostali bracia?

— Jedni w lazarecie, inni wypoczywają, a jeszcze inni pracują.

— Czyli że są tutaj wszyscy?

— Tak, wielki mistrz boi się, że wróg w ramach zemsty zacznie nas wybijać pojedynczo, dlatego przez tydzień będziemy tutaj skoszarowani razem.

— No tak, to brzmi rozsądnie.

Przyjaciele rozstali się. Jean wrócił do swojej celi. Na niewielkim stoliku stała misa z owocami, a obok leżały dwie tabliczki dobrej, belgijskiej czekolady. Obiad miał być dopiero za dwie godziny. Mężczyzna na widok smakołyków poczuł znowu ogromny głód, więc rzucił się na słodycze. Pochłonął szybko obydwie tabliczki słodkości i połowę owoców. Na łóżku dostrzegł czarną Biblię ze złotymi literami i symbolem templariuszy. Zrozumiał i poczuł, że teraz był naprawdę jednym z nich. Zdjął eleganckie ubranie i położył się spać. Obudził go zapach jedzenia. Kiedy otworzył oczy, na stoliku stał talerz pełen mięsa i warzyw. Smakowicie wyglądały i w rzeczywistości, znakomicie smakowały. Dochodziła siedemnasta, kiedy kończył. Umył twarz, wyczyścił zęby, założył ubranie i poszedł do kwatery wielkiego mistrza.

— Witaj, bracie Alexandre, obiad smakował?

— Tak, wielki mistrzu, był naprawdę dobry.

— Ciesz się mnie to. Usiądź, to ma być przyjacielska rozmowa.

— Dziękuję.

— Brat Antoine to gaduła, prawda?

— Nie rozumiem.

— To nic, nic... Jesteście przyjaciółmi, prawda?

— Znamy się od dziecka.

— Wiesz bracie, że to jemu zawdzięczasz przynależność do zakonu?

— Tak, wielki mistrzu.

— Znalazłeś Biblię?

— Tak, była w mojej celi.

— Nigdy się z nią nie rozstawaj.

— Rozumiem.

— Codziennie czytaj choćby jedną stronę. To pozwoli ci przetrwać i zwalczać wątpliwości, których jesteś pełen.

— Nie zaprzeczam.

— Dzisiaj zostaniesz rycerzem. To zaszczyt. Będziesz miał prawo do samochodu, wyższy żołd i dwóch giermków, którzy będą cię strzec. Nigdy ich nie poznasz, ale będziesz bezpieczny.

— Czym sobie na to zasłużyłem? Jestem nikim.

— Bardzo ładnie powiedziane. Twoje czyny zwróciły moją uwagę. To ja podjąłem decyzję.

— Dziękuję w imię Boże.

— Znasz te słowa bracie: „każdy z braci powinien się starać żyć uczciwie i we wszystkim dawać dobry przykład



ludziom ze świata”?

— To z Reguły pierwszych templariuszy.

— Tak. No, no, zaimponowałeś mi swoją wiedzą.

— Trochę czytam.

— Dobrze, tak będziesz musiał teraz żyć. Świecić przykładem, rozumiesz, prawda?

— Jak najbardziej. Dla mnie to oczywiste.

— Dobrze, a zatem co sądzisz o naszej organizacji? Tylko mów szczerze.

— Na pewno jest szlachetna i prawa. Walczymy w imię Boga z niewiernymi, którzy chcą zniszczyć nasz od wieków katolicki kraj. Ocaliliśmy wielu niewinnych ludzi. Martwi mnie jedynie ilość przelanej krwi, ale skoro tak musi być, niechaj tak się stanie.

— Dobrze powiedziane. Masz czasami wątpliwości?

— Tak, jak każdy z nas. Tak przynajmniej sądzę.

— To prawda, ale one miną. Jesteś dopiero na początku drogi.

— Rozumiem.

— Musisz wiedzieć, że rycerz podlega również karom. Tak mówi nasza Reguła, wzorowana na Regule Świątyni.

— Jakiego rodzaju są to kary?

— Różne. Pierwsza to utrata domu, czyli wykluczenie ze świątyni. Druga to utrata płaszcza, trzecia — tymczasowe odebranie płaszcza, czwarta — pokuta, piąta — sąd, szósta — wyrok. To by było wszystko.

— A za co grozi wykluczenie z zakonu?

— Złamanie tajemnicy, zabójstwo chrześcijanina... chyba, że to zdrajca. Poza tym sodomia, bunt, udowodnione tchórzostwo, herezja i zdrada oraz rabunek.

— To też pierwsza Reguła.

— To prawda. Czy jesteś zatem gotów zostać jednym z wybranych rycerzy Boga?

— Tak.

— Czy jesteś pewien?

— Tak.

— A zatem niechaj tak się stanie!

Kaplica była jasno oświetlona. Wszyscy bracia stali ubrani jednakowo w popielate garnitury i białe płaszcze oraz z przypiętymi do boków mieczami zawieszonymi na ciężkich pasach. Wielki mistrz jako jedyny przybył w czarnym garniturze, białej koszuli i tunice zarzuconej na ramiona. Przywitał wszystkich braci i długo wraz z nimi się modlił. Kiedy skończył, zaczął przemowę:

— Dzisiaj jest wielki dzień. Nasz brat Alexandre zostanie rycerzem, jednym z nas. Udowodnił swoją odwagę, dyscyplinę i lojalność. Zgodnie z naszą Regułą każdy z templariuszy musi wyrazić zgodę na pasowanie naszego brata.

— Amen.

Każdy z braci podchodził do nieco speszonego Jeana i kładł swoją rękę na jego ramieniu, wypowiadając: „zgadzam się”. Po tym ceremoniale kandydat na rycerza ukląkł przed wielkim mistrzem, a ten swoim mieczem zrobił

znak krzyża, po czym uderzył nim najpierw w prawe, a potem w lewe ramię Jeana, mówiąc na końcu:

— Teraz złożysz, bracie, przysięgę. Czy jesteś gotów?

— Tak, jestem gotów.

— A zatem powtarzaj za mną: „Będę zawsze czysty, zawsze wierny, nigdy się nie cofnę przed walką, nigdy nie zdradzę, tak mi dopomóż Bóg”.

— Będę zawsze czysty, zawsze wierny, nigdy się nie cofnę przed walką, nigdy nie zdradzę, tak mi dopomóż Bóg.

— Amen! — potoczyło się chóralne potwierdzenie przysięgi ze wszystkich gardeł zgromadzonych.

— Teraz jesteś rycerzem naszego zakonu. Idź i módl się przed figurą Jezusa.

— Tak jest.

Jean był raczej kiepskim katolikiem, podobnie do znacznego procentu swoich rodaków od czasów Wielkiej Rewolucji, jednak templariusze nauczyli rycerza modlitwy i pobożności. Poza tym czytał ciągle Biblię, co dodatkowo uczyło pokory i utwardzało jego duszę. Po krótkiej modlitwie odwrócił się w stronę wielkiego mistrza ze słowami:

— Jestem gotów, wielki mistrzu!

— Chodź, przyłącz się do nas, jedz i pij wino. Dzisiaj mamy święto i ucztę na twoją cześć. Weselmy się, zatem.

— Dziękuję, wielki mistrzu.

— Zdrowie naszego brata Alexandre’a, odważnego i roztropnego templariusza.

— Zdrowie!

Nowy rycerz po raz pierwszy ujrzał radosnych braci, nawet wielki mistrz kilka razy się uśmiechnął. Skromne ucztowanie przeciągnęło się do późnych godzin nocnych. Wreszcie rycerze osobiście posprząтали kaplicę i udali się na spoczynek.

Nowo pasowany rycerz miał przyjść następnego dnia rano do celi wielkiego mistrza. Nieco podпиты Jean wziął prysznic i położył się spać.

Syty i zadowolony obudził się dopiero na dźwięk kościelnego dzwonu, który ogłaszał szóstą rano. O siódmej miał być u przełożonego, więc zerwał się na równe nogi, klęknął, pomodlił się chwilę żarliwie, następnie ogolił się szybko, umył i ubrał w świeżą bieliznę, którą ktoś zostawił na jego krześle, po czym energicznym krokiem skierował się na spotkanie wielkiego mistrza. Ten przyjął gościa ze skromnym uśmiechem:

— Witaj, bracie, dobrze spałeś?

— Tak, trochę wczoraj wypilem wina, więc sen mi służył.

— Są chwilę, kiedy i my troszkę grzeszymy.

— Wybacz, wielki mistrzu.

— Każdy z nas jest tylko człowiekiem. Siadaj, proszę.

— Dziękuję.

— Oto twoje dokumenty. Masz nowe imię i nazwisko. Na wszelki wypadek pytam jeszcze raz: czy znasz Regułę?

— Tak.

— Wszystko zatem rozumiesz? Tutaj są dokumenty samochodu, broń, zezwolenia, gotówka, sztylet templariuszy, zapasowe magazynki i miotacz gazu.

— To dla mnie?

— Tak. A teraz rzecz najważniejsza, specjalny dokument.

— Co to takiego?

— Coś w rodzaju immunitetu. Nikt nie ma prawa aresztować cię na terenie Unii Europejskiej.

— Jak to możliwe?

— Nie pytaj. W razie kłopotów pokaż to każdemu oficerowi policji.

— Tak jest.

— Witaj w domu, bracie.

— Mam jeszcze jedno pytanie?

— Słucham?

— A co z tą moją eskortą?

— Uhm... więc wiesz? Nie wspominałem o niej, ale to niech cię nie martwi. Będą cię chronić bardzo dyskretnie, jakby byli powietrzem i wierz mi, na pewno będą ci potrzebni. Ale nie myśl już o tym.

— Dobrze, będzie według twojej woli.

— Czy jesteś już zdrowy? Dobrze się czujesz?

— Tak.

— Pomożesz mi w pracy w ogrodzie i na terenie kościoła.

W końcu jesteśmy zwykłymi ludźmi, prawda?

— Jak najbardziej.

Jean pozostał na terenie kościoła przez kilka dni, pracował ciężko w kuchni i w ogrodzie. Polubił wielkiego mistrza, który okazał się człowiekiem wesołym, skromnym i bardzo pracowitym. Nie zadawał żadnych pytań, jakby po prostu zabił w sobie grzech ciekawości. Wreszcie dostał pozwolenie na opuszczenie klasztoru, tygodniowy urlop i prawo wykonania telefonu do rodziny lub znajomych. Emma i Marie były szczęśliwe, że wreszcie się odezwał, ale dyskretnie o nic nie pytały. Tymczasem Jean wsiadł do swojego nowego samochodu, czarnego volvo XC60 z mocnym silnikiem diesela pod maską o mocy 215 koni mechanicznych. Samochód z lekkim opancerzeniem fotela i szyb ważył ponad dwie tony; dobrze się prowadził, miał przestronną kabinę i był pachnący nowością. Musiał kosztować krocie, ale templariusza to nie interesowało. Uruchomił silnik, włączył GPS i ruszył w kierunku południa Francji. Automatyczna klimatyzacja i wysoki komfort jazdy uczyniły podróż znośną. Prawie sześćset kilometrów minęło szybko i bezboleśnie.

Na miejscu Jean dostrzegł, że wszyscy jego wakacyjni współtowarzysze są pięknie opaleni, co kontrastowało z jego białą twarzą. Po serdecznym powitaniu, córka błysnęła oczami i z ciekawością zapytała:

- Uuu... tatku, skąd masz taki samochód?
- A, zaszalałem troszkę. Podoba wam się?
- Jest super.

— Ależ jesteście pięknie opaleni i wyglądacie na wypoczętych.

— W przeciwieństwie do ciebie. Wyglądasz, jakbyś wyszedł ze szpitala.

— Miałem nudną i niezwykle pilną pracę biurową.

— To widać.

— Chodź. Mamy dla ciebie niespodziankę.

— Naprawdę?

— Jest w salonie.

— Już idę.

Marie nie przesadzała. W salonie siedział na specjalnym posłaniu szczeniak owczarka niemieckiego. Miał jeszcze oklapnięte nieco uszy i szelmowskie, ciemne oczy. Na widok nowego przybysza zerwał się i z ujadaniem podbiegł się przywitać. Jeanowi zrobiło się ciepło w okolicy serca. Na chwilę zaniemówił, by wreszcie stwierdzić:

— Dziękuję... dziękuję bardzo, od zawsze chciałem mieć takiego psa.

— Jest twój. Wabi się Rufus i jest straszną szelmą.

— To piesek?

— Tak, stuprocentowy samiec.

— Jest wspaniały.

Mały owczarek natychmiast polubił swojego nowego pana, obgryzał mężczyźnie palce u rąk swoimi ostrymi jak brzytwa mlecznymi ząbkami, ganiał, szalał i ciągle był głodny. Wreszcie zmęczony zabawą padł na swoim posłaniu. Przez kilka godzin był spokój. Jean leżał w łóżku i czekał na

Emmę, która brała prysznic. Obok niego smacznie spał szczeniak, który bardzo szybko stwierdził, że sypialnia jest jego prawdziwym domem, a łóżko jednym wielkim kocykiem. Emma wreszcie wyłoniła się, rozprzestrzeniając zapach żelu pod prysznic i dyskretną woń perfum. Jean wyciągnął w jej stronę rękę ze słowami:

— Jesteś wreszcie, skarbie.

— No, jestem, a co tutaj robi ten łobuziak? A sio z nim. To nasze łóżko. On ma swoje poślanie.

— Och, wiesz... jakoś nie miałem serca go zgonić. Tak słodko sobie cichutko pochrapuje.

— No, dobrze, powiedzmy, że wszystko rozumiem, ale to lekka przesada.

— Daj spokój, będę ostrożny.

— Wiem, że jest śliczny, ale jak będziemy się kochać?

— Pójdziemy do salonu, tam jest większe łóżko, a Rufus tutaj zostanie.

— Eeech... Coś tu jest nie w porządku. Pies w łóżku, któż by to pomyślał, ale dobrze, skoro tak chcesz, chodźmy.

Kochali się długo i namiętnie, aż wreszcie zmęczeni odpoczywali, leżąc obok siebie. Jean pił zimne piwo i patrzył w biały sufit salonu, a kobieta wtuliła się w jego ciało. Zauważyła świeże blizny, ale bała się pytać, nie chciała o tym nawet myśleć. Zagadnęła w innym temacie:

— Wiesz, skarbie, może byśmy wynajęli jakiś domek na przedmieściach? Taki mały z ogródkiem? Pies miałby gdzie



pobiegać... Masz trochę pieniędzy, to na początek wystarczy.

— A co z mieszkaniem w Paryżu?

— Marie i Thomas chętnie w nim zamieszkają.

— Widzę, że sobie już wszystko ustaliłaś, co? — uśmiechnął się, przekrzywiając głowę w jej stronę.

— Coż... owszem, tak, miałam trochę czasu...

— W porządku zatem, jestem za. Tu, na południu po raz pierwszy mieszkam w domu i zaczynam rozumieć, jaki to komfort.

— No właśnie.

— Ten piesek to miało być coś, co mnie przekona?

— Uhm... zgadłeś.

— No, to ci się udało.

— Mam tylko jedno pytanie.

— Słucham?

— Skąd miałeś tyle forsy na ten samochód?

— Szczerze?

— Jak najbardziej.

— To volvo jest służbowe. Tylko tyle mogę powiedzieć, wybacz, kochanie, to musi ci wystarczyć.

— Dobrze, mam o nic nie pytać?

— Tak będzie najlepiej.

— Rozumiem.

— Fajne jest to łóżko, ale piesek piszczy w pokoju, więc muszę się nim zająć. Przepraszam.

Kolejne dni mijały powoli i beztrosko. Thomas przestał się interesować swoim przyszłym teściem. Kiedy zobaczył opancerzone volvo, zrozumiał, że Jean może być kimś ważnym, kto wie, może nawet pracuje dla rządu. Wiedział, że zadawanie pytań takim osobom może się źle skończyć. Poza tym Jean wydawał się interesować tylko i wyłącznie psem, z którym nie rozstawał się ani na krok. Marie z chłopakiem pojechali do jednej z restauracji, gdzie miał się odbyć koncert muzyki oryginalnej i nietuzinkowej, Jean siedział w ogrodzie i bawił się z psem, rzucając mu gumową zabawkę, a Emma właśnie skończyła przygotowywać kolację, podeszła do Jeana i powiedziała:

— Wiesz, kochanie, rozmawiałam z koleżanką. Ma mały domek z ogrodem do wynajęcia niedaleko Paryża. To spadek po jej rodzicach. Jest w dobrym stanie. Może ta oferta okaże się interesująca. Mam zdjęcia w telefonie.

— Tak, chętnie obejrzę.

— Nawet nie jest drogi. Pytałam o cenę najmu.

— O pieniądze się nie martw.

— Jak to?

— Mam drugą pracę, dobrze płatną. Paul mi załatwił... jako informatyk.

— Aaa, to stąd te wyjazdy.

— Tak. Mogę obejrzyć te zdjęcia?

— Oczywiście. Zaraz przyniosę telefon.

Zaskoczona Emma pobiegła do kuchni, by przynieść kolację. Jean uważnie i starannie przeglądał liczne zdjęcia.

Domek był faktycznie nieduży, wybudowany zaraz po wojnie, miał żółtą, odnowioną elewację, zielony balkon i garaż na jeden samochód. Ogród był troszkę zarośnięty, ale sprawiał wrażenie sporego. W środku na parterze znajdowała się duża kuchnia, łazienka, ubikacja oraz salon i sypialnia, a na niewielkim piętrze, do którego wiodły typowe francuskie kręte drewniane schody, usytuowane były dwie sypialnie i łazienka wraz z ubikacją i schowkiem na szczotki.

— Nieźle to nawet wygląda, tylko nie ma żadnych mebli.

— Owszem, bo to były stare rodzinne pamiątki i zostały zabrane przez rodzinę.

— Musielibyśmy coś kupić, choćby łóżko.

— Cóż... chyba nie ma z tym problemu, prawda?

— Nie, kochanie, ale domek musimy obejrzeć osobiście, bo zdjęcia zwykle przekłamują prawdziwy obraz rzeczy.

— To prawda. Kiedy wracamy do Paryża?

— Mam wolne do niedzieli.

— To wspaniale.

— Znudziło ci się morze?

— Skądże, ale wydaje mi się, że trochę przeszkadzamy młodym.

— Nie sadzę. I tak zostanie im jeszcze tydzień dla siebie, kiedy my wyjedziemy.

— Zabierz mnie nad morze, teraz... to znaczy, po kolacji.

— Rufus też musi z nami pojechać.

— Oczywiście, nie przeszkadza.

Zachód słońca nad morzem zawsze działa na ludzi tak samo, są nim kompletnie zauroczeni. O tej porze na deptaku przy plaży znajdowało się kilkanaście par w różnym wieku. Jedni spacerowali, inni leżeli na kocach, znudzeni ciepłem. Jean prowadził małego owczarka ubranego w psie szelki, który koniecznie chciał każdego obwąchać, polizać, ewentualnie ugryźć, zapraszając całą swoją postawą do zabawy. Szczeniak wzbudzał powszechne zainteresowanie i radość. Kiedy dotarł do wody, zupełnie oszalał. Gdy bryza fali słonej cieczy go ochlapała, zjeżył się i zaczął szczekać bez opamiętania z istną paniką w oczach. Wreszcie zmęczony położył się na złotym piasku i zawzięcie gryzł ulubioną zabawkę, aż padł.

— Ten pies jest niesamowity.

— Taaak, rzeczywiście ma szelmowski charakter.

— Dziękuję ci, Emmo, za ten prezent. Nawet nie wiesz... sam właściwie nie zdawałem sobie z tego sprawy, jak bardzo potrzebowałem psa. Mam ostatnio stresujące życie.

— Zauważyłam. Wiesz, że Marie i Thomas zamierzają się pobrać?

— Tak szybko?

— Od dawna są dorośli. Nic ci nie mówili, choćby Marie?

— Nie, nawet nie wiem, jak długo są razem.

— Trzy lata.

— Niemożliwe. Ależ ten czas szybko płynie.

— Takie są fakty. Ale co o tym sądzisz?

— Nie wiem. Trochę mnie zaskoczyłaś tą wiadomością.

— Wiem o tym.

— To robota Marie? Chciała wybadać staruszkę?

— Wiedziałam, że się domyślisz.

— Na razie nie chcę o tym rozmawiać. Moja mała córeczka jest jeszcze zbyt młoda.

— To dojrzała, piękna i mądra kobieta.

— Dla ciebie... Dla mnie to jeszcze dziecko.

Na południu Francji noc przychodziła nagle. Jean szedł do samochodu, niosąc sporego szczeniaka na rękach, który smacznie chrapał zmęczony szaleństwami dnia. Długie i grube łapy owczarka wisiały luźno spod żyłastych rąk mężczyzny. Jean starannie ułożył śpiącego psa na kocyku przygotowanym na tylnym siedzeniu w samochodzie i ostrożnie ruszył. Potężne volvo, mrużąc silnikiem, spokojnie toczyło się w kierunku starego domu. Na miejscu okazało się, że młodzi ludzie jeszcze nie wrócili. Emma i Jean posprząтали kuchnię oraz nastavili zmywarę. Mężczyzna położył psa na łóżku i otworzył zimne piwo. Emma, widząc to, spytała:

— Jak samopoczucie?

— Dobrze, kotku. Martwi mnie tylko Marie. Dlaczego jeszcze nie wrócili? Jest już późno.

— Daj spokój, dopiero północ.

— Zadzwoń do niej.

— Nie, daj spokój, na pewno są bezpieczni na koncercie.

— Dobrze, to może ty do nich zatelefonujesz?

— Absolutnie nie! Zwariowałaś?

— Przepraszam. Naprawdę się martwię. Te ostatnie wydarzenia we Francji...

— Ooo... słyszę głosy. To pewnie oni.

— Pójdę sprawdzić.

Młodzi ludzie właśnie wrócili z koncertu. Byli nieco oszołomieni alkoholem i bardzo zadowoleni, nawet Thomas zdawał się radośniej nastawiony do teścia, pił z nim piwo i głaskał po brzuchu leżącego obok szczeniaka, co ten przyjmował z radością i uznaniem. Wreszcie wszyscy ułożyli się do snu i spali smacznie aż do dziesiątej godziny rano, kiedy obudziły wszystkich odgłosy uderzających o okna i parapety wielkich kropel deszczu. Nad morze zawitała ostra letnia burza.

— Trzeba pochować krzesła i stół do kuchni. To drzewo afrykańskie, które nie lubi wody.

— Już biegnę.

— Jeszcze to pranie na zewnątrz... Ależ leje... Wszystko zmoknie! Uważaj! Pies za tobą biegnie!

— Spokojnie, Emma. Nie panikuj. Sytuacja zostanie zaraz opanowana.

Jean pozbiierał mokre ubrania, schował zestaw wypoczynkowy do kuchni, wytarł psa i zmęczony zasiadł za stołem w kuchni, obserwując szalejącą na zewnątrz nawałnicę, gdy niespodziewanie obok niego zjawił się Thomas z butelką piwa w ręku.

— Napije się pan?

— Nie, dziękuję, nie mam ochoty, ta pogoda zniechęca mnie do życia. Nienawidzę deszczu. Poza tym trochę jest jeszcze wcześniej.

— Rozumiem. Chciałem pana przeprosić.

— Za co?

— Zachowałem się głupio i arogancko.

— W pewnym sensie tak, ale to już historia.

— Obiecuję, że już nigdy nie będę ciekawski. Serio.

— Im mniej wiesz, tym dłużej żyjesz. Pamiętaj. To całkiem niezła dewiza życiowa.

— To prawda. Zachowałem się jak gówniarz. To było głupie i niewłaściwe.

— Sam tutaj przyszedłeś, czy przysłała cię Marie?

— Ona nic o tym nie wie.

— W porządku. Masz broń?

— Nie.

— A potrafisz posługiwać się pistoletem lub karabinem?

— Tak.

— To kup dobrą broń i opiekuj się moją córką. Nie pozwól jej nigdy nikomu skrzywdzić.

— Na co mi broń?

— Jest wojna. Każdy może w każdej chwili zginąć na ulicy.

— O czym pan mówi?

— Jeśli chcesz być z moją córką, musisz nauczyć się ją chronić, rozumiesz?

— Skoro pan nalega.

— A teraz idź już, Thomas. Jesteś w porządku, ale następnym razem mnie słuchaj. Nie chciałbym, by mojej Marie stała się jakakolwiek krzywda.

— Tak, naturalnie.

Nieco zbity z tropu młody człowiek powoli wyszedł z kuchni, dyskretnie oglądając się na szczupłego, niepozornego mężczyznę siedzącego w głębokim bujanym fotelu i obserwującego wielkie krople deszczu spływające po szklanych drzwiach prowadzących do ogrodu. Niespodziewanie obok Jeana stanęła Marie i zagadnęła:

— Tatku, wszystko w porządku?

— Marie... to ty, moje dziecko?

— Tak, przyszedłam nalać sobie kawę. Oglądamy we trójkę ciekawy program w telewizji, a twój pies okropnie rozrabia. Przyjdiesz do nas?

— Za chwilę. Muszę w spokoju przemyśleć kilka spraw.

— Dobrze. Zrobić ci też kawę?

— Nie, dziękuję.

W pewnym momencie Jeana zmorzył sen. Pogoda oraz fotel uspiły mężczyznę na dwie godziny. Kiedy otworzył oczy, deszcz nadal padał wielkimi, ciężkimi kroplami, a pies spał u jego stóp, zaś w domu panowała dziwna cisza. Mężczyzna dostrzegł kartkę leżącą na stole, na której znalazł informację, że wszyscy pojechali na zakupy do centrum handlowego położonego pomiędzy łanami pszenicy i kukurydzy. Został sam. Wziął psa na ręce i zaniósł do pokoju, a tam razem z nim położył się na łóżku i zaczął



czytać Biblię. Po godzinie odłożył Nowy Testament i wyciągnął z plecaka broń. Korzystając z samotności, wyczyścił obydwie pistolety — starego colta i nowego glocka. Wreszcie usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i krzyki Marie oraz Emmy, więc szybko schował broń i zszedł na dół, gdzie Emma zagadnęła go:

— Ooo, jesteś, kochanie. Wiesz, nadal pada.

— Tak, niestety.

— Jutro wracamy do Paryża. Przygotujemy wieczorem wspaniałą kolację.

— Dobrze, to miło, że o tym pomyślałaś.

— Pomożesz nam wypakować samochód?

— Naturalnie, tylko wezmę kurtkę.

— A jak tam Rufus?

— Chrapie sobie smacznie w łóżku. On również nie lubi deszczu.

— Tak jak jego pan, prawda?

— Owszem. Gdzie to wszystko zanościć?

— Do kuchni, ustawiaj torby na stole.

— Chyba trochę przesadziliście?

— Będziemy mieli gości.

— Co takiego?

— Odwiedzą nas rodzice Thomasa.

— Tutaj? Dzisiaj?!

— Jak najbardziej. Kupiłam nawet bardzo dobre i drogie wino.

— Jestem zaskoczony.

— Będzie fajnie, zobaczysz. Włożysz ten swój nowy garnitur?

— Został w Paryżu.

— Trudno. Idź się ogolić, bo oni niedługo tutaj będą.

Rodzice Thomasa, jak przystało na starą francuską arystokrację, przybyli punktualnie. Jean z zainteresowaniem przyglądał się parze miłych i kulturalnych ludzi. Mama chłopaka była kobietą lat około pięćdziesięciu, szczupłą, o nienagannej figurze, zadbaną i dobrze ubraną, ojciec był wysokim, postawnym mężczyzną, nosił okulary i lubił się ubierać w stylu sportowym. Przywitał się z Jeanem i Emmą i zamienił z nimi kilka ciepłych słów. Zaczęła się długo oczekiwana kolacja. Wieczorne biesiadowanie rozpoczęto modlitwą, którą zgodnie z katolicką tradycją odśpiewano. Kolacja trwała do późnych godzin nocnych. Po kolacji goście podziękowali za mile spędzony wieczór i poczęstunek, po czym odjechali do krewnych na nocleg. Jean poczuł ulgę. Obawiał się, że młodzi oficjalnie ogłoszą oświadczyzny, ale na razie było to tylko zapoznanie stron.

— Jak się czujesz?

— Dobrze. Bardzo mili ludzie. Nawet przyjemnie spędziliśmy wieczór. Jedzenie było wyśmienite, wino również.

— Przyznaj się, że bałeś się, że młodzi się ujawnią ze swoimi planami. Mam rację?

— Tak. Marie jest dla mnie wszystkim. A gdzie Rufus, rozrabiaka?

— Chrapie pod stołem w salonie. Dokazywał cały wieczór.

— Jak on przeżyje tę podróż? Mam nadzieję, że nie ma choroby lokomocyjnej.

— Kupiłam specjalne krople, będziemy często się zatrzymywać.

— Dobrze. A teraz chodźmy już spać.

Jean z Emmą oraz Rufusem wyjechali następnego dnia około południa. Piesek zniósł bardzo dobrze długą podróż — bez przerwy spał. Kiedy dojechali na do Paryża, było już ciemno. Pies był zaniepokojony zmianą miejsca zamieszkania i bez przerwy szczekał, ale w końcu zmęczony zasnął w miękkim fotelu. Następnego dnia Jean z Emmą mieli udać się na oględziny domku. Była to niedziela. Oboje spali jeszcze, kiedy nagle zawarczał telefon mężczyzny. Na szczęście zmęczona kobieta nie obudziła się. Jean otrzymał wiadomość, że w poniedziałek o dwudziestej pierwszej zaplanowane było spotkanie w kaplicy templariuszy w sprawie najwyższej wagi. Jean odłożył słuchawkę i natychmiast zasnął. Spotkanie w sprawie domku zaplanowane było na jedenastą, był sierpień, więc prawie wszyscy mieli urlopy. Z głębokiego snu obudził mężczyznę zaspany głos Emmy:

— Kochanie, pies piszczy, trzeba go wyprowadzić i nakarmić.

— Ojej, zapomniałem o Rufusie.  
— Pewnie zasikał całą kuchnię.  
— Zdaje się, że nie tylko zasikał.  
— Na stole leżą torebki foliowe, które kupiłam specjalnie do sprzątania po nim.

— O, dzięki.

Zgodnie z przypuszczeniami Jeana, piesek nabałaganił w kuchni, jak tylko potrafił, obsikał meble, wywrócił wysoki kosz i wszędzie powyrzucał jego zawartość. Ukoronowaniem było jeszcze dodatkowo obgryzienie nóg taboretów. Jean odbył długi spacer po ulicach Paryża z zadowolonym i ciekawskim pieskiem, posprzątał po nim, po czym wykończony wrócił do mieszkania.

— To bydlę mnie zamęczy. Bierzemy ten domek, nieważne jak wygląda.

— Przykro mi, chciałam dobrze.

— On musi wszystko zobaczyć, wszystkiego dotknąć, ugryźć, obsikać i obszczekać.

— Bo to szczeniak, a one tak mają.

— Zapomniałem już, ile uwagi wymagają dzieci.  
Wieczorem ty z nim wyjdiesz.

— Dobrze. Przygotowałam śniadanie.

— Dziękuję, jak daleko jest do tego domu?

— Jakieś trzydzieści, czterdzieści minut.

— Zaraz będę gotowy. Nie wypada się spóźnić.

— A co z psem?

— Zostanie zamknięty w kuchni.

— Dobrze.

— Ależ mnie bolą nogi. Dawno tyle się nie nachodziłem.

— To dla zdrowia.

— Mam nadzieję, ale powietrze w naszym mieście do czystych nie należy.

Ostatecznie Jean się wreszcie uspokoił. Dzięki dobrej nawigacji i znajomości miasta bezbłędnie dotarli na miejsce. Domek okazał się uroczy i zadbany. Właścicielka, zgodnie ze zwyczajem, przed wynajęciem domu zrobiła remont i odświeżyła ściany, do uporządkowania został tylko ogród. Jean obejrzał starannie stare, solidne kute ogrodzenie, bramę oraz ogród i zadowolony spytał właścicielkę o kilka szczegółów, po czym zawarli umowę. Mieli wprowadzić się za tydzień, od pierwszego września, cena nie była wygórowana, okolica senna i spokojna, no i pies miał dobre warunki do swoich szaleństw. Po podpisaniu umowy zadowoleni przyszli lokatorzy odebrali jeden komplet kluczy i wrócili do mieszkania Emmy. Pies bardzo się ucieszył na ich widok, cały czas spał, więc kuchnia ocalała. Jean, przyglądając się figlarnie spoglądającemu na niego psu, oświadczył:

— Musimy tam zabrać Rufusa.

— Tak, kochanie, przy okazji przeniesiemy też kilka rzeczy, talerze, kubki, sztuce, które na pewno się przydadzą. Poza tym mam kilka zbędnych krzesel, taboretów i środków czystości.

— No to w drogę.

— Czekaj, zjedzmy coś. Potem pojedziemy do sklepu, żeby zamówić meble, przynajmniej sypialnię. Poza tym prąd w domku włączy dopiero jutro o dziewiątej.

— Racja. Dobrze, najpierw obiad, potem sklep, a następnie wycieczka.

— Dokładnie w tej kolejności.

Jean z Emmą wrócili do mieszkania wieczorem, byli zmęczeni, ale szczęśliwi. Rufus zbadał dokładnie nowe miejsce, przegnał z ogrodu kudłatego kota sąsiadów, wykopał wielką dziurę i załatwił się na środku kuchni, co miało chyba oznaczać, że mu się tutaj podoba. Zbliżała się godzina spotkania z braćmi zakonu templariuszy. Pożegnał swoją kobietę, której nagle zrobiło się smutno z powodu jego nagłego wyjazdu i pobiegł do windy. Przybył na miejsce punktualnie, wszedł tajnym przejściem do kaplicy, włożył płaszcz, założył pas z mieczem i zajął swoje miejsce pomiędzy milczącymi braćmi. Wszyscy czekali na wielkiego mistrza, który przybył dwie minuty później, i powitał wszystkich zebranych:

— Witajcie, bracia, miło mi was widzieć wszystkich w szczęściu i zdrowiu. Nasz kościół, ogród i jego otoczenie zostało doprowadzone do porządku, przygotowaliśmy też kilka niespodzianek dla przyszłych napastników. A teraz głos zabierze brat Antoine.

Jean zdumiał się. Paul rzadko odzywał się na rycerskich spotkaniach, sytuacja musiała być naprawdę wyjątkowa. Na

znak przemowy i skruchy postawny policjant położył swój miecz na stole, po czym zaczął przemowę:

— Bracia! I ty, wielki mistrzu! Stała się rzecz trudna dla mnie i dla nas wszystkich... trudna i niebezpieczna zarazem. Oto zlokalizowałem przeciek. Przykro mi, że zdradził nas policjant z mojego biura, Marokańczyk, człowiek całkowicie zdominowany przez fanatyzm religijny. Śledził mnie za pomocą radiolokatora, przez co wykrył nasz dom, naszą świątynię. Na szczęście razem z bratem Gotfrydem w porę unieszkodliwiliśmy zdrajcę, to znaczy jest w naszej izbie tortur, jeszcze żywy.

— Dziękuję, bracie, za dobrą służbę. Przyprawadźcie, bracia, tego człowieka. Chcę osobiście przesłuchać wroga!

— Tak jest!

Brat Gotfryd wraz z Paulem szybko udali się do podziemnego pomieszczenia, a po chwili przyprowadzili typowego, śniadego przedstawiciela rasy arabskiej. Kiedy zdjęto jeńcowi worek z głowy oraz wyciągnięto knebel z ust, stał przez kilka minut oniemiały na widok rycerzy w białych płaszczach z czerwonymi krzyżami. Wreszcie wstał z kolan, spojrzał po twarzach wszystkich templariuszy i zaczął krzyczeć:

— Niewierne psy! Nie wiecie, z kim macie do czynienia! Wszystkich was zabijemy! Allah jest po naszej stronie! Wasza krucjata upadnie, zdechniecie pod naszym butem!

Wielki mistrz przez kilka minut cierpliwie słuchał wrzasków i obelg terrorysty, by wreszcie dać znać

stojącemu w rogu kaplicy Gotfrydowi, który podszedł do Araba uzbrojony w policyjną pałkę i jednym sprawnym ciosem w nogi przywrócił ciszę w kaplicy. Zdrajca upadł i nieco spokojnie, a wielki mistrz podszedł do niego i zaczął spokojnie mówić:

— Dostałeś od Francji wszystko. Dlaczego teraz chcesz ją zniszczyć? To twoja nowa Ojczyzna, którą sam wybrałeś. Odpowiadaj!

— Psie niewierny! Europa jest nasza! Gdy nadejdzie wiosna, przybędą miliony naszych ludzi, gotowych do wojny, a kiedy nadejdzie odpowiednia chwila chwycą za broń. Zajmiemy wasze kraje. A wiesz dlaczego? Bo jesteście głupi i słabi!

— Na razie jesteś w naszych rękach i żywy stąd nie wyjdiesz, a zabije cię kobieta, własnoręcznie, nożem, w waszym stylu. Wiesz, co to oznacza?

— Łżesz! Moi bracia upomną się o mnie, wiedzą, gdzie jesteście!

— Mylisz się. Twoich braci już nie ma, wszyscy nie żyją, cała pięćdziesiątka, nikt cię nie ocali. Mów, co wiesz, a zabije cię mężczyzna, to zginiesz jak żołnierz.

— Tu nie ma kobiet! Nic mi nie zrobicie.

— Bracie Gotfrydzie, zawołaj Sarah.

— Tak jest!

Po kilku minutach weszła do kaplicy piękna kobieta w czarnym płaszczu. Miała rozpuszczone włosy, a w ręku trzymała duży sztylet. Na jej widok więzień drgnął, spojrzał



przerażony na wielkiego mistrza. Zrozumiał, że ten nie żartuje.

— I co powiesz teraz?

— Niewierne psy! Niczego się ode mnie nie dowiecie!

— Masz minutę, później zostaniesz poddany torturom i zabity przez kobietę, a twoje prochy zasilą paryskie trawniki.

— Nie odważycie się.

— Miałeś szansę. Zabierzcie tego nędznika do izby tortur, a mordujcie go tak, by czuł, że umiera. Nie ma litości dla zdrajcy.

— Rozkaz!

Bracia Gotfryd i Antoine zabrali więźnia do izby tortur, a za nimi z kamienną twarzą udała się Sarah. Przez chwilę w kaplicy panowała cisza, którą przerwał głos wielkiego mistrza:

— Słyszeliście, bracia, że dałem temu człowiekowi szansę?

— Tak!

— Teraz będzie cierpiał i zdechnie jak wściekłe zwierzę.

— Rzekłeś, wielki mistrzu.

— Módlmy się, bracia, oby Bóg wybaczył temu człowiekowi jego zło.

— Amen.

Więzień poddał się szybko. Na przemian zdradzał tajemnice, innym razem odgrażał się, prosił o litość, przeklinał, aż wreszcie całkiem oszalał od tortury kropli

wody. Templariusze wiedzieli już wtedy wszystko. Byli w ogromnym niebezpieczeństwie. Następnie wróg został profesjonalnie zgładzony przez Sarah, która zaraz potem zniknęła w jednym z licznych korytarzy. Bracia zapakowali ciało więźnia w specjalne worki i przygotowali do transportu. Jeszcze tej nocy wróg miał zostać spalony.

Bracia w milczeniu wrócili do kaplicy, podszli do swoich foteli i uklękli obok nich. Przez chwilę obaj się modlili, po czym wielki mistrz ruchem ręki pozwolił mężczyznom wstać.

— Mówcie, bracia. Najpierw ty, Gotfrydzie.

— Powiedział, czego żądaliśmy, zdechł jak wściekły pies, dzisiaj zostanie spalony.

— Dobrze, bracie, usiądź. Teraz ty, bracie Antoine.

— Dziękuję za prawo głosu. Nie jest dobrze, bo wróg podał nasz adres do centrali Al-Kaidy.

— Gdzie to jest? W Europie?

— Tak, w Brukseli, niedaleko parlamentu.

— Rozumiem, kontynuuj bracie.

— O tyle dobrze, że tamci stwierdzili, że to bzdura, ale jeden z nich na wszelki wypadek wysłał oddział likwidacyjny, który został przez nas wybity do nogi, więc tamci na razie nic nie wiedzą, ale jak dojdą do wniosku, że to my ich zabiliśmy, to przybędzie tu cała horda tych barbarzyńców obwieszonych dynamitem.

— Dobrze, a zatem co robimy, bracia?

Zapanowała cisza. Zebrani spojrzeli ukradkiem po sobie. Jean dobył miecz i położył na kamiennym stole na znak, że prosi o głos. Wielki mistrz spojrział na niego z zainteresowaniem, uderzył mieczem o granit na znak, że udziela zgody na przemówienie:

— Dziękuję, wielki mistrzu.

— Mów bracie, jesteśmy ciekawi twojej opinii.

— Ktoś kiedyś powiedział, że najlepszą obroną jest atak. Moim zdaniem powinniśmy pojechać do Brukseli i zaatakować wroga w jego siedzibie, gdzie czuje się bezpiecznie i nie spodziewa się żadnej napaści. Zabijemy ich wszystkich, to na pewno da nam kilka miesięcy spokoju. Znamy adres, zaskoczmy wroga.

— Hm... nieźle, nieźle... Kto jeszcze chce zabrać głos?

Ku zaskoczeniu wszystkich braci najmłodszy z templariuszy delikatnie uderzył mieczem, wielki mistrz zdumiony spojrział na brata Lukasa i zachęcił go:

— Śmiało, bracie, masz prawo jednego przemówienia, a zatem słuchamy cię, mów!

— Pomysł uważam za bardzo dobry. Mieszkałem przez dwanaście lat w Brukseli, znam dobrze miasto, byłem kurierem, zgłaszam się na ochotnika, na pewno się przydam.

— Brawo, bracie! Czy ktoś chce jeszcze wygłosić swoje zdanie?

Tym razem mieczem mocno uderzył brat Gotfryd. Ponury olbrzym wstał i podziękował za prawo głosu:

— Wielki mistrzu, jestem kiepskim mówcą, znacie mnie, a zatem powiem krótko. Brat Alexandre ma rację, trzeba ich zabić, zgłaszam się na ochotnika, na pewno się przydam.

— Dziękuję. Kto jeszcze chce uczestniczyć w akcji?

Zgłosili się wszyscy, ale wielki mistrz do grupy trzech braci dodał tylko Paula jako koordynatora i znającego policyjne procedury doświadczonego detektywa. Dwie grupy niewidzialnych giermków miały osłaniać akcję. Plan miał być gotowy w ciągu dwudziestu czterech godzin, czas naglił. Podczas dalszej dyskusji okazało się, że sztab terrorystów liczył zaledwie siedmiu ludzi i pięciu strażników, co ułatwiało sprawę.

— A zatem, bracia, jutro o tej porze chcę zobaczyć plan akcji. Kto za to odpowiada?

— Brat Alexandre.

— Dobrze. Módlmy się, bracia, do Boga o powodzenie naszej misji.

— Amen.

— Wszyscy stawią się tutaj jutro o zwykłej porze.

— Tak jest!

Plan operacji był prosty. Należało dokonać chirurgicznego uderzenia, zlikwidować szybko wrogów bez zostawiania śladów i uprowadzić przynajmniej jednego jeńca. Sprawę ułatwiał fakt, że przywódcy terrorystów mieszkali w wynajętym pałacyku z daleka od innych domostw. Templariusze szybko ustalili miejsce ataku,

sprawdzili teren. Było czysto, nigdzie nie dostrzeżono żadnych pułapek czy specjalnych alarmów. Wróg był, jak zwykle, pewny siebie. Zresztą, czego mieli obawiać się w takim państwie jak Belgia?

Templariusze spotkali się następnego wieczoru. Wielki mistrz długo i starannie studiował plan akcji. Nie był do końca zadowolony. Największym jego atutem był element zaskoczenia. Najmniejsze potknięcie spowoduje klęskę misji.

— Nie ma innej alternatywy, bracia?

— Raczej nie. Przyjeżdżamy nocą jako belgijska policja z rutynową kontrolą. Dokumenty już mamy, samochody również. Myślę, że nie będą stawiali oporu, ot zwykły nalot.

— Spore ryzyko.

— Jesteśmy na to przygotowani.

— Nie chcę was stracić, jesteście zbyt dobrymi rycerzami.

— Mamy eskortę.

— Dobrze... niech będzie... Atakujcie w imię Boże.

— Amen.

— Ruszajcie, bracia, na wyprawę.

— Niechaj Bóg będzie z nami!

Templariusze padli na kolana, modlili się przez chwilę, by po chwili udać się wreszcie do zbrojowni, w której brat Gotfryd z wielką wprawą kompletował, broń, mundury i uzbrojenie. Po godzinie w kierunku Belgii szybko podążały

dwa czarne samochody. Kilka kilometrów za nimi dwa kolejne auta eskortowały grupę komandosów.

— Po raz pierwszy odczuwam zdenerwowanie.

— A ty, Paul?

— Tak. Przecież będziemy działać na obcym terenie i jeśli wpadniemy, nikt nam nie pomoże.

— Sądziłem, że mamy licznych przyjaciół i sympatyków.

— Owszem, we Francji, ale w Belgii będziemy sami.

— Rozumiem.

— Jak wejdziemy do budynku i rozwalimy tamtych, zajmiesz się monitoringiem. Nie możemy zostawić żadnych śladów, krwi, łusek, odcisków, nic, najmniejszego nawet włoska.

— Tak jest.

— To musi być akcja doskonała. Mamy mało czasu na powrót, dlatego będziemy jechać szybko. Mamy specjalne tablice, więc nikt nas nie powinien zatrzymać.

— Dobrze.

— Jesteś gotów na śmierć?

— Jak zawsze.

— I za to cię lubię. Ta twoja ironia zawsze mnie rozbijała. Masz ją po ojcu, prawda?

— Tak, już o tym zapomniałem.

— Gdyby żył, pewnie by jechał teraz razem z nami.

— Pewnie tak. Uwielbiał takie akcje. Był urodzonym spadochroniarzem.

— Jesteśmy już w Belgii.

Samochody zatrzymały się przy jednym ze zjazdów z autostrady, templariusze włożyli mundury belgijskiej policji, zmienili numery rejestracyjne samochodów i szybko ruszyli w dalszą drogę.

— Lukas zna te tereny?

— Tak, mieszkał niedaleko.

— Bardzo dobrze, niech nas prowadzi bocznymi drogami.

— Zaraz przekażę.

— Musimy zachować ciszę i ostrożność.

— Tak jest.

— Poinformuję eskortę, żeby do nas dołączyła, ale nie wolno im na razie wychodzić z samochodów. Będą naszym odwodem.

— Rozkaz.

Satelitarny obraz nieco zniekształcał rzeczywistość. Kiedy znaleźli się na miejscu, pałac okazał się znacznie większy, a brama solidna i wysoka na pięć metrów, ale na szczęście posiadała wartownię, w której stał starszy człowiek. W ostatniej chwili Paul zdecydował, że wjadą wszystkie cztery pojazdy. Niedługo dotarli do bramy. Leciwy ochroniarz spojrzął na zegarek i podszedł do furtki:

— Wiecie, panowie, która jest godzina?

— Tu policja. Mamy nakaz przeszukania posiadłości.

— O tej porze? Tam wszyscy śpią.

— Takie mam rozkazy.

— Proszę przyjechać o ósmej rano. Taki mamy zwyczaj, wcześniej nikogo nie przyjmujemy.

Paul zaczął się niecierpliwić, dziadek był uparty i nie zamierzał ustępować, więc ruchem ręki wielki policjant dał znać Gotfrydowi, a ten ogłuszył strażnika kolbą pistoletu i zaniósł go do wartowni.

— W porządku, zwiąż go i szybko jedziemy. Alexandre, sprawdź monitoring, otwórz i zamknij bramę oraz furte.

— Tak jest.

— Pospiesz się, mamy mało czasu.

Kawalkada pojazdów powoli jechała w kierunku położonego w centrum parku dziewiętnastowiecznego pałacu. Jean wyłączył kamery i oświetlenie, noc była dostatecznie jasna, a światła wielkiego miasta rozpraszały niebo. Po chwili komandosi rozdzielili się, żołnierze eskorty weszli na dach i dwa wielkie balkony. Gotfryd z Paulem oficjalnie zapukali do drzwi. Z tyłu ubezpieczał ich Lukas i Jean. Przez kilka minut nic się nie działo, wreszcie drzwi otworzyły się i w wielkim korytarzu ukazał się siwy starszy mężczyzna.

— Co to? Policja? O tej porze? W moim domu?

— Przepraszamy. Włączył się alarm, zgasły światła. To rutynowa kontrola.

— Faktycznie. A strażnik jest w wartowni?

— Tak, to on nas zawiadomił.

— Rozumiem. W czym mogę pomóc?



— Nasi ludzie sprawdzą teren pałacu i ogrodu. Możemy wejść do środka?

— W jakim celu?

— Dokonamy kontroli instalacji alarmowej. Poza tym będzie pan bezpieczniejszy.

— Proszę bardzo.

Czterech templariuszy w mundurach belgijskiej policji weszło do jasno oświetlonego korytarza, gdzie ku ich zaskoczeniu wszędzie kręcili się młodzi ludzie, niektórzy pod dresami ukrywali broń. Z pogardą patrzyli na przybyszy. Nagle jeden z nich zaczął krzyczeć i wskazywać na Gotfryda, a po chwili zapanował nieopisany harmider i wrzask. Starszy człowiek próbował nad tym zapanować, padły strzały i rozpoczęła się jatka. Nie wiadomo, kto zaczął strzelaninę, ale komandosi mieli lepszą broń i byli szybsi. Po kilkunastu sekundach czterech ludzi w kominiarkach zameldowało, że góra jest czysta. Po przeszukaniu pałacu naliczono osiemnaście ciał, nikt nie ocalał.

— Nie mamy jeńca.

— Oberwałś w rękę i nogę.

— Drobiazg. Może żyje któryś?

— Jeden, tamten młody, ale zaraz zdechnie.

— Znasz arabski, Gotfryd?

— Tak.

— Spytaj tego chłopaka, ilu ich było i czy ktoś jeszcze jest w pałacu.

— On nic nie wie. Przywieźli go wczoraj na jakąś akcję.

— Dobra. Wykończ go. Mamy pięć minut na usunięcie śladów i małą rewizję. Alexandre... wiesz, co masz robić?

— Tak jest!

— Pozbierać łuski, wyłąć wszędzie neutralizator zapachów.

— Rozkaz.

— Niczego nie zapomnijcie, bo inaczej wszyscy będziemy mieć kłopoty.

Komandosi zabezpieczyli teren akcji, zatarli za sobą wszelkie ślady, prawie wszyscy byli ranni, niektórzy poważnie. Przy wyjeździe Gotfryd dał ogłuszonemu dziadkowi specjalny zastrzyk, po którym, kiedy strażnik się obudzi, niczego nie będzie pamiętał.

— Jean, jak twoje rany?

— Nie jest źle, a o co chodzi?

— Oberwałem dwa razy w prawą rękę, mam założone opatrunki. Poprowadzisz samochód?

— Dam radę.

— Jedź za Lukaszem i pospieszaj. Zwolnimy dopiero we Francji. Mamy mało, bardzo mało czasu.

— Tak jest!

Samochody pędziły bardzo szybko nieco zniszczoną autostradą. Jean czuł, jak strużka krwi spływa po jego czole. Miał sporo szczęścia. Pocisk z pistoletu tylko drasną jego lewą skroń, inaczej już by nie żył.

— Zetrzeć ci krew z twarzy?

— Tak, jak byś mógł. Trochę przeszkadza.

— Miałeś szczęście.

— O tak. Dopiero teraz to doceniłem. Szkoda, że nie mamy jeńca.

— Nic nie szkodzi. Zabraliśmy wszystkie komputery, telefony i dokumenty, to powinno wystarczyć.

— Słabnę.

— Napij się tego.

— Co to jest? Dziwnie pachnie.

— Nie pytaj, pomoże. Za godzinę cię zmienię.

— Policja za nami.

— Zwykły patrol.

— Włączyli sygnał. Co robimy?

— Nic, jedź. Zaraz będzie granica.

— Zrezygnowali.

— Bardzo dobrze. Jesteśmy już bezpieczni. Zatrzymamy się przy najbliższym zjeździe.

— Tak jest.

— Zdejmujemy w końcu te mundury.

— Bardzo podobne do naszych.

Dwa pierwsze samochody skrzyły na dziki, zielony parking, a eskorta pognała dalej, z ciężko rannym w środku. Poza tym nie byli już potrzebni. Komandosi z trudem przebrali się w cywilne ubrania. Rany dokuczały, ale templariusze jakoś szczęśliwie dotarli na miejsce. Wielki mistrz pogratulował wszystkim i zabrał rannych do szpitala.

— Co poszło nie tak?

— Nie wiemy. Prawdopodobnie jeden z nich rozpoznał Gotfryda.

— Jakim cudem?

— Tego nie wiemy.

— Dziwne. Co było dalej, bracie Antoine?

— Wybuchła dzika strzelanina. Na szczęście tylko nieliczni z nich mieli broń przy sobie. Reszta rozbiegła się w jej poszukiwaniu, ale nasi wpadli przez balkony, wykończyli tych z góry i tyle. Trochę oberwaliśmy, utłukliśmy wszystkich, a co za tym idzie żadnego nie udało się wziąć żywego. To była prawdziwa jatka.

— Uhm... Sprawdzimy materiały. Dobrze, musicie teraz odpocząć przez kilka dni.

— Co z moją ręką?

— Jedna kula przeszła na wylot, druga to draśnięcie, nic poważnego.

— To dobrze. Trochę boli.

— Zaraz przestanie. Kładź się na stół operacyjny.

— Czy to konieczne?

— Tak, musicie szybko wrócić do zdrowia.

— Rozumiem.

Rany Jeana okazały się niegroźne i powierzchowne, po ich opatrzeniu mężczyzna pojechał do domu. Tymczasem wielki mistrz podszedł do Gotfryda i spytał:

— Czy możesz, dzielny bracie, powiedzieć, co się naprawdę stało?

— Nic. Jeden dzieciak mnie rozpoznał. Brałem udział w kilku tajnych akcjach, więc pewnie mnie widział.

— Jak to możliwe?

— Sam nie wiem. Oni są wszyscy tak bardzo podobni do siebie. Ten chłopak to prawdopodobnie żołnierz syryjski, członek oddziałów specjalnych, kiedyś ich szkoliłem, a to sporo może wyjaśniać.

— Wiedział, kim jesteś?

— Na pewno tyle, że nie jestem belgijskim policjantem.

— Musimy być ostrożni, bardzo ostrożni.

— Nie spodziewałem się tego, wielki mistrzu, przepraszam.

— No, już dobrze. Musimy cię opatrzyć. Gdzie oberwałeś?

— W nogi. Miałem tym razem pecha.

— Najważniejsze, że żyjecie i odnieśliście sukces.

— Tak jest.

— Bóg jest z nami.

Jean stał w łazience i spoglądał w lustrze na plaster naklejony na swojej skroni. Był nieduży. Wielki mistrz osobiście założył szwy. Za kilka dni zaczną się rozpuszczać. Natomiast rana na udzie była nieco groźniejsza, ale przynajmniej nie było jej widać. Emma poszła na spacer z psem, więc mężczyzna postanowił się zdrzemnąć, ale nie pospał zbyt długo, bo obudziło go radosne lizanie po twarzy przez Rufusa.

— Co ci się stało, kochanie?! Masz plaster na skroni.

— Spadłem z drabiny i uderzyłem głową o kant szafy. To nic wielkiego, za kilka dni nie będzie śladu.

— Uważaj na siebie, proszę cię bardzo.

— Wypadki się zdarzają, przykro mi.

— Dzisiaj przywiozą meble do domku. Pamiętasz o tym?

— Tak, ale dopiero po południu, więc mogę się jeszcze zdrzemnąć. Miałem bardzo ciężką noc.

— Dobrze, ale Rufus musi zostać przy tobie, bo inaczej jest niemożliwy.

— Rozumiem. Cóż, chyba mnie lubi.

— Uwielbia. Z każdym dniem jest coraz gorszy, a miał być łagodny i spokojny.

— Widocznie jest podobny do mnie.

— Chcesz śniadanie?

— Nie. Spać, tylko spać, spać...

— Dobrze. To ja w takim razie idę na zakupy. Potrzebujesz coś ekstra?

— Nie, dziękuję.

— Do zobaczenia, nie przeszkadzam.

Jean spał cały dzień. Emma w tym czasie zajęła się wszystkim. Pojechała do domu na przedmieściu razem z niechcącym opuścić swojego pana i okazującym mocno swoje niezadowolenie psem, zabierając też trochę ubrań i innych rzeczy, odebrała meble, sprawdziła prąd we wszystkich pomieszczeniach, przycięła kilka wiszących zbyt nisko gałęzi w ogrodzie, pobawiła się z owczarkiem i wieczorem wróciła do Paryża. Tam ze zdumieniem odkryła,

że jej mężczyzna nadal chrapie w salonie. Postanowiła go obudzić.

— Kochanie, żyjesz?

— Tak, tak... Która godzina?

— Siódma. Czas na kolację.

— Jak to? Już? Gdzie jest pies?

— W kuchni, pije wodę. Byliśmy w naszym domku.

— Dlaczego mnie nie obudziłaś?

— Oboje próbowaliśmy, ale nie udało nam się. Chyba nafaszerowali cię w szpitalu jakimś silnym lekiem.

— Możliwie. Ciągle jestem nie do końca przytomny, najmocniej przepraszam.

— Ale apetyt chyba masz?

— Naturalnie i powiem więcej, jestem głodny jak wilk.

— Daj mi pół godziny, przygotuję kolację.

— To ja w tym czasie wezmę prysznic.

Jean poczekał, aż kobieta znajdzie się w kuchni i dopiero wówczas zwlókł się z wielkiego łóżka. Noga spuchła i znieczulenie przestało działać, więc odczuwał ból przy chodzeniu. Połknął dwie tabletki, które dostał od wielkiego mistrza i pokuśtykał pod prysznic. Ciepła kąpiel postawiła mężczyznę na nogi. Włożył dresy i udając zdrowego, poszedł na kolację do kuchni.

— Wyglądasz nieźle.

— Dziękuję. A co tam słyhać w naszym domku? Jest prąd?

— Tak. Sprawdziłam wszystkie pomieszczenia, łącznie z piwnicami. Musimy zająć się ogrodem. Kupiłam dwie kosiarki spalinowe, ale to już twoje zadanie. Narzędzia są w garażu.

— Jutro się tym zajmę.

— Poza tym mamy już kilka mebli i nowy wielki telewizor. To prezent ode mnie dla ciebie.

— Dziękuję. Cóż, chyba się nie popisałem, ale nadrobię to swoją pracą. Jestem trochę zmęczony. Pyszna kolacja i dobre wino, dziękuję.

— To akurat prezent od naszej przyjaciółki.

— Ładnie z jej strony.

Nagle do kuchni z rumorem wbiegł Rufus zwabiony zapachem pieczeni, który to obudził szczeniaka z wczesnowieczornej drzemki. Po otrzymaniu kawałka mięsa pies nieco się uspokoił i zaczął gryźć swoją nową zabawkę wykopaną w ogrodzie przy domku.

— Co on tam ma?

— Nie wiem. Wykopał to w naszym ogrodzie, to jakaś stara piłka tenisowa. Nie chce jej oddać.

— A niech się bawi, przynajmniej jest trochę spokoju.

— Racja.

— Włączyć telewizor? Właśnie zaczynają się wiadomości.

— Tak, jestem ciekawy, co dzieje się na świecie.

Zdumiony Jean dostrzegł na ekranie niewielkiego telewizora znajomy pałac w Belgii, gdzie na podjeździe stało kilkanaście karetek. Akcję templariuszy nazwano



morderstwem zbiorowym. Nikt nie podawał, kim naprawdę były ofiary. Napastników określano mianem nacjonalistów lub bandytów. Zdenerwowany słuchał młodej dziennikarki, która przez cały czas broniła ofiar jako pokojowych i nieszczęśliwych uchodźców.

— Skąd niby tacy biedni ludzie mieli pieniądze na taki pałac?

— To prawda, Emma. Coś tu się nie zgadza.

— Zdaje się, że to jakieś porachunki terrorystów, a ta idiotka lituje się nad nimi. Co to za kraj?

— Prawie taki sam, jak nasz.

— Co się na tym świecie dzieje? Czy wszyscy w Europie już całkiem zwariowali?

— Takich mamy polityków.

— Bzdura!

— Przykro mi, kochanie, ale takie są fakty.

Zdenerwowana Emma wypła lampkę koniaku i wyłączyła telewizor. Dokładnie za miesiąc ta piękna, młoda dziennikarka pojechała do Niemiec w okolice Kolonii kręcić materiał o złym traktowaniu uchodźców przez władze. Podczas powrotu do hotelu w nocy została przez kilku osobników o śniadej skórze napadnięta, ograbiona, wielokrotnie zgwałcona i uduszona. W żadnej telewizji nie ukazała się o tym wzmianka. Sprawa jednak wyciekła dzięki internetowi, wywołując panikę w Parlamencie Europejskim.

Był piękny, słoneczny dzień. Jean czuł się całkiem dobrze, pracował w ogrodzie przy małym domku, spokojnie

przycinając żywopłot, kiedy nagle usłyszał dźwięk kilkunastu syren policyjnych. Coś złego działo się w Paryżu. Odłożył sekator i pobiegł do salonu, by włączyć telewizyjny kanał z wiadomościami.

— Co się dzieje, kochanie?

— Nie wiem, ale wszędzie słychać syreny.

— Znowu zamach? W tym mieście nie da się żyć.

— O, jest coś.

— To znowu Paryż.

Grupa arabskich nastolatków zaatakowała sklep żydowski, zadźgali nożami właściciela i kilku klientów. Większość nastoletnich bandytów uciekła, ale kilku miało broń. Zabarykadowali się na zapleczu, biorąc trzech zakładników. Żądali usunięcia wszystkich Żydów z Francji. Dzielnica została zamknięta, a sklep otoczyła policja i specjalna jednostka antyterrorystyczna. Negocjacje nie powiodły się, przeprowadzono szturm, w wyniku którego zginęli wszyscy napastnicy i zakładnicy — matka z dwojgiem dzieci. Jean siedział jak sparaliżowany. Do tej pory miał wyrzuty sumienia z powodu zabijania, ale teraz obudził się w nim gniew. Niewinnym ludziom podrzynano gardła w jego stolicy, niegdyś pięknej i dumnej Wielkiej Francji, a teraz słabej i bezbronnej. Wielki mistrz miał rację — terror można zwalczać tylko terrorem, nic innego nie pomagało. Emma obserwowała przez chwilę Jeana, aż wreszcie nieco zaniepokojona się odezwała,

— Dobrze się czujesz?

— Tak, ale takie wiadomości mnie przygnębiają.

— Nie tylko ciebie. Jestem przekonana, że wkrótce wyłapią wreszcie wszystkich tych bandytów.

— Może tak, a może nie. Zresztą, mamy tysiące kolejnych i sami jesteśmy sobie winni.

— Skarbie, co się z tobą dzieje?

— Nadszedł czas zabijania.

— O czym tym mówisz?

— Przepraszam, wracam do ogrodu.

Zdenerwowany Jean przez cały dzień pracował ciężko fizycznie. Na końcu posprzątał ścięte gałęzie oraz fragmenty żywopłotu, uruchomił kosiarkę i zrobił porządek na trawnikach w ogrodzie, a także przed domem. Pies atakował z wściekłością kółka warczącej kosiarki, by wreszcie usnąć ze zmęczenia przed wejściem do domu. Jean posprzątał narzędzia i z podziwem patrzył na swoje dzieło.

— Emma, kotku, chodź, zobacz.

— Idę. Gdzie jest pies?

— Chrapie na wycieraczce.

— Ten to ma życie. Tylko rozrabia, je i śpi.

— Tak jak ja, nieprawdaż?

— No coś ty?! Nigdy tak nie mów.

— Jak ci się podoba?

— Pięknie. Teraz przynajmniej widać słońce.

— Troszkę był zarośnięty, ale teraz będziesz się mogła tutaj nawet opalać.

— Faktycznie, nawet o tym nie pomyślałam. Chodź do domku. Obejrzysz sypialnię, bo jest już prawie gotowa.

— Ooo! To świetnie. Zostaniemy tutaj na noc?

— Znakomity pomysł.

Pierwsza noc w nowym domku minęła spokojnie. Było dziwnie cicho, tylko od czasu do czasu idyllę psuł szum jadącego po wysokim nasypie pociągu podmiejskiego. Jean wyszedł z domu, usiadł na skromnej ławeczce i pogłaskał zaspanego pieska. Nagle usłyszał sygnał telefonu komórkowego oznajmiającego nadejście esemesa. Wiadomość była od Paula, informująca o godzinę wcześniejszym dzisiejszym spotkaniu w kaplicy. Potwierdził otrzymanie sygnału i dalej wylegiwał się na ławce. Po kwadransie usiadła obok niego Emma.

— Witaj, skarbie, jak się czujesz?

— Doskonale. Mam wrażenie, jakbyśmy byli w raju.

— Tak, to prawda, ale ktoś chce nam odebrać to spokojne życie.

— Wiem o tym, ale staram się nie myśleć o złych rzeczach, po prostu zapomnieć.

— To nie takie proste.

— Jak się spało?

— Cudownie... ta cisza... aż boli. Wspaniałe miejsce na ucieczkę.

Dzień minął spokojnie. Jean skręcał szafki i urządzał salon aż do godziny swojego wyjazdu. Mężczyzna czule

pożegnał Emmę i pognał czarnym potworem w kierunku kaplicy.

Wewnątrz średniowiecznych katakumb panowała niesamowita atmosfera — było ciemno, chłodno, a twarze rycerzy ubranych w płaszcze były napięte i pełne gniewu. Wreszcie nadszedł wielki mistrz, który sprawiał wrażenie zmęczonego i zdenerwowanego. Jego twarz, zwykle pobożna i łagodna, teraz wyrażała wściekłość. Mężczyzna włożył płaszcz, ukląkł przed figurą Jezusa i długo się modlił, aż wreszcie ciężko westchnął, wstał i podszedł do granitowego stołu, po czym mocno uderzył mieczem o kamień.

— Bracia, wiecie, dlaczego tutaj jesteśmy?!

— Tak jest!

— Co wiemy o tych zwyrodnialcach?! Bracie Antoine, co o nich wiemy?

— To jakaś nowa grupa wyrostków. Udało mi się na podstawie danych z monitoringu ustalić miejsce zamieszkania jednego z tych, którzy zdołali uciec.

— Dobrze, bardzo dobrze. Bracie Gotfrydzie, weźmiesz dwóch rycerzy do pomocy i przywieziecie mi tego bandytę. Teraz, natychmiast!

— Rozkaz!

— A my sobie na nich tutaj zaczekamy. Co powiecie, bracia?! Co opowiecie o tej historii?! Może ty, bracie Alexandre?

— Tak jest.

— Wstań i pociesz nasze dusze.

— Dziękuję za głos, wielki mistrzu. Zaraz po naszej wizycie w Belgii włączyłem telewizor i natrafiłem akurat na relację z naszej akcji. Oburzyło mnie to, że młoda dziennikarka litowała się nad bandytami, którzy planowali zamach w jej kraju.

— To prawda. Również oglądałem tę relację. Do czego zmierzasz?

— Miesiąc później zamordowali tę kobietę uchodźcy, wcześniej gwałcąc ją i rabując.

— Tego nie wiedziałem. Bóg jednak bywa sprawiedliwy, ale nadal cię nie rozumiem.

— Wielki mistrzu, media to potęga, nie zmienimy Francji, nie mając kogoś ważnego w telewizji. To potężna władza!

Zapanowała cisza. Zdumiony wielki mistrz patrzył przez kilka minut na milczącego, drobnego rycerza, aż wreszcie cicho powiedział, jakby sam do siebie:

— Bardzo interesujące spostrzeżenie.

— Ludzie zachodu obecnie są słabi i zdemoralizowani. W zamian za dobrobyt i łudzącą obietnicę materialnego szczęścia zapadają w dziwną obojętność. Musimy to zmienić! Trzeba obudzić w nich gniew przodków, chęć do walki!

— I co, bracie? Pójdą palić arabskie ulice w Paryżu?! Nie wszyscy obcy to terroryści.

— Prawda, ale obojętność społeczeństwa to niedobra cecha w czasie wojny o Europę.

— Ładnie to powiedziałeś bracie, bardzo ładnie ująłeś, podoba mi się, ale co dalej?

— Nic, wielki mistrzu. Robimy swoje, walczymy.

— Racja. Skontaktujcie się z Gotfrydem, ale nie stąd. Czekał na informację.

Nastała cisza. Po kilku minutach wrócił brat Lukas, który od niedawna był dumnym rycerzem. Teraz odpowiadał za łączność, nieźle się na tym znał. Podszedł do wielkiego mistrza i coś szeptał przez chwilę do ucha przywódcy. Na twarzy templariusza ukazywał się coraz szerszy uśmiech:

— To znaczy, że mają ptaszka!

— Tak jest. Za kwadrans tutaj będą.

— Bracia, do izby tortur, trzeba przygotować nasz sprzęt. Będziemy mieli gości.

— Rozkaz.

Młody człowiek był przerażony, klęczał przed wielkim mistrzem i drżał ze strachu. Jak się okazało, miał zaledwie siedemnaście lat. Do jego wątlej szyi Gotfryd przyłożył swój wielki miecz.

— Wiesz, przed kim stoisz, bandyto?

— Nie... nie... wiem.

— Przed kimś, kto was wszystkich wyrznie i przepędzi w piaski Afryki, skąd przyszlście.

— Spokojnie, bracie. Przywiążcie tego człowieka do kamienia hańby.

— Tak jest!

Arab wierzgał jak szalony nogami, chciał gryźć, płakał, przeklinał, aż wreszcie otrzymał uderzenie między oczy od jednego z bardziej nerwowych braci. Zamroczony przestał stawiać opór. Kiedy odzyskał przytomność, ujrzał nachylone nad nim oblicze wielkiego mistrza.

— Wiem, że to ty zabiłeś właściciela sklepu tym oto nożem, zgadza się?

— Co ze mną zrobicie?

— A jak sądzisz?

— Kim wy jesteście?

— Duchami krzyżowców! Odrodziliśmy się, by pomścić naszych braci.

— To... to... był tylko Żyd.

— A zakładnicy? Zabiliście młodą chrześcijankę z dwojgiem małych dzieci. Tego wam nie wybaczymy!

— Co chcecie wiedzieć?

— Wszystko, mów wszystko, a może ocalisz życie.

Młodzieniec wyjawiał, co wiedział. Było ich dwudziestu, czterech zginęło w akcji na sklep, on był piąty, zostało piętnastu. Mieli od czternastu do dwudziestu lat, byli uzbrojeni. Planowali kolejny atak na posterunek policji oraz jedną z synagog w Paryżu. Jeniec wyjawiał wszystko, nawet nazwiska przywódców, adresy, składy broni oraz daty i miejsca spotkań. Na koniec szepnął:

— Ocalałem życie?

— Nie, ale zasłużyłeś na godną śmierć.



— Jak to? Przecież powiedziałem wszystko!

— I tak byś powiedział. Naszych tortur jeszcze nikt nie przeżył.

— Wypuście mnie stąd!

— Zabiłeś niewinnego człowieka. Śmierć za śmierć.

— To był tylko pies!

— Niestety nie, miałeś dziś pecha. Bracie Gotfrydzie, znudziła mi się ta dyskusja. Templariusze, chodźmy do kaplicy, musimy się naradzić.

— Tak jest!

Bracia usiedli przy granitowy stole i czekali na Gotfryda, który nadszedł po kwadransie i zajął w milczeniu swoje miejsce. Wreszcie, po krótkiej modlitwie za duszę młodego terrorysty, wielki mistrz zaczął przemawiać teraz już normalnym, delikatnym głosem:

— Bracia, wiemy już sporo o przeciwniku. Banda wyrostków postanowiła sterroryzować wielką metropolię. Trzeba zabić ich wszystkich, nie mamy innego wyjścia. Wiemy, gdzie mieszkają, znamy ich uzbrojenie i umiejętności. Co proponujecie? Może głos pierwszy otrzyma nasz nowy rycerz, brat Lukas?

— Dziękuję, wielki mistrzu, proponuję zasiać w nich strach.

— To znaczy? Co masz bracie na myśli?

— Należy likwidować wrogów pojedynczo, by następni czuli się jak zwierzęta w pułapce. To ich nauczy szacunku

do naszego zakonu. Zabijajmy codziennie jednego, reszta będzie wariowała ze strachu.

— Ciekawa koncepcja. Co o tym sądzicie, bracia? Może ty, bracie Antoine?

— To potrwa dwa tygodnie, ale pomysł jest ciekawy. Proponuję likwidować ich po dwóch dniach, będzie krócej, a efekt taki sam.

— Dobrze. Co o tym sądzi brat Gotfryd?

— Są zdesperowani i niebezpieczni. Musimy ich zlikwidować szybko i skutecznie, bo ze strachu mogą znowu zabić niewinnych cywili.

— Cenna uwaga. Może najpierw zlikwidujemy ich arsenał broni. Wiemy, gdzie jest.

— Prawda.

— A zatem tworzymy dwie drużyny i atakujemy.

— Teraz, dzisiaj?!

— Tak, bracie Alexandre, nie mamy czasu, liczy się efekt zaskoczenia.

— Rozkaz.

Trzy samochody terenowe i jedna furgonetka podjechały do starej opuszczonej myjni samochodowej w podłej dzielnicy. Obok ruin kilku budynków znajdowała się spora hala ze starymi napisami reklamowymi. Przed II wojną była tam niewielka fabryka czekolady. Teraz budynek sprawiał wrażenie opuszczonego, ale był solidny i miał wszystkie okna.

— To tutaj.

— Włącz kamerę termowizyjną, Gotfrydzie. Co widzisz?

— Dwóch na dole, jeden na piętrze i kolejnych dwóch w piwnicy.

— To pięciu. Nie ma ich więcej?

— Nie, tylko tyłu.

— Przygotujcie się. Za dwie minuty atakujemy. Furgonetka wjedzie przez bramę.

— Tak jest!

— Uważajcie. Mają tutaj ponoć sporo żelastwa.

— Zaskoczmy drani.

Czarna, opancerzona furgonetka prowadzona przez brata Lukasa uderzyła w stalową bramę, wyłamując z wielkim hukiem zaporę. Po chwili z samochodu wybiegło kilka postaci z karabinami i pistoletami maszynowymi. Wybuchła krótka walka. Po siedmiu minutach wszyscy napastnicy zostali zlikwidowani. Nikt z atakujących nie został poważnie ranny. W piwnicach wielkiej hali znaleziono masę rosyjskiej broni i amunicji.

— Spójrzcie, ile tego jest!

— Wszystko produkcji rosyjskiej.

— To z magazynów wojskowych po armii irackiej. Spójrzcie na napisy.

— Można tym zaopatrzyć ze dwie kompanie żołnierzy. O, no proszę, są nawet moździerze.

— A ile amunicji! Co najmniej na trzy tygodnie walki.

— Ciekawe, ile takich magazynów jest jeszcze na terenie całej Europy Zachodniej.

— Na pewno sporo.

Templariusze z zainteresowaniem oglądali nowe radzieckie karabinki AK-74, AKM, pistolety typu TT, a także RPK-64, no i oczywiście karabiny maszynowe PKM.

— Dlaczego, mając tyle sprzętu, zaatakowali naszą siedzibę samymi AK-47?

— Trudno powiedzieć, ale ta broń musi tutaj długo leżeć. Tyle kurzu na skrzyniach nie nabiera się w tydzień.

— Co robimy?

— Załatwimy transport i pomoc. Zaraz zadzwonię do wielkiego mistrza. Tutaj raczej do rana nikt się nie zjawi. Posortujcie to wszystko, istny bałagan.

— Tak jest!

Wielki mistrz zdumiał się na wieść o potężnym arsenale mieszczącym się w starej fabryce czekolady, ale obiecał pomoc. Po kwadransie przyjechały trzy lekkie ciężarówki, jedna z nich przyholowała lawetę z wózkiem widłowym. Praca ruszyła. Po dwóch godzinach magazyn został opróżniony, a ciężarówki odjechały w nieznanym kierunku. Bracia zaś, po opatrzeniu kilku niegroźnych ran, udali się do domów.

Jean wrócił do domku nad ranem, gdzie został przywitany przez psa dzikim szczekaniem i merdaniem ogona. Po tym powitaniu mężczyzna natychmiast poszedł pod prysznic, zjadł skromny posiłek i położył się na łóżku obok Emmy. Natychmiast zasnął. Obudził się około południa. Kobieta przygotowywała obiad. Rufus szalał w

ogrodzie. Jean natychmiast włączył telewizor, by obejrzeć wiadomości. Nic nigdzie, żadnej wzmianki o ich ataku na starą fabrykę. To dobrze świadczyło o koneksjach wielkiego mistrza.

— O, wstałeś, skarbie?

— Tak, przepraszam, byłem zmęczony.

— Dzisiaj wieczorem mamy gości.

— Co takiego?

— Odwiedzą nas Marie i Thomas. Mamy porozmawiać o wynajmie mojego mieszkania. Już zapomniałeś?

— Nie, nie zapomniałem, ale miałem ostatnio zbyt dużo spraw na głowie.

— Mam nadzieję, że im się spodoba nasz dom.

— Na pewno. Jest wspaniały, a ta cisza i spokój to istny oddech Boga.

— Ładnie to ująłeś. Nie wiedziałam, że jesteś religijny.

— Ja też nie. To przypadek.

— Ooo, jest i pies.

— Ależ on szybko rośnie.

— I coraz bardziej rozrabia.

Mężczyzna był zmęczony. W nocy dźwigał z Lukaszem dziesiątki skrzyń z rosyjską amunicją. Mimo to postanowił skrócić łóżko i meble w sypialni na piętrze. Chciał w ten sposób pomóc nieco swojej kobiecie zajętej pracą w kuchni. Kiedy skończył, obiad był gotowy.

— Jak ci poszło, kochanie?

— Nieźle. Łóżko to rzecz prosta, ale szafa nieco mnie zmęczyła.

— Ale już po wszystkim? Kiepsko wyglądasz.

— I tak też się czuję.

— Zdrzemnij się, skarbie, po obiedzie.

— Masz rację. Mam ochotę na tę drzemkę w ogrodzie, o ile pies mi pozwoli. To w końcu jego teren.

— Tak, to prawda, nawet ptaki przegania, nie mówiąc już o kotach sąsiadów.

Jean starannie przygotował sobie miejsce do spania. Pod wielkim, starym modrzewiem rozłożył turystyczne łóżko, przykrył się kocem z polaru i natychmiast zasnął. Miał upiorną wizję wielkiej wojny, pełnej ognia, krwi i trupów. Śnił mu się Paryż, nad którym kłębiły się czarne dymy pożogi, setki ciał leżało na ulicach, wszędzie słychać było strzały i wybuchy. O miasto toczyła się wojna, krwawy konflikt pomiędzy katolikami a mniejszością islamską. Przerażony mężczyzna obudził się dopiero, kiedy zaniepokojony pies delikatnie szarpał jego rękę.

— A, to ty. Dobry pies... wyrwałeś mnie z tego koszmaru.

— Obudziłeś się, Jean?

— Tak, już idę do ciebie! Tylko złożę łóżko.

Mężczyźnie trzęsły się ręce. Nie mógł się otrząsnąć z potwornego snu. Wreszcie dotarł do kuchni, schował koc i łóżko. Nadal zdenerwowany usiadł przy szerokim blacie, nalał sobie kieliszek koniaku i wypił jego zawartość jednym haustem, co odrobinę uspokoiło jego skołatane nerwy.

— Kochanie, jesteś cały mokry.

— Miałem straszny sen. Idę się wykąpać.

— Byle szybko, bo nasi goście zjawiają się tutaj za pół godziny.

— Dobrze, będę gotowy za kwadrans.

Marie z Thomasem przyjechali punktualnie. Domek zrobił na nich pozytywne wrażenie. Pies cały czas ich pilnował, domagając się smakołyków i drapania za uszami. Wreszcie wszyscy usiedli przy nowym dużym stole w jadalni.

— Ładnie tutaj macie. Kuchnia jest fajna, taka duża.

— Tak, nam też się podoba.

— Tatku, dlaczego milczysz przez cały czas?

— Wróciłem z pracy nad ranem i kiepsko się czuję.

— Ojej, sądziłam, że masz urlop.

— Owszem, w naszej firmie jest teraz konserwacja sprzętu, ale mam jeszcze dodatkowe zajęcie.

— Musisz zarobić na domek?

— W pewnym sensie.

— To co, pojedziemy teraz obejrzeć mieszkanie?

— Tak, chodźmy.

Paryż w sierpniu był taki, jak zawsze, pełen japońskich turystów, islamskich kobiet z nakrytymi głowami, pięknych Francuzek w zwiewnych sukienkach, rowerów, skuterów i cygańskich złodziejasków, bezdomnych z psami i robotników z Portugalii i Europy Wschodniej. Młodzi ludzie długo i starannie oglądali mieszkanie Emmy pełne starych

ksiąg w skórzanych oprawach, pamiątek historycznych po przodkach, sreber, porcelany i obrazów w wielkich, grubych złotych ramach.

— To wspaniałe mieszkanie, tyle tutaj pamiątek...

— Nikomu innemu bym tego nie wynajęła, ale do was mam zaufanie.

— Dziękujemy. Raczej nie będziemy korzystać ze wszystkich pomieszczeń, tylko z kuchni, salonu i sypialni.

— Dbajcie o te pamiątki. Dwa razy w tygodniu przychodziła polska sprzątaczką. To młoda dziewczyna, jest pracowita i uczciwa, możecie ją spokojnie zatrudnić.

— O, to fajnie. Zna francuski?

— Tak, w stopniu komunikatywnym.

— To wspaniale, przyda nam się pomoc w utrzymaniu porządku i to w dodatku ktoś polecony.

— Jedną parę kluczy sobie zostawię.

— Naturalnie.

Emma z Jeanem wróciła do domku po północy, zmęczeni położyli się spać. Mężczyzna bał się zasnąć, by koszmar nie powrócił, ale na szczęście już się nie powtórzył. Gdy rano otworzył oczy, przywitał go piękny niedzielny poranek, świeciło słońce i słychać było śpiewające w ogrodzie ptaki. Wypoczęty poszedł w szlafroku do kuchni, gdzie zastał Emmę siedzącą przy porannej kawie.

— Witaj, kochanie. Gdzie pies?

— Rozrabia w ogrodzie. Mam dość tej szelmy, chrapał całą noc.



- Nie słyszałem.
- Bo ty również chrapałeś.
- Przepraszam.
- Obaj daliście mi dziś popalić. Koszmar...
- Jutro wszystko wróci do normy. Idziemy do pracy, zacznie się wrzesień, zimno, wiatr i deszcz.
- Martwię się o psa.
- Nic mu nie będzie, przyzwyczai się. Ja wracam zwykle o czwartej po południu.
- Zdemoluje nam cały dom.
- Nie. Będzie siedział na zewnątrz, w ogrodzie, a wstęp będzie miał tylko do kuchni. Pozostałe drzwi zamkniemy na klucz.

— Dobry pomysł.

Poniedziałek był koszmarny, zaczął się ulewą, pies był smutny i zaniepokojony. Jean długo głaskał szczeniaka, ale wreszcie musieli się rozstać. Rufus żegnał swojego pana na przemian wyciem i szczekaniem. Mężczyzna nie mógł się skupić w pracy, ale gdy po szaleńczej jeździe powrotnej wrócił do domu, okazało się, że Rufus całkiem nieźle sobie radził i niczego nie zniszczył. Najadł się po prostu i spał przez cały czas na dywanie w kuchni. Tak, jak i jego pan, nie lubił deszczowej pogody. Zadowolony powiadomił Emmę o sytuacji w domu. Kobieta ucieszyła się i obiecała być o siódmej.

Dni mijały spokojnie i leniwie. Pies rósł, nabierając masy. Teraz był podrostkiem z jednym oklapniętym uchem, ale

nadal rozrabiał jak szczeniak, biegając jak szalony. Uczył się jednak teraz dużo, wiele komend już rozumiał, a także pilnował domu z ogrodem, czekając na wszystkich.

Jean z Emmą skończyli meblowanie domku. Przywieźli również resztę niezbędnych rzeczy z paryskiego mieszkania. Nadszedł piątek, więc Jean pojechał jak zwykle na spotkanie templariuszy w kaplicy wieczorową porą.

Bracia stali przy granitowym stole, narzucili płaszcze i spokojnie modlili się przed żelaznym krzyżem umieszczonym na środku ołtarza. Nagle do kaplicy wszedł wielki mistrz, przywitał wszystkich zgromadzonych, dał znać, aby usiedli, po czym zaczął przemowę:

— Witajcie, bracia. Na obecną chwilę nasz wróg został osłabiony i zmuszony do odwrotu. Oczywiście nie wygraliśmy wojny, tylko kilka potyczek, ale na razie mamy spokój z islamem. Teraz przyszła kolej na rozprawienie się z nowym wrogiem, groźniejszym, wewnętrznym, nazywa on się lewactwem lub poprawnością polityczną. Otrzymałem kilka dni temu sygnał, że powstała w naszym Paryżu francuska organizacja przyjaciół islamu. Wyobrażacie sobie coś takiego?! Ogłupiała młodzież szczerze finansowana przez jakichś idealistów i innych użytecznych idiotów chce pomagać wyznawcom islamu w całej Europie! Zakładają stowarzyszenia, kluby, uczą naszych wrogów francuskiego, organizują pochody i manifestacje przyjaźni, piszą w ich imieniu skargi na Francję i inne kraje europejskie do Strassburga, donoszą do Parlamentu Europejskiego na

rodowitych Francuzów. To są zdrajcy! Co na to powiecie, bracia?!

— To chrześcijanie, więc nie wolno nam ich zabijać.

— Możemy ich zakwalifikować do klasy zdrajców, innowierców...

— Nie musimy ich zabijać. To dzieciaki, więc wystarczy troszkę ich postraszyć.

— Co zatem proponujesz, bracie Alexandre?

— Napadniemy na ich biuro nocą, kiedy jest zamknięte, przebierzemy się za typowych Arabów, założymy dresy z pasami, białe sportowe buty, ciemne okulary, nałożymy kilka litrów żelu na włosy i weźmiemy z naszego arsenału AK-47, a resztę załatwią butelki z benzyną. Pojedziemy, postrzelamy w szyby, podpalimy biura, przybijemy flagę tak zwanego Państwa Islamskiego i uciekniemy. To powinno wystarczyć.

Zapanowała cisza. Wielki mistrz zdumionym wzrokiem patrzył na nieco speszonego templariusza, który wpadł na ten dziwny pomysł. Wreszcie westchnął, uniósł głowę w kierunku sufitu i zaczął mówić cichym głosem:

— To nie po rycersku bracie, ale pomysł mi się podoba. Co sądzą inni? Niechaj się wypowiedzą.

— Nikomu nie stanie się krzywda... Mogę załatwić starą lagunę, czyli taki samochód, w którym gustują terroryści. Akcję przeprowadzimy szybko i sprawnie, pokrzyczymy trochę po arabsku i zwiejemy. Będzie dobrze.

— Musimy zadbać, aby wszystko zarejestrowały kamery monitoringu.

— Skąd weźmiesz, bracie, lagunę?

— Ukradnę jednemu takiemu Arabowi z mojego bloku. Coś jakoś gościa nie lubię.

— To w porządku.

— A zatem, bracia, przygotujcie się. Dzisiaj w nocy zaatakujemy, wybierzemy spośród nas tych, którzy najbardziej przypominają wrogów. Bracie Gotfrydzie, masz niebieskie oczy i jasne włosy, więc się nie nadajesz.

— A szkoda.

— Jeszcze będziesz miał okazję się wykazać, bądź o to spokojny.

Pomimo braku czasu akcja została przygotowana bardzo starannie. Wreszcie wszyscy byli gotowi. Sarah uczesała i ucharakteryzowała templariuszy. Mieli na sobie kolorowe dresy, a fryzury wyglądały mistrzowsko. Pośród śmiechu i niepohamowanych napadów wesołości komandosi udali się do zbrojowni.

— Byle tylko policja nas nie zaatakowała.

— O to zadbał już brat Antoine. Postarał się, aby było czysto.

— Czy te butelki na pewno się zapalą?

— Tak. Mają otwory zawinięte specjalną taśmą. Zapala się przy uderzeniu.

— Okej, a zatem jesteśmy gotowi.

— Czekamy tylko na samochód.

Brat Lukas wreszcie przyjechał starym renaultem laguną. Zdumieni templariusze patrzyli z przerażeniem na zniszczony samochód. Żaden z nich nigdy nie jechał takim gratem.

— Wsiadajcie, bracia. Czego się boicie? To całkiem sprawny samochód.

— Miejmy nadzieję.

— Jedźcie do Europy Wschodniej. Tam setki podobnych jeździ na co dzień.

— A ja się zastanawiałem, gdzie się podziały wszystkie nasze stare auta.

— No, to już wiesz. Weźcie butelki z benzyną i ruszamy.

— Amen.

— Wracamy tym rupieciem?

— Oczywiście, bracie. Jesteś człowiekiem małej wiary. Zamelduję o tym wielkiemu mistrzowi.

— Daj spokój, żartowałem tylko.

— Przygotujcie broń, czapki na głowy.

— Tak jest!

— Z Bogiem, bracia!

— Jakoś dziwnie to brzmi z twoich ust. Wyglądasz jak rasowy Algierczyk.

— Bracia, trochę powagi, to jest akcja militarna.

Samochód wbrew obawom templariuszy bez problemu dojechał na miejsce akcji. Wielki mistrz miał rację. Rzeczywiście powstała taka organizacja wspomagająca integrację Arabów z francuską rzeczywistością. Bracia nie

wychodzili z samochodu. Otworzyli tylko okna i oddali kilka salw w kierunku zakratowanych okien, a później jeden z nich rzucił celnie kilka butelek z benzyną. Wybuchł pożar. Na kracie sklepu obok inny z templariuszy powiesił flagę terrorystów. Samochód z piskiem opon odjechał z miejsca zdarzenia. Po chwili pojawiła się straż pożarna i policja, ale starej laguny nikt nie gonił. Zadowoleni bracia wysiedli na terenie kościoła z samochodu, który został natychmiast odprowadzony na miejsce.

— Wielki mistrzu, akcja się powiodła.

— Dobrze, bracia, ale przestańcie wreszcie żartować i śmiać się. Doprowadźcie się do porządku. Jak wy wyglądacie?

— Jak prawdziwi paryżanie.

— Idźcie już. Nie mogę na was takich patrzeć. A gdzie brat Lukas?

— Pojechał odstawić samochód, zaraz wróci.

— Dobrze, spotkamy się w kaplicy.

Po godzinie templariusze w komplecie spotkali się na dole w kaplicy. Mieli zadowolone miny i tryskali dobrym humorem. Pomysł przebrania się za Arabów rozbawił wszystkich, ale wielki mistrz był poważny i w kilku słowach zrugął żartownisi.

— Nie jest dobrze, bracia. Kiedy wy walczyliście dzielnie w Paryżu, otrzymałem złe wieści. Wróg wcale nie jest taki rozbity i słaby, jak sądziliśmy. Planuje wysadzić w powietrze jeden z większych kościołów we Francji. Niestety nie

wiemy, który sobie upatrzyli terroryści. Świątyn w naszym kraju jest wiele, niektóre z braku wiernych świecą pustkami. Czekam na dalsze wytyczne z wywiadu. Zachowajcie czujność, bądźcie gotowi. Planują tę akcję przeprowadzić za kilka dni, w najbliższą niedzielę, podczas mszy świętej.

Zapanowała cisza. Bracia natychmiast spoważnieli, patrzyli zdumieni jeden na drugiego, jakby nie docierały do nich słowa przywódcy.

— Tak, kochani bracia, jeśli się nie dowiemy, która to świątynia, nie ocalimy ani Domu Pana, ani wiernych. Będziemy mogli ich tylko potem pomścić. A teraz módlmy się, aby nasz dobry Bóg nam dopomógł.

— Amen.

Wielki mistrz pożegnał braci i kazał swoim podopiecznym być w gotowości bojowej. Wróg mógł zaatakować już w tę niedzielę. Niestety, nie dowiedzieli się, który kościół miał być zniszczony.

Jean wrócił nad ranem. Pies narobił wrzasku na cały dom. Zaskoczona i zaspana Emma patrzyła na swojego mężczyznę, mamrocząc:

— Co tak późno, kochanie?

— Przepraszam. Miałem małą robótkę na mieście.

— Kładź się spać.

— Za godzinę wstanie słońce.

— Już jest rano?

— Tak. Na szczęście sobota, skarbie.

— Jestem nieprzytomna.

Mężczyzna pocałował kobietę i udał się do łazienki na piętrze, by wziąć szybki prysznic. Po kąpieli włączył telewizor. Nie mógł zasnąć. W wiadomościach pokazano napad na towarzystwo przyjaźni islamskiej. Nikt nie miał wątpliwości, kim byli napastnicy, zatrzymano właściciela pojazdu. Lukas dopiął swego. Po tym wydarzeniu biuro zamknięto, po czym powstał tam butik.

W niedzielę około południa Jean usłyszał cichy alarm w swoim telefonie nakazujący mu być w pogotowiu. Zaniepokojony mężczyzna pobiegł do salonu, by włączyć telewizor. Stało się. Terrorysty arabscy zaatakowali wiernych w siedemnastowiecznym kościele Notre Dame w Wersalu. Bandyci wzięli wielu zakładników, zabili księży, których ciała wyrzucili na schody. Na razie nie przedstawili żadnych żądań. Kościół był otoczony przez policję i wojsko, ale żadne strzały nie padały.

— Co się znowu dzieje, skarbie?

— To, co terroryści robią już od jakiegoś czasu we Francji, czyli mordują Francuzów.

— O czym ty mówisz? Jak to? Gdzie?

— Posłuchaj uważnie, a wszystko zrozumiesz.

— A było już kilka miesięcy spokoju. Czy to ci sami, co spalili to towarzystwo?

— Raczej nie.

— Czego oni chcą?

— Naszej krwi. Nic innego ich nie interesuje.



— Kto tam leży?

— Na razie zabili trzech księży. Nie wiemy, czy jest więcej ofiar.

Emma siedziała przed wielkim płaskim ekranem telewizora, a z jej oczu płynęły łzy. Jean poszedł do kuchni, nalał sobie kieliszek koniaku. Popijał bursztynowy płyn, patrząc na zieleń ogrodu. Wielki mistrz miał rację, wygrali tylko kilka potyczek, a ich danina krwi była daremna. Wygrać z terroryzmem nie było łatwo, wróg nadal był potężny i miał setki fanatycznych wojowników w całej Europie. A przecież wciąż napływali nowi.

— Nalej mi koniaku, skarbie!

— Oczywiście, zaraz przyniosę.

— A gdzie pies?

— Biega po ogrodzie.

Jean wrócił do salonu. Nadawana na bieżąco relacja nie wносиła niczego nowego. Nie wiadomo było, kim byli terroryści, czego chcieli oraz ilu było zakładników. Godziny mijały i nic się nie działo, przybywało tylko policji i wojska. Wreszcie przed zachodem słońca terroryści wywiesili przez jedno z okien flagę Państwa Islamskiego, domagali się zamienienia jednego z kościołów Paryża w meczet, a także wycofania Francji z ataków powietrznych w Syrii. Ogłosili, że mają trzystu jedenastu zakładników i wszystkich zabiją, jeśli w ciągu godziny nie otrzymają odpowiedzi.

— To jacyś chorzy umysłowo fanatycy.

— Dobrze powiedziane. Mam złe przeczucia. To się źle skończy.

— Muszą ratować tych biednych ludzi.

— Nastąpi pewnie szturm. Nikt nie będzie rozmawiał z tymi bandytami.

Mężczyzna miał rację. Po godzinie znajdujący się na zewnątrz policjanci i żołnierze usłyszeli strzały, ruszył skoncentrowany atak na kościół. Doborowe siły francuskie szybko pokonały terrorystów, żaden nie uciekł ani też nie przeżył. Niestety, około stu zakładników, w tym wiele kobiet i dzieci, poniosło śmierć. Francja zawrzała gniewem. Ludzie mieli już dosyć krwi niewinnych, spontanicznie zaatakowano liczne meczety, sklepy i dzielnice arabskie. Policja nie mogła sobie poradzić z narodowym zrywem. Zamieszki trwały trzy dni. Wreszcie emocje opadły. Okazało się, że napastnicy nie byli typowymi fanatykami, żaden z nich nie posiadał pasa z materiałem wybuchowym. To byli nowo przybyli uchodźcy z terenów Niemiec i Szwecji — dobrze walczących dwudziestu jeden napastników. Każdy z nich w przeszłości był zawodowym żołnierzem.

— No, to mamy nowych wrogów.

— O czym ty mówisz, skarbie?

— Teraz nie tylko będą nas mordować rodzimi terroryści, ale także ci napływowi.

— Masz na myśli uchodźców?

— Tak, wśród nich jest na pewno wielu, którzy zechcą zginąć dla Allacha.

— Obyś się mylił.

— Kochanie, oni wciąż napływają, setki, tysiące, niedługo zniszczą naszą cywilizację.

— Przesadzasz. Idę się pobawić z psem.

W poniedziałek o dwudziestej pierwszej zostało zwołane zebranie templariuszy. Bracia przybyli punktualnie prawie w komplecie. Brakowało wielkiego mistrza. Templariusze czekali cierpliwie, gdy wreszcie usłyszeli szybkie kroki przywódcy. Mężczyzna wkroczył do słabo oświetlonej sali z kolumnami, postawił na granitowym stole dwie świece płonące jasnym blaskiem i rzekł:

— Witajcie, bracia. Te świece to na cześć tych chrześcijan, którzy zginęli wczoraj w Wersalu.

— Amen.

— Nie wiem, co mam wam powiedzieć. Naprawdę pierwszy raz i ja zwątpiłem w swoje dzieło. Walczyliśmy dzielnie, nie szcędząc krwi, ale wróg nas zaskoczył, stworzył komórki terrorystyczne w Niemczech i Szwecji, sprawnie przerzucił bojowników wraz z uzbrojeniem do Francji. Trudno określić ich cel. To chyba chaotyczne działanie zastraszające niewinnych ludzi. Zginęło ponad stu cywilnych zakładników, kobiety, dzieci... wybuchły zamieszki we Francji, Niemczech i Szwecji, kiedy podano, skąd przybyli bandyci. Nasza walka jeszcze się nie skończyła. Co możemy zrobić?

— Utworzyć komandorie w innych państwach.

— Kto to powiedział?

— To ja, Gotfryd. Przepraszam, wielki mistrzu, że się odezwałem bez pozwolenia.

— Nie padaj na twarz przed Chrystusem, zostań na swoim miejscu. Jestem dzisiaj miłosierny. Co o tym sądzicie, bracia?

— Pomysł nie jest zły, tylko jak to zrobić? Niemcy to inny naród niż Francja, że nie wspomnę już o Szwedach, którzy mają tak wyprane mózgi przez ostatnie czterdzieści lat, że nie nadają się do niczego. Poprawność polityczna zniszczyła ten naród. Poza tym my mamy środki, potężne wsparcie od elit i polityków, policję po naszej stronie, a nawet częściowo media. Trudne zadanie...

— Brat Antoine ma rację. A co o tym sadzą inni bracia? Niechaj się wypowiedzą.

Zapanowała cisza. Nikt nie miał żadnego pomysłu na dalszą walkę z wrogiem, który rósł każdego dnia w siłę. Wreszcie brat Alexandre uderzył mieczem w kamienny stół i wstał ze skózanego fotela z wysokim oparciem.

— Proszę o głos, wielki mistrzu.

— Udzielam, bracie.

— Wielki mistrzu... i wy, bracia... wojownicy Boga... nie rozumiem, skąd u was zwątpienie i gorycz. Wojna się jeszcze nie skończyła, ponieśliśmy porażkę jedynie w jednej bitwie. Wróg nas zaskoczył. Kolejny ruch należy do nas. Dzięki bratu Antoine mamy dostęp do danych wywiadu. Uderzmy zatem na mocodawców tej zbrodni tak mocno, aż zadrżą i zaczną się bać, atakujmy ich wszędzie, nie tylko we

Francji, ale także w innych krajach, nawet w Syrii, Iraku, zabijajmy ich, bo inaczej oni zabiją nas, naszych bliskich i dobrych chrześcijan. Musimy rozpocząć wojnę totalną, zniszczyć wroga w jego własnej kryjówce i jego własną bronią, aby wiedział, że jest ktoś w Europie, kto potrafi walczyć i nie cofnie się przed niczym. To wszystko bracia. Amen.

Ostatnie słowo Jean wypowiedział mocno i dobitnie. Zapanowała cisza. Braci zaskoczył uroczysty i wyrazisty ton głosu templariusza. Zwykle cichy i nieśmiały brat Alexandre nagle chciał porwać ich do walki. Nawet wielki mistrz patrzył z zaciekawieniem na niepozornego człowieka skromnie siedzącego z tyłu stołu.

— To były piękne słowa, bracie, mocne i kojące ból w moim sercu.

— Dziękuję, wielki mistrzu.

— Co proponujesz, bracie Alexandre?

— Na razie musimy czekać. Według mnie wróg obecnie nie zaatakuje na terenie Francji, ale na pewno nastąpi jakiś akt terroru gdzieś na terenie Europy Zachodniej. Stawiam na Niemcy. Jeśli wysadzą jakiś dworzec kolejowy u naszego wschodniego sąsiada, to my wysadzimy meczet w Paryżu. Śmierć za śmierć.

— Amen.

— Brat Alexandre ma rację. Nie mamy innego wyjścia. Będziemy postępować jak terroryści. To ich zaskoczy. Nie ma litości. Zabijemy wszystkich wrogów.

Spotkanie braci zakończyło się po północy. Ogłoszono cichy alarm. Postanowiono wytypować pierwszy cel do wysadzenia w powietrze po ataku terrorystycznym na terenie Europy. Templariusze zmieniali strategię, walka miała przybrać na sile. Tymczasem na terenie Niemiec tysiące islamskich uchodźców tworzyło złodziejskie gangi napadające i okradające swoich żywicieli. Ktokolwiek chciał zniszczyć Europę lub ją zastraszyć, powoli osiągał swój cel.

Jean wstał o dziewiątej rano, przywitał się z Rufusem i poszedł do ogrodu. Lubił od czasu do czasu pochodzić boso po trawie. Emma była w łazience. Mężczyzna miał dobry humor. Zyskał w oczach wielkiego mistrza. Jego pomysł okrutnej wojny spodobał się templariuszom. Plan był prosty: skierować sposób walki islamskich terrorystów przeciwko nim samym. Bojownicy pozbawieni oparcia będą musieli się wycofać. Kiedy tak rozważał swoje pomysły, usłyszał ciche kroki dziewczyny.

— Słyszę cię.

— Aż tak głośno tupię?

— Używasz dobrych perfum i to cię zgubiło.

— No tak... Jak się dzisiaj czujesz?

— Nieźle.

— To dobrze. Dziś wieczorem na siódmą jesteśmy zaproszeni na uroczysty obiad do Marie i Thomasa.

— Nic o tym nie wiem.

— Zadzwonili wczoraj wieczorem. Byłeś nieobecny, a twój telefon milczał.

— Zostawiłem w samochodzie. Byłem nieco zajęty. Co to za uroczystość?

— Nie wiem. Oboje byli bardzo tajemniczy.

— Podejrzewam coś niezwykłego.

— Możliwe.

Nagle w ogrodzie zjawił się natrętny owczarek, przegonił ptaki i obszczekał samochód sąsiada. Emma z Jeanem poszli wolnym krokiem do kuchni na poranną kawę. Byli wreszcie szczęśliwi, razem, w swoim domku. Pies pobiegł za nimi, niosąc swoją ulubioną zabawkę w pysku.

Kolacja była rzeczywiście szykowna i wystawna. Zjawili się nawet rodzice Thomasa. Jean włożył swój służbowy garnitur templariusza o nieco oryginalnym, aczkolwiek eleganckim kroju. Emma miała nową fryzurę i ubrana była w piękną suknię w ciemnym kolorze przyozdobioną srebrną biżuterią. Marie i Thomas siedzieli razem, niewiele mówiąc, co niepokoiło ojca dziewczyny. Zaczął szeptać delikatnie do ucha Emmy:

— Coś mi się tutaj nie podoba.

— Przestań. Masz obsesję.

— Dlaczego oni tak mało rozmawiają, tylko ciągle się uśmiechają?

— Uspokój się.

— No dobrze.

Wreszcie, po głównym daniu podano tort i nastąpiły uroczyste zaręczyny. Zszokowany Jean z niewyraźną miną patrzył na ceremonię i milczał. Ocknął się dopiero, gdy

Thomas poprosił go o rękę Marie. Spojrzał na speszonego chłopaka i spytał:

— Kochasz moją córkę?

— Tak, proszę pana.

— Jak bardzo? Mów.

— Oddałbym za nią życie.

— To teraz zapytam moją małą córeczkę, co o tobie sądzi. Marie! Podejź tutaj, moje drogie dziecko.

— Tatku, nie przesadzaj.

— Tak każe obyczaj.

— No dobrze.

Thomas stał jeszcze bardziej speszony obok stołu. Jego rodzice sprawiali wrażenie rozbawionych całą sytuacją, śmiejąc się i żartując. Tymczasem drobna i szczupła dziewczyna o długich, lekko falowanych czarnych włosach podeszła do ojca.

— Moja malutka córeczka, mój największy skarb... Dzisiaj już jesteś dorosła, dojrzała i pewnie mądrzejsza od swojego ojca.

— Tatku, jak zwykle żartujesz.

— Czy ten oto stojący tutaj cherlawy chłopaczek jest ciebie godzien?

Po tych słowach wszyscy łącznie z Thomasem wybuchli głośnym śmiechem, a Emma miała łzy w oczach. Wreszcie, kiedy zapanował spokój, Marie postanowiła zakończyć sprawę:



— Tatku, kocham Thomasa, jestem szczęśliwa u jego boku, a ty nie bardzo masz wyjście, jak tylko zgodzić się na nasz związek i tyle! Nie przyjmuję żadnej innej decyzji.

— Jednak jesteś moją córką. Niepozorną, ale potrafiącą ryknąć i postawić na swoim. Zaimponowałaś mi, Marie. Dzieci moje, bądźcie zatem szczęśliwi, a teraz można otwierać szampany.

Zaręczyny przeciągnęły się do czwartej nad ranem. Wreszcie Jean z Emmą opuścili mieszkanie. Kobieta wypła znacznie mniej, więc postanowiła prowadzić ciemny samochód. Najpierw nie potrafiła otworzyć zablokowanej maszyny.

— Co jest grane?

— To zamek szyfrowy. Muszę sprawdzić dzisiejszą kombinację na telefonie.

— Po co ci taki samochód?

— Jest niezbędny. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

— Jak uruchomić silnik?

— Musisz wpisać kolejny kod.

— To jakieś szaleństwo. No, jedziemy wreszcie. Co to jest, co leży na półce?

— Biblia, a właściwie Nowy Testament.

— Nigdy nie widziałam cię w kościele.

— To nie ma związku z czytaniem Biblii.

— Masz jakieś tajemnice, kochanie?

— Absolutnie nie.

— Dziwne to wszystko.

Zamilkli. Emma nie chciała o nic więcej pytać, bo wiedziała, że Jean i tak nie odpowie na kolejne pytania. Taki już był. Jeśli uznał, że nie warto z kimś rozmawiać, nie robił tego. Dlatego, choć lubiany w pracy, uchodził za dziwaka i odludka. Wreszcie dojechali do domku. Emma zaparkowała samochód na podjeździe. Pies dobrze pilnował domu, szczekając wniebogłosy i budząc tym wszystkich sąsiadów.

— To bydlę, jak zwykle, narobiło nam wstydu.

— Nie mów tak o nim. To dobry pies.

— Jasne, tylko dlaczego tak głośno szczeka. Cała okolica wie, że wróciłem do domu.

— Och, przestań. Chodź spać.

— Marie wyjdzie za rok za mąż, moja mała dziewczynka...

— Za dużo wypieś, Jean, jesteś nieznośny.

— Kto wie? Może zostanę dziadkiem?

— Na pewno. A teraz już, wynocha pod prysznic.

Dni mijały w dziwnym spokoju. Przez kolejny tydzień nic się nie działo. Francja była w żałobie. Pochowano ofiary ostatniego ataku na kościół w Wersalu. Panowała cisza. Oczywiście politycy odgrążali się i udawali, że wojna z Państwem Islamskim jest już prawie wygrana, ale tak naprawdę Europa nie zrobiła nic, by powstrzymać agresję terrorystów. Tysiące emigrantów nadal szturmowały granice Niemiec i Szwecji. Panowały strach i przemoc, a wszyscy udawali, że nic się nie dzieje.

Spotkanie templariuszy odbywało się, jak zwykle, w piątek o godzinie dwudziestej pierwszej. Nastroje braci były dobre, nawet wielki mistrz kilka razy pozwolił sobie na delikatny uśmiech. Po modlitwie przywódca udzielił głosu jednemu z braci, który służył jako saper przez dwadzieścia kilka lat w Legii Cudzoziemskiej. Niepozorny, starszy człowiek rozłożył plany Paryża na stole i wskazał palcem na jeden z zaznaczonych na czerwono punktów.

— To, bracia, jest nasz cel.

— Czy to meczet?

— Nie tylko. To centrum muzułmańskie.

— Spora budowla. Jak zamierzasz wysadzić ją w powietrze?

— Bardzo prosto. Dotarłem do mapy kanałów miejskich. Jeden z nich przechodzi idealnie pod budynkiem. Założymy profesjonalnie ładunki wybuchowe dużej mocy, a budynek... zniknie z powierzchni ziemi, co gwarantuję.

— Wszystko przemyślałeś, bracie?

— Naturalnie, wielki mistrzu. Użyjemy plastiku... mamy pod dostatkiem tego świństwa... Dwie skrzynie zdobyliśmy podczas akcji na arsenał wroga.

— Co to jest?

— Czeski semtex. To taki europejski odpowiednik amerykańskiego C4, czyli wybuchowa plastelina. Ten jest starego typu, trudno wykrywalny, ulubiony środek wybuchowy terrorystów.

— Czy to wystarczy do wysadzenia tego całego budynku?

— W zupełności. Potrzebuję jednego brata do pomocy. Wszystko jest gotowe do zaminowania.

— Dobrze, na razie czekamy na jakiś sygnał przygotowań do działania wroga.

— Tak jest!

— Módlmy się, bracia, o pokój na Ziemi.

— Mam jeszcze jedno pytanie, wielki mistrzu. O, przepraszam za nieposłuszeństwo...

— Mów, bracie Marc.

— Czy zdetonujemy ładunki w dzień czy w nocy?

— Czy w pobliżu mieszkają jacyś chrześcijanie?

— Nie, nie mieszkają. Sprawdziłem dokładnie wszystkie domy w promieniu kilometra.

— Wobec tego atak nastąpi w dzień.

— Będzie wiele ofiar.

— To wojna, bracie! Pamiętaj o tym!

— Tak jest!

— Dobrze, że w twoim sercu jest miejsce na litość, bracie, ale pomyśl o setkach niewinnych chrześcijan mordowanych na całym świecie. Za nimi nikt się nie wstawi. To jest wojna, a my jesteśmy mieczem w ręku Boga.

— Rozumiem, wielki mistrzu.

— Idź i módl się, jak każe nasza reguła.

— Amen.

Brat Marc położył się przed figurą Jezusa, leżał i modlił się z rozłożonymi ramionami. Czas jego pokuty zależny był od decyzji wielkiego mistrza, który przez chwilę przyglądał

się pokutującemu, a potem spojrzał po twarzach swoich podwładnych i rzekł:

— Bądźcie gotowi, bracia. Dzień zemsty jest bliski. Niechaj w waszych sercach zagości gniew Boży.

— Amen!

Po kwadransie wielki mistrz uderzeniem miecza o kamień pozwolił wstać pokutującemu. Posłuszeństwo było fundamentem każdego zakonu.

— Bracie Marc, twoja pokuta się zakończyła. Wstań i idź do swego domu. Ufam, że jesteś dobrym templariuszem.

— Wybacz mą słabość, wielki mistrzu.

— Będziesz miał okazję się zrehabilitować.

— Amen.

Kiedy Jean był już na zewnątrz, podszedł do niego cicho Paul i zaprosił przyjaciela do siebie na lampkę dobrego wina. Mężczyzna wsiadł do samochodu i odczekał kilka minut. Wreszcie jako ostatni odjechał z zarośniętego krzakami parkingu. Paul czekał na przyjaciela przy otwartym wejściu do garażu.

— Cieszę się, że przyjechałeś.

— No coś ty.

— Ostatnio jakoś mało ze sobą rozmawiamy.

— Były wakacje. Ale... no nic... Czy coś się stało?

— Nie tutaj. Chodźmy do mojego gabinetu.

Jean usiadł wygodnie w fotelu, a po chwili przyjaciel postawił przed nim lampkę wina i uważnie wpatrywał się w butelkę czerwonego trunku. Wreszcie zaczął mówić:

- Jak ci się to wszystko podoba?
- Nie rozumiem?
- Mam na myśli ostatnie decyzje wielkiego mistrza. Zresztą to ty podsunąłeś mu pomysł wojny totalnej.
- Uważasz, że to błąd?
- Tego nie powiedziałem.
- O co ci chodzi, Paul?
- Osobiście mam inne zdanie na temat prowadzonych przez nas operacji.
- Powiedz o tym na kolejnym spotkaniu.
- Bzdura. Nasz przywódca to człowiek uparty i zdeterminowany. Zaraz oskarży mnie o nieposłuszeństwo i zabierze mi prawo do noszenia płaszcza, a to będzie koniec.
- Jesteś bardzo ważnym członkiem tego bractwa.
- Wiem o tym.
- To w takim razie co, według ciebie, powinniśmy zrobić? Jak walczyć?
- Przede wszystkim nie zabijać niewinnych ludzi, ale działać z chirurgiczną dokładnością. Wycinać tylko zarażoną tkankę. Wiesz, co się będzie działo, jak rozwalimy to centrum?
- Nic. Oficjalnie podane zostanie, że to Państwo Islamskie w ramach kary za brak wojennego ducha wysadziło ten budynek.
- Jesteś sprytnym i inteligentnym człowiekiem. A pomyślałeś, co się stanie, jeśli muzułmanie w to nie uwierzą i zaczną się wojna domowa?

— To niemożliwe.

— A dlaczego?

— Są zbyt słabi. Poza tym wówczas zabijemy ich wszystkich. Nie będzie litości, a pozostali opuszczą nasz kraj. Zawsze jest jakieś rozwiązanie.

— Ty też oszalałeś? Jak wielki mistrz?

— Nie mów tak. Pamiętaj, że to jest wojna.

— Paul, to, co mówisz, jest zdradą. Albo się uspokoisz, albo sam na ciebie doniosę.

— Uważasz mnie za zdrajcę?!

— Tego nie powiedziałem!

Paul umilkł zaskoczony wybuchem gniewu przyjaciela. Wypił lampkę wina, nalał kolejną i wstał ze starego fotela. Zaczął nerwowo chodzić po piwnicznym pokoju. Wreszcie usiadł i spojrzał w kamienną twarz Jeana.

— Chyba się nie zrozumieliśmy?

— To znaczy?

— Chciałem tylko powiedzieć, że nie zgadzam się na zabijanie cywilów.

— To już wiemy. Powiedz to rodzinom tych ludzi, którzy zginęli ostatnio w Wersalu. To też byli cywile.

— Nie chcę, abyśmy się zamienili w zwykłych bandytów, żebyśmy stawali się nimi.

— Już od dawna nimi jesteśmy. Nie zauważyłeś tego? Mamy taką samą krew na rękach.

— Jedź do domu, przyjacielu. Nie dogadamy się.

— Paul, chcę cię zrozumieć, znamy się od dziecka. Musimy walczyć za Francję, za nasze dzieci. Nie mamy innego wyjścia. Zrozum, że jeśli okażemy słabość, wróg to wykorzysta.

— Masz rację. Zdaję się, że masz cholerną rację. Przepraszam, że zwątpiłem w nasz zakon.

— Napijmy się.

— Racja.

— Za naszą misję.

— Amen!

Jean pożegnał przyjaciela i wsiadł do samochodu. Kiedy przejechał kilka kilometrów, zadzwonił telefon alarmowy. Zdumiony spojrzął na kod. Był wezwany pilnie przed oblicze wielkiego mistrza. Zawrócił samochód i szybko pojechał do kaplicy. Czekał na niego jego wódz w płaszczu i z mieczem w dłoni. Zaskoczony nieśmiało wszedł do podziemnej sali grobowej.

— Jesteś już, bracie?

— Tak, przyjechałem najszybciej, jak mogłem.

— Włóż płaszcz i pas z mieczem.

— Tak jest!

— Zapraszam cię na rozmowę przy kamiennym stole.

Czy jesteś głodny?

— Nie, wielki mistrzu.

— To dobrze. Obżarstwo zabija ciało i umysł.

Zdenerwowany mężczyzna oddał hołd przywódcy, klękając przed nim i całując pierścień. Po chwili pomodlił



się żarliwie przed figurą Jezusa, a kiedy skończył, wstał, podszedł do kamiennego stołu i położył na nim swój miecz. Wielki mistrz zapalił kilka świec na stole. W ponurej sali zrobiło się nieco jaśniej.

— Wiesz, po co cię tutaj wezwałem?

— Domyślam się, wielki mistrzu.

— Martwię się o naszego brata Antoine'a. On zwątpił, prawda?

— Nie, ale przechodzi jakiś kryzys, to pewne.

— Ostatnio nie zabiera głosu podczas naszych zgromadzeń. Jest jakiś nieobecny. Szkoda, bo to dobry rycerz Boga i oddany przyjaciel.

— Tak, to prawda.

— Nie będę pytał, o czym dzisiaj rozmawialiście, to wasza prywatna sprawa, ale ciebie proszę o radę.

— Słucham.

— Co dalej zrobić z bratem Antoinem? To rycerz pierwszego wtajemniczenia, człowiek szlachetny i prawy.

— To prawda, wielki mistrzu, znam dobrze przyjaciela.

— Co więc radzisz?

— Brat Antoine jest idealistą i tak postrzega wojnę, nie może zrozumieć, że podczas walki giną niewinni ludzie, to boli jego serce. Takie jest moje zdanie.

— Prawdę powiedziałaś. Ja też tak myślę. Cóż więc mam czynić?

— Odsunąć brata Antoine'a od akcji, w których giną cywile. Trzeba przydzielić naszemu przyjacielowi jakąś

delikatną misję szpiegowską, bo w tym jest dobry i to lubi. Powoli zapomni o grozie wojny.

— Dobrze radzisz, bracie. Przyjdzie czas, a zakon wynagrodzi cię za tve oddanie i wierność.

— Dziękuję, wielki mistrzu.

— A teraz módl się i wracaj do domu. Późno już.

— Zostań z Bogiem, wielki mistrzu.

— Amen.

Jean zdjął płaszcz i powiesił go na żelaznym haku, odpiął pas z mieczem i wyszedł szybkim krokiem z ponurego grobowca. Kiedy wsiadł do samochodu, głośno westchnął. Spojrzał na dziedziniec. Było pusto. Brama otworzyła się automatycznie. Z piskiem opon opuścił teren kościoła. Po czterdziestu minutach kluczenia dotarł przed dom, zaparkował samochód i wszedł do środka budynku. Zaskoczony ujrzał siedzącą w kuchni Emmę.

— Coś się stało?

— Nie, nic. Jakoś nie mogłam zasnąć.

— A gdzie Rufus?

— Chrapie w salonie.

— Coś cię przeraziło?

— Nie. Martwię się o ciebie. Po prostu zastanawiałam się, co by było, gdybyś nagle nie wrócił.

— Daj spokój, kotku. Przecież jestem tutaj przy tobie.

— Nie jestem głupia. Wiem, że bawisz się w coś niebezpiecznego. Drogi samochód, telefon, ubranie, buty, gotówka... to wszystko nie przychodzi ot tak, łatwo, do

człowieka, nawet dobrego informatyka. Do tego te twoje blizny, broń, tajemnice...

— Uspokój się, kochanie.

— Powiedz prawdę.

— Nie mogę, uwierz mi. Po prostu teraz pracuję dla rządu. To wszystko.

— Tak myślałam. Co z nami będzie?

— Nic, wszystko zostaje tak, jak dotychczas. Wszystko jest dobrze. Jestem tylko informatykiem.

— Proszę cię, nie okłamuj mnie więcej.

— Dobrze, a teraz zapomnij o tej rozmowie. Inaczej mogę mieć kłopoty.

— Nie rozumiem, dlaczego to robisz?

— Dla Francji, jestem patriotą.

— Dlaczego ty? Dlaczego akurat ty?

— Los tak chciał.

Kobieta przestała popłakiwać i przytuliła się mocno do Jeana. Ten w milczącym skupieniu spojrzął gdzieś za okno. To był ciężki dzień. W końcu zaniósł drobną i szczupłą kobietę do łóżka, a sam poszedł wziąć prysznic. Potrzebował odpoczynku. Kiedy mył twarz, w łazience pojawił się Rufus. Polizał delikatnie lewą dłoń pana, po czym poszedł wolno na swoje legowisko. Jean długo patrzył w swoje odbicie w lustrze. Oto stał się kimś innym: intrygantem, kłamcą i zwykłym bandytą, a wszystko to w imię Boga i Francji.

Zmęczony poczłapał do sypialni, położył się obok Emmy i natychmiast zasnął. Bardzo potrzebował odpoczynku.

Kiedy otworzył oczy, dochodziła jedenasta. Emma bawiła się z psem w ogrodzie. Na zewnątrz była ładna pogoda. W mężczyznę wstąpił optymizm dzięki dawce snu, jakby zapomniał o trudnej nocy. Gdy Emma go ujrzała, powiedziała:

— Ooo... wstałeś, kochanie?

— Tak. Zaraz do was przyjdę. Zrobię sobie tylko kawę.

— Ten nasz pies jest coraz większy i silniejszy. Wczoraj zaczęły mu wypadać mleczaiki. Znalazłam dwa w kuchni na podłodze.

— Zamienia się w prawdziwego wilka.

Jean włożył szlafrok i podszedł do uchylonych przeszkolonych drzwi. Emma biegała boso po ogrodzie razem z psem, od czasu do czasu rzucając owczarkowi kij. Wreszcie zmęczona usiadła na ławce i ciężko oddychała.

— Nie mam kondycji. Chyba się starzeję.

— Daj spokój, przesadzasz. Dobrze spałaś?

— Tak, a ty?

— No chyba widać? Wiesz, może kupimy sobie dziś rowery, a potem pojeździmy po okolicy?

— Doskonały pomysł. A stać nas na taki wydatek?

— Ostatnio dostałem podwyżkę, mam pieniądze.

— Skoro tak, to za chwilę będę gotowa.

Wielkie centrum handlowe mieściło się kilkanaście kilometrów za Paryżem i — w przeciwieństwie do

większości sklepów we Francji — było czynne w niedzielę. Jean ostrożnie wjechał do podziemnego garażu, zaparkował i zamknął samochód, gdy nagle jak spod ziemi wyrósł przed nim młody Arab w towarzystwie dwóch kolegów.

— Przepraszam pana, to nasze miejsce.

— Nie rozumiem.

— Zaraz przyjedzie nasz brat. On tutaj zawsze parkuje w niedzielę.

— Ma rezerwację? Wykupił to stanowisko? W centrum handlowym?

— Nie, ale on tutaj zawsze parkuje.

— Dzisiaj będzie musiał zmienić miejsce.

— Szukasz problemów?

— Nie, a ty?

Zdumiony młody muzułmanin obejrzał się dyskretnie, po czym wyciągnął nóż. Emma chciała odciągnąć Jeana od samochodu, ale ten nie rezygnował. Wreszcie wyciągnął pistolet i wycelował prosto w twarz zaskoczonego napastnika.

— Słuchaj, przybłędo, to mój kraj i ja tutaj rządę, a teraz zjeżdżaj. A jak zobaczę choćby rysę na samochodzie, to cię znajdę i zabiję, pamiętaj o tym.

— Przepraszam, nie wiedziałem.

Przerażony Arab zbiegł z kolegami po schodach i zniknął gdzieś w tłumie ludzi na pierwszym piętrze.

— Kochanie, po co ci broń?

— Jak widać, przydaje się.

— Mogłeś ich pozabijać...

— Tak. To byli zwykli bandyci i wierz mi, zasłużyli na śmierć.

— Co ty opowiadasz?

— Skarbie, to nasz kraj. Pamiętaj o tym, zawsze. To my tutaj jesteśmy najważniejsi, a przybłedy niech siedzą cicho.

— Jesteś nacjonalistą...

— Tak. I wiesz co? Rozpiera mnie z tego powodu duma.

— Przerażasz mnie. Chodźmy po te rowery.

Emma szybko zapomniała o incydencie w garażu. Kiedy wrócili z zapakowanymi w kartony rowerami do samochodu, okazało się, że auto było nietknięte. Zadowoleni odjechali do domu. Podczas jazdy Jean zorientował się, że śledzi ich stary samochód, więc włączył alarm.

Po kilku minutach mężczyzna dostrzegł w lusterku nadjeżdżający czarny samochód z przyciemnionymi szybami. Nagle kierowca starego peugeota stracił panowanie nad pojazdem pełnym młodych ludzi i zjechał z drogi szybkiego ruchu, by zatrzymać się na trawiastej łące. Jean odwołał alarm, a czarna limuzyna błyskawicznie zniknęła z pola widzenia. Dalsza droga minęła już bez przeszkód.

Na miejscu Jean w towarzystwie wścibskiego owczarka sprawnie złożył dwa rowery, po czym razem z Emmą udali się na małą przejażdżkę po okolicy.

— Jak tutaj pięknie!

— O tak! Najbardziej lubię te stare domy stojące pośród wielkich ogrodów. Imponują mi rozmiarami i architekturą.

— Nie brakuje ich w tej okolicy.

— Chciałabym kiedyś mieć taki dom. Są wspaniałe.

— Trochę duże, jak na dwie osoby.

— Nie zapominaj o psie. Poza tym, to akurat nieważne.

Każdy ma jakieś marzenia, prawda?

— O tak.

— A ty? O czym marzysz?

— A wiesz, że zaskoczyłeś mnie tym pytaniem. Właściwie to nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Widocznie jeszcze nie jest to twój czas na precyzowanie takich deklaracji. No, dobrze, jedźmy dalej.

Jean z Emmą przejechali jeszcze kilka kilometrów po urokliwej okolicy, by wreszcie wrócić do swojego przytulnego domku. Oboje byli zmęczeni i bolały ich nogi.

— Dawno nie jeździłem rowerem. Plecy mi zaraz padną.

— Nie ty jeden. Przygotuję szybką kolację.

— Może pokonaliśmy dzisiaj zbyt długi dystans jak na pierwszy raz?

— To było tylko jedenaście kilometrów, tak przynajmniej wskazuje licznik.

— Robię się stary.

— No teraz to ty przesadzasz.

— Muszę kupić jeszcze bagażnik rowerowy. Zupełnie o tym zapomniałem.

— Dobry pomysł.

Zakochani zjedli kolację, wzięli wspólny prysznic w dużej łazience, po czym zasnęli w wielkim łóżu.

Przez kilka kolejnych dni nic ciekawego się nie wydarzyło, aż nagle Jean podczas powrotu z pracy usłyszał w radio niepokojące wieści. Terrorysty zaatakowali port lotniczy Ren-Men we Frankfurcie. To największy port lotniczy w Niemczech, odprawiający rocznie sześćdziesiąt milionów pasażerów. Położony dwanaście kilometrów od miasta był idealnym celem. Terrorysty opanowali obydwa terminale oraz łączącą je kolejkę. Napastników było kilkudziesięciu lub nawet kilkuset, wybuchła strzelanina, zginęło kilkaset osób. Tylko tyle podawały w tej chwili media. Zdumiony mężczyzna spojrział na telefon. Wiadomość już nadeszła. Spotkanie miało odbyć się w kaplicy o ósmej wieczorem. Potwierdził otrzymanie alarmu i ruszył w kierunku domu. Kiedy przybył na miejsce, chwilę bawił się z psem, nakarmił go, wypuścił do ogrodu i natychmiast włączył telewizor. W wiadomościach pokazywano sytuację na bieżąco. Płonęło kilka samolotów, wszędzie leżały zwłoki, a na miejscu widać było sporo samochodów straży pożarnej, policji i karettek. Po chwili nadjechały wojskowe oddziały specjalne. Ciągłe słychać było strzały. Nagle Jean usłyszał kroki w korytarzu. Błyskawicznie wydobył broń. Okazało się, że to była Emma, która wróciła z pracy. Mężczyzna szybko ukrył pistolet, którego kobieta na szczęście nie widziała. Od razu go zagadnęła:



— Witaj, kochanie. Słyszałeś, co się dzieje?

— Tak, właśnie włączyłem telewizor.

— Całe szczęście, że to nie u nas.

— Teraz przyszła kolej na Niemcy. Wpuścili sobie ponad milion uchodźców, a wraz z nimi bojowników islamskich, młodych, zdrowych i dobrze wyszkolonych.

— Dlaczego oni to robią? Przecież Niemcy dali im wszystko. O co chodzi?

— To wojna, kochanie, a Europa — widać — przegrywa ten konflikt.

— Ponoć zginęło tysiąc osób, prawie sami Europejczycy.

— Bardzo możliwe. Na razie nie mogą sobie poradzić z terrorystami, cały czas trwają walki.

— To lotnisko nie posiada żadnych zabezpieczeń, ochrony?

— Jest ogromne, łatwo tam ukryć broń i bojowników. Prawdopodobnie. W każdym razie sprawa wygląda nieciekawie. Nie wiadomo, ilu jest napastników, jak są uzbrojeni, czy są jacyś zakładnicy? Na razie trwają walki i panuje chaos.

— Przygotuję kolację.

— Dobra myśl.

— Dzisiaj raczej nie mam ochoty na przejażdżkę rowerową. Mam dość tych zamachów, tej walki.

— To prawda.

W podziemnym grobowcu kaplicy zjawili się wszyscy templariusze. Twarz wielkiego mistrza była blada i smutna.

Patrzył przez chwilę po twarzach zebranych braci, po czym odmówił głośno modlitwę za zmarłych, aż wreszcie usiadł i podparł rękami głowę. Po kilku minutach zaczął mówić:

— Bracia, stało się, wróg znowu zabija. Słyszeliście, co dzieje się za naszą wschodnią granicą? Niemcy dali się zaskoczyć jak dzieci. A teraz płacą za to wysoką cenę.

— Słyszeliśmy. A co my zrobimy, wielki mistrzu? Działamy?

— Jeszcze nie, bracie Marcu. Widać, że jesteś gotowy, tak jak i my wszyscy. Poczekajmy, aż policja niemiecka odbije lotnisko z rąk terrorystów.

— Rozkaz.

— Bracie Antoine, co na to nasza policja?

— Mieliśmy sygnały o tej akcji, poinformowaliśmy sąsiadów, ale zbagatelizowali nasze ostrzeżenia.

— Dlaczego?

— Nie wiem, może dlatego, że takie sygnały wysyłaliśmy Niemcom już od kilku miesięcy i przestali w nie wierzyć, gdy nic się nie działo?

— Rozumiem. O to chodziło wrogowi. Uspili ich czujność.

— Możliwe.

— Co jeszcze wiadomo na ten temat?

— Jeśli nasze informacje się potwierdzą, to ataku dokonał nowy odłam Al-Kaidy z Tunezji, czyli świetnie wyszkoleni młodzi fanatycy, dysponujący potężnymi środkami i możliwościami operacyjnymi w całej Europie

Zachodniej. To jest niezwykle groźny wróg, zdesperowany i przebiegły, znający się na nowoczesnej technologii.

— Niedobrze. Co jeszcze o nich wiemy?

— Niewiele. Jedynie, że przerzucili wraz z uchodźcami kilka tysięcy swoich uśpionych wojowników.

— Skąd mają broń?

— Magazyny zostały przygotowane wcześniej w Belgii i Holandii. To wszystko, co o nich wiemy. Poza tym jeszcze to, że mają wielu sympatyków wśród młodych ludzi pochodzenia arabskiego w całej Europie.

— To ważna wskazówka dla nas.

— W naszym kraju też mają kilkudziesięciu bojowników. Tak przynajmniej przypuszczam.

— Następny atak pewnie nastąpi w Szwecji, Wielkiej Brytanii i kto wie, gdzie jeszcze.

— We Francji są słabi, a to dzięki nam.

— Pojawią się ponownie i tutaj. To kwestia czasu, ale my będziemy gotowi.

— Tak jest!

— Zaatakujemy ich ludność cywilną, obrócimy ich zwolenników w przeciwników, to powinno nam pomóc.

— Amen.

Wielki mistrz wyszedł z kaplicy, zostawiając zaskoczonych templariuszy samych. Bracia w milczeniu czekali na przełożonego, który wrócił po kwadransie, niosąc ze sobą laptop oraz projektor. Po chwili na jednej ze ścian

wszyscy mogli oglądać na żywo relację z oblężenia portu lotniczego we Frankfurcie.

— Bracie Gotfrydzie, co o tym sądzisz?

— Akcję przeprowadzili ludzie z dużym doświadczeniem wojskowym. Mają wielu żołnierzy, amunicji, broni, są zaopatrzeni w nowoczesne środki łączności. To zawodowcy, a nie jacyś tam młodzi fanatycy, z jakimi mieliśmy do czynienia dotychczas. Jeśli jest ich na terenie Niemiec kilka tysięcy, to mogą takich ataków przeprowadzić dużo więcej, sparaliżować cały kraj. To niebezpieczny przeciwnik. Pierwszy raz widzę coś takiego. Śmiem twierdzić, że Niemcom nie uda się tak szybko odbić lotniska ani budynków portu.

— Jak oceniasz, bracie, ilu ich tam jest?

— Co najmniej pięciuset.

— Skąd oni się tam wzięli?

— Zwyczajnie, jak wszyscy podróżujący, przyjechali koleją lub jakimkolwiek innym środkiem komunikacji publicznej. Na miejscu mieli wszystko przygotowane, bo przecież wielu ich rodaków tam pracuje. Jakoś też nie widzę problemu w przemyceniu broni i amunicji w kontenerach lotniczych.

— Twoje zdanie, bracie Gotfrydzie?

— Tych łatwo nie pokonamy. Do tej pory mieliśmy do czynienia z amatorami, a ci to żołnierze z krwi i kości, z pewnością lepsi od nas, bo zaprawieni w walce i specjalnie w tym celu szkoleni od najmłodszych lat.

— Dziękuję za informację, możesz usiąść, bracie.

W kaplicy zapanowała cisza. Templariusze z uwagą śledzili akcję niemieckiej policji, która usiłowała odbić jeden z budynków portu lotniczego. Niestety, wycofała się, ponosząc spore straty. Na miejscu pojawiło się regularne wojsko, w tym transportery opancerzone oraz kilka czołgów typu Leopard-2. Ciągłe słychać było strzały, wybuchy oraz nawoływania strażaków, ratowników, policjantów i żołnierzy. Przybywało rannych. Wreszcie w kierunku atakowanego budynku ruszyły wojskowe opancerzone transportery, osłaniane przez trzy czołgi, które od czasu do czasu oddawały strzały w kierunku stanowisk piechoty nieprzyjaciela.

— Jak ty oceniasz ten szturm, bracie Gotfrydzie?

— Jako błąd. Zostanie odparty i to krwawo.

— Niemcy zaatakowali przy użyciu broni pancernej.

— Ale tylko frontalnie, a wróg na pewno przewidział taką sytuację. Są na to przygotowani... Mówiłem, że to dobrze przeszkoleni i zaprawieni w boju żołnierze. O, no proszę, mają działka bezodrzutowe. Jeden pojazd już płonie. Nie, nie, nie tędy droga, panowie.

— Masz rację. Wycofują się.

— To będzie długa noc.

— Dobrze, bracia, nie będę was zatrzymywał, wracajcie do domów. Jutro spotkanie o tej samej porze.

— Tak jest!

— A teraz módlmy się za dusze zabitych dzisiaj chrześcijan.

— Amen.

— Niechaj Bóg chroni Francję przed podobnymi atakami.

— Boże ocal nas!

— Idźcie w pokoju, bracia!

— Zostań w pokoju, mistrzu!

— Amen.

Jean wrócił do domu. Był zmęczony i chciał wreszcie trochę odpocząć. Wziął prysznic, pogłaskał psa, który w tym domu sypiał na podłodze sypialni obok łóżka, po czym zapadł w głęboki sen. Kiedy tylko zamknął oczy, znalazł się błyskawicznie w jakimś koszmarnym świecie. Widział płonące wysokie budynki, setki ciał porzuconych na ulicach, słyszał krzyki, wrzaski i odgłosy strzałów karabinowych. Wizja trwała bez przerwy jak jedna, wielka wojna pełna krwi i wszelkich okropności. Kiedy przerażony otworzył oczy, ujrzał wielką mordę zaniepokojonego psa, który lizał jego twarz. Po chwili odzyskiwał przytomność.

— Dobry pies, ale już nie liź mnie, już dobrze, uspokój się.

— Wstałeś, kochanie?

— Tak. Ależ miałem koszmarny sen.

— Wiem o tym. Krzyczałeś i jęczałeś przez sen jak obłąkany. Nie mogłam cię dobudzić. Dopiero pies pomógł ci odzyskać przytomność.

- Co za horror!
- Miałeś jakieś wizje senne?
- Tak, ale nie każ mi opowiadać szczegółów.
- Dobrze, zapraszam na kawę.
- Dziękuję.

Mężczyzna, szurając kapciami, powoli dotarł do kuchni, usiadł ciężko na drewnianym taborecie, włączył niewielki telewizorek i ustawił na kanał całodobowych wiadomości. W Niemczech nadal trwała bitwa o port lotniczy. Wróg bronił się. Nikt nie znał liczby ofiar. Lotnisko zostało szczelnie otoczone przez wojsko i policję, która na wieczór planowała przeprowadzenie szturmów generalnych. Za plecami Jeana stanęła Emma i spytała cicho:

- Nadal to samo?
- Tak, ciągle walczą. Nie udało się w nocy zdobyć lotniska.
- Ciekawe, kiedy to się skończy?
- Nie wiem, ale Niemcy mają przewagę strategiczną, więc zabicie wszystkich zamachowców to kwestia czasu.
- Zginęło tam wielu niewinnych ludzi, są wśród nich też Francuzi.
- Tak, słyszałem.
- Dlaczego oni to robią? Przecież wiedzą, że zginą.
- Fanatycy z wypranymi mózgami, to wszystko co można na ich temat powiedzieć.
- Wyłącz, kochanie, ten telewizor. Źle mi z tą wiedzą.
- Dobrze.

— Jedziemy na wycieczkę rowerową? Jest taka ładna pogoda.

— Zgoda, ale po obiedzie.

— To fajnie.

Jean z Emmą wyruszyli na wycieczkę do sąsiedniego miasteczka. Więcej już nie włączali telewizora.

Tymczasem w kilku niemieckich miastach doszło do kolejnych ataków terrorystycznych, zabijano na ulicy policjantów i niewinnych cywili. Przerażeni Niemcy ze zdumieniem patrzyli, jak na ulicach ich miast biegają bandy uzbrojonych napastników, strzelając, gwałcąc i mordując ich obywateli. Niektóre grupy terrorystów zamieniały się w zwykłych złodziejasków i pospolitych bandytów. W wielkim i wydawałoby się silnym kraju europejskim zapanował chaos. Później w efekcie działań obcych kulturowo i niewykształconych terrorystów wprowadzono w końcu stan wyjątkowy. Setki żołnierzy wyszły na ulice wielkich miast, a wyłapywanie bandytów i zamachowców trwało kilka dni. Zginęło przeszło tysiąc osób, a drugie tyle było rannych, podczas gdy schwytano zaledwie jedenastu bojowników i kilku bandytów. Reszta rozplynęła się w powietrzu. Prawdopodobnie uciekli do krajów ościennych. Taka była cena, jaką Niemcy zapłaciły za wpuszczenie dwóch milionów ludzi obcych kulturowo, zwłaszcza pochodzenia muzułmańskiego, na teren swojego kraju. Zapanował strach. Zwykli obywatele bali się wyjść na ulicę i nikt tego nie potrafił zmienić.



Tymczasem Jean z Emmą wrócili do domu, gdzie mężczyzna szybko zjadł kolację, wziął prysznic, założył dobry garnitur, pożegnał kobietę i pobiegł do samochodu. Wybierał się na spotkanie templariuszy. Dopiero w samochodzie włączył radio i zdumiał się, kiedy usłyszał, co się dzieje w Niemczech. Ruszył ostro z miejsca i pognał jak szalony do siedziby zakonu, nie bawiąc się w żadne kluczenie po ulicach. Wybrał drogę najkrótszą. Cały czas miał włączone radio. Armia francuska stanęła na granicy, żołnierze pilnowali, aby uzbrojone bandy terrorystów z terenu Niemiec nie przeniknęły na teren sąsiedniego kraju. Niemcy spacyfikowane naiwną polityką ostatnich lat były bezbronne i bezsilne wobec napastników, którzy robili, co chcieli, nie bojąc się niezdecydowanej policji. Teraz Jean zrozumiał, dlaczego ulice w Paryżu były puste, a spodziewał się, że i w innych miastach było podobnie — ludzie zostali ostrzeżeni o niebezpieczeństwie powstania podobnych zamieszek w ich kraju, do czego na szczęście nie doszło. Panował spokój i porządek.

Mężczyzna przyjechał kilka minut przed czasem, odkrywając ze zdumieniem, że wszyscy bracia byli już obecni, na co wskazywała liczba zaparkowanych w podziemiach samochodów. Jean pobiegł do kaplicy, szybko włożył płaszcz, przypiął pas z mieczem i zajął swoje miejsce, po czym, wraz z innymi, zamarł, milcząc w oczekiwaniu na wielkiego mistrza, który jak zwykle zjawił się punktualnie i przywitał się szybko:

— Witajcie, bracia, najpierw pomodlimy się o chrześcijańską Europę, a później porozmawiamy o tym, co dzieje się za wschodnią granicą.

— Tak jest!

Bracia długo i żarliwie modlili się do Boga o zwycięstwo nad plagą niewiernych, zaśpiewali nawet kilka pieśni, a także hymn templariuszy, aż wreszcie wielki mistrz pozwolił rycerzom usiąść, zaś sam, stojąc, rozpoczął dyskusję:

— Oto, bracia, stało się to, czego tak bardzo się obawiałem. Uzbrojone bandy terroryzują wielki kraj w środku Europy, a politycy w Brukseli zastanawiają się, czy przyjąć kolejne dwa miliony uchodźców. Czy świat oszalał?! Czy poprawność polityczna zaślepiła już cały rozsądek rządzących, czy jest to zwykła zdrada? Komu zależy na zniszczeniu naszego kontynentu?! No bo jak inaczej można nazwać te działania? Tylko zdradą, bo nawet nie brakiem wyobraźni.

— Wielki mistrzu, dobrze prawisz, ale co według ciebie mamy robić?

— Bracie Gotfrydzie, na razie czekamy, aż sytuacja się uspokoi, wtedy zaatakujemy.

— Dlaczego? Nasza bierność jest naszą słabością.

— Zgadzam się z tobą, bracie, ale odpowiedz sobie sam, co się stanie, jeśli to właśnie dzisiaj wysadzimy budynek centrum islamskiego w Paryżu?

— Nic, to znaczy, mogą wybuchnąć zamieszki.

— No właśnie, zamieszki. Dlatego będziemy czekać.

— Ale tam umierają chrześcijanie!

— To prawda. My ze swojej strony spacyfikowaliśmy trochę wroga, podczas gdy oni przeciwnie, wzmocnili i rozzuchwalili terrorystów. Dlatego Bóg ich ukarał.

— To co? Będziemy spokojnie patrzeć na tę rzeź? Ależ to wbrew naszej Regule!

Wielki mistrz uważniej spojrział na wypowiadającego te słowa brata Antoine'a. Milczał przez chwilę, by wreszcie wycedzić słowa przez zaciśnięte zęby:

— Sugerujesz bracie, że nie znam Reguły?!

— Nie, nie to miałem na myśli.

— To ja stworzyłem, reaktywowałem nasz Zakon i ułożyłem Regułę!

— Tak jest, wielki mistrzu.

— Twoje słowa zabrzmiały jak wypowiedzenie posłuszeństwa. Czy chcesz, bracie, trafić przed sąd zgromadzenia templariuszy?!

— Nie.

— A zatem proś o wybaczenie i módl się przed figurą Jezusa!

— Tak jest!

— I nigdy, przenigdy więcej nie podnoś głosu w kaplicy!

Jean z przerażeniem obserwował przyjaciela wstającego z miejsca, podchodzącego do wielkiego mistrza, a potem wręczającego mężczyźnie swój miecz, odpinającego płaszcz i rzucającego się na podłogę przed figurą Jezusa. Leżał krzyżem przez kwadrans i głośno się modlił, gdy wreszcie

otrzymał sygnał, że pokuta dobiegła końca. Wtedy wstał z lodowatej podłogi i — klęcząc przed wielkim mistrzem — przeprosił, po czym ucałował pierścień na jego dłoni. Dopiero teraz pokutnik otrzymał z powrotem swój miecz i płaszcz, po czym wrócił na swoje miejsce i usiadł.

Cały czas w kaplicy panowała grobowa cisza. Wreszcie wielki mistrz uderzeniem miecza w kamienny stół wznowił prawo braci do dyskusji. Pierwszy wstał niepozorny, drobny brat Lukas.

— Nasz brat nie chciał okazać nieposłuszeństwa ani złamać świętego prawa Reguły. Po prostu martwi się o rozlaną krew chrześcijan.

— No, dobrze, bracie, czy zatem proponujesz, by ich ocalić?

— Nie wiem, wielki mistrzu.

— No właśnie. Rozumiem wasz gniew, rycerze Boga, ale jesteśmy bezsilni, nie mamy komandorii w Niemczech i nic, powtarzam nic, poza modlitwą, nie możemy zrobić.

— A gdyby utworzyć komandorię u naszych sąsiadów? Chętnych raczej by nie zabrakło.

— Pomysł dobry, ale to nie takie proste, bracia. Organizacja naszego zakonu rozpoczyna się od góry, czyli od osób mających władzę i środki. Inaczej nasz zakon zostałby spacyfikowany w ciągu tygodnia. W Niemczech na razie nie ma na to szans, nie uda się zbudować struktury zakonu, bo nie ma nas tam kto poprzeć w kręgach rządowych. Możemy tylko bezsilnie patrzeć na to, co się

dzieje, od napaści na kobiety po mordowanie niewinnych ludzi.

— Amen.

W kaplicy zapanowała cisza. Bracia zdali sobie sprawę ze swojej bezsilności. Pozostało im tylko czekanie i żarliwa modlitwa. Nastrój się pogarszał, a morale upadało. Wielki mistrz widział to i doskonale wiedział, że musi coś zrobić ze swoimi żołnierzami póki nie będzie za późno.

— Bracie Marc!

— Tak jest?

— Czy jesteś gotowy na kolejną misję?

— Oczywiście, wielki mistrzu.

— Znajdziesz jeszcze jeden obiekt do wysadzenia, nieco mniejszy o niewielkim znaczeniu strategicznym. Może się okazać potrzebny. Czy potrzebujesz pomocy?

— Owszem, tak.

— Przydzielam to zadanie tobie, bratu Lukasowi i Antoine'owi.

— Rozkaz.

— Za dwa dni spotkanie w kaplicy. Bądźcie gotowi.

— Poradzimy sobie.

— Nie możemy dać się zaskoczyć.

W kaplicy zapanował radosny szmer. Rycerze znowu poczuli się potrzebni, co dało im poczucie gotowości do walki. Wielki mistrz w milczeniu obserwował templariuszy krzątających się wokół wielkiej mapy Paryża. Wytrawny psycholog i strateg miał już plan dalszej walki. Przywódcę

niepokoiło tylko jedno. Naprzeciwko niego stał Jean i uważnie patrzył przełożonemu prosto w oczy.

— Nie pomagasz braciom w przygotowaniu misji wojskowej?

— Nie. Przyszedłem do ciebie, wielki mistrzu, z prośbą o rozmowę.

— Odważny jesteś.

— Gdybym był tchórzem, nie zostałemby templariuszem.

— To prawda. Mów więc, conosisz w sercu.

— Musimy walczyć.

— To znaczy? Nie rozumiem.

— Musimy walczyć także na innych frontach, jak robili to nasi poprzednicy.

— Teraz mnie zaciekawiłeś. Do czego zmierzasz?

— Należy zlikwidować komórkę Al-Kaidy w Tunezji.

— Wiem o tym, ale na obecną chwilę to niemożliwe.

— No właśnie, że możliwe. Wydaje mi się, że wiem, jak to zrobić.

— Naprawdę?

— Tak.

— Dobrze. Wobec tego zostań dzisiaj po ostatniej modlitwie. Porozmawiamy o tym.

— Dobrze.

— A teraz idź pomóc braciom w planowaniu kolejnej akcji.

— Tak jest.

Jean skłonił się nisko i odszedł. Wielki mistrz nieco zdumiony patrzył na templariusza, który natychmiast włączył się w dyskusję o nowej akcji wojskowej.

Ostatni z braci ucałował pierścień wielkiego mistrza i szybko zniknął w mrokach korytarzy. Wielki mistrz zwrócił się do Jeana:

— Zostałeś tylko ty?

— Tak.

— A zatem usiądźmy przy wielkim stole. Zaczekaj na mnie kilka minut.

— Dobrze.

— Zaraz wrócę, przepraszam cię, bracie.

Przywódca templariuszy wstał i poszedł do jednego z bocznych wyjść w kaplicy. Jean został sam w ponurym miejscu, oświetlanym przez kilka świec i mdłych lampek elektrycznych. Nagle wielki mistrz wszedł do kaplicy nowymi, nieznanymi wcześniej Jeanowi szerokimi drzwiami. Mężczyzna niósł na starej drewnianej tacy zapiekaną wołowinę z ziemniakami i zielonymi warzywami. Pojawiły się także dwa kielichy i spora butelka czerwonego wina oraz druga identyczna z wodą.

— Wiem, że to niezdrowo, ale cały dzień byłem zajęty, zabrakło czasu na posiłek. Przyłączysz się, bracie?

— Tak, dziękuję.

— Poza tym przy jedzeniu rozmowa toczy się śmielej, a myśli ożywają.

Bracia zmówili krótką modlitwę, dziękując Bogu za posiłek, po czym usiedli i rozpoczęła się skromna uczta.

— Mów, bracie, jestem niezwykle ciekawy twojego pomysłu. Przyznam szczerze, że zaczynasz mnie zaskakiwać.

— Dziękuję.

— Chcesz zlikwidować wroga na jego terenie?

— Tak, zaskoczyć i zniszczyć.

— Jak sądzę, masz już gotowy plan. Czy dobrze myślę?

— To dopiero pierwszy szkic.

— Słucham.

— Zaatakujemy wroga na jego terenie. Wiemy już dzięki wywiadowi i informacjom od brata Antoine'a, gdzie mieści się siedziba nowego ugrupowania terrorystycznego. To młodzi ludzie, studenci i pracownicy naukowcy, niebezpieczni i pewni siebie, mający dostęp do nieograniczonych funduszy i pomocy fundamentalistów islamskich.

— To już wiemy. Teraz, jak to zrobić?

— Polecimy tam w pięciu. Na miejscu zakupimy niezbędną broń, samochody i sprzęt GPS od pewnego rosyjskiego handlarza, szczerze nienawidzącego Arabów, za to lubiącego Francuzów.

— Czy to pewny człowiek?

— Tak. To przyjaciel Gotfryda.

— Hm... pomyślałeś o wszystkim.



— Brat Gotfryd, Antoine i Lukas znają dobrze arabski, więc przydadzą nam się w tej misji.

— Powiedz szczerze, czy sam na to wpadłeś?

— Naturalnie.

— Kiedy?

— Dawno temu, gdy leżałem w szpitalu raniony nożem przez jednego z młodych islamistów.

— Słyszałem o tym. Sprytnie ich później zlikwidowałeś.

— To było okrutne, umierali w mękach przez wiele godzin.

— Prawda, ale nie miałeś innego wyjścia.

— Wtedy też pomyślałem o tym, że wroga najłatwiej atakować i niszczyć poza granicami Francji, bo nie narażamy ludności cywilnej.

— Mądrze powiedziane. Ile, według twoich szacunków, będzie kosztować ta akcja?

— Tutaj mam plany i kosztorys.

— No i znowu mnie zaskoczyłeś. Skąd miałeś ceny tego wszystkiego?

— Część informacji dostarczyli mi Antoine i Gotfryd, a część internet. Resztę zdobyłem na własną rękę. Byłem ostrożny, udawałem pisarza.

— Nie brakuje ci sprytu, bracie.

— Bardzo smaczna wieczerza i dobre wino. Dziękuję za poczęstunek.

— Wino ma prawie sto lat. To prezent od jednego z naszych sympatyków, starego hrabiego z południa Francji,

konserwatysty. Nie przepada za zmianami w Europie. Poza tym to żarliwy katolik i bardzo bogaty człowiek.

— Rozumiem.

— Teraz, bracie, udaj się na spoczynek do swego domu. Kolejne nasze spotkanie odbędzie się za trzy dni. Mam nadzieję, że do tej pory Niemcy odbiją lotnisko z rąk terrorystów i zrobią u siebie porządek.

— Na pewno. Mają odpowiednie środki.

— Tak, ale mają również kiepskich polityków.

— Jak to zawsze bywa w polityce.

— Bóg z tobą, bracie.

— Amen. A co z moim planem?

— Zapoznam się z nim, przemyślę i... pewnie go zrealizujemy.

— Dziękuję.

— Zabijemy ich wszystkich. Taka jest nasza misja.

Jean pożegnał wielkiego mistrza, wyszedł na brukowany dziedziniec. Jego samochód stał gotowy do drogi. Ktoś uruchomił silnik i włączył hamulec ręczny, było zimno i padał deszcz, zaczynała się sławna paryska jesienna pogoda, której nienawidził z całego serca. Mężczyzna szybko ruszył w kierunku otwartej bramy, gdy nagle dostrzegł, że na fotelu obok leży jakaś biała koperta z herbem templariuszy. Schował dziwny podarunek do głębokiej kieszeni w kurtce i szybko pojechał w kierunku zachodniej dzielnicy. Kiedy dotarł na miejsce, wyciągnął paczuszkę z kieszeni. Zawierała pieniądze. Otrzymał

wypłatę powiększoną o tysiąc euro. Nowi templariusze dobrze płacili. Był najemnikiem i tak się czuł. Schował pieniądze i wyszedł z samochodu. Otworzył kluczem żelazną bramkę i wszedł na teren domku. Po chwili był już w środku, włączył światło, przywitał psa i poszedł do łazienki. Usiadł na brzegu wanny i ciężko westchnął. Był zmęczony, potwornie zmęczony. Wreszcie dźwignął się, starannie umył zęby i wszedł pod prysznic. Następnie odświeżony poszedł do sypialni na piętrze. Marzył, by się wreszcie porządnie wyspać. I tak też się stało.

Obudził się dopiero po godzinie czternastej dnia następnego. W domu panowała dziwna cisza. W sypialni było słychać jedynie deszcz uderzający o okna dachowe. Mężczyzna włożył szlafrok i poszedł do kuchni, gdzie zastał chrapiącego swojego pupila. Na stole dojrzał wiadomość od Emmy, zapisaną na kartce papieru. Poinformowała go, że pojechała do jego córki, Marie. A zatem został sam z psem.

Mężczyzna zjadł obiad, wypuścił psa do ogrodu, który pobiegał chwilę dość niechętnie i niemrawo w deszczu, załatwił swoje potrzeby i szybko wrócił. Zdecydowanie nie zamierzał bawić się przy tak paskudnej aurze. Jean usiadł w salonie, wyczyścił broń, ukrył pieniądze, przeczytał kilka stron Biblii, po czym zaciekawiony włączył telewizor z kanałem całodobowych wiadomości.

Niemcy powoli przywracali porządek w kraju, jakiś oficer oddziałów specjalnych nie wytrzymał nerwowo i wyrznął w pień trzydziestoosobowy oddział pospolitych

morderców i złodziejasków, chociaż ci chcieli się poddać; w jednej z wiosek mieszkańcy zlinczowali kilku islamistów, odebrali im broń i powiesili opryszków na okolicznych drzewach, a policja nie interweniowała. Jeden z budynków lotniska został odbity przy ciężkich stratach obu stron. Terrorysty byli coraz słabsi. Niemcy ciągle naciskali i nie brali jeńców. Dowodzący akcją pułkownik nikogo nie słuchał. Na jednym z prowizorycznych przejść na granicy z Francją wybuchła strzelanina. Żołnierze zastrzelili kilku terrorystów, którzy chcieli schronić się na terenie zachodniego sąsiada. Europa powoli budziła się ze snu marzeń o tolerancji, wolności i poprawności politycznej, ale wielu ludzi nadal nie rozumiało, co tak naprawdę się wydarzyło. Nagle Jean dostrzegł, że pies warknął i podniósł łeb. Mężczyzna podszedł ostrożnie do okna i zobaczył Emmę, która wróciła z wizyty u jego córki, więc zabezpieczył i ukrył broń, po czym wyszedł na spotkanie z kobietą. Emma, gdy go ujrzała, uśmiechnęła się szeroko i spytała:

— Witaj, kochanie. Co za pogoda. Wypałeś się wreszcie?

— Tak. Przepraszam, że tak wyszło.

— Nic się nie stało. Nie chciałam ci przeszkadzać. Byłam u Marie, załatwialiśmy formalności związane z wynajmem mojego mieszkania.

— A u mnie w porządku. Jakoś sobie poradziłem.

— Pytali o ciebie.

- Mam nadzieję, że sprytnie wybrnęłaś z tej sytuacji.
- Oczywiście. Nie jesteś głodny? Nadchodzi już wieczór.
- Coś mogę przekąsić.
- Zaraz się tym zajmę. Jak tam pies?
- Cały dzień śpi, nie lubi takiej pogody. Gubi mleczaki.

Znalazłem aż trzy.

— Szybko rośnie, to fakt. A szczeka tak głośno, że szyby drżą, kiedy zobaczy w ogrodzie sąsiadów ich kota.

— Pilnuje swojego terenu.

Kolejne dni nie przyniosły żadnych zmian w życiu mężczyzny. W Niemczech przywrócono porządek żelazną ręką, zabito wielu bojowników, lotnisko zostało odbite i rozpoczęła się szybka odbudowa. Uczczono ofiary, których było bardzo wiele. Wydawało się, że powróci oczekiwana cisza i spokój w Europie, kiedy nagle w Paryżu wyleciało w powietrze muzułmańskie centrum kulturalne wraz z meczetem mieszczącym się obok. Zadrżała Europa, zadrżał cały świat islamski, tym bardziej, że oficjalnie podawano wszędzie wiadomość, że była to robota terrorystów z Państwa Islamskiego, którzy w ten sposób chcieli ukarać zdrajców z Francji, którzy nie pomogli bojownikom walczącym w Niemczech. I choć zaskoczeni przywódcy bojowników usiłowali się tłumaczyć, że to nieprawda, nikt im nie uwierzył, a wręcz wywołali wściekłość we wszystkich państwach muzułmańskich. Iran oraz Arabia Saudyjska wysłała swoje wojska do walki z mordercami wyznawców Allacha — jak ich określano. Nikt nie wiedział, że za tą

prowokacją stali templariusze. Popierająca terrorystów ludność islamska nagle przestała wspierać bojowników, kilkudziesięciu z nich zostało nawet wydanych w ręce policji francuskiej. Tego się nikt nie spodziewał.

Templariusze siedzieli zadowoleni w swojej kwaterze. Kaplica po raz pierwszy była jasno oświetlona. Wielki mistrz siedział w dębowym fotelu i patrzył z dumą na swoich rycerzy. Wreszcie odnieśli spektakularny sukces, wygrywając bitwę z niewiernymi bez strat.

Wielki mistrz miał świetny humor. Zorganizował wystawną ucztę, wino lało się strumieniami. Po raz pierwszy od wielu lat kilkuset spanikowanych muzułmanów opuściło teren Francji. Kiedy wieczerza dobiegła końca, przywódca templariuszy poprosił Jeana oraz brata Gotfryda, aby pozostali w kaplicy nieco dłużej. Mężczyźni zrozumieli, że nadszedł czas na akcję na terenie Tunezji. Kiedy zostali sami, spojrzeli po sobie i w milczeniu czekali na wielkiego mistrza, który wyszedł na dziedziniec, pożegnać pozostałych braci. Gdy wrócił, usiadł wygodnie w fotelu i wypił jednym haustem puchar czerwonego wina, po czym spojrzał uważnie na braci i rozpoczął rozmowę:

— Zapoznałem się z waszym planem. Jest niezły, choć trzeba wprowadzić kilka zmian.

— Tak jest!

— Z danych naszego wywiadu wynika, że faktycznie w jednym z kampusów uniwersyteckich w Tunisie mieści się

siedziba bardzo niebezpiecznych młodych przywódców nowego ugrupowania terrorystycznego.

— A więc to prawda!

— Spokojnie, bracie Gotfrydzie, słuchajcie dalej.

— Przepraszam.

— W jednym z akademików mają swoją siedzibę. Jest ich około trzydziestu. Większość to zadeklarowani intelektualiści w okularach, niepotrafiący walczyć ani posługiwać się bronią, dlatego mają stałą ochronę składającą się z około ośmiu... może dziesięciu strażników, mieszkających tam na stałe. Kilku z nich to pospolicci i niebezpieczni bandyci. Trzeba zabić wszystkich. Teraz możesz mówić, bracie Gotfrydzie.

— Co wiemy o ich zwyczajach? Kiedy przebywają w budynku?

— Dobre pytanie. Z tego, co ustalił wywiad, są tam przez cały czas, bo to ich centrum zarządzania, coś w rodzaju sztabu. Mają tam dobre komputery, nowoczesne środki łączności i nieograniczone fundusze.

— A co na to rząd Tunezji?

— Oficjalnie nic o tym nie wie, bracie Alexandre. Pośród terrorystów jest wielu synów prominentnych notabli i innych lokalnych kacyków oraz oficerów wojskowych, czyli u siebie są nie do ruszenia.

— Rozumiem. Przejdźmy do planów ataku. Zaczynaj, bracie Gotfrydzie.

— Lecimy do Tunisu samolotem rejsowym w małych grupkach po dwie osoby. Mamy dobre papiery, udajemy turystów. Wynajmujemy różne hotele w mieście. Po przybyciu całego oddziału badamy teren. Z tego co wiem, terroryści zajmują cały budynek, co nam zdecydowanie ułatwi sprawę. Następnie kupujemy broń i amunicję, a także trzy terenowe, używane toyoty, które są tam dość popularne. Wreszcie atakujemy, wycofujemy się do portu, gdzie czeka na nas szybka łódź, którą docieramy do Sycylii. Wolałbym śmigłowiec, ale motorówka jest bezpieczniejsza.

— Ten handlarz to pewny człowiek?

— Tak. To Żyd. Ma spółkę z Rosjaninem, gdzie jeden sprzedaje, drugi załatwia broń, głównie z Rosji i Europy Wschodniej.

— Klientów im nie brakuje?

— W tej chwili mają złoty interes, zaopatrują pół Afryki.

— Ile potrzebujecie środków i w jakiej walucie?

— To już brat Alexandre, on wszystko skalkulował.

— Proszę, tutaj są wyliczenia.

Wielki mistrz wziął do ręki kilka kartek wydrukowanego papieru, przez kilka minut studiował rzędy cyfr wraz z opisem niezbędnych towarów i samochodów, aż wreszcie westchnął i spojrzał na Jeana:

— Precyzyjnie wyliczone. Skąd znasz ceny bracie?

— Część informacji uzyskałem za pośrednictwem internetu, resztę od brata Gotfryda.



— Dobra robota. Akcja będzie trudna. Ilu potrzebujecie braci?

— Początkowo miało nas być pięciu, ale teraz po dokonaniu symulacji są nam potrzebni wszyscy.

— Nawet ja?

— Tak, nawet ty, mistrzu.

— No, dobrze... ale i tak zgłaszam się na ochotnika. A teraz zapomnijcie o całej rozmowie. Za dwa dni spotykamy się w kaplicy. Będę miał więcej informacji. No, czas już na was, jest już późno.

— Bóg z tobą, wielki mistrzu.

— I z wami, bracia.

Mężczyźni wyszli z podziemnej kaplicy. Na zewnątrz panowały ciemności, padał deszcz i jak zwykle wiał zachodni silny wiatr. Gotfryd podszedł do zaskoczonego Jeana, podał mężczyźnie potężną dłoń i szepnął:

— Masz chwilę, bracie?

— O co chodzi?

— Musimy pogadać. Chodzi o akcję. Przejdźmy się do mnie, dobrze?

— Masz bezpieczne mieszkanie?

— O tak i to nawet bardzo. Jedź za mną.

— Zgoda.

Samochody wolno podążały na północ, wyjeżdżając z Paryża. W pewnym momencie skręciły w boczną asfaltową, wąską drogę, by wreszcie po długiej podróży przez las i pola znaleźć się na terenie wielkiej i starej farmy

zamienionej w dom letniskowy. Samochody zatrzymał się przed wejściem. Po chwili obaj mężczyźni weszli do obszernego, starego kamiennego domostwa. Gotfryd, ponury olbrzym, w milczeniu rozpałił wielki kominek i spojrzał na stojącego skromnie Jeana.

— Siadaj. Napijesz się czegoś?

— Tak, chętnie.

— W lodówce znajdziesz całkiem niezły koniak. Może być?

— Jak najbardziej.

— Zaraz wrócę.

Jean otworzył wielką, skrzyniową lodówkę, która okazała się być świetnie zaopatrzona w żywność i napoje. Wziął do ręki koniak, dwie szklaneczki oraz lód i wrócił do Gotfryda. Usiedli naprzeciwko siebie, a gospodarz położył na stole pudełko z kartonu i zaprosił:

— No, to nasze zdrowie.

— Zdrowie.

Nieco speszony Jean po raz pierwszy przyjrzał się twarzy Gotfryda. Była ciemna, jakby wiecznie opalona lub ogorzała od ciągłego wystawiania jej na zewnętrzne warunki atmosferyczne, co kontrastowało z jasnoniebieskimi oczami, zawsze uważnie patrzącymi na rozmówcę. To był nawyk starych żołnierzy Legii Cudzoziemskiej. Mocno poorane zmarszczkami oblicze wskazywało na człowieka, który większość życia spędził w otwartym terenie. Gotfryd mógł mieć około pięćdziesięciu lat.

- Co chcesz o mnie wiedzieć?
- Nic.
- To dlaczego tak wnikliwe badasz moją twarz?
- Nigdy wcześniej nie miałem okazji widzieć cię w takim świetle i z tak bliska.
- I co z tego?
- Jak każdy człowiek jestem ciekawski, ot i wszystko.
- W porządku. Jak oceniasz naszą akcję?
- Trudna i ryzykowna. Możemy nie wrócić żywi. W końcu to nie nasz teren.
- Byłeś kiedyś w Tunezji?
- Nie, nigdy.
- Tak myślałem. Masz tutaj zdjęcia, obejrzyj je dokładnie, przedstawiają Tunis, ulice, ludzi, budynek uniwersytetu i kampusu. To może ci się przydać. Jest także kilka najaktualniejszych fotografii portu.
- Dzięki.
- Nie ma sprawy. Dobrze strzelasz. Gdzie się nauczyłeś?
- W wojsku.
- Gdzie służyłeś?
- Niedaleko. Byłem zwykłym technikiem.
- Powiedzmy, że ci wierzę, ale prawdy nie musisz mi mówić.
- Jesteś inteligentny i spostrzegawczy. Czasami mnie zaskakujesz.
- Każdy mnie bierze za ogromnego tępaka i zabójcę, prawda? Za człowieka od czarnej roboty.

- Tego nie powiedziałem.
- Ale pomyślałeś.
- Tego mi nie udowodnisz.
- Koniec żartów. Pogadajmy poważnie o tej akcji.
- Zgoda.
- Jaki masz plan?

Zaskoczony Jean spojrzał ponownie w skoncentrowaną twarz Gotfryda, który nie spuszczał z niego oczu, gotowy w każdej chwili wydobyć nóż z rękawa lub pistolet z kieszeni. Wiedział, że z tym człowiekiem nie ma żartów, potrząsnął głową i zaczął mówić:

— Z tych zdjęć wynika, że ten budynek, zajmowany przez wroga, znajduje się w samym centrum miasteczka uniwersyteckiego. To niedobrze, wolałbym, aby stał na uboczu.

— Dobrze. Co dalej?

— Mam pewien pomysł, trochę naiwny, ale krąży mi bez przerwy po głowie.

— Mów, czekam.

— Czy te budynki mają podziemne połączenia, jakieś ciągi komunikacyjne, kanały na przewody sieci elektrycznej lub coś podobnego?

— Masz głowę nie od parady. Zaraz sprawdzimy.

Brat Gotfryd wstał, podszedł do wojskowego plecaka i wyciągnął z jego wnętrza nowoczesny telefon komórkowy. Wybrał numer, chwilę czekał, po czym szybko wypowiedział kilka zdań w języku arabskim. Po kwadransie otrzymał

informację, podszedł do stołu usiadł i spojrzał uważnie na rozmówcę.

— Miałeś rację. Wszystkie budynki są połączone podziemnymi kanałami, w których mieszczą się wszelkie instalacje. Spokojnie może poruszać się w nich dorosły mężczyzna. Co jakiś czas technicy obsługujący teren miasteczka wchodzą do tych tuneli.

— Gdzie znajduje się główne wejście?

— Na szczęście dla nas całkiem na zewnątrz, w niewielkim, niestrzeżonym budynku rozdzielni elektrycznej.

— O to chodziło. To bardzo ważna informacja.

— Chcesz, abyśmy weszli tymi kanałami do ich sztabu, zapewne w nocy... i rozwalili wszystkich podczas snu?

— Dokładnie tak.

— Nieźle to wymyśliłeś.

— A twój plan Gotfryd?

— Jest nic nie wart. Twój jest lepszy. Opracujesz szczegóły?

— Tak, ale muszę mieć plany tych budynków i kanałów komunikacyjnych.

— Wszystko dostaniesz jeszcze dzisiaj.

— Tak szybko? Skąd?

— Nie pytaj. Im mniej wiesz, tym dłużej żyjesz.

— To prawda.

Potężny dwumetrowy mężczyzna jednym haustem pociągnął ze szklanki całą jej zawartość, po czym nalał sobie kolejną potężną dawkę koniaku.

— Posłuchaj. Tunezja, jak na kraj arabski, jest w miarę cywilizowana. Do 1956 roku należała do Francji. Można tam bez problemu rozmawiać po angielsku i francusku. Mieszka tam odrobina Żydów i Europejczyków. Na północy kraju dominują lasy i góry, południe jest suche i piaszczyste. Z zachodu mamy Libię, ze wschodu Algierię... sama radość, bo jedni i drudzy to zbuntowana dzicz. Dlatego po wszystkim uciekamy morzem, tak jak to było ustalone.

— Dzięki za informacje.

— O, jest faks. Przyszło to, o co prosiłem, to prezent dla ciebie. Teraz już jedź do domu, bo późna pora, trzeba spać. Trafisz?

— Mam dobry GPS.

— W porządku. Fajnie było z tobą porozmawiać. Ty jesteś coś wart, niektórzy z naszych są do niczego, ale jakoś dają sobie radę. Nie to, co ty.

— A wielki mistrz?

W tym momencie Gotfryd spojrział dziwnym wzrokiem, jakby nieprzyjawnym, podumał chwilę, otwierając drzwi, po czym szepnął:

— To święty człowiek, zawdzięczam mu życie, ale nigdy nie wypowiadaj się na jego temat, dobrze ci radzę.

— Chciałem tylko zapytać, czy jest dobrym żołnierzem.

— Najlepszym.

— W porządku, to wszystko.

— Ja myślę. Teraz jedź do domu i przygotuj plan ataku. Jeśli będzie dobry, awansujesz.

— Rozumiem.

Zdenerwowany Jean wsiadł do samochodu odprowadzany wzrokiem przez gospodarza nadal stojącego w otwartych drzwiach domu. Wreszcie Jean ustawił pozycję w GPSie, wpisał adres i ruszył przed siebie, unosząc dłoń w kierunku nieruchomej postaci brata Gotfryda, który nie odwzajemnił gestu. Na wszelki wypadek Jean zapisał położenie domu dziwnego olbrzyma w danych swojego urządzenia naprowadzającego. Tak na wszelki wypadek.

Minęły dwa dni. Jean opracował szczegółowy planu ataku, policzył czas potrzebny do uderzenia na siedzibę terrorystów. Łącznie kanałami mieli przemieszczać się siedem minut. Na likwidację wroga pozostawało trzynaście minut. Ucieczka była najgorsza i najtrudniejsza, bo zajmowała prawie czterdzieści minut. Przy odrobinie szczęścia powinno się udać, na co też liczył mężczyzna. Spakował papiery, wszelkie plany i wyliczenia do niewielkiej torby, zabrał również komputer i specjalny elektroniczny stoper. Pożegnał Emmę, psa i ruszył w kierunku podziemnej kaplicy, gdzie czekał na niego wielki mistrz w towarzystwie Gotfryda.

— Jesteś jak zwykle punktualny. Masz wszystko, bracie Alexandre?

— Tak, zabrałem dokumenty i wyliczenia ze sobą. Mam też komputer.

- Brawo.
- Mówiłem, że się nada. Ten brat ma głowę na karku.
- Spokojnie, bracie Gotfrydzie, zaraz to ocenię.
- Tak jest.

Wielki mistrz założył drucziane okryągłe staroświeckie okulary do czytania, po czym długo i starannie studiował dostarczone plany, od czasu do czasu zapisując drobnym drukiem uwagi z boku kartek lub na marginesach. Wreszcie z uśmiechem uniósł głowę i powiedział:

— Bardzo dobre opracowanie, niczego nie przeoczyłeś, sam bym tego lepiej nie zrobił. Brawo, bracie. Jestem zadowolony.

— Dziękuję, wielki mistrzu. Martwią mnie tylko te grodzie w kanałach. Mam nadzieję, że nie ma tam stalowych, dobrze zabezpieczonych drzwi.

— Rozumiem. Co na to brat Gotfryd?

— Co najwyżej mogą tam być zwykłe kłódki. Technicy dosyć często schodzą do tych podziemi, nie utrudnialiby sobie życia.

— Wobec tego problem mamy z głowy.

— Kiedy uderzamy?

— Jak najszybciej, bracie, jak najszybciej. Jutro jest walne zebranie. Poinformuję braci o naszych planach. Wy macie milczeć. Oficjalnie to ja przygotowałem i zaplanowałem atak. Oni nie mogą niczego więcej wiedzieć, bo jakby wpadli w łapy wroga, mogłoby się to dla nas źle skończyć.



— Tak jest!

— To wszystko, bracia, jesteście wolni. Módlmy się razem o powodzenie akcji.

— Amen.

— Niech Bóg będzie z nami.

Jean wrócił do domu, przytulił się do Emmy i natychmiast zasnął. Poranek był zimny i deszczowy. Jak co dzień przed ich wyjściem do pracy pies robił obchód po ogrodzie. Był już duży i silny. Wyrósł na potężnego owczarka z długim futrem, dobrze umięśnionego i agresywnego.

— Wiesz, kochanie, w przyszłym tygodniu mam wyjazd służbowy. Załatwisz mi urlop?

— Ile dni potrzebujesz?

— Kilka, może pięć.

— Masz zastępcę?

— Tak, ten młody człowiek po studiach. Jest dobry, poradzi sobie.

Emma ciężko westchnęła, wypła kilka łyków kawy i spojrzała uważnie na Jeana:

— Długo jeszcze będziesz znikał z domu?

— Jeszcze trochę, kotku. Potrzebujemy pieniędzy.

— Nie jestem biedna.

— Chciałbym trochę odłożyć.

— Masz jakieś plany?

— Tak, w przyszłości kupię ten dom dla nas, za gotówkę, dlatego robię to, co robię. Inaczej nie miałbym motywacji.

- Zaskoczyłeś mnie.
- Jak widzisz, nie jestem taki zły.
- No dobrze, jakoś ci wybaczę ten wyjazd.
- Dziękuję.
- Mogę wiedzieć, dokąd się wybierasz?
- Niestety nie, przykro mi.
- Znowu tajemnice.

Przygotowania do wyjazdu przebiegały szybko i zaskakująco sprawnie. Wszyscy templariusze dostali nowe legalne paszporty i prawa jazdy, każdy otrzymał inną tożsamość, której musiał nauczyć się na pamięć. Mieli lecieć w dwuosobowych zespołach, tylko wielki mistrz udał się nieco wcześniej na Sycylię, gdzie miał osobiście zająć się przygotowaniem wojskowej motorówki i zaplanować odwrót. Akcja „Krucjata” rozpoczęła się i miała potrwać maksymalnie tydzień.

Jean, ubrany jak typowy turysta, czekał na lotnisku, co jakiś czas zerkając na wielki elektroniczny zegar. Wreszcie kątem oka dostrzegł Paula, który nadciągał z wielką walizką.

- Jesteś wreszcie. Po co ci taka wielka waliza?
- Nie pytaj, stary. Żona mnie pakowała. Musiałem trochę nakłamać.
- Chodźmy. Zaraz skończy się odprawa.
- Racja. Uff, ledwo zdążyłem.
- Co się stało?
- To przez ten cholerny bagaż.

Samolot był pełen pasażerów, ale wszystko poszło gładko. Paul siedział i ciężko oddychał, był wyraźnie mocno zestresowany. Jean patrzył zaniepokojony na towarzysza, aż wreszcie powiedział cichym głosem:

— Co się dzieje, stary?

— Nic. Mam lęk wysokości. To dlatego zrezygnowałem z dalszej służby w armii.

— Aaa... w porządku, rozumiem.

— Nie mów o tym nikomu.

— Nie ma sprawy, możesz mi zaufać.

Podróż trwała kilka godzin i minęła bez większych przygód. Jean z Paulem przeszli bez problemów kontrolę paszportową, wsiedli do taksówki i udali się do jednego z okolicznych dobrych hoteli położonych nad morzem, a tam natychmiast nawiązali łączność z pozostałymi braćmi. Dowódcą był Gotfryd, który po zakup broni chciał wybrać się tylko i wyłącznie w towarzystwie Jeana. Taki otrzymał rozkaz od wielkiego mistrza. Wieczorem podjechał starą toyotą pod hotel i odebrał zaskoczonego mężczyznę, ubranego jak zwykły turysta.

— Jesteś. To dobrze, ale nie ubieraj się jak niemiecki pederasta, bo stracę szacunek starych kamratów.

— Nic nie mówiłeś.

— Z tyłu masz garderobę wojskową. Bądź uprzejmy się przebrać. I zmień buty. Jedziemy na południe.

— W porządku.

— Załóż też te okulary.

- Okej.
- Wreszcie będziesz wyglądał jak człowiek.
- Dzięki. Dokąd konkretnie jedziemy?
- Do jednego takiego handlarza, starego Żyda i oszusta, ale mającego dobry towar. Poza tym znam go od wielu lat. Daj spokój, przecież rozmawialiśmy już o tym.
- Tak, przypominam sobie.
- Jak minęła podróż?
- Nieźle.
- Domyślam się. Ja już kiedyś leciałem z twoim kumplem, hi, hi, hi.

Przestali rozmawiać, zjechali z głównej drogi. Jean się przebierał, zaś brat Gotfryd spokojnie i pewnie prowadził samochód. Wreszcie zatrzymali się w jakimś małym miasteczku. Wyszli z samochodu i udali się do niewielkiego, zaniedbanego sklepiku ze wszystkimi towarami niezbędnymi do życia na pustyni. Mały, otyły człowieczek w okularach oprawionych w grube oprawki dziwnie przyglądał się nowym klientom, aż wreszcie wybiegł zza lady z radosnym okrzykiem:

- Ty stary wilku pustynny, żyjesz!
- A co? Chciałbyś, aby mnie sępy pożarły?
- Nigdy w życiu. Dobrego klienta ja szanuję i modłę się o jego zdrowie do wszystkich bogów na wszelki wypadek co noc.
- Nie łżyj, znam cię dobrze. Gdzie Wołodia?
- W Europie. Pojechał po towar.

— A to szkoda.

— Ale uprzedził mnie o twojej wizycie.

— Wiem o tym.

— A kim jest twój przyjaciel? Czy można mu ufać?

— Bardziej niż tobie, ty stara hieno!

— A ty znowu mnie obrażasz. Czy ja uczyniłem coś złego tobie albo twojej rodzinie?

— No już, cicho. Prowadź na zaplecze. Nie przyjechałem tutaj na pogadanki.

— Tylko zamknę sklep.

Mały sprzedawca sprawnie zaryglował drzwi sklepu, po czym cała trójka udała się na zaplecze, gdzie w magazynie pełnym rupieci z całego świata handlarz otworzył wąż prowadzący do piwnicy. Gotfryd skinął głową na gospodarza i powiedział:

— Ty pierwszy.

— Jak zwykle mi nie ufasz, a tyle dobrego dla ciebie zrobiłem.

— Wiesz, dlaczego jeszcze żyję?

— Bóg tak chce.

— Ponieważ nikomu nie ufam. Takie mam zasady.

Magazyn był ogromny, zbudowany niczym schron przeciwlotniczy, masywny i dobrze zabezpieczony na wypadek wojny lub wizyty niepotrzebnych gości. W przeciwieństwie do sklepu panował w nim idealny porządek; broń i amunicja były posegregowane i poukładane na drewnianych, topornych regałach.

— Niczego nie dotykaj, bo tutaj jest pełno pułapek i min.

— Rozumiem.

Handlarz włączył wszystkie lampy, rozświetlając powierzchnię w całej okazałości. Niestety, w magazynie pełnym wolnych przestrzeni nie było zbyt wielkiego wyboru. Nieco zaskoczony wielki templariusz patrzył na zawartość skrzyń z poważną miną:

— Co tutaj tak pusto?

— Spóźniłeś się o cztery dni, mieliśmy dobrego kupca.

— Nawet nie pytam skąd.

— I po co to wiedzieć? Ludzie kochają się zabijać. Ciągłe przyjeżdżają, dzwonią, kupują. Dzisiaj każdy chce kogoś zabić, to jak na tym nie zarobić, kiedy klient chce, klient prosi, klient płaci, to klient ma.

— Dla kogo teraz pracujesz, stary cwaniaku?

— Dla siebie. Ja jestem tylko małym robakiem, którego łatwo rozdeptać, a ja mam rodzinę, ja nie mam ani wrogów, ani przyjaciół, ja jestem kupcem.

— Przestań. Kto teraz chroni twoje życie, stary? Inaczej już byś leżał na pustyni z uciętą głową.

— Może ja i mam przyjaciół, a może mój partner?

— Pracujesz dla wszystkich: Rosjan, Amerykanów, Libijczyków... No przecież wiem. No i dla Izraela, rzecz jasna.

— Nie twoja rzecz... Przejdźmy do interesów.

— Tutaj nie masz nic ciekawego.

— A kto powiedział, że ty masz kupić to, co tutaj jest?

— Prowadź do drugiego magazynu.

— Ty mnie nie szanujesz, a ja ciebie traktuję jak brata. Mam dla ciebie superofertę, a ty mnie obrażasz, a teraz ty widzisz, że ja jestem twoim przyjacielem.

— Dolary?

— Mogą być.

— Gdzie masz sprzęt?

— Stoisz na nim, spójrz pod nogi.

— Sprytne.

— Podnieś klapę, ale bardzo powoli i ostrożnie, zatrzymaj w połowie i policz do siedmiu, inaczej eksploduje cały magazyn. To pomysł Wołodii. Taka mała niespodzianka.

— Cały Wołodia, zawsze lubił dziwne niespodzianki.

Potężny templariusz uniósł ciężką stalową klapę zgodnie z instrukcją, po czym powoli i ostrożnie otworzył szerzej. Następnie opuścił żelazo na podłogę, odsłaniając czeluść poniżej. Spojrzał na metalowe schody prowadzące w dół.

— A czy teraz jest bezpiecznie?

— Nie. Pójdę pierwszy i wyłączę alarm.

— Dobrze, my zaczekamy na górze.

Otyły handlarz sprawnie wszedł na dół po stromych schodach, a po chwili włączył oświetlenie i zaprosił kupujących do siebie. Mężczyźni powoli i ostrożnie zeszli w dół schodami bez barierek. Zaskoczeni ujrzeli drugi, prawie identyczny magazyn z betonu, w środku którego stało kilkanaście słupów podpierających strop, a między nimi piętrzyły się zielone wojskowe skrzynie z amunicją.

— Wybierajcie, co chcecie. Mamy tu wszystko, by uzbroić małą armię.

— Widzę. Masz tutaj listę. Sprzęt ma być sprawny, a amunicja nowa. Jeśli choć jeden pocisk nie wypali, to wrócę tutaj i wysadzę ci, Żydzie, ten twój interes w powietrze.

— Ja mam tylko dobrą amunicję, u mnie nie ma niczego starego, zleżalego, skorodowanego. Ja szanuję dobrego klienta, a ty mnie znowu obrażasz.

— Zamknij się i przygotuj towar. Czy jest tutaj jakaś winda?

— Tak, tam w górę. Może jeszcze coś dorzucić? Mam dobre kamizelki kuloodporne.

— Jakiejś produkcji?

— Amerykańskie, najnowszy wyrób.

— Ile za jedną?

— Niewiele, dogadamy się, jakiś rabacik, jakiś upust... Dlaczego od razu tak brutalnie mówić o gotówce? To nie przystoi kupcowi, to nie jest po bożemu, a ja szanuję prawa boże.

— Kłamiesz. Szanujesz tylko mamonę.

— Skąd tyle w tobie kąśliwych słów?

— Ponieważ cię dobrze znam. Dobrze, wezmę osiem sztuk.

— To ja rozumiem. Mam jeszcze świetne granaty akustyczne, bardzo skuteczna broń.

— Daj dwadzieścia.

— Wspaniale, a to jest najnowszy rosyjski wynalazek.



— Co to takiego?

— Służy do likwidacji pościgu. Nastawiasz zapalnik... a są cztery czasy... i rzucasz. Spada na jezdnię i eksploduje, a dziesięć centymetrów nad powierzchnią drogi tysiące małych ostrych kulek rozwała każdą oponę i niszczy felgi. Wspaniała rzecz. Sprawdzona. Rewelacja.

— Ile za to chcesz?

— A ile weźmiesz?

— Dziesięć.

— Może mało? — wtrącił cicho Jean, na co Gotfryd jedynie pokręcił przecząco głową, a sprzedawca natychmiast dorzucił swoją kwestię:

— Może być. Ale wiesz, to jest nowość, to trochę kosztuje. To jest pomocne i skuteczne, a poza tym nie każdemu to pokazuję, tylko dobrym klientom.

— Czyli tym z forszą.

— To są twoje słowa.

— Nieważne. Wracamy na górę. Przygotuj wszystko.

— Czy mógłbym zobaczyć pieniądze?

— Mógłbyś.

— Chodź na górę, napijemy się, duszno tutaj. Niech nasz przyjaciel trochę popracuje. Ma wózek widłowy na prąd, nie przemęczy się — rzucił po francusku do Jeana.

— A forsa? Chciał przecież obejrzeć pieniądze.

— I co z tego? To my tutaj rządzymy, my płacimy... To nie targ rybny w Paryżu.

— Rozumiem.

Mężczyźni weszli do zamkniętego sklepu. Gotfryd podszedł do wielkiej, starej lodówki i wyciągnął z niej kilka zimnych piw.

— Lubisz?

— Tak, nawet bardzo.

— To amerykańskie. Kradzione ze statku. Nawet niezłe, choć słabe, ale orzeźwiające. Weźmiemy jeszcze kilka kartonów do samochodu.

— Tak za darmo?

— Premia, panie kolego, premia za dobre zakupy. Zostań tutaj, a ja pójdę po szmal, bo inaczej nasz sprzedawca umrze na zawał serca.

Gotfryd wszedł do sklepu ze starym, wojskowym plecakiem. Handlarz, nieco skrzywiony widokiem darmowego piwa, rozchmurzył się na widok pieniędzy.

— To dolary, prawda?

— Takie przecież lubisz: setki w używanych banknotach.

— Czy już nazwałem ciebie najlepszym moim przyjacielem?

— Pokaż towar.

— Musimy pójść do bocznego magazynu.

— Prowadź.

— Tylko ostrożnie, niczego nie dotykajcie.

Trzech mężczyzn weszło do zapakowanego pustymi skrzyniami małego pomieszczenia. Z tyłu, na platformie stało kilka większych i mniejszych skrzyń w kolorze maskującym. Gotfryd podszedł do nich i starannie

przeoglądał zawartość każdej. W końcu spojrzał na handlarza kamiennym wzrokiem:

— Wszystko się zgadza. Ile za to chcesz?

— Niewiele. Towar jest najwyższej jakości.

— Gadaj, nie mam czasu.

— Tutaj jest wszystko zapisane.

— Pokaż.

Sprytny Żyd podał kartkę starannie zapisaną drobnymi literami. Nabywca starannie sprawdzał ceny, po czym rzucił kartkę pod nogi zaskoczonego handlarza i syknął:

— Znowu próbujesz mnie orznać.

— Wszystko podrożało, takie czasy. Dzisiaj każdy chce broń, a ja muszę utrzymać rodzinę.

— Do rzeczy... napisz nową cenę.

— Dobrze, ale to mnie się nie opłaca.

— Nie opowiadaj bzdur. Przecież wiem, że towar kupujesz za pół darmo, nie oszukuj mnie.

— To potwarz, jestem uczciwym kupcem.

— Akurat. Pisz na nowo.

— A teraz?

— No, trochę rozsądniej, ale ciągle dużo.

— Ty chcesz mnie okraść.

— Obejrzyj szmal.

— Dawaj.

— Prawdziwe, amerykańskie, jeszcze tydzień temu widziały Nowy Jork.

— No dobrze, ale to moja ostatnia cena.

— Pisz!

— Ja tylko tracę na tych Francuzach. Czy nikt z twojej rodziny nie był przypadkiem jednym z naszych?

— Widzisz moją gębę?

— Tak. No nie, faktycznie, wygląda na to, że raczej nikt nie był.

Zadowolony handlarz odliczył sobie sporą sumkę pieniędzy i gwizdnął w stronę brudnych drzwi, zza których wyszło kilku mężczyzn uzbrojonych w stare AK-47.

— Chłopaki, odłóżcie to dziadostwo. Nie mam serca patrzeć na broń w waszych brudnych łapach. Zapakujcie te skrzynie na pakę toyoty, byle szybko.

— Robi się, szefie.

Gotfryd spojrzał uważnie na sprzedawcę i splunął:

— Zatrudniasz ochronę? Dawniej tego nie było.

— To miejscowi, daję im pracę, to biedne tereny.

— A tak naprawdę?

— Od czasów rewolucji jest niespokojnie, sam rozumiesz. A ja mam drogi towar.

— Są niewiele warci — Gotfryd skinął głową w stronę ładujących ich broń mężczyzn.

— Ale tani. Na złodziei wystarczą.

— Może tak, a może nie.

— Pewniej się czuję. No, gotowe. Dziękuję za odwiedzinę i zapraszamy ponownie.

— Pozdrów Wołodę. Szkoda, że nie mogę spotkać starego kumpla.

— Uważajcie na policję. W razie czego, dzwoń. Mam tam pewne układy.

— Dobra. Uważaj na siebie, stary oszuście.

— Czy ja nie jestem ostrożny?

— Zbyt wielu chce cię dopaść.

— Oni wszyscy chcą tylko ode mnie kupić broń.

— Dlatego jeszcze żyjesz.

Mężczyźni wsiedli do załadowanego samochodu i ruszyli na północ. Handlarz wzruszony machał za nimi białą chusteczką. Tacy dobrzy klienci, kupili same nowe i drogie rzeczy.

— Sporo zapłaciliśmy.

— Taniej niż u innych, wierz mi, a towar jest dobry.

— Długo znasz tego żydowskiego handlarza?

— Zbyt długo. Ma niezłą broń, pewną, a to ważne.

— Mamy wszystko, co trzeba?

— Tak, a nawet więcej. Podaj mi piwo z tylnego siedzenia. Ten grat nie ma klimatyzacji, ale przynajmniej nie rzuca się w oczy, więc spokojnie dojedziemy do Tunisu.

Dojechali na miejsce bez przeszkód, zaparkowali samochód w podziemnym parkingu na miejscu dla obsługi hotelowej. Po chwili dojechały do nich trzy inne używane samochody terenowe. Gotfryd zorganizował szybko i sprawnie rozdanie broni, amunicji i sprzętu, a po kwadransie samochody kolejno opuszczały teren garażu. W jednym z nich jechał Jean z Paulem.

— Dobrze się sprawiliście, mamy czym walczyć.

— A co wy porabialiście?

— Pojechaliśmy na rekonesans furgonetką na to osiedle akademickie jako pogotowie gazowe. Tunele są w dobrym stanie, a nasz budynek jest starannie pilnowany. Kilku strażników na dole w holu jako całodobowa ochrona. Goście wyglądają na takich, co potrafią strzelać. W środku też nie brakuje strażników.

— Ciekawe, jak to wygląda w nocy.

— Za kilka godzin się dowiesz.

— Chcesz piwo?

— Tak, ale nie teraz.

— Cholernie tutaj gorąco.

— Czy ja wiem? Taki klimat, śródziemnomorski.

— Nie byłeś na południu?

— Byłem, tylko dawno temu, ale znam Afrykę całkiem dobrze.

— Fakt, zapomniałem. Dokąd teraz jedziemy?

— Do hotelu, trochę odpoczniesz, a potem pojedziemy oglądać kampus.

— Pysznic na pewno mi się przyda.

Minęła północ. Samochód terenowy spokojnie przemierzał puste uliczki studenckiego osiedla. Templariusze mieli na sobie stroje policji, więc czuli się pewnie. Pokręcili się kilkanaście minut po osiedlu, nie wzbudzając niczyjej ciekawości. Budynek, który ich interesował, miał solidne, antywłamaniowe drzwi, zaś wszystkie okna na parterze były porządnie zabezpieczone

specjalnymi żaluzjami. Komandosi postanowili, że część z nich dostanie się na dach i stamtąd zaatakują, schodząc w dół.

Niewielki oddział zbadał taką możliwość. Budynek w tym miejscu był całkowicie bezbronny. Nikt nie przypuszczał, że ktoś ośmieliłby się zaatakować w tym miejscu.

— Dobra nasza, zjeżdżamy stąd. Wracamy do hotelu. Jutro odpoczynek, planowanie akcji, a w nocy rozpoczynamy krucjatę.

— Nikt nas nie śledzi?

— Nie, przyjacielu. Wszyscy są przekupieni. Takie są zasady: płacisz i masz spokój. Oczywiście po akcji oni o tym zapomną, ale póki co... jesteśmy bezpieczni.

— Taki kraj. Pieniądz może wszystko. Podobnie jest w Rosji i Europie Wschodniej. Dotyczy to też elit rządzących. Jakoś brak jest przestrzegania porządnych zasad we władzach.

— Rozumiem.

Jean leżał w swoim pokoju w łóżku. Otrzymał od Paula rosyjski pistolet, dwa magazynki i dobry, mocny wojskowy nóż. Tak na wszelki wypadek. Pomieszczenie było przyjemnie chłodne dzięki centralnej klimatyzacji. Pomimo tego mężczyzna pocił się i co godzinę szedł pod prysznic, by wreszcie dręczony koszmarami zasnąć na kilka godzin. Kiedy się obudził, była siódma. O ósmej mieli spotkanie w knajpie obok plaży. Zerwał się z łóżka, ubrał, wypił butelkę soku, schował broń i nóż do małego plecaka, po czym

zamknął pokój i udał się na dół. W hotelowym holu dostrzegł Paula opartego o balustradę.

— Gotowy?

— Tak. Cholernie źle spałem.

— To normalne. Nie jesteś przyzwyczajony do tego klimatu.

— Poważnie? To możliwość spania aż tak bardzo zależy od aury?

— Masz problemy żołądkowe?

— Nie. Gotfryd wczoraj napił mnie mocnym alkoholem.

— Dobrze zrobił. To pomaga. To teraz jedziemy na plażę. Chodźmy do garażu.

— Tam jest chłodno.

Miejsce, które wybrał Gotfryd, było wyśmienite. Położone prawie na plaży, puste, z dala od innych restauracji. Byli tu tylko templariusze. Gotfryd wynajął knajpę na cały dzień i dał wolne pracownikom.

— Jesteście pierwsi, to dobrze. Jak tam samopoczucie?

— Nieźle, ale brat Alexandre miał ciężką noc.

— To źle. Musisz być sprawny i silny. Masz tabletkę i nie pytaj, co to jest. Weźmiesz kwadrans przed akcją. Ty, bracie Antoine, również.

— Tak jest.

— Siadajcie. Czego się napijecie?

— Jesteś barmanem?

— Tylko bez żartów i podtekstów.

— Specjalność szefa.



— Może być. Za chwilę będzie gotowe. O, jadą nasi. Przygotuję kilka drinków więcej.

— A coś do jedzenia się znajdzie?

— Tylko lody. Jak dostaniesz w bebechy, to będziesz żałował, że coś jadłeś.

— Racja. Ciągle o tym zapominam

— Bardzo złe nawyki cywila.

Templariusze spędzili w zacisznej knajpce cały dzień. Wszystko zostało skrupulatnie omówione i powtórzone kilkakrotnie, by akcja wypadła perfekcyjnie. Wieczorem do portu miała przybić stara wojskowa motorówka mająca zagwarantować powrót z akcji. Sprawa taka jak odwrót w każdej misji tego typu jest niezwykle ważna.

Wreszcie, powoli z terenu restauracji zniknęły kolejno stare terenowe samochody. Zbliżał się wieczór. Jean z Paulem przygotowywali się do działań bojowych. Założyli czarne mundury sił specjalnych, buty umożliwiające wspinaczkę po murach, specjalne pasy oraz wełniane czapki. Ich zadaniem był atak od góry. Sprawdzili niemieckie pistolety maszynowe HK UMP zakupione przez Gotfryda. Z uznaniem stwierdzili, że to bardzo dobra broń kalibru dziewięć milimetrów i z pojemnym magazynkiem na trzydzieści naboju. Do tego wyposażona w celownik kolimatorowy zamontowany na szynie. Do tego pistolety były lekkie i poręczne. Paul sprawdził kuszę z kotwicą oraz stalową linkę umożliwiającą zjazd na niżej położony dach atakowanego budynku.

— Sprawdź wszystko jeszcze raz, Jean. Ile masz magazynków?

— Pięć, plus jeden przy broni.

— Weź jeszcze dwa. Nie może nam zabraknąć amunicji. I jeszcze kilka granatów obronnych, a także akustycznych.

— Będę miał zbyt ciężki plecak. A kamizelka? Ona też swoje waży.

— Mam przeczucie, że trochę sobie postrzelamy. Masz dodatkową broń ręczną?

— Tak.

— Co to jest?

— Niewielki rosyjski pistolet, PSM.

— Może być. Jesteś gotowy?

— Jeszcze tylko sprawdzę karabińczyki i rękawice.

— Dobrze. Robiłeś to już kiedyś?

— Tak i to nie raz.

— W jakich ty wojskach służyłeś?

— Dobrych, wierz mi.

— Eeech... wszyscy mają swoje tajemnice. Wezmę jeszcze po jednej latarce, tak na wszelki wypadek.

— Jestem spakowany.

— Za kwadrans ruszamy.

— A jak dostaniemy się na dach budynku?

— Przez schody przeciwpożarowe.

— To dziesięć pięter.

— Dasz radę, to tylko dziesięć pięter. Pomyśl, że w Dubaju są wieżowce kilkudziesięcioletnie. Windą,

niestety, nie pojedziemy.

Jean sprawdził korytarz. Było pusto. Dał znać Paulowi. Szybko przebiegli słabo oświetlony korytarz hotelu, by po chwili znaleźć się na schodach prowadzących do podziemnego garażu. Tam załadowali plecaki na tylne siedzenia i z piskiem opon wyjechali z dużego, betonowego pomieszczenia. Obaj milczeli. Po czterdziestu minutach krążenia po mieście zatrzymali się w parku niedaleko studenckiego kampusu.

— Na co czekamy?

— Za siedem minut nasi wyłączą część latarni przy alejkach, co nam ułatwi zadanie.

— Rozumiem.

— Obiegamy budynek z boku. Tam, z prawej strony, widzisz te szare drzwi?

— Tak.

— Wejdziemy tamtędy. Powinny być otwarte.

— A druga dwójka?

— Nie będzie drugiej dwójki. Tylko my. W ostatniej chwili Gotfryd zmienił plan. Jesteśmy sami, Jean, jesteśmy sami i liczymy tylko na siebie...

— Mało coś nas.

— Widać wierzą w nas, więc jakoś sobie musimy poradzić. Podaj kuszę. Jest tam, z tyłu. Mam tylko jeden strzał.

— Postaraj się.

— Dam radę.

Nagle na terenie kampusu zgasło światło. Napastnicy wyłączyli wszystko, co akurat na tym terenie zbytnio nikogo nie dziwiło, gdyż od pewnego czasu zdarzało się to nader często. Jean z towarzyszem szybko pobiegli do awaryjnego wyjścia, ale drzwi okazały się zamknięte. Paul bez trudu otworzył zamek wytrychem. Powoli i delikatnie stąpali po betonowych schodach. W akademiku panowała cisza i spokój. Dochodziła północ. Wreszcie zmęczeni i spoceni mężczyźni dotarli na dach. Tam Paul założył kotwicę i wycelował kuszą w kierunku niżej położonego płaskiego dachu. Strzał okazał się idealny, kotwica zaczepiła się o metalowy słup potężnego nadajnika radiowego.

— Wytrzyma?

— Jasne. Ja pierwszy. Mam nadzieję, że nie spadnę.

— Powodzenia.

Paul był szczupłym, ale wysokim i żylastym mężczyzną. Powoli i ostrożnie zjechał na wygiętej lince na dach budynku poniżej. Zadowolony włączył nowoczesny system łączności osobistej.

— Dobra jest. Dawaj teraz plecaki i pospiesz się, bo zaraz nasi zaatakują.

— Jestem gotów.

— Puszczaj.

— Uważaj, są ciężkie. Odsuń się.

— Teraz ty. Szybko.

Jean zapiął karabińczyk i zwinnie zjechał w dół, prawie tak szybko jak plecaki. Zdumiony Paul patrzył z podziwem

na przyjaciela.

- Czym jeszcze mnie zaskoczysz?
- Nie wiem. Sprawdziłeś właz?
- Jeszcze nie.
- Dobra. Spróbuję podważyć klapę.
- I co?
- Jest starannie zabezpieczona od środka.
- Użyj tego.
- Co to jest?
- Łom, bardzo przydatne narzędzie.
- Puścił.
- Ostrożnie, może być zaminowany.
- Nie, nic tutaj nie ma.

Nagle usłyszeli strzały i wybuchy dochodzące z dołu budynku, co znaczyło, że atak rozpoczął się punktualnie. Templariusze natychmiast wbiegli do budynku. W korytarzach paliło się mdłe światło bateryjne. Strzelanina nasilała się, co jakiś czas wybuchał granat, wszędzie słychać było krzyki i wrzaski.

— Idziemy na dół, musimy pomóc naszym. Mam wrażenie, że coś poszło nie tak.

- A jak kogoś spotkamy?
- Zabijamy wszystkich, bez wyjątku. Żadnych świadków.
- Tak jest.
- Uwaga! Ktoś tutaj biegnie.

Nagle z bocznego korytarza wybiegły dwie młode dziewczyny w towarzystwie uzbrojonego w AK-47 chłopaka.

Zaskoczeni nawet nie wydali krzyku, wszyscy zginęli na miejscu.

— Dobra jest, jednego mniej.

— A te studentki?

— Miały pecha. Idziemy dalej.

— Uwaga, z lewej!

Obaj usłyszeli charakterystyczny dźwięk rosyjskiego automatu. Paul zwałił się na podłogę. Jean celnie strzelił, a młody mężczyzna upadł, gubiąc broń. Templariusz podszedł do niego i dobił studenta pojedynczym strzałem między oczy. Następnie podbiegł do ранnego towarzysza.

— Oberwałem, ale kamizelka wytrzymała. Miałem szczęście. Załatwił mnie jak amatora.

— Możesz iść?

— Tak, pomóż mi wstać. Słyszysz? Tam trwa regularna bitwa. Musimy się pospieszyć.

— Dwóch już załatwiliśmy.

— Dopiero dwóch.

Komandosi ostrożnie schodzili w dół budynku głównymi schodami. Zastrzelili jeszcze jednego napastnika, ciągnącego skrzynię z amunicją, i wreszcie dotarli do głównego pola bitwy, którym była wielka biblioteka połączona z magazynem sprzętu komputerowego. Zaskoczyli przeciwnika, który bronił się całkiem skutecznie.

— Dobra, chłopaki, rozwaliliście tamtych czterech, to teraz szybko sprawdzamy budynek, pokój po pokoju. W

razie czego, rzucajcie granaty. Mamy trzy minuty do odwrotu.

— Tak jest.

— Jesteście cali?

— Prawie. Możemy walczyć.

— Zabijajcie każdego, kogo spotkacie.

— Rozkaz!

— Naprzód! My drugie piętro, wy trzecie, pierwsze już oczyszczone.

Podczas sprawdzania wszystkich pomieszczeń komandosi zastrzelili jeszcze czworo ludzi, w tym jedną kobietę. Łącznie w budynku znajdowały się czterdzieści trzy osoby, wszystkie martwe.

— Zjeżdżamy stąd. Brat Marc zginął. Musimy zabrać ciało. Mam dwóch rannych, w tym jednego ciężko. Wiejemy do portu. Wy jedziecie za mną.

— Tak jest.

— Tu macie specjalne granaty. Jak ktoś będzie nas gonił, nastawiacie dwójkę i za okno. Zrozumiano?!

— Tak jest!

— Dobrze się sprawiliście. Uratowaliście akcję. Tych pięciu dobrze strzelało tam w bibliotece.

— Dzięki.

— A teraz biegiem na dół.

Brat Marc oberwał prosto w głowę, zginął na miejscu. Dwóch braci było rannych, ale — jak twierdził Gotfryd — wyliżą się. Na łodzi miał być przygotowany polowy szpital.

Gotfryd ostrożnie złożył ciało w bagażniku samochodu. Ranni pojechali drugą terenówką. Po chwili kawalkada trzech samochodów gnała przez miasto w kierunku portu. Nagle z bocznej ulicy wyjechały dwa policyjne radiowozy.

— Macie towarzystwo! Granaty za okno!

— Tak jest!

— Jeszcze kilka.

— Zrobione!

— W porządku. Nikt nas już nie goni. To teraz prosto do portu.

— Rozkaz!

Przy falochronie stał przywiązany grubą liną duży wojskowy ponton. Komandosi najpierw spuścili na jego pokład ciało zabitego brata, a następnie dwóch ciężko rannych. Po chwili Gotfryd odciął linę, uruchomił dławiący się silnik i ruszył w kierunku pełnego morza.

— Gdzie nasz statek?

— Za chwilę ujrzysz tę łajbę... tam na zachodzie.

— Co to jest?

— Zdemobilizowany kuter torpedowy produkcji włoskiej. Pamięta jeszcze drugą wojnę światową, ale to udana maszyna typu MAS.

— Czy aby dopłynię do Sycylii?

— Bądź spokojny.

Stary marynarz Gotfryd sprawnie przybił do starego kutra pomalowanego w ochronne barwy popieli i czerni. Wielki mistrz uruchomił niewielki ręczny dźwign i po chwili



wciągnął rannych na pokład. Natychmiast zostali zabrani do prowizorycznego szpitala, a tam zajął się nimi przywódca templariuszy, który był dobrym chirurgiem. Kiedy skończył, stara krypa, trzęsąc i wibrując, gnała już ku włoskim wodom terytorialnym. Wielki mistrz ubrany w strój komandosa podszedł do koła sterowego i spojrzał na grupkę komandosów siedzących z tyłu.

— Witajcie, bracia. Nasi ranni towarzysze będą żyć, ale trzeba pochować zmarłego. Szkoda, wielka szkoda, że będzie to miało miejsce tutaj, na morzu, ale nie możemy nic więcej dla niego zrobić.

— Tak jest!

— Zawińcie jego ciało w białe koce i zaszyjcie.

— Rozkaz.

— Jak skończycie, dajcie znać.

Przywódca podszedł do leżącego na pokładzie ciała zastrzelonego brata, zrobił znak krzyża na czole zmarłego i głośno modlił się przez kilka minut za jego duszę. Wreszcie wstał, podszedł do stojącego przy kole sterowym Gotfryda i spytał:

— Oberwałeś?

— To drobiazg.

— Opowiadaj, jak przebiegła akcja.

— Początkowo wszystko szło zgodnie z planem. Zlikwidowaliśmy z karabinu snajperskiego czterech strażników, ale przy ostatnim była jakaś dziewczyna i zanim oberwała, narobiła wrzasku.

— Były tam kobiety?

— I to nawet sporo, chyba z dziesięć, niektóre walczyły.

— Co było dalej?

— Wpadliśmy do środka, a tamci na dole nie dali się zaskoczyć. Przygotowali zasadzkę. Mimo że to byli amatorzy, zabili brata Marca. Rzuciliśmy kilka granatów i one załatwiły sprawę, a po drodze zabiliśmy jeszcze kilku bandytów. W sumie około dziesięciu, może dwunastu schroniło się w bibliotece i to tam wywiązała się prawdziwa bitwa. Na szczęście oni nie mieli zbyt dużo amunicji przy sobie, nawet granatów. W tym samym czasie nasi bracia Antonine i Alexandre, którzy do budynku dostali się przez dach, do nas dotarli i zaskoczyli napastników, wyskakując z flanki i załatwiając kilku z nich, i było po wszystkim.

— Nikt nie przeżył ataku? Pewni jesteście?

— Sprawdziliśmy cały budynek, choć trzeba przyznać, że mieliśmy mało czasu.

— Jutro się dowiemy. Masz dla mnie te twarde dyski?

— Tak, zabrałem całe komputery.

— Bardzo dobrze. Teraz będziemy o nich wiedzieć wszystko.

— A jak nasi ranni bracia?

— Nie jest źle. Lucas trochę oberwał, ale kula przeszła na wylot, jest już po operacji. Każdy z was ma jakieś rany, trzeba się wami zająć.

— Niedługo będzie jasno.

— Przyspiesz trochę, musimy uciekać.

— Ta krypa zaraz się rozsypie.

— Jesteś małej wiary, Gotfrydzie.

Wielki mistrz zszedł pod pokład, sprawdził stan najciężej rannych, a następnie opatrzył pozostałych braci. Jean otrzymał dwa postrzały, jeden pocisk otarł się dosłownie o jego skroń, uszkadzając jedynie naskórek. Kolejny przestrzelił udo, na szczęście niegroźnie. Kiedy wszyscy otrzymali pomoc lekarską, przywódca templariuszy zarządził pogrzeb zabitego brata. Ciało starannie zaszyte w białą opończę z kapturem spuszczone pod flagą templariuszy do spokojnych wód Morza Śródziemnego, po czym bracia oddali symboliczny salut i zmówili długą modlitwę. Po chwili ciszy głos zabrał wielki mistrz:

— Bracia, pożegnaliśmy dzisiaj jednego z naszych rycerzy, dobrego templariusza, który walczył uczciwie za naszą sprawę. Zginął w walce. Czy może być lepsza śmierć dla rycerza Boga? Powiadam wam — nie. Będzie nam brakowało brata Marca, niechaj Bóg przyjmie jego duszę na swoje łono!

— Amen!

— Któż z braci sprowadzi nam nowego godnego następcę?

— Ja, wielki mistrzu!

Wszystkie twarze obróciły się z ciekawością i spojrzały na skromną postać stojącą nieco z boku. Był to brat Lucas, który pomimo poważnych ran pojawił się na pokładzie.

— Ty? Dlaczego?

— Jestem to winien bratu Marcowi. To ja miałem wejść pierwszy do budynku, ale on był szybszy i zginął, a ja przeżyłem.

— W takim razie zgoda. Czy znasz kogoś takiego?

— Tak.

— Czy jest godzien noszenia białego płaszcza?

— Jako i my wszyscy tu zgromadzeni.

— A zatem czekamy na niego. A teraz wracaj, bracie, pod pokład. Jesteś nam potrzebny, a twoje rany są poważne.

Templariusz nic nie odpowiedział, tylko powoli wszedł pod pokład i zmęczony położył się na niewygodnym, rozkładanym, stalowym łóżku.

Leniwie wstawał dzień. Wielki mistrz powiesił na rufie włoską banderę. Na razie morze było puste, ale wkrótce mogło się to zmienić.

— Mamy opóźnienie. Idź pod pokład, Gotfrydzie, opatrz rany, teraz ja postoję za kołem.

— Niedobrze, płyniemy pod wiatr. Ta łajba nie nadaje się na pełne morze.

— Spokojnie, poradzimy sobie. A teraz zostaw mnie samego, idź pod pokład. Ukryjcie broń i amunicję, zakrwawione łachy obciążyc i do wody. W razie problemów nie strzelajcie, załatwimy to pieniędzmi.

— Tak jest.

— Nakarm ludzi, są głodni.

— Mamy jakieś zapasy?

— Tak, obok silnika jest kilka aluminiowych pojemników. Tam znajdziesz żywność i wodę.

— Rozkaz.

Pomimo obaw wielkiego mistrza rejs minął spokojnie, stary kuter dzielnie pokonał leniwe wody Morza Śródziemnego i przed wieczorem templariusze dotarli do małej przystani na Sycylii, gdzie przywódca sprawnie zacumował przy starym, drewnianym molo. Natychmiast pojawiło się kilka postaci, które pomogły wyładować skrzynie oraz rannych z pokładu.

— Przygotowaliście wszystko?

— Tak. Samolot już czeka.

— Jak daleko stąd do lotniska?

— Osiem kilometrów. Samochody już czekają.

— Bardzo dobrze.

— Co z kutrem?

— Jest wasz.

— Niech cię Bóg błogosławi.

— To premia. A teraz na lotnisko. Szybko!

Dwie zdezelowane wojskowe ciężarówki szybko dotarły na miejsce. Na trawiastej łące stał mały dwusilnikowy samolot pasażerski. Na widok samochodów pilot uruchomił silniki, a po chwili skromne wnętrze maszyny wypełnili ludzie.

— Towaru nie damy rady teraz zabrać, zbyt duże obciążenie.

— Zapłaciłem za wszystko z góry.

— Wiem, dostarczymy jutro. Umowa to umowa.

— Startuj, mamy mało czasu.

— Tak jest. Dokąd lecimy?

— Francja, okolice Paryża. Dasz radę?

— Bez problemu. Mam pełne zbiorniki paliwa.

Samolot leciał nisko i powoli, pilot starannie omijał ludzkie siedziby. Widać było, że jest profesjonalistą. Obok niego siedział Gotfryd, który co jakiś czas zerkał na mapę i GPS, podając współrzędne. Wreszcie wieczorem wylądowali na niewielkiej łące pośród pól.

— Jesteśmy na miejscu. Jutro o tej samej porze przybędzie towar.

— Zgoda.

— Ale to będzie kosztowało.

— Ile?

— Połowa tego, co za ludzi.

— Zgoda, ale zapłacę, jak zobaczę skrzynie.

— W porządku, jesteśmy umówieni.

Na skraju łąki Jean dostrzegł kilka znajomych, czarnych samochodów oraz furgonetkę w takim samym kolorze. Po chwili wszyscy templariusze byli bezpieczni w ich wnętrzach i jechali w stronę Paryża.

— Nareszcie w domu.

— Tak, Jean, to była ciężka akcja i obawiam się, że nie ostatnia na obcej ziemi — odparł Paul.

— Kto nam pomógł we Włoszech?

— Mafia. To bardzo religijni ludzie.

— Kto by pomyślał...

— Bez nich niczego byśmy nie zorganizowali. Są drodzy, ale solidni i wszędzie mają dojsćia: policja, straż morską, wojsko, władza... Jak sądzisz, dlaczego tak gładko udał nam się powrót? Wszyscy dostali swoją działkę. Takie jest życie, pieniądz rządzi światem.

— Masz rację.

— No, już prawie jesteśmy w Paryżu.

Kawalkada samochodów wjechała cicho i z wyłączonymi światłami na dziedziniec starego kościoła, po czym bracia zasiedli za dużym, okrągłym stołem w jadalni klasztornej. Było ciepło, a w powietrzu unosił się przyjemny zapach gotowanych potraw. Najciężej ranni zostali przeniesieni do lazaretu.

— Witajcie, bracia. Wróciliśmy do domu. Szkoda, że nie wszyscy, ale widać, Bóg tak chciał. Siadajcie i posilcie się. Potem udajcie się do łaźni. Mam dla was nowe ubrania. Stare dokumenty zostawcie na stole. Kto chce, może zostać tutaj i odpocząć.

Jean zjadł ze smakiem przygotowaną wieczerzę. Był zmęczony. Wziął szybką kąpiel, włożył nowiutki popielaty garnitur templariuszy, w którego wewnętrznej kieszeni znalazł starannie ułożone banknoty. Premia. Otrzymał również czarny neseser. Otworzył walizkę i ujrzał w jej wnętrzu swoje rzeczy, komputer, pistolety, zapasowe magazynki, portfel i kilka drobiazgów. Zatrzasnął aktówkę i

wyszedł z pokoju. Na korytarzu ujrzał przebranego i wykąpanego wielkiego mistrza, który go zagadnął:

— Wszystko w porządku?

— Tak, jak najbardziej.

— Zapraszam do mnie na kwadrans. Wiem, że chciałbyś już wrócić do domu, ale to nie potrwa długo.

— Dobrze.

Mężczyzna poszedł za wielkim mistrzem, wszedł do skromnie umeblowanego pomieszczenia, zdominowanego przez wielką flagę templariuszy wiszącą na jednej ze ścian. Wielki mistrz na chwilę oddalił się od swojego gościa, by po chwili wrócić z niewielkim pudełkiem w ręce:

— Siadaj, bracie Alexandre. Dobrze się spisałeś.

— Nie dokonałem niczego wielkiego.

— Pozwól, że ja to ocenię. Od dzisiaj jesteś rycerzem trzeciego stopnia wtajemniczenia. To nowa odznaka. Masz wyższy żołd i nowy telefon deszyfrujący ułatwiający kontakt bezpośrednio ze mną. Poza tym wkrótce będziesz wiedział więcej. No i najważniejsze — masz prawo do posiadania pierścienia, ale zakładaj go tylko na nasze spotkania.

— Dziękuję.

— Mam do ciebie prośbę.

— Słucham, wielki mistrzu.

— Znasz się dobrze na komputerach?

— Potrafię co nieco, ale geniuszem nie jestem.

— Skromny jak zawsze. Dasz radę odczytać zaszyfrowane dyski, złamiesz zabezpieczenia?



— Spróbuję.

— Tutaj masz kopie. Uważaj! Nikt nie może ich widzieć, dosłownie — nikt. Jak złamiesz kody, daj znać.

— Oczywiście.

— Teraz możesz już iść. Spotykamy się za trzy dni o zwykłej porze w kaplicy. Wtedy też poznamy nowego brata.

— Tak jest!

Templariusz ukląkł przed przywódcą, ucałował jego pierścień, następnie odebrał błogosławieństwo i szybko opuścił budynek klasztoru. Po chwili był już w samochodzie. Z zadowoleniem skonstatował, że auto było zatankowane. Na fotelu obok leżało kilka paczek. Z ciekawości zerknął do środka jednej z nich. Były tam damskie buty dobrej jakości, idealnie dopasowane do gustu i stopy Emmy. Wielki mistrz myślał o wszystkim, nawet o prezentach dla jego członków rodziny. Kim był ten człowiek?

Jean uruchomił samochód i pojechał wolno do domu. Kiedy podjechał pod znajomy budynek, dostrzegł palące się światło w salonie i kuchni. Emma jeszcze nie spała. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się owczarek i głośnym ujadaniem zepsuł całą niespodziankę. Jean zabrał prezenty ze sobą i wyskoczył z samochodu.

— Ty szelmo, ale urosłeś. No i wszystko mi zepsułeś.

— To ty, kochanie?!

— Tak! Już wróciłem! A mój własny pies mnie zdradził.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś? Martwiłam się o ciebie.

— Chciałem zrobić ci niespodziankę.

— Masz nowy garnitur?

— Tak, awansowałem i zarabiam trochę więcej. Mam dla ciebie prezenty. Proszę bardzo.

— Ooo... dziękuję! Ale niespodzianka, zaskoczyłeś mnie.

— Wiem.

Emma, jak każda kobieta, natychmiast otworzyła wszystkie pudełka, przymierzyła buty, sukienkę, wypróbowała perfumy i zdumiona wyciągnęła z ostatniego kartonu nową obrozę dla psa wraz z ośmiometrową, rozwijaną smyczą.

— O psie też pamiętałeś?! Jesteś cudowny!

— To przecież członek naszej rodziny.

— Wspaniałe rzeczy. Musiały kosztować majątek.

— Nie było tak źle.

— Zjesz kolację?

— Nie, nie jestem głodny, ale nieziemsko senny. Snu... potrzebuję tylko snu, odczuwam potworne zmęczenie. Siedzenia w samolocie były troszkę niewygodne.

— Kładź się spać i odpoczywaj. Jutro masz wolne. Pies będzie miał uciechę.

— Dziękuję.

— To ja jestem ci wdzięczna. Takie wspaniałe prezenty... Trafiłeś idealnie z gustem i rozmiarami.

— Też jestem zaskoczony, że to się udało.

— Nie żartuj.

Jean spał szesnaście godzin. Kiedy wreszcie otworzył oczy, czuł ból we wszystkich mięśniach. Wypuścił psa z

domu, wziął prysznic, zjadł skromne francuskie śniadanie i usiadł przed telewizorem. Włączył wiadomości. O ich akcji podano tylko garść skromnych informacji. Z przekazu telewizyjnego wynikało, że nikt nie przeżył w niewielkim budynku i że prawdopodobnie była to akcja terrorystów z ISIS, jakieś porachunki lub likwidacja konkurencji, odszczepieńców czy coś podobnego. Oczywiście przywódcy Państwa Islamskiego wszystkiemu zaprzeczyli, ale nikt ich nie słuchał. Za to znowu narazili się na gniew części świata arabskiego. Plan był genialnym uderzeniem.

Jean wyłączył telewizor, poszedł z walizką do swojego pokoju, gdzie uruchomił dwa potężne, nowoczesne komputery, wyjął kopie dysków otrzymanych od wielkiego mistrza i zaczął je instalować na jednym z komputerów. Ktokolwiek zabezpieczał dane, znał się na rzeczy, ale Jean łatwo się nie poddawał. Posiadał specjalny program łamiący hasła, który wykradł dla niego Thomas. W końcu po trzech godzinach złamał pierwsze zabezpieczenie, ale zostały jeszcze trzy. Na szczęście, były znacznie łatwiejsze. Wreszcie blokady ustąpiły i mężczyzna zaczął powoli odczytywać tekst w języku angielskim. To, co zobaczył, zszokowało jego idealistyczny umysł. Kolumny cyfr, kontakty, faktury, przelewy, dane... wszystko to świadczyło o powiązaniu terrorystów z całym światem. Pieniądze spływały z Europy, USA, Kanady, a nawet Australii. Broń napływała ze wszystkich krajów arabskich. Najgorsze były

dane o bojownikach, którzy jako uchodźcy dostawali się każdego dnia na tereny Zachodniej Europy.

Jean, przerażony odkryciem, natychmiast nadał meldunek wielkiemu mistrzowi. Odpowiedź przyszła błyskawicznie: „Przywieź wszystko do kaplicy jak najszybciej”. Templariusz spakował dyski do neseseru, schował broń do kabury pod pachą, zamknął dom, wsiadł do samochodu i udał się najkrótszą drogą do kaplicy. Tam czekał wielki mistrz z zatroskaną miną.

— Złamałeś zabezpieczenia tak szybko? Jakim cudem?

— Specjalny program... z naszego, francuskiego kontrwywiadu.

— O tym nie pomyślałem. Masz wszystko?

— Tak.

— Włączę komputer. Poradzi sobie z tymi danymi?

— Na pewno, to dobry sprzęt.

Wielki mistrz z przerażeniem czytał pojawiające się w szybkim tempie dane. Wreszcie zatrzymał program, ciężko westchnął, wstał z potężnego fotela i wyszedł z kaplicy. Wrócił po kilku minutach, niosąc butelkę koniaku.

— Jak daleko dotarłeś?

— Pierwsze dwadzieścia stron.

— Co o tym sądzisz?

— Szczerze?

— Jak najbardziej, tylko szczerze, inaczej bym nie pytał.

— W dziewięciu nie wygramy tej wojny. Ta organizacja islamska jest jak gigantyczna ośmiornica oplatająca

wszystkie państwa tam, gdzie występuje spora mniejszość muzułmańska.

— Prawdę powiedziałeś. Napijesz się kieliszek koniaku? Prawdziwy, z południowej Francji.

— Z przyjemnością.

Przywódca templariuszy podszedł do wielkiej mapy świata zawieszanej kilka dni wcześniej na jednej ze ścian kaplicy i starannie studiował okolice Bliskiego Wschodu. Wreszcie odwrócił się ze smutną twarzą w kierunku Jeana i zaczął mówić, mocząc co kilka sekund usta w alkoholu:

— Jesteśmy sami, nikt nam nie pomoże. Zlikwidowaliśmy zaledwie marny procent terrorystów, straciliśmy dwóch rycerzy. Może chociaż na terenie Francji zapanuje na kilka, może na kilkanaście miesięcy pokój, ale oni wrócą, w większej liczbie, lepiej uzbrojeni, wyposażeni i bardziej fanatyczni. Wiesz, bracie Alexandre, dzisiaj po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że Europa może przegrać tę wojnę. To straszne, wręcz zatrważające. Co robić?

— Trzeba powiększyć zakon, otworzyć nowe komandorie, szukać sojuszników, atakować i zwyciężać.

— To nie takie proste. Skąd wziąć ludzi? Młodzież jest leniwa i rozpuszczona, nawet pracować im się nie chce. Arystokracja z warstwy średniej nie odda swoich synów na rzeź, są dla nich zbyt cenni. Możemy werbować byłych żołnierzy Legii Cudzoziemskiej, lecz wówczas zbudujemy armię najemnych morderców, nic więcej.

— Francja to wielki kraj, sądzę, że można stworzyć kilka nowych komandorii.

— Wątpię. Jesteśmy zbyt słabi. Widziałeś te listy, wiesz zatem, ilu wróg ma sympatyków i bojowników w Europie. Kiedy nadejdzie ten dzień, wywołają wojnę, którą nasza rasa może przegrać.

— To prawda, ale przecież się nie poddamy.

— Spójrz na te dane. Francja — pięć tysięcy gotowych na śmierć, Niemcy — osiem tysięcy, Belgia — piętnaście tysięcy, Szwecja — dwadzieścia tysięcy uśpionych bojowników. Dania, Norwegia, Holandia, Szwajcaria, Wielka Brytania, Finlandia, Rosja — są wszędzie niczym karaluchy i ciągle ich przybywa, każdego dnia. Wiesz bracie, kiedyś widziałem ich mapę z celami na najbliższe lata. Stwierdziłem, że to niedorzeczność, ale dzisiaj widzę, że ci fanatycy skwapliwie realizują swój okrutny plan. Chcą zniszczyć naszą cywilizację i naszą kulturę, a my jeszcze im w tym pomagamy. Czy nasi przywódcy to idioci? Chyba tak.

— Ale nie złożymy broni?

— Nie. Będziemy walczyć.

— Mam pewien pomysł, może dość ryzykowny...

— Mów, jestem ciekaw. Twój umysł zawsze mnie zastanawiał. Jesteś najinteligentniejszym moim uczniem.

— Niemożliwe, Gotfryd jest lepszym wojownikiem.

— To tylko żołnierz, ze wszystkimi zaletami i wadami, nadaje się tylko na wojnę, to jego życiowe przeznaczenie,

pokój mu nie służy, nie potrafi logicznie myśleć, ale fakt, żołnierzem jest doskonałym.

— Mogę uruchomić komputer?

— Jak najbardziej.

— Dziękuję.

Jean uruchomił laptopa. Przez kilka minut myszkował w zdobytych danych, wreszcie znalazł jakąś mapę państw Bliskiego Wschodu i z zadowoleniem pokazał zwoje odkrycie przywódcy templariuszy. Ten z zainteresowaniem oglądał plany stanowisk dowodzenia, łączności, magazynów broni i koszar tajnej armii Państwa Islamskiego.

— To jest coś, prawda?

— Jak to znalazłeś?

— Przypadek. Mamy tutaj wszystko: wszelkie punkty strategiczne wraz z podanymi liczbami wojska, amunicji, broni oraz pseudonimy dowódców. Proszę bardzo, jest dosłownie całość sił wroga na terenie Syrii, Libanu, Jordanii, Iraku, a nawet Turcji i Arabii Saudyjskiej. Wystarczy sprzedać te dane komu trzeba i siły wroga zostaną zniszczone w co najmniej pięćdziesięciu procentach.

— Genialne w swojej prostocie! Jak sądzisz, komu możemy zaufać?

— Są tylko dwa państwa, które mogą zniszczyć islamistów: Rosja i Izrael, ale bardziej stawiałbym na tych pierwszych. Putin jaki jest, taki jest, ale nie zawaha się ani chwili, by zniszczyć islamistów. Ma żywotne interesy na

Bliskim Wschodzie, a Syria to łakomy kąsek, nie mówiąc już o korzyściach politycznych.

— Znowu mnie zaskakujesz.

— Sprzedajmy te dane Rosjanom, a pomogą nam zrealizować naszą misję.

— To ryzykowne.

— Według mnie to najlepszy pomysł. Nie mamy innego wyjścia.

— Przemyślę to, ale wstępnie jestem za.

— Cieszy mnie to.

— Napijmy się za twój strategiczny pomysł i umysł.

— Bóg z nami.

— Wiesz, pierwszy raz to powiedziałaś. Chyba wreszcie zostałeś prawdziwym templariuszem.

— Nie lubię przegrywać.

Ambasada Rosyjska mieściła się prawie w centrum Paryża. Wielki mistrz zatelefonował do Rosjan z samego rana. Słowa przywódcy templariuszy zrobiły na pracownikach placówki wielkie wrażenie. Umówili się na niezobowiązujące spotkanie w jednym z parków położonych przy Polach Elizejskich. Dwóch ludzi miało przyjść na spotkanie następnego dnia wieczorem. Mężczyźni mieli czekać przy płaskiej fontannie, jeden z nich miał trzymać w ręku książkę w kolorze niebieskim. Wielki mistrz postanowił zabrać ze sobą Jeana. Rozmowy miały odbywać się w języku francuskim.



Kaplica była dobrze oświetlona, przywódca templariuszy modlił się żarliwie przed posągami Jezusa, głośno i wyraźnie wypowiadał wszystkie słowa. Kiedy usłyszał dźwięk zamykanych drzwi na górze, natychmiast przestał, wstał i usiadł przy granitowym głazie.

— Witaj, bracie Alexandre.

— Wezwałeś mnie, wielki mistrzu.

— Tak, dziękuję ci za szybkie przybycie.

— Spóźniłem się kilka minut, przepraszam.

— To drobiazg. Siadaj. Jesteś głodny?

— Nie. Może później coś zjemy. Zamieniam się w słuch.

— Rosjanie połknęli przynętę.

— A jednak.

— Chcą się z nami spotkać.

— Kiedy, gdzie?

— Bezzwłocznie. Dzisiaj o siedemnastej w parku przy Place de la Concorde, dokładnie w Jardin des Tuileries przy fontannie.

— To za niespełna godzinę. Jesteśmy nieprzygotowani.

— Spokojnie, to tylko niezobowiązujące spotkanie. Weźmiemy kilka wydruków, fragmentów map i nieco danych. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Chcę, abyś mi towarzyszył. Masz przy sobie ubranie templariuszy?

— Tak, w samochodzie, stary komplet.

— Bardzo dobrze. Idź się przebrać. Spotkamy się za dziesięć minut na dziedzińcu.

— Tak jest.

Jean szybko pobiegł po schodach w górę, z samochodu wyciągnął popielaty garnitur wraz z koszulą i butami. Wszystko było czyste, wyprasowane i starannie ułożone na tylnym siedzeniu. Przebrał się, zabrał ze sobą broń i specjalny telefon. Po chwili ujrzał wielkiego mistrza w identycznym stroju. Mężczyzna włożył ciemne okulary. Wyglądał w nich jak przywódca mafii lub żołnierz sił specjalnych.

— Jesteś gotowy?

— Tak.

— Masz broń i sprzęt?

— Jak najbardziej.

— Pojedziemy moim samochodem.

Przywódca templariuszy uruchomił elektroniczny zamek, a po chwili wielkie i ciężkie drzwi w ścianie budynku podniosły się, a zdumiony Jean ujrzał wewnątrz garażu z czarną limuzynę renaulta, opancerzoną z ciemnymi szybami.

— Wsiadaj. Zabierz mój neseser. Czas nagli.

— O tej godzinie będą korki.

— Poradzimy sobie, znam skrót.

Wielki mistrz był świetnym i pewnym kierowcą. Zaparkowali niedaleko długiej linii autobusów turystycznych przy Polach Elizejskich. Żaden policjant nie odważył się dać mandatu tego typu samochodowi na rządowych numerach. Dwóch szczupłych mężczyzn faktycznie stało przy sześciokątnej, płaskiej fontannie, a

jeden z nich trzymał w ręku książkę w niebieskiej oprawie. Nie wyglądali na Rosjan, bardziej na rodowitych Francuzów.

— Ładny wieczór, prawda?

— Panowie w sprawie zwiedzania muzeum w Luwrze.

— Tak, reszta wycieczki jest w hotelu.

— Okej, ale tutaj jest niebezpiecznie rozmawiać. Spotkamy się w tu w tym miejscu — Rosjanin puknął palcem w papier przed sobą. — Tutaj jest mapka dojazdowa. Za pół godziny.

— Jaką mamy gwarancję, że się pojawicie?

— Moje słowo. To wystarczy.

Zdumieni templariusze wsiedli do limuzyny i szybko udali się w wyznaczone miejsce. Był to niewielki, pusty deptak przy Sekwanie i faktycznie dobrze przygotowane miejsce na dyskretne spotkanie. Przy starej barce na wodzie stał znajomy mężczyzna.

— Zapraszamy do środka, tutaj jest bezpiecznie.

— Na pewno?

— Proszę mi zaufać.

— Dziwnie to brzmi z ust Rosjanina.

— Wiem o tym, ale nie macie innego wyjścia.

— Wy również.

— Dobrze, powiedzmy, że wam zaufamy i wejdziemy pod pokład, chociaż nie przypominacie Rosjan.

— A pan Francuza.

— Możliwe.

Jean z przywódcą templariuszy weszli na pokład starej opuszczonej barki. O dziwo, w środku było całkiem przyjemnie, czysto i ładnie. Ktoś starannie niedawno odnowił to miejsce. Mężczyźni usiedli przy niewielkim, przymocowanym do podłogi drewnianym stole.

— Napijcie się, panowie, czegoś?

— Macie wodę?

— Tak.

— To prosimy.

Rosjanin, przewidując długą rozmowę, postawił na stole kilka szklanych butelek wody i cztery wysokie literatki. Wszyscy usiedli na małych, okrągłych taboretach i rozpoczęła się rozmowa:

— Panowie utrzymują, że mają coś, co może nas zainteresować.

— Tak, oto kilka dokumentów.

— Dlaczego akurat my?

— Ponieważ macie wszystko to, o co nam chodzi.

— To znaczy?

— Silnego przywódcę, wojsko, możliwość szybkiej akcji i brak skrupułów.

— Rozumiem.

Zapanowało milczenie. Chociaż Rosjanie mieli świetnie opanowaną mimikę twarzy, widać było po żywym spojrzeniu, że dokumenty zrobiły na nich wielkie wrażenie. Po chwili jeden z nich zaczął rozmowę:

— Macie tego więcej, panowie?

— Tak, dużo więcej.

— To autentyczne dokumenty?

— Panowie, wiecie, że tak.

— Skąd ta pewność?

— Inaczej by pan nie zapytał.

— No, owszem. A zatem, ile tego macie?

— Tyle, aby wygrać wojnę w Syrii.

— Mocne słowa. A ile za to chcecie?

— Nie chodzi o pieniądze. To znaczy, one nie są tu najważniejsze.

— O co więc chodzi?

— O zniszczenie Państwa Islamskiego.

— To nie takie proste, ale dzięki tym danym jesteśmy w stanie poważnie osłabić wroga.

— Jak poważnie?

— Tak, aby zakończyć wojnę.

— A Amerykanie?

— To nasz problem. My sobie z nimi poradzimy.

— Na razie zostawimy wam, panowie, te kopie dla zweryfikowania informacji. Odezwiemy się za kilka dni.

— Co mam powiedzieć przełożonym?

— Nic. Tylko tyle, że Rosja wygrała wojnę w Syrii. Żegnamy panów.

Wielki mistrz wstał, energicznie zamknął neseser i wyszedł wraz z Jeanem na kamienny bulwar. W milczeniu wsiedli do samochodu i ruszyli w kierunku centrum Paryża.

— Jak oceniasz nasze negocjacje?

— Sam nie wiem. To jakaś gra słów.

— Takie są szpiegowskie zasady gry. Najważniejsze, że połąkneli haczyk.

— Co dalej?

— Czekamy. Za kilka dni do nich zadzwonię z bezpiecznego telefonu i zobaczymy, co powiedzą.

— Może lepiej sprzedać te dane Amerykanom lub Izraelowi?

— Ameryka jest słaba. Wystarczy spojrzeć na ich przywódcę, a Izrael nic bez USA nie robi.

— Rozumiem.

Zapanowało milczenie. Wielki mistrz długo i sprytnie krążył po ulicach Paryża, aż wreszcie dostał sygnał od ochrony, że nie jest śledzony. Wówczas czarna limuzyna powróciła do siedziby templariuszy. Przywódca rozkazał zostawić wszelkie dane w ich sejfie. Nieco zdumiony Jean posłusznie oddał komputer. Mieli spotkać się za cztery dni, pod warunkiem że Rosjanie zechcą rozmawiać. Mężczyzna pożegnał dowódcę i wrócił do domu. Tam wreszcie porządnie pobawił się z psem i zasnął u boku ukochanej kobiety.

Powoli wszystko wróciło do normy. Jean pracował jak zwykle przy sieciach komputerowych w firmie, nadal pozostając tym samym dziwnym człowiekiem, skrytym, smutnym i dobrze wykonującym swoją pracę. W jego romans z jedną z szefowych nikt nie wierzył, bo przecież Jean był zupełnie przeciętnym, wręcz nudnym człowiekiem.

Wreszcie w piątek mężczyzna podczas południowej przerwy odebrał wiadomość od wielkiego mistrza: „Są gotowi do dalszych negocjacji. Bądź za trzy godziny”. Jean skończył pracę o czternastej, wsiadł do samochodu, zawiadomił smsem Emmę, że się spóźni, i pojechał na spotkanie z przywódcą. Zanim wszedł do kaplicy, włożył służbowy strój templariuszy, przywódca był już gotów i czekał w czarnym samochodzie terenowym.

— Witaj. Dziękuję, że przyjechałeś.

— Dzisiaj jedziemy tym wozem?

— Tak, zawsze innym. Pamiętaj, kto się nami interesuje.

— Tak jest.

— Wsiadaj, porozmawiamy. Mam twój komputer, dzisiaj po naszej akcji odzyskasz sprzęt.

— Jest mi potrzebny.

— Nie wątpię.

Samochód ruszył wolno i spokojnie w kierunku Sekwany. Wreszcie, po długim kluczeniu różnymi uliczkami mężczyźni dotarli na miejsce z drugiej strony. Rosjanie przyjechali dwoma samochodami, w jednym siedzieli dwaj znajomi agenci, w drugim trzech ludzi wyglądających niczym zawodowi mordercy. Wielki mistrz z niezadowoleniem obserwował Rosjan. Ci zrozumieli, że posunęli się zbyt daleko, więc samochód z ochroną szybko odjechał. Teraz wszyscy ostrożnie udali się w kierunku zdezelowanej barki.

— Jeszcze jeden taki numer, a plany dostaną Amerykanie.

— To tylko ochrona. Miejsce jest nieciekawe, musieliśmy sprawdzić teren.

— Wy, ludzie Europy Wschodniej i Azji potraficie perfekcyjnie kłamać, nawet specjalistyczna aparatura tego nie wykryje.

— Możliwe... Usiądziemy?

— Tak.

— Przygotować wodę?

— Za chwilę.

Mężczyźni usiedli przy niewielkim stoliku, przez chwilę obserwowali się wzajemnie, udając przeglądanie dokumentów z teczek, aż wreszcie sytuacja zaczęła być nudna i napięta. Pierwszy odezwał się Rosjanin:

— Nie wiem, jak to zdobyliście, ale dokumenty są dobre. Sprawdziliśmy to. Jeśli macie całą mapę Państwa Islamskiego, to bierzemy całość.

— Obecnie sytuacja w tamtym rejonie świata jest skomplikowana i napięta.

— Do czego pan zmierza?

— W konflikt jest zaangażowanych wiele państw.

— Tak, ale to gra pozorów. Amerykańska ofensywa utknęła w piaskach pustyni, mają szczupłe siły i za kilka dni wycofają się do baz. Iran zajął tylko strategiczny dla niego obszar i nie zamierza iść dalej, a Arabia Saudyjska nie zrobiła praktycznie nic.



— Co z tego wynika?

— Jesteśmy zdolni w ciągu tygodnia przerzucić ogromne siły w ten rejon, dywizje zmechanizowane i pancerne. Dysponując waszymi danymi, skończymy tę wojnę w kilka tygodni, a wszystkim zależy na pokoju i na tym, by fala uchodźców przestała docierać na kontynent europejski. Można jednym pociągnięciem załatwić wiele problemów i przy okazji zlikwidować wroga, który zagraża nam wszystkim.

— A co, jeśli dostaniecie plany i nic nie zrobicie?

— Jest pan inteligentnym człowiekiem. Jedno spojrzenie na mapę i zrozumie pan strategiczne znaczenie tego obszaru.

— Możliwe.

— Wszyscy mamy mało czasu. Ile chcecie za te dokumenty?

— Jest zapisana tu, na tej kartce.

— W porządku. W jakiej walucie?

— Tylko w złocie.

— Co takiego?!

Rosjanin aż wstał z miejsca. Przez chwilę przechadzał się po pokładzie barki. Wreszcie, kiedy ochłonął, usiadł z powrotem przy stole czerwony na twarzy i wściekły:

— Jak pan sobie to wyobraża?

— Normalnie. Rosja to wielki kraj i macie najwięcej surowców na świecie, więc tyle złota to dla was drobnostka.

— Dlaczego nie euro, dolary, funty?

— To tylko papiery, a złoto to złoto.

— No dobrze, ale to potrwa.

— Jak długo?

— Muszę mieć zgodę centrali. Poza tym to nie jedna sztabka, tylko kilka skrzyń.

— To już wasz problem. Znacie nasze stanowisko.

— Kim wy jesteście?

— Dobrymi ludźmi.

Po tej wypowiedzi wielkiego mistrza obaj Rosjanie wybuchnęli śmiechem, przez kilka minut trwała fala żartów, aż wreszcie główny rozmówca spoważniał i spojrzał uważnie na wielkiego mistrza.

— Muszę zobaczyć resztę dokumentów, mapy z zaznaczonymi celami. Inaczej moi przełożeni mi nie uwierzą.

— A wtedy twoi ludzie nas załatwią, a ciąż nikt nie odnajdzie nawet za sto lat.

— Wasza eskorta jest liczniejsza i lepiej uzbrojona od naszej. Macie trzy samochody pełne ludzi. Po co te gadki?

Przywódca templariuszy spojrzał nieprzyjaźnie, wręcz wrogo, na Rosjanina, ale ten nie był tchórzem, nie spuścił wzroku. Przez chwilę obaj mężczyźni milczeli, aż wreszcie wielki mistrz otworzył neseser i wydobyl z jego wnętrza niewielki, przenośny komputer. Po chwili Rosjanie ujrzeli mapę z wszelkimi celami i naniesionymi pozycjami GPS. Zdumieni patrzyli na lecący szybko spis umocnień, baz szkoleniowych, amunicyjnych i wypadowych, liczby

bojowników i ich uzbrojenie. Po chwili komputer wyłączył się, wielki mistrz zamknął pokrywę i spojrzał tryumfująco na Rosjan.

— I jak, panowie? Podobało się? Nadal szkoda wam złota?

— Proszę nam dać trzy dni, a będziemy gotowi.

— Zobaczymy. W każdym razie wiecie, że możecie szybko wygrać tę wojnę.

— Tak. Mamy jedno pytanie.

— Słucham?

— Dlaczego przyszliście z tym do nas?

— Rzucaliśmy z kolegą monetą, ja wygrałem, to wszystko. Czekam na telefon.

Wielki mistrz wraz z Jeanem spokojnie wyszli z wnętrza barki, zostawiając zaskoczonych Rosjan przy niewielkim stole. Mężczyźni wsiedli do samochodu i odjechali w kierunku centrum Paryża, przez chwilę milczeli, aż wreszcie Jean spytał:

— Dlaczego złoto?

— Już mówiłem, że pieniądz to tylko papier, może spłonąć lub nagle stracić na wartości, a złoto to najlepsza waluta. Każdy jej potrzebuje, wierz mi.

— To utrudni sprawę.

— Nie, nie masz absolutnie racji. Oni mają sejf w ambasadzie wielki jak pięć naszych kaplic i na pewno jest tam w tej chwili nawet kilkanaście skrzyń złota. To przecież Rosjanie, naród nie musi jeść, ale władza zawsze opływa w

dostatki, o jakich nam się nawet nie śniło. Tacy już są i nikt tego nigdy nie zmieni.

— Dziwne to wszystko.

— My, ludzie Zachodu, nigdy ich nie zrozumiemy, tak samo, jak oni nas. Nasze nacje dzieli dosłownie każdy centymetr historii. Czasami wydaje mi się, że jesteśmy takimi samymi barbarzyńcami, jak oni.

— To lekka przesada.

— Nie, jeśli spojrzysz na historię. Nasze rewolucje były tak samo krwawe i nikomu niepotrzebne. Przegrała tak nasza sprawa, jak i ich.

— Ciekawe porównanie.

— Jedziemy do kaplicy?

— Tak, późno już.

— Dobrze, wracajmy.

Wielki mistrz nie chciał kontynuować dalszej dyskusji, więc mężczyźni w milczeniu dotarli na miejsce. Jean otrzymał z powrotem swój sprzęt komputerowy i zadowolony wsiadł do samochodu, kiedy nagle na dziedzińcu dostrzegł znajomą sylwetkę przywódcy templariuszy.

— Czy coś się stało?

— Nie, muszę na chwilę wejść do garażu. Możesz wracać do domu.

— Do zobaczenia.

— Uważaj na siebie.

— Tak jest!

Jean uruchomił silnik. W tym momencie na dziedzińcu pojawiło się kilka postaci w kominiarkach. Mężczyźni zaczęli strzelać z automatów w kierunku garażu i samochodu Jeana, który z niepokojem obserwował wielkiego mistrza, powoli czołgającego się w głąb garażu. Prawdopodobnie był ranny. Jean wyciągnął dwa pistolety i wybiegł z samochodu, prowadząc ostrzał ciągły w kierunku zaskoczonych napastników. Jeden z nich padł, trafiony kilkoma pociskami. Pozostali ukryli się za kościelnym murem. Mężczyzna wymienił magazynki i wpadł do garażu, w którym przywódca niezdarnie usiłował otworzyć drzwi samochodu.

— Dorwali nas.

— Kto to?

— Islamiści. Ilu ich jest?

— Było trzech, jeden oberwał.

— Dobrze strzelasz. W samochodzie jest karabin automatyczny M16. Dasz radę ich załatwić?

— Tak, poradzę sobie.

— Tutaj, pod ścianą jest wejście do podziemi, przejdiesz tunelem do ogrodu, będziesz ich miał jak na dłoni. Zastrzel ich, żadnych jeńców. To najemnicy, płatni mordercy. Są niebezpieczni, ktoś zapłacił kupę forsy za moją głowę. Może nawet złotem.

— Zaraz wrócę.

— Podaj mi mój pistolet. Jest w schowku. Tak na wszelki wypadek.

— Wezwać pomoc?

— Już jest w drodze.

Jean podał broń wielkiemu mistrzowi, który zajął wygodną pozycję za stertą kamiennego gruzu leżącą w wielkim garażu. Następnie mężczyzna podniósł zamaskowaną drewnianą klapę i po wąskiej drabinie wszedł do podziemi. Natychmiast zapaliło się światło. Pobiegnął w kierunku ogrodów, gdzie szybko wszedł po aluminiowej drabinie i spojrział w niewielki sprytnie zainstalowany peryskop. Mężczyźni naradzali się. Jeden z nich mocno gestykulował. Jean wycelował przez niewielki otwór wentylacyjny w piwnicy i oddał długą serię. Obaj napastnicy padli ścięci strzałami z flanki. Templariusz ostrożnie wyszedł z ukrycia, podszedł do leżących. Jeden z nich jeszcze żył, więc otrzymał pocisk prosto w głowę. Drugiemu jedna z kul rozorwała gardło, zginął na miejscu. Jean poszedł dalej. Dostrzegł leżącego w kałuży krwi mężczyznę w kominiarce. Był ciężko ranny, ale jeszcze oddychał. Templariusz ściągnął najemnikowi kominiarkę i ze zdumieniem ujrzał twarz pięknej kobiety. Nagle za plecami usłyszał głos Gotfryda:

— Dobrze się spisałeś. Idź do wielkiego mistrza. Ja się nią zajmę.

— Skąd się tutaj wzięłeś?

— Wezwał mnie nasz przywódca. Spóźniłem się.

— Rozumiem.

— Idź już. Musisz pomóc Sarah.

— Tak jest!

Jean wbiegł do garażu, gdzie zastał dziewczynę klęczącą nad postacią wielkiego mistrza. Obok leżały nosze.

— Dobrze, że jesteś. Nasz przywódca jest ranny. Pomożesz mi przy operacji? Nie boisz się krwi, bracie?

— Nie, nic mi nie będzie.

— Na trzy... przekładamy rannego na nosze.

— Gotowa?

— Tak.

— Raz... dwa... Teraz.

Wielki mistrz jęknął, kiedy jego ciało wylądowało na wojskowych noszach. Jean był zdumiony ogromną siłą fizyczną drobnej kobiety ubranej w popielaty męski strój templariuszy. Po chwili byli już w szpitalu. Teraz dziewczyna umiejętnie przerzuciła ciało na stół operacyjny, włożyła biały fartuch i przygotowała narzędzia chirurgiczne.

— Na mój znak odkręcisz butlę z tlenem.

— Tak jest.

— Musimy podać narkozę. Jedliście coś ostatnio?

— Nie, nic.

— Bardzo dobrze. Pomóż mi zdjąć spodnie i buty.

— Co z nim, Sarah?

— Wyjdzie z tego, ale muszę wyjąć dwie kule z lewej nogi. To silny mężczyzna.

— Kim naprawdę jest wielki mistrz?

— Nie pytaj. Może kiedyś osobiście udzieli ci informacji na swój temat, chociaż wątpliwe, aby to zrobił.

— Rozumiem.

— I nie zadawaj więcej takich pytań. Osobiście już zapomniałam o tej rozmowie.

— Tak jest...

Operacja dobiegła końca. Jean wyszedł na zewnątrz, by zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Na dziedzińcu spotkał Gotfryda. Wielkolud pakował ciała najemników do czarnej furgonetki.

— Powiedziała coś?

— Kto?

— Ta kobieta, którą ranilem. Była taka piękna.

— Pamiętaj, że to płatni zabójcy z Bliskiego Wschodu. Znam ich. Mają charakterystyczne tatuaże na lewej stopie, a ta piękność poderżnęła więcej gardeł, niż ty zjadłeś w życiu czekoladowych bułeczek. Dobrze się sprawiłeś. Uratowałeś naszemu mistrzowi życie. Teraz jedź do domu i odpocznij. Ja tutaj posprzątam.

— Tak mówisz?

— Przyjedź jutro. On będzie chciał z tobą porozmawiać.

— Okej.

Zmęczony i nieco zdenerwowany Jean udał się szybko do domu, gdzie zastał Emmę bawiącą się z psem na podwórku. Kobieta ucieszyła się na widok swojego mężczyzny, a po chwili cała trójka była wewnątrz domu. Jean usiadł przy stole w kuchni i głaskał leżącego u jego stóp psa.



— Ostatnio jesteś bardzo zajęty. Czy coś się stało?  
— Nie, nic. Głodny jestem.  
— Zmieniasz temat.  
— Za kilka dni wszystko wróci do normy. Proszę, nie rozmawiajmy o tym.

— Ignorujesz mnie, kochanie.  
— Nie, jestem tylko zmęczony i głodny.  
— Zaraz podam kolację.

Mężczyzna zjadł szybko wieczerzę, wziął prysznic i natychmiast zasnął. Spał dwanaście godzin. Kiedy się obudził, Emma przygotowywała śniadanie. Spojrzał na telefon. Miał jedną wiadomość od wielkiego mistrza: „Dziękuję za życie”. Zdumiony wyłączył telefon i poszedł do łazienki. Wziął szybki prysznic, założył swój zwykły garnitur i udał się do kuchni.

— Dzień dobry, skarbie. Wyspałeś się?  
— Tak. Złamało mnie.  
— Chrapałeś bardzo głośno i melodyjnie.  
— Dobry żart. Naprawdę byłem zmęczony.  
— Pojedziemy razem do pracy?  
— A czym wrócisz?  
— Koleżanka mnie odwiezie, mieszka niedaleko stąd.  
— Dobrze, w takim razie nie widzę problemu.

Wielki mistrz leżał w lazarecie. Był blady jak ściana. Nawet jego popielate oczy były dziwnie zamglone. Zwykle błyszcząły i przejawiały czujność. Ucieszył się na widok Jeana. Przy użyciu pilota podniósł zagłówek w elektrycznym

łóżku, na którym leżał. Odłożył książkę na niewielki stolik i powiedział:

— Witaj, bracie Alexandre.

— Jak się czujesz, wielki mistrzu?

— Nieźle. Sarah to dobry chirurg, moja najlepsza uczennica.

— Tak, wiem.

— A prawda, asystowałeś przy zabiegu, a raczej operacji.

— Tylko się przyglądałem.

— Skromny, jak zawsze.

— Jak oni nas znaleźli?

— To nie takie trudne. Bardziej mnie zastanawia, jak się tutaj dostali.

— Gotfryd twierdzi, że to płatni zabójcy.

— Zgadza się. Na szczęście nie wysłali najlepszego składu. Widocznie mają w swoich szeregach poważne straty. Tylko ta kobieta była dobra. Tamci dwaj to nowicjusze, inaczej nie załatwiłbyś ich tak łatwo.

— Kto ich najął?

— Fanatycy z Państwa Islamskiego. Oni nam nigdy nie darują.

— Jesteś w niebezpieczeństwie.

— Zgubiła mnie pewność siebie, odesłałem ochronę, to mój błąd.

— Co dalej z Rosjanami?

— To ważne pytanie. Teraz ty będziesz z nimi negocjował. Pojutrze pojedziesz z Gotfrydem na spotkanie,

jak zwykle na barcę przy bulwarze nad Sekwaną, oddasz im oryginalne twarde dyski. Mam już kilka kompletów kopii, o czym oni nie muszą wiedzieć, choć pewnie się domyślą. Gotfryd sprawdzi i załaduje złoto. To wszystko. Ja jeszcze trochę tutaj poleżę.

— Tak jest.

— Uważaj na siebie. Oni teraz będą na nas polować i nie przestaną przez pewien czas. Bądź czujny i zawsze noś ze sobą te dwa pistolety. Masz ochronę, ale ona może nie wystarczyć. Teraz już idź i czekaj na wiadomość. Jestem zmęczony.

Jean ukląkł i pocałował pierścień przywódcy, po czym cicho wyszedł z pomieszczenia lazaretu. Przed drzwiami zastał siedzącego Gotfryda.

— Co z wielkim mistrzem?

— W porządku. Teraz zasnął.

— To dobrze. Długo rozmawialiście. Coś ważnego?

— Dowiesz się wkrótce.

— Rozumiem. Zaczekaj, mam coś dla ciebie.

Zdumiony Jean spojrzał z zaciekawieniem na olbrzyma, który spod krzesła wyciągnął dziwnie wyglądający pistolet maszynowy i wręczył go zaskoczonemu templariuszowi.

— To dla ciebie. Wygląda haniebnie, ale to najlepsza broń do obrony osobistej, robiona na zamówienie, strzela specjalną amunicją i rozwali wszystko, kamizelkę przebija na wylot. Spójrz na te pociski. Widziałeś kiedyś coś takiego?

— Nie, nigdy.

— No właśnie. Masz tego dziesięć magazynków, po pięćdziesiąt sztuk.

— Po co mi to dajesz?

— Takie rozkazy. Mamy informacje o zagrożeniu. To prezent od wielkiego mistrza. Specjalny celownik laserowy. Trochę ciężki, ale diabelnie skuteczny pistolet maszynowy.

— Nie przesadzasz?

— Mniej to świństwo zawsze pod ręką, może kiedyś uratować ci życie.

— Dzięki.

— Do zobaczenia.

Mężczyzna wziął do ręki broń. Była faktycznie ciężka i nieporęczna. Sprawdził magazynki, zamek, spust... Wszystko działało i pasowało idealnie. Duży magazynek o sześciokątnym kształcie był zagadką, ale dobrze pasował i nie przeszkadzał podczas próby oddania strzału:

— Muszę poćwiczyć.

— Strzela normalnie, prawie bez odrzutu, jest diabelnie celny.

— Skąd to mamy?

— Z mojej chałupy. Sam skonstruowałem w wolnej chwili.

— Dobry jesteś.

— Przekonasz się, jak będziesz tym walczył.

Jean poszedł spokojnym krokiem do wyjścia, gdzie spotkał Sarah. Drobna blondynka stała w korytarzu i

przeglądała jakieś papiery. Na widok templariusza dziewczyna uśmiechnęła się i spojrzała mu prosto w oczy. Miała na sobie garnitur zakonu, białą koszulę i buty na wysokim obcasie.

— Widzę, że spotkałeś brata Gotfryda.

— Tak. Każdemu rozdaje takie zabawki?

— Niestety, mamy czerwony alarm. Dziękuję za pomoc.

Wczoraj nie miałam czasu nawet na krótką rozmowę.

— Przecież nic nie zrobiłem.

— Bzdura. Dobrze strzelasz. Gdzie się tego nauczyłeś?

— W dzieciństwie ojciec zrobił mi dobrą procę i od tego się zaczęło.

— To żart?

— Nie, szczerą prawdą.

— Przepraszam, muszę już iść, chory czeka.

— Do zobaczenia.

Czarny samochód podjechał pod przytulny domek. Rufus natychmiast w swój charakterystyczny sposób poinformował o tym całą okolicę. Jean ukrył broń w schowku pod siedzeniem i wyszedł z czarnego volvo. Emma siedziała w salonie i przeglądała jakieś papiery.

— To ty, kochanie?

— Tak, nasza psina mnie zdradziła?

— Szaleje dzisiaj cały dzień. Kręcą się tutaj jakieś obce samochody, a on tego nie lubi.

— Poważnie?

— Odkąd wróciłam z pracy, pies bez przerwy szczeka.

— Zostawiłem telefon w samochodzie, zaraz wrócę.

Wiadomości od Emmy zaniepokoiły go. Instynkt nakazywał czujność. Zabrał z terenówki wszelką broń, amunicję i kilka granatów. Postanowił nie dać się zaskoczyć. Cały arsenał ukrył u siebie w pokoju. Potem sprawdził ogród. Na szczęście nie było żadnych obcych śladów, a pies spokojnie chrapał w kuchni.

— Kochanie, czy ten dom ma jakiś system alarmowy?

— Nie, to spokojna okolica.

— Byłoby niższe ubezpieczenie.

— Racja. Że też o tym nie pomyślałam. Jutro zadzwonię do firmy, która zabezpiecza nasz biurowiec i zamontują nam dobry alarm jeszcze w tym tygodniu.

— Bardzo dobrze.

Jean całą noc nie zmrużył oka, ale nic się nie wydarzyło. Rano dostrzegł dziwny samochód parkujący na ich ulicy. Natychmiast załadował broń do samochodu i powiedział Emmie, że wcześniej wyjedzie do pracy. Nie chciał narażać kobiety na niebezpieczeństwo. Wsiadł do auta, zostawiając pod ręką na siedzeniu pasażera obok kierowcy pistolet maszynowy Gotfryda i dwa magazynki. Włożył też specjalną kamizelkę kuloodporną. Kiedy ruszył z miejsca, tajemnicza furgonetka uruchomiła silnik. Teraz był pewien, że jest śledzony. Natychmiast uruchomił przycisk alarmu w samochodzie i ruszył wolno ulicą w górę. Prześladowca uczynił to samo. Po chwili usłyszał w słuchawce telefonu głos.

- Tu Gotfryd. Gdzie jesteś?
- Dwieście metrów od domu.
- Kieruj się na zachód. Tam ich załatwimy. Masz broń?
- Tak.
- Jedziemy do ciebie. Nie śpiesz się za bardzo.
- Rozumiem.

Ciemne volvo powoli opuszczało teren sennego miasteczka. W pewnym momencie ukazała się otwarta przestrzeń pokryta zielonymi łąkami. Jean ciągle widział tylko i wyłącznie samochód prześladowców, którzy przyspieszyli i wyraźnie zbliżyli się do swojej ofiary. Templariusz przyspieszył i wjechał w polną drogę, licząc na to, że furgonetka utknie na nierównościach, ale przeciwnik nie rezygnował. Nagle z bocznego okna wychylił się napastnik i zaczął strzelać — na szczęście, niecelnie. Jean chwycił podarowany mu niedawno pistolet maszynowy, sprawnie zawrócił samochód i wypluł przez uchylone okno pełny magazynek prosto w przednią szybę furgonetki, która zjechała z drogi i stanęła na skraju łąki. Strzelec z podziwem i uznaniem spojrzał na toporną broń. Była naprawdę skuteczna. Wymienił magazynek i wysiadł z samochodu. Niespodziewanie usłyszał w słuchawce głos Gotfryda:

- Wracaj do auta, my załatwimy resztę. Dobrze się spisałeś.
- Gdzie jesteście?
- Spójrz w górę.

— Dzięki za pomoc.

— W porządku, wracaj do Paryża, bo inaczej spóźnisz się do pracy.

Jean zdjął kamizelkę i ukrył ją pod siedzeniem pasażera. Przejechał obok zdezelowanej furgonetki, w której nie dostrzegł nikogo, tylko ślady krwi. Kilkanaście metrów dalej, na środku łąki, wylądował niewielki śmigłowiec pilotowany przez jednego z braci. Gotfryd ostrożnie zbliżał się do samochodu z pistoletem maszynowym własnej produkcji gotowym do strzału. Pomachał w stronę odjeżdżającego volvo, po czym ostrzelał stojącą furgonetkę, która zaczynała płonąć. Jean odwrócił głowę, wjechał na główną szosę i przyspieszył. Chciał jak najszybciej zapomnieć o porannej przygodzie. Później dowiedział się, że w samochodzie było trzech najemnych morderców, że seria wystrzelona z jego broni zabiła kierowcę i raniła pozostałych. Ta grupa najemnych morderców była ostatnią z nasłanych na templariuszy.

Było jeszcze jedno komando śmierci, ale tych Gotfryd zabił gołymi rękami, kiedy włamali się do jego domu. Na razie spokój został przywrócony, choć nikt nie wiedział, na jak długo.

Zmęczony i zestresowany Jean dotarł punktualnie do pracy. Na korytarzu spotkał Emmę, do której nieśmiało się uśmiechnął. Kiedy skończył pracę, natychmiast wrócił do domu. Nie odnalazł żadnych śladów włamania, a pies spokojnie leżał przed domem i ogrzewał swoje ciemne futro



w promieniach delikatnego słońca. Jean sprawdził garaż, piętro i ogród. Napastników, widać, interesowała tylko jego osoba. Mężczyzna wrócił do domu, usiadł na krześle w kuchni, wypił lampkę koniaku, zjadł pozostałości wczorajszej kolacji i zasnął przed telewizorem w sypialni. Przespał dwie godziny, aż w końcu został obudzony przez psa szczekającego na dźwięk otwieranego zamka drzwi wejściowych do domu.

— Witaj, Rufus! Gdzie jest twój pan, psiaku?

— Przepraszam, kochanie, zasnąłem przed telewizorem.

— To dobrze, przynajmniej trochę odpocząłeś.

— Mam ostatnio stresujące życie, przepraszam.

— Jadłeś coś?

— Wczorajsze resztki.

— Oj, biedny jesteś ostatnio. Zaraz coś przygotuję.

— Dzięki.

Mężczyzna odwrócił głowę i spojrzał na płaski ekran dużego telewizora, w którym właśnie podawali najnowsze wiadomości ze świata. Państwo Islamskie odparło nową ofensywę sprzymierzonych prowadzoną zbyt szczupłymi siłami. Terroryci tryumfowali na ulicach, wzięli osiemdziesięciu jeńców, których natychmiast ścięli w centrum jakiegoś zrujnowanego miasteczka. Świat patrzył na to wydarzenie z bezsilnością, a pijani ze szczęścia bojownicy odgrażali się, że jutro Europa będzie ich.

— To straszne...

— Tak, Emma, to był pokaz naszej słabości. Czterystu komandosów nie pokona całej armii. Co oni chcieli osiągnąć taką garstką?

— Najbardziej szkoda tych bestialsko zamordowanych jeńców.

— Powinni zostać pomszczeni.

— Ale kto to zrobi? Nikt się nie pali z wysyłaniem wojsk do Syrii, a samoloty tej wojny same nie wygrają.

— Tak, masz rację, kochanie, ale kto wie, może ta wojna wkrótce się skończy?

— Wątpię. Idę do kuchni.

— Ktoś musi wreszcie przestać się bać.

Jean zaraz po skończonej pracy dnia następnego pojechał do kaplicy. Wielki mistrz był w dobrym nastroju, poruszał się samodzielnie na wózku inwalidzkim. Obydwie nogi zostały unieruchomione specjalnymi, metalowymi szynami. Na widok templariusza przywódca uśmiechnął się i zaprosił gościa do kaplicy, gdzie przywódcę na rękach uroczyście wniósł wielki brat Gotfryd. Wszyscy trzej usiedli przy granitowym stole. Przez chwilę wielki mistrz milczał, jakby zbierał myśli, aż wreszcie westchnął i powiedział powoli i dostojnie, ważąc każde słowo:

— Wróg nasz ogłosił dzisiaj wielkie zwycięstwo, drwi z nas i szydzi. Jakże świat jest słaby, tolerując istnienie tego potwora, jakim jest to państwo terrorystów. Cóż mam wam powiedzieć, bracia? Czas na zemstę. Nieważne, z czyich rąk

ona nadejdzie. My jesteśmy gotowi walczyć dalej, nigdy się nie poddamy.

— Amen.

— W imię Boga, bracia. Walczcie do końca. Wiem, że nie jesteście zwolennikami tego ostatniego sojuszu, lecz tylko on zagwarantuje zniszczenie tych bestii. Jeśli jesteście silni i zdesperowani, to zwycięstwo pójdzie za nami.

— Amen.

Wielki mistrz był jeszcze słaby, więc płomienna mowa osłabiła ciało rannego mężczyzny, który ciężko oparł się o kamienny stół. Jean chciał się rzucić z pomocą, ale Gotfryd ruchem głowy zabronił wykonania tego aktu miłosierdzia. Miał rację. Przywódca templariuszy nagle podniósł głowę, spojrzał nieco speszony na dwóch rycerzy i zaczął zwykłą rozmowę:

— Rosjanie są gotowi do handlu.

— Mają złoto?

— Twierdzą, że tak.

— Kiedy mamy być gotowi do akcji?

— Za chwilę. Umówiłem was na dzisiejszy wieczór, a raczej noc, bo o dwudziestej drugiej trzydzięci na barce.

— Kto pojedzie, wielki mistrzu?

— Wy obaj, Gotfrydzie. Zawieziecie twarde dyski, a przywieziecie kilkanaście skrzynek złota.

— Aż tyle to jest warte?

— Nawet więcej, drogi bracie.

— A co to jest, że jest aż takie cenne? Nie rozumiem.

— Wygrana wojna w Syrii.

— Ach tak? W takim razie zgadza się, to jest tyle warte, a nawet więcej.

— To trudne zadanie, bracia, nie wiadomo, czego można się spodziewać po Rosjanach.

— Poradzimy sobie, weźmiemy najlepszą ochronę.

— To może nie wystarczyć.

— Wielki mistrzu, Rosjanom nie zależy na naszej śmierci. Za parę kilo złota dostaną strategicznie ważny obszar na Bliskim Wschodzie i błogosławieństwo od całego cywilizowanego świata. Wszędzie powróci ład i porządek, wszyscy zniosą sankcje i zapomną o wojnie na Ukrainie.

— Jak zwykle nasz brat Alexandre mówi logicznie z dozą rozsądku. Przebierzcie się w nasze garnitury i módlcie się w swoich celach o powodzenie akcji. Weźmiecie opancerzoną furgonetkę, będzie wam towarzyszyć śmigłowiec oraz trzy samochody eskorty. Sprawdzicie złoto, każdą skrzynię i każdą sztabę, choćby Rosjanie zzielenieli ze złości. Pamiętajcie o tym. Zaraz po sprawdzeniu wracajcie, żadnych dodatkowych rozmów.

— Tak jest.

— Bracie Gotfrydzie, zanieś mnie do lazaretu. Nie mam sił na dalsze rozmowy. Wyjedźcie za kwadrans dziesiąta.

— Tak jest.

— Bóg z wami.

Gotfryd wstał i wziął na ręce rannego przywódcę. Jean został sam. Ukląkł przed figurą Jezusa i długo się modlił.

Wreszcie spojrzął na zegarek, wstał, zdjął płaszcz oraz odpiął miecz. Powoli wrócił mrocznym korytarzem do głównego budynku klasztoru, gdzie odnalazł celę z własnym imieniem wypisanym na drzwiach. Po wejściu do środka włączył mdłe światło. Na twardym łóżku leżał wyprasowany garnitur w kolorze popieli. Usiadł na drewnianym taborecie, gdy nagle usłyszał ciche pukanie do drzwi. Niegłośnie wypowiedział „proszę” i zdumiony ujrzał jak zwykle pogodną twarz Sarah. Dziewczyna nieśmiało weszła do małego pomieszczenia.

— Witaj, bracie Alexandre.

— Co się sprowadza, Sarah?

— Przyniosłam specjalną kamizelkę kuloodporną. Jest naprawdę dobra i lekka, można nosić ją pod marynarką, ma tylko cztery milimetry grubości. To tak na wszelki wypadek.

— To dla mnie?

— Tak, na dzisiejszą akcję.

— Postaram się oddać w całości.

— Nie trzeba, to prezent.

— Od ciebie?

— Tak, przepraszam, ale muszę już iść, ranny mistrz czeka.

— Dziękuję.

Speszona dziewczyna wybiegła z celi, nie domknąwszy nawet drzwi. Zaskoczony Jean wstał i oglądnięt kamizelkę. Wyglądała jak zwykły ciuch, tylko była sporo cięższa. Przymierzył. Pasowała idealnie. Postanowił zawsze zakładać

na akcję ten praktyczny prezent. Nagle usłyszał dźwięk kościelnego zegara, co oznaczało, że było już w pół do dziesiątej. Jean natychmiast się rozebrał, starannie umył ciało w zimnej wodzie — innej w celach nie było — wytarł ręcznikiem metalowy zlew, przebrał się w garnitur i pobiegł na dziedziniec, gdzie zastał jak zwykle ponurego Gotfryda. Przez chwilę patrzył na Jeana swoimi zimnymi jasnymi oczami, po czym wycedził przez zęby:

— Nie wolno nam zabrać broni. Czy ty to rozumiesz?

— W samochodzie nic nie ma?

— Bez przesady, coś tam schowałem, ale nie lubię bez porządnej giwery jeździć na akcję, zwłaszcza taką akcję. Czuję się wtedy bezbronny jak dziecko.

— Rozumiem.

— Chyba nie, bo ty przecież jesteś pacyfistą, nieprawdaż?

— Ostatnio zabiłem więcej ludzi od ciebie, nieprawdaż?

Zdumiony wielkolud włączył silnik, spojrzął znowu na Jeana. Pierwszy raz brat Alexandre zaskoczony usłyszał śmiech Gotfryda, który po chwili opanował się i przywrócił rozmowę:

— Ty naprawdę masz jaja. Nie boisz się mnie?

— Walczymy po tej samej stronie... tak przynajmniej mi się wydaje.

— Skąd ty się tutaj znalazłeś?

— Z Paryża.

— Lubisz żartować. To czasami się przydaje. Prowadź. Zobaczymy, co ci Ruscy nam przywieźli.

Na miejscu dwaj templariusze ujrzeli kilka furgonetek stojących przy niewielkim ogrodzeniu. Przy jednej z nich dwóch ludzi rozmawiało, paląc papierosy. Na widok czarnego dostawczego samochodu rosyjscy agenci natychmiast zniknęli we wnętrzu barki. Gotfryd powoli podjeżdżał do starej rzecznej krypy, uważnie obserwując okolicę. Wreszcie cicho mruknął:

— Ośmiu ludzi, dobrze uzbrojeni.

— Nie widzę nikogo.

— Cicho. Właśnie informuję naszych.

— Przepraszam.

— Dwóch w samochodzie, trzech w krzakach, dwóch za barką i jeden na górze z karabinem snajperskim.

Samochód zaparkował pomiędzy białymi, starymi furgonami renault. Nikt nie wypowiedział słowa, tylko jeden z kierowców niedbale wskazał ręką na barkę. Gotfryd wysiadł pierwszy, przypiął do ręki walizkę i poszedł spokojnym krokiem w kierunku barki. Za nim podążał Jean, rozglądając się dyskretnie po okolicy.

— Witam, panowie. Macie dla nas te dane?

— Pokaż złoto.

— Spokojnie. Widzieliście samochody na parkingu? Tam jest zapłata.

— Przynieś tutaj.

— Jak to?

— Wszystkie skrzynie.

— Ta barka może utonąć.

— To prawda. Wobec tego zapakujcie towar do naszego samochodu, połóżcie skrzynie obok siebie i otwórzcie wieka, musimy sprawdzić sztaby.

— Rozumiem, zaraz wydam rozkazy.

— Mamy mało czasu.

— Każdemu się dzisiaj spieszy.

— To zrozumiałe.

Przez kilkanaście minut trwała złowroga cisza. Wreszcie jeden z Rosjan oznajmił, że złoto znajduje się w samochodzie templariuszy. Gotfryd odpiął walizkę i oddał Jeanowi, dając jednocześnie znak, aby na razie niczego nie demonstrował. Wyszedł pewnym krokiem i przez kilka minut sprawdzał skrzynie. Kiedy wrócił, usiadł i powiedział, jakby od niechcienia:

— Może być.

— Teraz wy pokażcie dyski.

— Bracie, zademonstruj panom, co kupili.

— Jest tutaj projektor?

— Tak, proszę, tu jest, może pan z niego skorzystać.

Jean uruchomił laptopa, podłączył dwa potężne twarde dyski i rozpoczął projekcję. Opisywał każdy rozdział dokumentów. Wreszcie wyświetlił mapy topograficzne obszarów Państwa Islamskiego oraz okolicznych państw. Było tam przedstawione wszystko, co interesowało Rosjan. Jeden z nich był zawodowym oficerem wywiadu, zadawał



krótkie logiczne pytania. Po chwili wstał, wyłączył projektor i powiedział:

— Dobrze, wiemy, że kupiliśmy wartościowe dane. Możecie odejść.

— Nie chcecie obejrzeć reszty?

— Brak czasu. Panowie, nie znamy się, nigdy was tutaj nie było.

— To zrozumiałe.

Gotfryd ostrożnie wstał i powoli wyszedł z barki, a za nim uczynił to samo Jean. Po chwili obaj siedzieli w samochodzie. Stary legionista raz jeszcze sprawdził złoto. Po chwili przeciążony samochód wolno ruszył po kamiennym bruku.

— Coś za łatwo poszło. Niepokoi mnie to.

— Może Rosjanom naprawdę zależało na tych danych?

— Pewnie, przecież teraz ich siły specjalne w ciągu dwóch tygodni zajmą Syrię przy minimalnych stratach własnych.

— O co więc chodzi?

— Jesteśmy na ich łasce. Jak będą chcieli, to wytropią nas i rozwalą, a są w tym dobrzy. Wierz mi, musimy siedzieć teraz cicho, a najlepiej wymazać z pamięci całą tę transakcję.

— Dlaczego nas nie zlikwidowali?

— Uważają, że jesteśmy ich sojusznikami, więc są lojalni. To jakiś inny gatunek ludzi niż my, czasami trudno ich zrozumieć. Cholera, ten samochód ledwo jedzie.

— Ile mamy złota?

— Dużo, nawet bardzo dużo.

Wreszcie przeciążony samochód dowlókł się na teren klasztoru. Gotfryd wyprowadził z garażu mały wózek widłowy, natomiast Jean poszedł zdać relację z akcji wielkiemu mistrzowi.

Zastał przywódcę templariuszy leżącego w łóżku z Biblią w ręku. Na widok podwładnego drgnął i uśmiechnął się, mówiąc:

— Jesteś cały i zdrowy.

— Jakoś łatwo nam poszło.

— Dobrze. Macie złoto?

— Tak, cały samochód. Gotfryd właśnie go rozładowuje i pakuje sztaby do skarbca.

— Będzie nam potrzebne. Rosjan zainteresowała nasza zdobycz?

— Zatkalo ich, szczególnie tego wyższego.

— To major wywiadu wojskowego, co ustaliły nasze służby.

— Kiedy obejrzał mapy, reszty nie chciał widzieć, pożegnał się i pojechał błyskawicznie w kierunku ambasady.

— To zrozumiałe. Za kilka dni ruszy ich ofensywa i to będzie początek końca terrorystów.

— A co z nami?

— Nie rozumiem.

— Co dalej z zakonem? Zostanie rozwiązany, jak zrobiono to przy pierwszych templariuszach?

— Dlaczego o to pytasz?

— Przestanie istnieć nasz główny przeciwnik.

— To dopiero początek naszej krucjaty. Zakon przetrwa, nie martw się o to, a teraz idź pomóc Gotfrydowi. Kiedy wrócisz, porozmawiamy o twoich obawach.

— Tak jest!

Jean układał skrzynie ze złotem w podziemnym skarbcu templariuszy. Zdumiony ujrzał po raz pierwszy, czym dysponował niewielki zakon. W dużym, nowoczesnym żelbetonowym pomieszczeniu było kilka sejfów najnowszego typu. Na wielu regałach stojących pod ścianami poukładana była broń i amunicja używana przez wszystkie główne armie świata. Poza tym idealnie poukładano mundury, buty, hełmy, środki łączności oraz drony i specjalną żywność przeznaczoną dla żołnierzy służb specjalnych. Kiedy skończyli, Gotfryd zaparkował wózek w rogu skarbcza i spojrzał zadowolony na Jeana.

— Potrafisz pracować. Niewielki wzrostem, ale silny jesteś.

— Mamy tutaj wiele skarbów.

— To tylko dziadostwo. Prawdziwe perełki są w sejfach.

— Dlaczego nie trafiło tam złoto?

— Nie ma takiej potrzeby. W tych skrzyniach przypomina amunicję, prawda?

— Na co nam tyle szmalu?

— Jest tego trochę, fakt. Można by za to wszystko, co widzisz i czego nie widzisz, kupić jakieś małe państwo w Afryce lub Ameryce Południowej, no ostatecznie starczyłoby na całkiem ładną wyspę, aby gdzieś się schronić, kiedy wszystko ucichnie.

— Co masz na myśli?

— Nic. Kończymy robotę, a ty nie myśl za dużo, bo może cię od tego rozboleć głowa.

Mężczyźni zamknęli wjazd do sejfu, zastawili samochodami pancerną płytę i wyszli ze starego budynku. Gotfryd pojechał do swojego domu, natomiast Jean udał się do celi wielkiego mistrza, którego zastał siedzącego w szlafroku na łóżku i przeglądającego prasę:

— Już jesteś. Napijesz się czegoś?

— Tak, chętnie.

— W szafce jest barek. Przepraszam cię, ale musisz obsłużyć się sam.

— Dziękuję.

— Upchnęliście jakoś nasz skarb?

— Tak. Jest w zielonych skrzyniach po rosyjskiej amunicji.

— Bardzo dobrze, świetnie się spisaliście.

— Nic nam nie grozi ze strony Rosjan?

— Nie, to nasi sojusznicy i wbrew pozorom nie są aż tacy źli.

— Rozumiem.

— Martwiłeś się naszym losem, prawda?

— Tak, rozmawialiśmy o tym dwie godziny temu.

— Wierzysz w Boga, bracie Alexandre?

Zdumiony Jean drgnął, wypił duszkiem szklanę soku pomarańczowego. Zaskoczony pytaniem patrzył przez chwilę prosto w oczy swego rozmówcy, po czym cicho szepnął, jakby bał się własnych słów:

— Tak, chociaż czasem mam wątpliwości.

— Rozumiem. Dlaczego zrezygnowałeś z kariery w służbach specjalnych?

To pytanie jeszcze bardziej zaskoczyło mężczyznę. Po chwili jednak opanował emocje, spojrział na butelkę soku i powiedział zmęczonym głosem:

— Przecież wielki mistrz wszystko wie, prześwietlono moje życie na wylot, sam nie znam tak dobrze swojego życiorysu jak zna go zakon.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Byłeś najlepszy, prawda?

— Tak, owszem, nieźle mi szło.

— To dlaczego?

— Zabiłem człowieka.

— To był wypadek. Ktoś zaniedbał sprawdzenie broni i amunicji ćwiczebnej.

— Tak, ale to był mój przyjaciel.

— Ktoś jeszcze o tym wie?

— Nie, nikt. Tylko ja i zakon, ale nie o tym chciałem rozmawiać.

— Wiem, ale szczerść za szczerść.

— Dobrze, słucham.

— Kiedy skończy się wojna z terroryzmem, będziemy musieli uciekać z kraju, bo zbyt dużo wiemy, przez co będziemy niebezpieczni. Dlatego gromadzimy broń i złoto oraz budujemy wpływy, bo bez tego nie przeżyjemy. Służby po kolei zlikwidują nas, będziemy bezbronni i nikomu niepotrzebni, no i szalenie niebezpieczni. Jak widzisz, od czternastego wieku nic się w Europie nie zmieniło.

— To prawda. Chyba wiem już, o co chodzi.

— Jesteś inteligentny. Wracaj do domu i odpoczywaj. Będziemy teraz mieli dwa tygodnie urlopu w oczekiwaniu na rosyjską ofensywę na Bliskim Wschodzie.

— Kiedy będzie spotkanie wszystkich templariuszy?

— Za dwanaście dni. Wtedy też nasz nowy brat zostanie pasowany na rycerza.

— Nawet nie poznałem tego człowieka.

— Będziesz miał okazję, ale teraz już idź i niechaj Bóg prowadzi twe ścieżki.

— Amen.

— Naszej ostatniej rozmowy nie było, prawda?

— Oczywiście, że nie.

Jean wsiadł do samochodu. Na fotelu leżała znajoma koperta z pieniędzmi, premia za udaną akcję. Mężczyzna schował pieniądze do kieszeni marynarki, uruchomił samochód i odjechał w kierunku centrum Paryża. Jakoś nie chciał jeszcze wracać do domu. W głowie kłębiły mu się wzburzone myśli. Jego życie już nigdy nie będzie normalne.

Zaprzedał duszę zakonowi. Wreszcie oprzytomniał. Był śledzony, ktoś monitorował jego samochód. Skręcił w boczną uliczkę, zawrócił i pojechał w stronę domu. Śledzącym zajmą się inni. Zaparkował auto przed domem, pogłaskał chrapiącego psa, wziął prysznic i poszedł spokojnie spać.

Przez kilka dni nic się nie działo, życie wróciło do normy, z czego bardzo cieszyła się Emma oraz wielki, długowłosy owczarek niemiecki, który terroryzował koty z całej okolicy. Jean nieco uspokoił nerwy, nawet kilka razy w pracy uśmiechnął się do kolegów. Przyszedł wreszcie upragniony piątek, a zatem Jean, zgodnie z francuskim trzydziestopięciogodzinnym tygodniem pracy, po godzinie trzynastej pojechał do domu. Emma miała wrócić około siedemnastej. W znajomym sklepie zrobił skromne zakupy i zadowolony poczęstował psa jego ulubionym pasztecikiem drobiowym. Mężczyzna zjadł odgrzaną przez siebie pizzę, włączył telewizor i zamarł. Nadawano właśnie specjalne wydanie z Syrii. Rosja zaatakowała Państwo Islamskie. Wszędzie trwała walka, setki żołnierzy sił specjalnych z chirurgiczną precyzją uderzyło w kluczowe ośrodki władzy terrorystów. Zabito dziesiątki bojowników, setki trafiło do niewoli, ich los był przesądzony.

Zaniepokojony Jean spojrział na telefon, ale nie ogłoszono nawet zielonego alarmu. Wielki mistrz ze spokojem podszedł do sprawy. On to wszystko zaplanował.

Nagle zadzwonił drugi telefon. To był Paul, zaniepokojony brakiem reakcji zakonu, sprawdzał czujność braci:

— Witaj, oglądałeś wiadomości?

— Tak.

— Co powiesz?

— Nic. Mamy urlopy, prawda? Przynajmniej taki był ostatni rozkaz.

— Przecież możemy być zagrożeni.

— Możliwe, ale na to nie mamy wpływu.

— Spotkamy się u mnie?

— Dobrze, ale dopiero w poniedziałek. Chcę spędzić ten weekend z rodziną.

— W porządku. To jesteśmy umówieni na piątą po południu.

— Okej.

— Trzymaj się.

— Cześć.

Jean wyłączył telefon. Spojrzał ponownie na relację z walk o Syrię. Rosjanie skutecznie i szybko likwidowali ośrodki oporu terrorystów. Zaskoczeni Amerykanie proponowali pomoc, ale doskonale wiedzieli, że Rosjanie odmówią. Mieli zbyt potężne siły na Bliskim Wschodzie, a wciąż przybywały nowe oddziały. NATO bezsilnie przyglądało się ofensywie Rosjan, którzy po pierwszym dniu odnieśli kilka spektakularnych sukcesów.

Jean uśmiechnął się i wypił kieliszek wina za zdrowie templariuszy. To oni wygrywali tę wojnę, nikt inny. Nagle



pies warknął, po czym z machaniem ogona podniósł się i rozszczękał radośnie. Do domu weszła uśmiechnięta Emma.

— Pijesz wino? Beze mnie?

— Przepraszam, ale mam powody.

— Co się wydarzyło tak wyjątkowego?

— Zdaje się, że wreszcie skończy się ta wojna w Syrii, problemy uchodźców i zagrożenie dla Europy ze strony islamu.

— O czym ty mówisz?

— Spójrz, to bieżące relacje z uderzenia rosyjskich sił w centrum Państwa Islamskiego.

— Rzeczywiście.

Zdumiona kobieta usiadła w fotelu i zapatrzyła się w szklany ekran monitora telewizyjnego. Silne oddziały rosyjskiego SPECnazu bezwzględnie rozprawiały się z rozbitymi bandami islamistów. Wszędzie słychać było strzały. Nad polem walki krążyły zmodernizowane śmigłowce typu MI-24, siejąc śmierć i zniszczenie. Liczne kolumny jeńców prowadzono do prowizorycznych obozów.

— Jak oni tego dokonali?

— Nie mają takiej demokracji, jak rozpolitykowana i słaba oraz niewyobrażalnie zbiurokratyzowana Europa.

— Nie znam się na polityce, ale na jedzeniu owszem. Przygotuję coś dobrego.

— No, towarzyszu Putinie, tę wojnę wygrałeś, ale nie sam.

Weekend minął szybko w miłym towarzystwie. Emma wreszcie miała swojego ukochanego dla siebie. Nadszedł poniedziałek i godzina spotkania Paula z Jeanem. Paul czekał na przyjaciela tradycyjnie na schodach przed domem. Kiedy ujrzał znajomą sylwetkę volvo uśmiechnął się i otworzył elektronicznie bramę. Po chwili starzy przyjaciele siedzieli w wygodnych fotelach przy lampce wina, a gospodarz miał dobry humor.

— Postępy Rosjan są zaskakujące. Przy minimalnych stratach prą naprzód szybko i skutecznie, zupełnie, jakby wiedzieli, gdzie uderzyć.

— Ich wywiad nadal jest jednym z najlepszych na świecie.

— To prawda.

— Jak tak dalej pójdzie, za dwa tygodnie zajmą cały kraj, a my siedzimy i korzystamy z urlopu.

— A co byś chciał robić?

— Nie wiem. Walczyć! Męczą mnie bezczynność, gdy inni coś robią.

— Daj spokój, my już swoje zrobiliśmy, teraz czas na kogoś innego.

— Sądysz, że rozbicie Państwa Islamskiego zakończy wojnę o Europę?

— Tak.

— No to, przyjacielu, powiem ci, że grubo się mylisz.

— Nie sadzę. Przecież tam mieści się ich sztab główny, stamtąd planują wszystkie akcje.

— Bzdura.

— Jak to? Nie rozumiem.

— Ich przywódców na pewno już nie ma w Syrii, to pewne. Prawdopodobnie siedzą sobie wygodnie w Pakistanie lub Afganistanie i oglądają w telewizji upadek swojego reżimu. Ale oni nie poddadzą się, wróci fala zamachów, wierz mi. To fanatycy.

— Sam nie wiem, co o tym myśleć.

— Na razie napijmy się wina. Czas pokaże, który z nas miał rację.

Jeana zasmuciły rozsądne słowa przyjaciela. Pewnie miał w swoim wywodzie sporo racji. Wypił kieliszek wina, przegryzł serem i zapatrzył się w ekran telewizora, który pokazywał ciągle sceny walki w Syrii.

— Proponuję wyłączyć to cholerstwo.

— Jestem za. Pogadajmy o naszym zakonie.

— Niezła myśl. Co z nami będzie, kiedy to się skończy?

— Nic. Będziemy musieli uciekać z naszego pięknego kraju.

— Dlaczego?

— Zadajesz dzisiaj dziwne pytania. Pomyśl tylko. Przecież nie jesteśmy bohaterami, których wita się naręczem kwiatów, tylko — w świetle prawa — zwykłymi bandytami.

— Nie rozumiem...

— Czas zejść na ziemię, idealisto. Takie są fakty.

— Przecież mówiłeś, że mamy powiązania z górą i to spore, z tego co pamiętam.

— Dzięki temu jeszcze żyjemy i działamy, ale poza tym zwykli z nas mordercy, choć ze szlachetnych pobudek. Nie miałeś nigdy wyrzutów sumienia z powodu przynależności do zakonu?

— Nie, nigdy.

— Widać jesteś urodzonym templariuszem.

— Dziwna ta nasza dzisiejsza rozmowa. Powiedz prawdę, dlaczego mnie zaprosiłeś?

— Chciałem z tobą porozmawiać o wielkim mistrzu.

— Nie widzę sensu, to tajemnicza postać, dla mnie zupełnie nieznana, dobry przywódca, może ksiądz, a może nie.

— Rozumiem. Uważasz, że jest dobrym przywódcą?

— Jak najbardziej.

— No dobrze, powiedzmy, że świetnie się sprawdził w okresie wojny, ale co będzie, kiedy nastąpi pokój?

— Nie myślałem o tym.

— No właśnie. Szykują się zmiany, musimy być na to gotowi.

Zdumiony Jean umilkł, nalał sobie kieliszek wina i powoli do niego docierało to, że jego najlepszy przyjaciel szykuje przewrót w zakonie. Paulowi marzyła się funkcja wielkiego mistrza i właśnie szukał zwolenników. Reguła w ramach wyjątku przewidywała odsunięcie przywódcy, ale potrzebna była jednomyślność, a przecież Gotfryd nigdy nie zdradzi

swojego przełożonego. Coś w tej układance nie pasowało. Wielki mistrz był chory i słaby, o czym Paul doskonale wiedział, więc szykował się do ataku.

— Kiedy postanowiłeś zostać zdrajcą?

— Co powiedziałeś?

— To, co słyszałeś. Dlaczego chcesz zdradzić zakon? Chcesz władzy?

— Nie zrozumieliśmy się, to jakaś pomyłka.

— Dobrze cię znam, Paul. Zawsze lubiłeś błyszczeć i rządzić, ale jedno ci powiem, nie nadajesz się na wielkiego mistrza.

— Nawet o tym nie myślę.

— Zapomnijmy o tym, inaczej staniesz się nawozem zasilającym paryskie trawniki.

— Oszalałeś?!

— Wracam do domu i przez wzgląd na naszą przyjaźń zapomnę o całej sprawie, a tobie dobrze radzę: przestań intrygować.

— Przyjacielu, o co ci chodzi? Nie odchodź, porozmawiajmy jeszcze.

— Nie mamy o czym.

Zdenerwowany Jean wskoczył do samochodu, zostawiając przyjaciela z niedopitym kieliszkiem wina w dłoni. Czarne volvo szybko mknęło pustymi ulicami Paryża. Gdy jego kierowca usłyszał dźwięk służbowego telefonu, zatrzymał samochód. Była to wiadomość od Gotfryda. Chciał się spotkać w swoim domu, podał pozycję satelitarną

i czekał. Jean ochłonał, skręcił na północ i wolno ruszył w kierunku samotni wielkiego templariusza. Z niemałym trudem dotarł do samotnej farmy. Gotfryd czekał na niego, siedząc spokojnie przed telewizorem z lampką niezłego koniaku.

— Co się stało?

— Siadaj. Napij się czegoś?

— Nie, dzięki. O co chodzi?

— Zostaliśmy tylko my.

— O czym ty mówisz?

— A jak sądzisz, dlaczego ostatnio nie ma zebrań w kaplicy? No, pomyśl.

— Wielki mistrz jest ranny.

— Bzdura. To stało się niedawno i nigdy zwykły postrzał nie opóźniał działań szefa naszego zakonu.

— Sugerujesz zdradę?

— Brawo! Nie zawiodłem się na twojej inteligencji. Byłeś u tego swojego przyjaciela. Zdradzisz mi, o czym rozmawialiście? Bo chyba nie o modelkach z okładek gazet?

— Mów, co wiesz.

— A mogę ci zaufać?

— Nie jestem zdrajcą.

— Wiem o tym.

— Skończmy z tą grą słów, trzeba ratować zakon.

— O, i tu dobrze mówisz.

Potężny templariusz wstał z wygodnego fotela, podszedł do szafy i wydobył z niej butelkę starego wina. Usiadł

naprzeciwko spokojnie siedzącego Jeana, napełnił dwa kieliszki i podał jeden z nich swojemu gościowi.

— Najlepsze, jakie mam.

— Dzięki.

— Za zdrowie wielkiego mistrza i naszego zakonu!

— Amen.

Wino było naprawdę smaczne, lekko wytrawne, stare i z dobrego rocznika. Jean z przyjemnością zatopił usta w ciemnoczerwonym płynie. Brat Gotfryd przygotował zakąski z kiełbasy hiszpańskiej chorizo i twardego sera. Po zwyczajowym kwadransie milczenia stary komandos nagle wbił nóż w stół i syknął.

— Cholerny zdrajca, trzeba go zlikwidować.

— Masz na myśli Paula?

— A kogo innego? Od kilku miesięcy ryje jak kret, szuka haków na wielkiego mistrza, ale nasz przywódca to człowiek święty, czysty jak łąza, a on dalej ryje, prowadzi rozmowy z naszymi braćmi... niektórzy z nich są słabi, przystają do niego... wabi ich obietnicami awansu, złota i łatwego życia, a prawda jest inna. Kiedy przyjdzie ten dzień, będziemy musieli uciekać, a twój przyjaciel Paul zostanie zdradzony przez swoich przełożonych, których nie będzie miał czym przekupić.

— Od kiedy to się dzieje?

— To knucie i zdrada?

— Tak.

— Od dawna. Zawsze tak się dzieje, kiedy do gry wkraczają własne ambicje.

— Co możemy zrobić?

— Na razie nic, czekać. Za dziesięć dni wielki mistrz stanie na nogi, odzyska siły, będzie wielka narada templariuszy, głosowania.

— Sądzisz, że wówczas Paul będzie chciał przejąć władzę w zakonie?

— Tak, ma kilku twardych zwolenników, a reszta się waha, poza nami dwoma.

— Co wówczas zrobimy?

— Będziemy gotowi.

— Chcesz aresztować Paula?

— Jeśli będzie trzeba... Nie bardzo będziemy mieli inne wyjście. Oskarżymy kreta o zdradę, utraci płaszcz, a wszyscy się od niego odsuną.

— A co, jeśli przegramy?

— Nie ma takiej opcji, sam się przekonasz.

— To mój przyjaciel i nie chcę, by został zabity lub by stała mu się jakakolwiek inna krzywda.

— Nikt nie mówi o śmierci templariusza, to wbrew Regule. Nie wolno nam mieć krwi brata na rękach.

— Jest jeszcze jedno rozwiązanie.

— Taaak? A to ciekawe. Mów!

— Sąd Boży.

Rosły templariusz umilkł ze zdumienia, po czym wstał, podszedł do lodówki i wyciągnął z jej wnętrza butelkę



whisky, wypił jednym haustem połowę jej zawartości, potrząsnął głową, mocno wypuścił powietrze i wrócił na swoje dawne miejsce.

— Zaskoczyłeś mnie.

— O tym mówi nasza Reguła.

— Tak, to prawda... Ale walka na miecze? W dwudziestym pierwszym wieku?

— Uważasz, że wielki mistrz nie ma szans?

— Bzdura. Pokona tego lalusia w kilka minut.

— No to, o co chodzi?

— Jak to zrobić formalnie?

— Ja to załatwię, znam dobrze Regułę, daj mi szansę.

— No dobrze, ale bądź ostrożny. Spotkamy się na walnym zgromadzeniu.

— Za dużo pijesz.

— No to co? W akcji zawsze jestem trzeźwy.

— Wracam do domu.

— Trafisz?

— Tak, a ty uważaj na siebie, robisz się nieostrożny.

— To tylko złudzenie.

Nagle podłoga, na której stał Jean, rozstała się i zaskoczony mężczyzna runął trzy metry w dół, lądując na kupie piachu. Zamroczone przez chwilę nie mógł się podnieść. Wreszcie ciężko oddychając jak ryba wyjęta z wody, szepnął:

— Zwariowałeś?

— Nie, ale niepotrzebnie martwisz się o moje bezpieczeństwo.

— Mogłeś mnie zabić, jesteś chory umysłowo.

— Możliwe, ale kiedy usunę stamtąd ziemię, to lepiej uważaj na to, co mówisz.

— Pomóż mi się stąd wydostać.

— Zaczekaj, pójdę po drabinę.

Jean z podziwem oglądał pułapkę zastawioną przez starego komandosa. Wreszcie obolały wyczołgał się na powierzchnię po aluminiowej drabinie i spojrzał z wyrzutem na uśmiechniętego oprawcę, który na widok brudnego przyjaciela ponuro się roześmiał:

— Wreszcie mogłem wypróbować swoje dzieło.

— Masz tego więcej?

— Jasne, ale to moja tajemnica.

— Ty nie jesteś całkiem normalny.

— Nie przesadzaj. Powiem ci w tajemnicy, że oryginał tego urządzenia znajduje się w naszej kaplicy, a moje to tylko nieudana kopia.

— To niemożliwe.

— Ależ serio, serio. Może kiedyś sam się przekonasz?

— Czy mogę już wrócić do mojego samochodu?

— Jasne. Nie gniewaj się. To był taki rycerski żarcik.

— Zrewanżuję się, zobaczysz.

— Nie mogę się doczekać.

Zdenerwowany mężczyzna ze zgrzytającym w zębach piaskiem ruszył powoli w drogę powrotną. Zaczął padać

deszcz, najpierw nieśmiało, delikatnie, aż wreszcie runęła ściana wody. Wycieraczki samochodu nie nadążały z usuwaniem potoków deszczu z przedniej szyby. Mężczyzna ciężko westchnął i zwolnił. Wtedy nagle obok niego przemknął biały samochód w przeciwnym kierunku. Jean zatrzymał swoje volvo. Ta droga wiodła tylko na farmę Gotfryda. Ktokolwiek jechał tym samochodem, musiał podążać do niego, a ten przecież nie miał przyjaciół. Mężczyzna postanowił zawrócić. Być może staremu komandosowi groziło niebezpieczeństwo. Nadał telefonem sygnał alarmowy do Gotfryda i ku jego zaskoczeniu, ten potwierdził ostrzeżenie. Jean powoli zbliżał się do starej farmy, wyłączył światła i zatrzymał samochód w przydrożnych krzewach. Ze schowka wyciągnął wojskową lornetkę z noktowizorem. Po chwili obserwacji dostrzegł stojący nieco z boku samochód. Drzwiczki otworzyły się z impetem, a z wnętrza białej furgonetki wyskoczyło pięciu mężczyzn zaopatrzonych w długą broń. Po ruchach schylonych sylwetek można było się domyślić, że należeli do sił specjalnych. Jean wysłał wiadomość, a po chwili otrzymał odpowiedź. Miał ich zaatakować z flanki oraz załatwić kierowcę. Deszcz nadal padał, ale już nie tak rzeświście. Jean w czarnej pelerynie wyskoczył z samochodu. Miał przy sobie specjalny pistolet maszynowy, nóż i kilka granatów zaczepnych. Przez noktowizor obserwował farmę Gotfryda. Nagle potworna eksplozja przerwała monotony dźwięk deszczu. Stary legionista zamontował dookoła

ogrodzenia farmy miny typu Cleymore i widocznie któryś z napastników zahaczył o drut, co wywołało wybuch. W tym momencie kilka silnych reflektorów ogarnęło jasnością okoliczny teren i wybuchła strzelanina. Gotfryd używał amunicji świetlnej, widocznie chciał wskazać Jeanowi miejsce, z których strzelali napastnicy. Templariusz ostrożnie podczołgał się pod niski murek, za którym ujrzał jednego z ukrytych strzelców. Odbezpieczył granat i rzucił w kierunku napastnika, a po chwili fala gorąca przeszła nad jego ciałem. Jeden z napastników został zlikwidowany. Ale kierowca dostrzegł zza kierownicy Jeana i zaczął go ostrzeliwać za pomocą pistoletu maszynowego. Jean zrozumiał swój błąd i przyznał rację Gotfrydowi co do sugestii, by załatwić w pierwszej kolejności kierowcę. Ponieważ odległość była spora, a widoczność niemal zerowa, napastnik musiał opuścić samochód, by zapolować na Jeana, który tylko na to czekał. Odczołgał się nieco w bok i wypluł całą serię ze swojej broni w stronę nadbiegającej sylwetki. Tamten potknął się i upadł. Przez chwilę jego nogi jeszcze kopały ziemię, lecz wkrótce ciało całkiem znieruchomiało. Tymczasem strzały na farmie umilkły, a po chwili Jean usłyszał szept za plecami:

— Uratowałeś mi życie.

— Kto to był?

— Wynajęci opryszkowie. Kilku Arabów, reszta to ludzie z Europy Wschodniej.

— Masz jeńca?

— Nie, wszyscy nie żyją.

— Kto ich na ciebie nasłał?

— Myślę, że twój przyjaciel, Paul.

— To niemożliwe. Nawet w ten sposób nie żartuj.

— Ale ja to wiem na pewno. Jeden z nich powiedział mi to przed śmiercią i co więcej, mam to nagrane na telefonie. Chcesz obejrzeć?

— Nie. Powiedz mi, o co tutaj, do cholery, chodzi! Przecież wszyscy walczyliśmy po tej samej stronie! Zwariowaliśmy ,czy co? Zabijanie uderzyło nam na mózgi, że walczyliśmy przeciwko sobie?!

Gotfryd nic nie powiedział, odszedł ze spuszczoną głową. Zbierał ciała do plastikowych worów i ładował do samochodu. Jean stał samotnie w deszczu i patrzył na byłego legionistę, a po jego twarzy spływały łzy. Nagle podszedł do Gotfryda i pomógł mężczyźnie sprzątać ślady walki. Kiedy skończyli, Jean wreszcie mógł spokojnie odjechać. W tym czasie legionista zabrał martwych bandytów do krematorium. Jeanowi nie dawała spokoju pewna myśl, więc postanowił nie wracać do domu. Skręcił w bok i pojechał w kierunku klasztoru templariuszy. Tam wystukał specjalny kod i wjechał na dziedziniec. Wysiadł z samochodu i przez chwilę stał w deszczu na ciemnym dziedzińcu. Nagle usłyszał znajomy kobiecy głos dochodzący z za jego pleców:

— Co się stało, bracie Alexandre?

— Muszę się widzieć z wielkim mistrzem.

— O tej porze?

— Tak, to pilne.

— Masz krew na twarzy. Jesteś ranny?

— To nic groźnego.

— Najpierw pójdziemy do szpitala. Muszę cię opatrzyć.

— Dobrze, niech tak będzie.

Sarah sprawnie opatrzyła rany Jeana. Otrzymał także nowy garnitur templariuszy, wziął ciepłą kąpiel, zjadł skromny posiłek i poprosił ponownie o audiencję u wielkiego mistrza:

— Dochodzi piąta rano, przywódca teraz się modli, musisz zaczekać.

— Jak długo?

— Za pół godziny sam cię wezwie. Ja muszę już iść.  
Żegnaj, bracie

— Dziękuję, Sarah.

— Nie ma za co. Pamiętaj, że on jeszcze nie doszedł do pełni sił.

— Wiem.

Wielki mistrz poruszał się samodzielnie o kulach. Usiadł na łóżku, z uwagą i zatroskaną miną na twarzy słuchał opowieści Jeana. Ani razu nie przerwał potoku zdań wypływających szybko ze wzburzonych ust przybysza. Wreszcie, kiedy skończyła się opowieść, przywódca rycerzy wypił szklanekę wody i ciężko westchnął:

— Bóg mi świadkiem, że nie chciałem tego. Szatan jest wszędzie.

— Co robimy, wielki mistrzu?

— Trzeba zwołać walne zgromadzenie i poruszyć sprawę zdrady wśród rycerzy.

— Zaczynamy zabijać się nawzajem...

— To prawda. Serca nasze stwardniały z powodu wojny, zatracamy własne człowieczeństwo.

— Zakonowi grozi rozpad i likwidacja, a nam ogromne niebezpieczeństwo... i naszym bliskim.

— Fakt, czeka nas jeszcze jedna wielka bitwa i musimy ją wygrać. Czy jesteś gotów?

— Tak.

— Mogę ci zaufać, bracie Alexandre?

— Jak najbardziej.

— Dobrze, zwołam walne zebranie na pojutrze. Staniesz po mojej stronie?

— Tak, możesz mi ufać, wielki mistrzu.

— Będziesz mi potrzebny. Będziemy musieli ukarać brata Antoine'a.

— To mój stary przyjaciel. Nie chcę, by zginął.

— Nie martw się, będzie żył.

— Dziękuję.

— A teraz już idź. Jutro zapoznam cię z moim planem. Przyjedź wieczorem o dziewiątej, po modlitwie.

— Dobrze, będę.

— Bóg z tobą.

Jean pojechał prosto do pracy. Zadzwoił wcześniej do Emmy i powiadomił ją, że będzie musiała sama zjeść

śniadanie. Była wściekła i zaniepokojona, podejrzewała Jeana o romans. Dopiero, kiedy ujrzała mężczyznę w pracy, zrozumiała, że jednak się myliła. Jean był wykończony psychicznie i fizycznie, oczy miał zapadnięte, a puder starannie nałożony przez Sarah na twarz zasłaniał nowe rany i siniaki. Mężczyzna potrzebował odpoczynku.

— Powinieneś być na urlopie.

— Poradzę sobie, jakoś dotrwam do czwartej.

— Martwię się o ciebie.

— Już niedługo, kochanie, skończę z tą pracą, obiecuję.

— Wczoraj dzwoniła Marie. Wszystkich nas zanedbujesz... nawet psa.

— Daj mi jeszcze kilka dni, a wszystko się zmieni.

— Kochanie, pomieszkaaj wreszcie trochę w domu, zaprosź córkę z Thomasem, a wszystko wróci do normy.

— Dobrze, tak zrobimy, ale teraz przepraszam, mam sporo pracy.

— Spotkamy się w domu?

— Tak, będę, obiecuję.

Jean wrócił wcześniej z pracy, po drodze wstępując do dużego supermarketu, gdzie zrobił wielkie zakupy, wśród których znalazła się też nowa zabawka dla Rufusa w postaci grubego sznura z zawiązanym na końcu supłem. Przygotował smaczną kolację, schłodził szampana i pobiegał z psem po ogrodzie. Kiedy Emma wróciła z pracy, poczuła zapach unoszący się w całym domu.

— Kochanie, zaszalałeś w kuchni?



— Tak. W ramach przeprosin.

— To super, bo jestem potwornie głodna. Ooo, jest nawet szampan i to mój ulubiony.

— Siadaj, a ja się wszystkim zajmę.

— Dobrze, tylko skorzystam z łazienki.

Emma z nieukrywanym zaskoczeniem patrzyła na pięknie podaną kolację. Wszystko było starannie ułożone na talerzach i salaterkach. Sałatki i dania nawet miały określone kolory. Potrawy były smaczne i zdrowe, a szampan idealnie schłodzony. Nawet pies był zaskoczony nową miską i jedzeniem.

— Smakuje ci, kochanie?

— Jestem w szoku. Naprawdę sam to wszystko przygotowałeś?

— Tak.

— Kto cię tego nauczył?

— Nikt. Sam musiałem sobie radzić. Wcześniej trochę podglądałem mamę, gdy gotowała, a była świetną kucharką, prowadziła niewielki bar...

— Nie wiedziałam.

— O, to stare dzieje.

— To jest naprawdę smaczne, a tak podanego kurczaka nigdy nie jadłam.

— Cieszę się. Mam nadzieję, że cię choć trochę przeprosiłem.

— No, owszem... może... hmmm... Ale będziesz musiał jeszcze trochę się postarać. Masz zaległą noc...

— Może być jutro, proszę... Muszę odpocząć, naprawdę odpocząć.

— No, dobrze, niech i tak będzie. Zadzwoń jeszcze do Marie.

— Już to zrobiłem i zaprosiłem ich na niedzielny obiad.

— Bardzo dobrze.

Jean posprzątał po kolacji, a Emma poszła wziąć prysznic. Zmęczony mężczyzna położył się na kanapie w salonie, włączył telewizję i z obojętną miną słuchał o dalszych sukcesach Rosjan w Syrii. Teraz miał ważniejsze problemy. Ich idealistyczna i szlachetna organizacja pożerała swoje dzieci, kiedy zaczęło brakować wroga. Zmęczony zasnął, obok sofy położył się pies, który pilnował spokoju snu swojego pana. Emma przykryła swojego mężczyznę grubym kocem. Jean przespał całą noc. Kiedy się obudził o szóstej rano, spanikował. Był umówiony z wielkim mistrzem na spotkanie. Natychmiast wysłał informację z przeprosinami. Przywódca odpowiedział, że nic się nie stało, ponieważ wielkie zebranie templariuszy przesunął na sobotę, natomiast Jean miał się pilnie stawić w kaplicy w piątek zaraz po pracy. Miał poznać plan ratunku zakonu.

Uspokojony mężczyzna odłożył telefon i poszedł do kuchni, wypuścił psa do ogrodu i nastawił kawę w automacie. Zapach obudził Emmę, której głos usłyszał od strony sypialni.

— Wstałeś już, kochanie?

— Tak. Ileż można spać?

— Jaki cudowny zapach kawy. Można prosić filiżankę do łóżka?

— Jak najbardziej.

— A gdzie pies?

— Tropi koty w ogrodzie.

— Jakie masz plany na dzisiaj?

— Praktycznie żadne, tylko małe spotkanie po południu z kolegami.

— Ale wrócisz?

— O tak, bez obaw.

— Mam nadzieję.

Emma wypila kawę, siedząc w wielkim małżeńskim łożu. Wreszcie wstała leniwie i przeciągając się, poszła do kuchni. Postanowiła, że wspólnie pojedą i wrócą samochodem Jeana do pracy. Spanikowany mężczyzna pobiegł czym prędzej posprzątać volvo, w którym było pełno dziwnych niespodzianek typu puste magazynki i łuski po amunicji.

Wielki mistrz czuł się coraz lepiej. Kiedy po południu pojawił się nieco spóźniony Jean, przywódca przywitał gościa, stojąc obok granitowego stołu w kaplicy. Obok niego leżała pojedyncza kula typu szwedka.

— Witaj, bracie. Siadaj.

— Przepraszam za spóźnienie, ale musiałem odwiedzić kobietę do domu po pracy.

— Nic się nie stało. Spotkaliśmy się tutaj z powodu dobrej atmosfery tego miejsca.

— Osobiście mnie ono przeraża. To grobowiec, prawda?

— Owszem, są tutaj pochowani templariusze, dwunastu. Tam, pod ścianami, są ich nagrobki. To byli sami wyborni rycerze, wszyscy uczestniczyli w krucjatach.

— Rozumiem, ale co to ma wspólnego z nami?

— No tak, masz rację, przejdźmy do meritum sprawy. Jak wiesz, jutro jest walne zgromadzenie naszego zakonu.

— Tak, Reguła przewiduje takie spotkanie raz do roku.

— Właśnie.

— Zostanie w jego trakcie przeprowadzone głosowanie nad wotum zaufania do obecnego wielkiego mistrza.

— Zgadza się.

— I wielki mistrz może to głosowanie przegrać.

— To też prawda. Jaki z tego wniosek?

— Mamy tylko jedno wyjście. Sąd Boży lub musimy zlikwidować opozycję.

— Słuszna uwaga. Co proponujesz, wielki mistrzu?

— Sąd Boży... jeśli mamy działać zgodnie z Regułą. Nie mogę walczyć w tej chwili, nie dam rady unieść kilkakrotnie miecza, jestem zbyt słaby.

— Nic nie szkodzi.

— Jak to?

— Reguła mówi, że walczyć może każdy brat, który jest cnotliwy oraz popiera obecnego mistrza. Według mnie najlepszym przedstawicielem wielkiego mistrza w tym

wypadku będzie Gotfryd, który się nawet ucieszy. Brat Antoine raczej z tym olbrzymem nie wygra.

— Masz rację. Cóż... nie pomyślałem o tym.

— Czy nasz wielki przyjaciel potrafi walczyć mieczem?

— Z pewnością. To urodzony wojownik.

— No, to powinniśmy być spokojni. Co dalej? Jeśli zwycięży Gotfryd?

— Odbierzemy płaszcz zdrajcy i skażemy go na wieczną banicję.

— Nie będzie się chciał mścić? Gotfryd chce go zamordować.

— To wbrew Regule.

— Tak, ale też chodzi o nasze bezpieczeństwo.

— Jeśli przegra w uczciwej walce, to uniesie się honorem i będzie spokojny, nie zaszkodzi nam. To człowiek ogromnych ambicji, ale wie, co to honor.

— Mam nadzieję.

— Ręczę za niego w tym względzie.

— Dobrze radzisz, bracie. Tak zrobimy.

— A co się stanie z naszym zakonem? Rosjanie kończą wojnę, przekazali naszemu wywiadowi wszelkie informacje o terrorystach we Francji, jesteśmy niepotrzebni.

— Jutro wszystko zostanie wyjaśnione. Jutro, powiadam. Teraz idź do domu. Muszę się pomodlić.

— Pobłogosław mnie, wielki mistrzu.

— Amen. Wracaj do domu, mój synu.

Walne zgromadzenie było uroczystą ucztą. Wśród rycerzy zasiadała też i Sarah, która występowała w czarnym, nie białym płaszczu. Było też kilka osób, których Jean nie znał. One również obleczone były w czarne płaszcze. Paul siedział skupiony i blady, niewiele jadł i pił, uważnie obserwował wielkiego mistrza i jego popleczników. Kiedy uczta dobiegła końca, jeden z braci złożył sprawozdanie z ostatniego roku, uczczono zmarłych braci oraz uroczyście odśpiewano hymn templariuszy na ich cześć. Wreszcie przyszła kolej na przemowy. Pierwszy zgłosił się brat Antoine, co wywołało poruszenie wszystkich, nawet gości zakonu.

— Wielki mistrzu, czcigodni goście i wy, bracia. Oto dzisiaj świętujemy zwycięstwo odniesione nad wrogiem, który został rozbity i osłabiony. Nasza Ojczyzna wreszcie może odpocząć, a jej mieszkańcy spać spokojnie. Ale pytam was, bracia, co dalej? Co ma się stać z naszym zakonem podczas pokoju? Czy nasz wielki mistrz jest godzien prowadzić templariuszy w czasie wolnym od wojny? Przecież jest tylko wojownikiem? A może czas na zmiany?

Zapanowała dziwna cisza. Po chwili wstał nieco niezgrabnie i o kuli wielki mistrz. Jego oczy płonęły dziwnym blaskiem, głos miał mocny i uroczysty. Spojrzał prosto w oczy nieco speszonego Paula i rzekł spokojnie:

— Nasz brat ma wielkie zasługi w walce z wrogiem, o czym wiemy wszyscy, ale dlaczego chce doprowadzić do likwidacji naszego zakonu? To pytanie, na jakie musimy

sobie odpowiedzieć, bracia! Jaką mocą dysponuje szatan, że odebrał rozum bratu Antoine'owi? Przecież doskonale wiemy, że tylko w jedności i posłuszeństwie siła, a w odstępstwie i herezji słabość nasza.

— Prawdę mówisz, wielki mistrzu.

Brat Antoine siedział blady jak ściana. Został właśnie oskarżony o herezję i opętanie przez szatana. To była dobrze i starannie obmyślona prowokacja ze strony wielkiego mistrza. Wiedział, że oczyścić z takiego pomówienia może tylko Sąd Boży, dlatego wściekły rycerz zerwał się i uderzył trzykrotnie mieczem o granitowy stół, aż echo odbiło się od sklepień podziemnej sali. Wszyscy zamarli. Wiedzieli, co to oznacza. Oto brat Antoine wyzywał wielkiego mistrza na pojedynek. Ten wstał spokojnie i uderzył mieczem czterokrotnie, dając do zrozumienia, że przyjmuje wyzwanie i wskazuje swojego zastępcę. Był nim rycerz siedzący po jego lewej stronie. Przerażony napastnik ujrzał zadowoloną twarz potężnego brata Gotfryda. Zgodnie z zasadami oraz Regułą walka musiała się odbyć zaraz, na dziedzińcu klasztornym. Teraz przemówił wielki mistrz:

— Bracia, którzy chcą, aby przez ich miecze przemówił Bóg, niechaj włożą zbroje i przygotują hełmy oraz tarcze. Za pół godziny spotykamy się na dziedzińcu.

— Amen.

— Niechaj Sąd Boży przyzna rację zwycięzcy, zaś pokonany niechaj opuści nas na zawsze i zapomni o swoim imieniu.

Bracia, którzy mieli ze sobą walczyć, włożyli pełne kolczugi, na nie białe tuniki z czerwonymi krzyżami, następnie hełmy, a do rąk wzięli tarcze i miecze. Gdy byli gotowi, pokłonili się wielkiemu mistrzowi, który pobłogosławił obydwu, po czym walka rozpoczęła się. Brat Gotfryd nie lekcewał przeciwnika. Był nieco niższy od niego, ale miał równie szerokie ramiona, długie ręce i potężną kwadratową szczękę zwiastującą ogromną siłę fizyczną oraz zawziętość. Podszedł tylko do zdrajcy i szepnął do niego następujące słowa:

— Chciałeś mojej głowy, teraz przyniosłeś swoją.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Nasłałeś na mnie bandytów i jeden wygadał się przed śmiercią.

— Bzdura.

— Wypruję ci za to flaki, masz moje słowo.

— Jesteś w błędzie.

— To się okaże.

Dalszą rozmowę zakłóciło trzykrotne uderzenie mieczy o tarcze pozostałych rycerzy, co oznaczało rozpoczęcie walki. Pierwszy natarł brat Antoine, który do słabeuszy nie należał. Jego miecz starannie uderzał we wroga, ale ten umiejętnie się bronił, operując tarczą. Zaniepokojony Jean stał obok wielkiego mistrza i z przerażeniem obserwował pojedynek, w którym to Paul na razie wydawał się być lepszym. Wiedział, że w przypadku klęski Gotfryda cała ich trójka będzie musiała opuścić zakon. Wielki mistrz postawił



wszystko na jedną kartę i wydawał się być spokojny o wynik walki.

— Wielki mistrzu, nie jest dobrze, przegrywamy — szepnął do przełożonego.

— Spokojnie, bracie Alexandre, miej wiarę w siebie. Sytuacja jest dobra, a nawet idealna.

— Jak to? Gotfryd ledwo dyszy i tylko się broni, a przeciwnik wściekle atakuje.

— I tak ma być, zaufaj mi.

— No nie wiem.

— Jesteś człowiekiem małej wiary.

Tymczasem Gotfryd przyparty do starej kamiennej studni ciągle się bronił. Wreszcie, widać, olbrzymia znudziła ta sytuacja i uderzył z wielką siłą swoim mieczem w tarczę przeciwnika. Drewno obciążone wygarbowaną skórą i blachą pękło z hukiem. Zdumiony brat Antoine odskoczył, a pojedynek przerwano. Jeden z braci podał walczącemu templariuszowi swoją tarczę. Wielki mistrz dał znać ręką i pojedynek rozgorzał na nowo. Tym razem nacierał brat Gotfryd, uderzając tak mocno, że czasami jego przeciwnik kulił się pod zadany ciosem. Wreszcie spotkały się ostrza i bladej jak ściana Paul stracił miecz. Nie mógł sprostać fantastycznej sile przeciwnika. Walka ponownie została przerwana.

— Podnieś, psie!

— Nie obrażaj mnie.

— Podnieś, mówię.

Zdenerwowany brat Antoine podniósł miecz, zrobił znak krzyża i zaatakował przeciwnika. Nadal miał jeszcze siły. Walka rozgrzała na nowo. Wreszcie Gotfryd natarł całą swoją siłą, tarczą uderzył w korpus wroga, przewracając go. Antoine runął na bruk z całą siłą i nie mógł się już podnieść. Zwycięzca zdarł hełm z głowy pokonanego i przyłożył miecz do jego gardła.

— Oszczędź brata, to chrześcijanin — wezwali oglądający pojedynek bracia.

— Ale zdrajca i sam mnie wyzwał.

— Zwyciężyłeś, zatem prawda jest po naszej stronie.

— Co mówi wielki mistrz?!

— Daruj życie nieszczęśnikowi.

— Rozkaz to rozkaz, ale może się jeszcze spotkamy, nieszczęśniku.

— Podnieście brata Antoine'a. Skazany jest na oddanie płaszcza i opuszczenie zakonu.

— Powinien zostać zlikwidowany.

— Milcz, bracie Gotfrydzie, to chrześcijanin!

— Tak jest!

Dwóch braci, którzy spiskowali razem z pokonanym, podniosło swojego przywódcę, który wsparty na mieczu ciężko dyszał, następnie oddał oręż wielkiemu mistrzowi oraz biały płaszcz z czerwonymi krzyżami, spuścił wzrok i odszedł wraz z dwoma wiernymi buntownikami. Tak skończył się rozłam w zakonie templariuszy.

Jean chciał pożegnać przyjaciela, ale powstrzymany został przez wielkiego mistrza.

— To już nie jest nasz brat, nie zasługuje na twą przyjaźń.

— Tak, to prawda... Co dalej?

— Nic. Nie będziemy już werbować nowych rycerzy, czas wycofać się z Francji, nasza misja dobiega końca.

— Jak to?

— Chcesz, byśmy skończyli jak nasi poprzednicy?

— Nie, nigdy.

— Dlatego nie popełnimy tego błędu.

— Rozumiem.

— Wszyscy bracia do kaplicy, musimy uczcić tryumf naszego wielkiego Gotfryda.

Na granitowym stole znowu pojawiły się smakołyki oraz wino, ciepłe i zimne przekąski, a także grzane piwo. Bracia ucztowali przez chwilę w milczeniu, wreszcie zaczęli wychwalać siłę i zręczność Gotfryda:

— Dziękuję wam, bracia, ale jedno wam powiem: mój przeciwnik to był silny mężczyzna, więc tym bardziej cieszę się ze zwycięstwa.

— Chwała tobie. Ocaliłeś nasz zakon.

— Wielki mistrz mi zaufał, więc nie mogłem ani jego, ani was zawieść.

— Amen. Niech żyje nasz brat Gotfryd, pogromca innowierców i zdrajców.

— Dziękuję, bracia, dziękuję. A ja chciałbym wypić zdrowie naszego skromnego brata Alexandre'a, który ostatnio ocalił mi życie. Twoje zdrowie.

Rycerze umilkli i spojrzeli zdumieni na skromnie siedzącego bohatera, nawet sam wielki mistrz wznosił puchar z okrzykiem:

— Zdrowie bohatera!

— Zdrowie.

Uczta przeciągnęła się do wieczora, aż wszyscy rycerze opuścili kaplicę. Wielki mistrz poprosił Jeana o pozostanie w grobowcu, gdyż chciał z nim zamienić kilka słów. Kiedy zostali sami, przywódca klasnął dwukrotnie dłońmi i natychmiast pojawiła się Sarah w asyście kilku młodych kobiet, które szybko, bez podnoszenia wzroku, posprzątały naczynia i resztki z kamiennego stołu. Gdy wyszły, wielki mistrz uruchomił projektor.

— Chcę cię zapoznać z moimi planami.

— Dziękuję za zaufanie.

— Spójrz na mapę. Tutaj jest zaznaczony nasz nowy cel. Poznajesz?

— Tak, to Wyspy Zielonego Przylądka.

— Bardzo dobrze. Leżą tylko czterysta pięćdziesiąt kilometrów na zachód od wybrzeży Afryki. Tam będziemy bezpieczni.

— A co, jeśli jednak zostalibyśmy tutaj?

— Czeka nas proces i długoletnie więzienie. Nikt nam nie pomoże. Biedny Antoine sądził, że może nas ocalić, ale

to bzdura — nasza sprawa nas zabija.

— Mam zostawić tutaj całe swoje życie?

— Niestety tak. Nie masz innego wyjścia.

— Nie tak sobie wyobrażałem nasz koniec.

— Mylisz się przyjacielu, to nie jest nasz koniec.

— Nie rozumiem.

— Teraz zajmiemy się pracą charytatywną na rzecz tego biednego państwa, założymy tam klasztor, zbudujemy szpital, szkołę z internatem, wybudujemy kilka małych fabryk. Pomożemy tym potomkom niewolników, bo jesteśmy przecież szlachetnymi rycerzami naszego Boga.

— Czy będziemy tam bezpieczni?

— Jak najbardziej. Mamy dość złota, aby zapewnić sobie spokój do końca naszych dni.

— Rozumiem, że mam jechać sam?

— Tak, przykro mi.

— Muszę to przemyśleć.

— Dobrze, ale pamiętaj, że mamy mało czasu.

— Ile?

— Dwa dni.

— To straszne... Co wiemy o tych wyspach?

— Rozmawiałem z ich prezydentem. Za kilka sztab złota gwarantuje nam ochronę. Poza tym podaruje nam kawał ziemi pod nasze inwestycje, zapewni robotników i pomoc. Oczywiście, za nasze pieniądze. Cóż, co więcej mogę ci powiedzieć, bracie, o samych wyspach? To archipelag, składa się z dwudziestu sześciu wysp, dzielących się na

dwie grupy. My kupiliśmy ziemię na największej z nich, niedaleko miasta Praia liczącego około stu trzydziestu tysięcy mieszkańców.

— Czy to katolicy?

— Jak najbardziej. Chrześcijanie to około osiemdziesiąt procent całej populacji.

— A język?

— Portugalski. Nie obawiaj się, władam nim biegle, a i ty wraz z innymi braćmi szybko się go nauczysz, zobaczysz.

— Czy to kraj rolniczy?

— Tak, dlatego wybrałem to miejsce. Potrzebujemy spokoju na resztę życia.

— Czy wszyscy nasi bracia już podjęli decyzję?

— Tak, prócz ciebie.

— To znaczy, że oni chcą tam polecieć i zostawić Francję?

— Wszyscy.

— Potrzebuję czasu. Muszę już iść.

— Nie będę cię zatrzymywał.

Jean oddał hołd przywódcy i wyszedł na zewnątrz. Zimny jesienny wiatr i deszcz powoli przywracały mężczyźnie rzeczywistość jego tragicznego położenia. Był banitą i wygnańcem, a nie bohaterem. Usiadł w samochodzie i powoli opuścił stare mury. Długo krążył po okolicy. Postanowił wreszcie, że pojedzie razem z innymi na ten koniec świata, nie mówiąc jednak nic nikomu. Nie chciał, nie miał odwagi, jeszcze nie teraz. Wrócił do domu. Emma

już spała. Pogłaskał psa, wziął prysznic, kilka tabletek na sen i położył się w salonie spać.

Kiedy otworzył oczy, było już południe. Nieco przyćmiony działaniem pastylek nasennych patrzył nieprzytomnym wzrokiem na wielką kudłatą głowę wiernego psa, który stał przy kanapie, wesoło merdając ogonem.

— Ach, to ty, szelmo? Ale jestem nieprzytomny.

— Zapraszam na kawę do kuchni.

— Już, tylko włożę kapcie.

— Spałeś jak zabity.

— Przepraszam, znowu późno wróciłem.

— Nie powinieneś jeździć tak pijany samochodem.

— Przesadzasz. Piłem tylko wino, dwie lampki.

— To i tak za dużo.

— Więcej się to nie powtórzy.

— Obiecujesz?

— Tak, masz moje słowo.

Jean w milczeniu wypił filiżankę mocnej kawy, wstał, podszedł do lodówki i wyciągnął z jej wnętrza duże opakowanie lodów owocowych.

— Co robisz, skarbie?

— Nic, mam ochotę na lody. Pies też uwielbia zimne smakołyki. Zaraz sama zobaczysz.

— Dobrze się czujesz?

— Ja? Wyśmienicie.

— Wiesz, że mamy dzisiaj gości? Przyjadą za dwie godziny.

— Tak, pamiętam. Pomogę ci przygotować obiad, tylko wezmę prysznic i się ogolę, ale wcześniej zjem loda waniliowego z posypką.

— Zwariowałeś?

— Możliwe.

Emma jako dobra gospodyni przygotowała świetny obiad. Marie z Thomasem przyjechali punktualnie, przywożąc ze sobą duży tort w prezencie dla gospodarzy. Wszyscy zasiedli przy stole w salonie. Zaczęły się wesołe i beztrudne rozmowy zakrapiane szampanem, który tak lubiła pani domu. Oczywiście do zabawy przyłączył się pies, zjadając przysmaki od wszystkich uczestników biesiady. Nagle Thomas zmienił temat, mówiąc:

— Dzisiaj rano padł ostatni bastion Państwa Islamskiego. Koniec z tymi diabłami.

— Jesteś pewien?

— Tak, absolutnie pewien. We Francji również aresztowano ponad tysiąc osób powiązanych z terrorystami. To samo miało miejsce w Niemczech, Szwecji, Belgii, Austrii, a także w Pakistanie i Afganistanie.

— Bardzo dobrze.

— Ktoś wykonał kawał dobrej roboty.

— Co masz na myśli?

— Podawali w telewizji, że jakaś grupa specjalna zdobyła wszelkie dane tych bandytów i dzięki temu udało się tak łatwo pokonać islamistów.

— To bardzo możliwe.



— Powinni jakoś wynagrodzić tych ludzi, bo to bohaterowie, ocalili Europę.

— Pewnie masz rację, ale za kilka tygodni nikt nie będzie o tym pamiętał.

— Jak to?

— Życie będzie płynąć dalej spokojnym rytmem.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi?

— Jesteś jeszcze bardzo młody, Thomasie, ale kiedyś to zrozumiesz.

— Co takiego?

— Co to jest idea. Nawet najdoskonalsza zawsze przegrywa z rzeczywistością. Zapamiętaj sobie to do końca życia.

— Pewnie ma pan rację, ale warto mieć jakieś przekonania.

— Tak, oczywiście, ale trudno w nie wierzyć i z nimi żyć.

— Nie wiedziałem, że ma pan ciągoty do filozofii.

— Ja też nie.

— Porozmawiajmy o czymś przyjemnym. Fajnego masz psa, tato. Gdy go ostatnio widzieliśmy, to był taki słodki szczeniak, a tu proszę, jaki piękny pies z niego wyrósł.

— Wiem o tym. Czasami wydaje mi się, że jest mądrzejszy i szczęśliwszy od nas wszystkich tutaj obecnych.

Te słowa wywołały ogólne rozbawienie w salonie. Wszyscy, poza Jeanem, potraktowali to zdanie jako żart, ale

sam bohater patrzył ze smutkiem na świat, który miał dla niego umrzeć.

Jean pojechał do kwatery wielkiego mistrza następnego dnia. Mężczyznę zaskoczył widok pięciu ogromnych ciężarówek, na które robotnicy ładowali rzędy dużych, starannie wymalowanych na zielono skrzyń z logiem zakonu templariuszy. Po chwili podszedł do zdumionego mężczyzny Gotfryd trzymający w dłoni jakieś papiery.

— Witaj, bracie. Co się tutaj dzieje?

— Nic. Pakujemy się. Czeka na nas w porcie wynajęty statek. Musimy tam zawieźć cały nasz majątek.

— To jednak prawda?

— A co ty myślałeś? Od przyszłego tygodnia zaczną na nas polować.

— Kto?

— Policja, służby specjalne, wywiad, musimy wiać.

— A brat Antoine?

— Sam dokonał wyboru. Pójdzie siedzieć, on i inni zdrajcy. Ja tam bym się nim nie przejmował, bo on bez wahania zlikwidowałby ciebie, gdybyś tylko stanął na drodze jego chorych ambicji.

— Nie sądzę.

— Dwa razy ochrona uratowała ci życie. Raz to była robota twojego kumpla. Nie wiedziałeś? Nikt tak pięknie nie zdradza jak przyjaciel. To stara prawda.

— Jesteś pewien?

— Na sto procent. Przepraszam, ale muszę pokierować załadunkiem broni.

— Gdzie wielki mistrz?

— Modli się w kaplicy.

— Muszę się z nim zobaczyć.

— Idź. Dla ciebie zawsze znajdzie chwilę czasu.

Templariusz znalazł swego przywódcę stojącego w skupieniu przy granitowym stole i z uwagą oglądającego papierową makietę przedstawiającą nowy klasztor mający powstać na Wyspach Zielonego Przylądka. Jean nieśmiało podszedł do kamiennego stołu.

— To ty, bracie Alexandre?

— Tak, to ja.

— Podejź bliżej. Spodziewałem się ciebie. Jaką podjąłeś decyzję?

— Jedyną słuszną.

— Rozumiem i cieszy mnie to.

— Mam jednak kilka pytań.

— Pytaj.

— Czy będziemy zakonem zamkniętym? Cokolwiek to znaczy?

— Nie, nie jesteśmy zakonem kościelnym, tylko rycerskim i... nowoczesnym. Możesz mieć nawet żonę i dzieci. To w niczym nam nie przeszkadza.

— Rozumiem. Czy to znaczy, że będzie mogła mnie odwiedzać moja kobieta z rodziną?

— Jak najbardziej, nawet z psem.

— To dobrze.

— Spójrz na mój projekt. Tutaj będzie stał klasztor. Pod nim, w podziemiach, powstanie kaplica, dalej budynek administracyjny, hotel, sierociniec, budynki gospodarcze, garaże, szkoła, biblioteka, ogrody i farma warzyw oraz owoców.

— Miejsce idealne do życia.

— Tak, to prawda. Taki mam przynajmniej projekt. Całość otoczmy trzymetrowym murem z basztami i blankami, by przypominał twierdzę.

— A kim wypełnimy tę twierdzę? Jest nas mało i do pracy, i do kontynuowania dzieła.

— Otwórz komputer... stoi tam z boku... kliknij na plik „nowicjat”.

— Gotowe.

— I co widzisz?

— Setki chętnych z całego świata. Ale skąd oni się o nas dowiedzieli?

— Z naszej strony internetowej. Istnieje od wczoraj. Zapomniałem ci powiedzieć. Na razie potrzebujemy pięćdziesięciu chętnych do pracy, więc wybierzemy samych specjalistów. Przylecą na własny koszt.

— Czy oni wiedzą, czym się zajmujemy?

— Od teraz? Tylko działalnością charytatywną.

— Dziwne... Jakim cudem tyle osób? To niemożliwe.

— Uwiodła ich legenda naszego zakonu, a może chcą po prostu czynić dobro, którego ciągle nam brakuje?

— Kim jesteś, wielki mistrzu?

— Ciągłe cię męczy to pytanie?

— Tak, przepraszam. Wiem, że jestem wścibskim człowiekiem i do tego małej wiary.

— Twoja skromność zawsze mi imponowała, a odpowiadając na twoje pytanie, to jestem tylko filozofem, czasami udającym kogoś innego. Chcę stworzyć zakon dobrych ludzi, nic więcej.

— Dziwne.

— Ale prawdziwe. Idź do domu, bracie i spakuj się. W nocy wyjeżdżamy. Twoi bliscy wkrótce cię odwiedzą. Nie mów im na razie prawdy, powiedz tylko, że to delegacja.

— Rozumiem.

— Niechaj Bóg cię prowadzi.

— Amen.

Jean powiedział Emmie, że wyjeżdża tylko na tydzień. Specjalnie nie zabrał większości swoich rzeczy, tylko kilka zmian bielizny, dwa garnitury templariuszy, komputer, dwa telefony, trochę gotówki i osobiste drobiazgi, w tym kilka książek. Mężczyzna długo drapał i czochrał psa, pobiegał ze szczęśliwym owczarkiem po ogrodzie. W końcu cicho opuścił dom. Ciężko westchnął, włączył silnik i pomknął szybko w kierunku klasztoru, gdzie zastał wszystkich braci wraz z wielkim mistrzem. Jego samochód miał popłynąć statkiem wraz z innymi pojazdami do ich nowego domu.

Przywódca templariuszy ucałował mury starego klasztoru. To samo uczynili inni bracia. Po chwili wszyscy

usiedli wraz z bagażami w niewielkim autokarze, którym kierował Gotfryd. Jechali w milczeniu przez kilka godzin, aż nagle zdumieni bracia ujrzeli lotnisko. Na pasie startowym grzały silniki mały prywatny odrzutowiec. Właśnie tą maszyną mieli uciekać na Wyspy Zielonego Przylądka.

— Zajmiecie miejsca w samolocie, ja za chwilę do was dołączę.

— Tak jest.

— Pospieszcie się, mamy mało czasu.

— Rozkaz.

Mężczyźni biegiem udali się do samolotu. Kiedy tylko trzasnęły drzwi, maszyna natychmiast rozpoczęła kołowanie i po chwili odrzutowiec był już w powietrzu, nabierając szybkości.

— Spójrz, bracie Alexandre, na płytę lotniska.

— Co to za ruch? Samochody, ludzie, reflektory...?

— Siły specjalne. Mieli nas aresztować.

— Uciekliśmy w ostatniej chwili.

— Ciągle mamy we Francji wielu przyjaciół i sponsorów i to oni nam pomogli.

— Dzięki Bogu.

— A nasi byli bracia właśnie zostają aresztowani.

— Szkoda ich...

— To był ich wybór. Za niedługo wylądujemy w naszym nowym domu. Uspokój duszę, bracie.

— Czy będziemy tam szczęśliwi?

— To zależy tylko od nas.

— To prawda.

Jean był zmęczony. Zamknął oczy i zapadł w nerwową drzemkę. Kiedy się obudził, niewielki prywatny odrzutowiec właśnie przygotowywał się do lądowania. Była już noc. Wszędzie panowała dziwna cisza. Templariusze wylądowali na terenie wojskowym. Samolot nawet nie wyłączył silników. Zaraz po wysadzeniu pasażerów oraz wydaniu ich bagaży odleciał w stronę Europy. Bracia przez chwilę stali samotnie na płycie lotniska, gdy nagle pojawiła się wojskowa ciężarówka wraz z asystującym jej samochodem terenowym. Pojazdy zatrzymały się tuż przed grupką mężczyzn. Z terenówki wysiadło dwóch ludzi w mundurach. Podeszli do wielkiego mistrza, mówiąc nienagannym francuskim językiem:

— Witajcie, panowie. Tutaj są wasze dokumenty. Od dzisiaj jesteście obywatelami naszego państwa. Oby wam się dobrze mieszkało. Cieszyście się?

— Naturalnie.

— Ciężarówka zawiezie was do hotelu. Rano zaplanowano wasze spotkanie z jednym z ministrów, który pokaże wam waszą ziemię i omówi szczegóły inwestycji.

— Dobrze.

— Witajcie w domu.

— Dziękujemy.

Twarde ławki wojskowego samochodu nie przypominały komfortowych foteli lotniczych. Po godzinie horroru templariusze dotarli wreszcie do całkiem przyzwoitego

hotelu. Mieli pokoje dwuosobowe. Gotfryd miał mieszkać wraz z Jeanem. Wielkolud wszedł do pokoju pierwszy, spojrzał uważnie na ściany, obejrzał łazienkę i syknął:

— Robactwa nie ma. Które chcesz łóżko?

— Przy oknie.

— Dobrze. Chrapiesz?

— Raczej śpię spokojnie i cicho jak mysz.

— Cieszy mnie to. Ja też nie hałasuję. Mam specjalny aparat, jeszcze z Legii, zawsze zakładam na noc to świństwo. Parę razy uratowało mi życie.

— Dobra rzecz.

— To prawda.

— Czym będziesz się zajmował na wyspie?

— Ja? Ja jestem murarzem. Przydam się podczas budowy klasztoru. A ty?

— Nie wiem. Jestem z zawodu elektronikami-informatykiem. Na pewno wielki mistrz przydzielili mi jakieś zajęcie.

— Informatyk? To już pewnie wiesz, co będziesz robił? Masz broń?

— Tylko pistolet i trzy magazynki.

— Wystarczy. Idę pod prysznic. To potrwa kilka minut.

— W porządku.

Jean usiadł na brzegu hotelowego łóżka, wyciągnął pidżamę z torby, przybory toaletowe i książkę o nowym miejscu swojego pobytu. Był zbyt zmęczony, by myśleć o czymkolwiek innym, jak tylko o śnie. Gotfryd wrócił z



łazienki w samych bokserkach. Jean spojrzał z uwagą na potężne mięśnie mężczyzny, a także liczne blizny na całym jego ciele.

— Parę razy oberwałeś...

— No, tak, ale to stare dzieje.

— Nic nie pijesz przed snem?

— Absolutnie nic. Obiecałem wielkiemu mistrzowi, że jak tutaj dolecimy i przeżyjemy, to całkiem rzucę alkohol.

— Godne podziwu.

— Zawsze dotrzymuję słowa.

— Wspaniała cecha i godna zakonu templariuszy.

— Cóż... kilka razy w życiu mocno za to oberwałem, ale to już przeszłość.

— Podoba ci się tutaj?

— Co za pytanie? Moje podobanie mi się lub nie jest całkowicie nieistotne. Przecież jestem najemnikiem, więc lecę tam, gdzie mi zapłacą, to wszystko. Moje życie jest mniej skomplikowane od twojego, idealisto.

— Przesadzasz.

— Chodźmy spać. Jutro czeka nas ciężki dzień.

— Dobry pomysł.

Wyspy Zielonego Przylądka okazały się bardzo gościnne dla nowych mieszkańców. Był to ubogi świat, ale miłych, uśmiechniętych i otwartych dla obcych ludzi. Przez pierwszy dzień templariusze zwiedzali te dziwne wulkaniczne wyspy, zamieszkałe głównie przez mulatów, Murzynów i niewielu białych. Oglądali urokliwe plaże oraz

ogromne baseny licznych tutaj salin, gdzie pozyskiwano sól poprzez odparowanie wody morskiej. Zwiedzili pustynie i góry na pięknej wyspie Santo Antao, gdzie na północy dominowały zielone tereny, a na południu piaski. Widzieli tysiące tarasowych poletek wykorzystujących każdy kawałek ziemi, jaki można było zmusić do produkcji roślin, urokliwe kamienne jasne domki kryte strzechą oraz przydomowe fabryczki produkujące niezły grog z trzciny cukrowej. Bracia zwiedzili również najważniejszy zabytek nowego państwa, czyli świetnie odrestaurowany portugalski Fort Real de San Felipe. W drodze powrotnej do hotelu widzieli również liczne plantacje kawy oraz sporo turystów. Wreszcie zmęczeni powrócili do hotelu na południowy posiłek. Wielki mistrz usiadł obok Jeana. Po krótkiej modlitwie głodni rycerze ochoczo zabrali się za smaczne dania oraz mrożone napoje.

— Wielki mistrzu, czy mogę przeszkodzić?

— Pytaj. Jeśli tylko będę znał odpowiedź, odpowiem.

— Dziękuję. Kiedy zobaczymy nasz kawałek ziemi?

— Wieczorem, jak się trochę ochłodzi i jak odpoczniecie.

Wszyscy wyglądacie kiepsko, a i ja pewnie nie lepiej. Ledwo trzymam się na nogach.

— Z czego ci ludzie żyją?

— Częściowo z rybołówstwa, częściowo z zagranicznej pomocy krewnych rozsianych w Europie Zachodniej, z rolnictwa, no i z wyrobu grogu.

— Jak my im pomożemy?

— Zobaczysz, a na razie się tym nie martw. Jedz, pij i odpoczywaj. Macie trzy godziny wolnego.

— Dobrze.

Jean wrócił do pokoju, gdzie zastał Gotfryda leżącego jak kłoda na podłodze. Na widok przyjaciela nawet się nie poruszył, na co zareagował Jean:

— Wszystko w porządku?

— Tak. Mam uraz kręgosłupa, pozostałość z młodości, a dziś za dużo siedziałem — albo autobus, albo śmigłowiec — dlatego leżę na podłodze, bo wtedy mniej boli.

— Rozumiem.

— Nie przejmuj się.

— W porządku. Cóż, w życiu różnie bywa.

— Wieczorem mamy zwiedzać nasze piachy.

— Dlaczego tak mówisz?

— A widziałeś te tereny? Jeśli cokolwiek się dało, to już zamieniono tu tereny w pola uprawne, ale jeśli się czegoś nie dało, to znaczy, że pustynia.

— Pewnie masz rację.

— Wydamy całe ruskie złoto na wywiercenie studni.

— Przesadzasz.

— No, możliwe, że tak. Jutro przyleci pięćdziesięciu przyszłych templariuszy, a ty będziesz ich weryfikował.

— Co takiego?

— Rozmawiałeś z wielkim mistrzem przy obiedzie, sądziłem, że cię poinformował.

— Nie. Kazał tylko odpoczywać.

— Tego się można było spodziewać, wszystko w ostatniej chwili.

— Dlaczego ja?

— Ponieważ jesteś jego zastępcą.

— Co? Znowu jakaś niespodzianka.

— Przepraszam. Nic już więcej nie mówię. Idę spać.

Potężny mężczyzna odwrócił głowę i natychmiast zasnął na podłodze. Jean wziął szybki, relaksujący prysznic, potem przez kwadrans czytał książkę, aż wreszcie zamknął oczy i szybko znalazł się w objęciach Morfeusza. Przespał trzy godziny. Obudził go ruch obok. To Gotfryd pierwszy zerwał się z podłogi i błyskawicznie ubierał militarne ciuchy — innych zresztą nigdy nie nosił. Gdy zobaczył, że Jean otworzył oczy, powiedział szybko:

— Wstawaj, bracie, bo ci gamonie gotowi o nas zapomnieć.

— Padłem trupem.

— To normalne. Chwilę trzeba tutaj pomieszkać, aby się przyzwycząić do klimatu.

— Możliwe. To co, idziemy?

— Zaczekaj, wezmę kilka butelek wody do plecaka, bo kto wie, kiedy wrócimy.

— Dobry pomysł.

Wielki mistrz kupił używany mikrobus. Nie był zbyt piękny, ale miał sprawną klimatyzację, co wszystkich ucieszyło. Z uśmiechem przywitał spóźnionych braci:

— Siadajcie. Bez was i tak byśmy nie pojechali.

— A to dlaczego?

— Ponieważ brat Gotfryd jest kierowcą.

— Ooo... następnym razem nie będę się zatem tak spieszył.

— Usiądź tutaj, obok mnie, bracie Alexandre. Mam do pomówienia z tobą podczas podróży.

— Dobrze.

Potężny templariusz usiadł za kierownicą starego pojazdu, zapomniał o całym świecie i zaklął siarczyście. Po chwili przeprosił i ruszył ostro przed siebie z pytaniem na ustach:

— Dokąd jedziemy, wielki mistrzu?

— Trzydzieści kilometrów prosto główną drogą.

— Tak jest.

Przywódca przez chwilę obserwował krajobraz zza przyciemnionej szyby mikrobusu, aż wreszcie rzekł, jakby sam do siebie:

— Jutro zaczynamy.

— Słyszałem, że mam jakąś ważną misję?

— Gotfryd za bardzo cię lubi i dużo rzeczy wygaduje.

— Znasz naszego brata lepiej ode mnie, wielki mistrzu.

— Tak, zapewne tak.

— No, to co mam robić?

— Ach tak, przepraszam, mam dużo na głowie. Miałem problem z geodetami, a tutaj czas płynie wolno, dużo wolniej niż w Europie. Trzeba to zrozumieć i powiedzmy, polubić. To jest zarówno wada, jak i zaleta. Jak wiesz, jutro

przybywa pierwsza partia kandydatów. Będziesz miał za zadanie z tej pięćdziesiątki wybrać dziesięciu zdrowych, młodych mężczyzn. Reszta niechaj wraca do domu.

— Tylko dziesięciu?

— Sam zobaczysz. Wieczorem dostaniesz komputer z informacjami i przejrzysz z grubsza kandydatów na rycerzy. Pamiętaj, musisz być surowy, tak jak mówi Reguła.

— Postaram się.

— Wierzę w ciebie, bracie Alexandre. Dostaniesz wykaz zawodów, które nas interesują.

— Zrozumiałem.

Po prawie dwóch godzinach jazdy templariusze dojechali na miejsce. Gotfryd miał rację, przed nimi rozciągał się nieco zaniedbany teren, ale nie był pustynią, raczej pustkowiem. Tutaj miała powstać nowa forteca wraz z domem dla braci i klasztorem. Zdumieni rycerze przez chwilę stali bez słowa. Wreszcie powoli zaczęli szeptać o trudnych warunkach życia w tym rejonie. Wielki mistrz, kulejąc, zagroził drogę swoim owieczkom i rzekł mocnym głosem:

— Nie narzekajcie, ludzie małej wiary! Ziemia nie jest taka zła, a poza tym mamy całkiem blisko do oceanu. Droga już jest, a za kilka dni dokonany zostanie odwiert studni. Módlmy się o łaskę Boga, aby sprawnie i szybko postawić klasztor.

— Amen.

— Teraz możecie się rozejść. Za godzinę wracamy do hotelu.

— Tak jest!

Jean usiadł na sporym, płaskim kamieniu i w milczeniu przesiewał suchą ziemię przez palce. Był sam, patrzył gdzieś w dal i zastanawiał się, w jaki sposób spędzi tutaj resztę życia. Wprawdzie planował zadzwonić do Emmy i Marie, by zaprosić ich na tę wyspę, ale na pewno one nie zechcą tutaj zamieszkać. Nagle usłyszał jakiś ruch za plecami. Wielki mistrza stanął za nim i powiedział:

— Wiem, że masz wątpliwości, jak na pewno każdy z nas tutaj obecnych. Jestem jednak przekonany, że nie będzie tak źle. Istnieje oczywiście możliwość rezygnacji, tylko co dalej? Wieczna tułaczka. Uważam, że warto spróbować.

— To mój nowy dom. Jest tu trochę obco i straszno.

— Wiem, ale kiedy wybudujemy klasztor, to sam się przekonasz, że to dobre miejsce.

— Na razie jedyne co tutaj jest, to suchy piach i kamienie.

— Musimy jakoś zapłacić za nasze grzechy.

— To prawda.

— Można się przysiąc?

— Jak najbardziej.

Wielki mistrz z trudem usiadł na małym, drewnianym składanym krzeselku, ciężko westchnął i zapatrzył się, podobnie jak Jean, w linię horyzontu:

— Najtrudniej znieść samotność.

— A Sarah?

— Przyleci tutaj za kilka dni. Musi jeszcze przetransferować nam trochę gotówki i pokończyć pewne administracyjne sprawy.

— To dobrze.

— Lubisz ją, prawda?

— Tak. Jest dobrym lekarzem, zawsze pomocna, no i... to piękna kobieta.

— I zna wszelkie tutejsze dialekty.

— Ooo... a tego bym nawet nie przypuszczał.

— A jednak. To ona zaproponowała to miejsce. Przez kilka lat była tutaj wolontariuszką i świetnie zna te wyspy, ludzi, zwyczaje.

— To bardzo ważne. Kim ona jest dla wielkiego mistrza?

— Dobrze pytanie, ale rzecz jest błaha. To moja młodsza siostra.

— Proszę?

— No tak, zwyczajnie.

— I jest templariuszem?

— Jak najbardziej. Jutro mężczyzn, a pojutrze będziesz wybierał kobiety do naszego zakonu. Są nam bardzo potrzebne.

— Rozumiem.

— Nigdy nie zostaną rycerzami, ale mogą być siostrami służebnymi.

— Co my tak naprawdę tutaj budujemy, wielki mistrzu?



— Nasze nowe życie jako sposób na ucieczkę od wszelkiego zła tego świata.

— Obawiam się, że możemy przekształcić się w jakiś odłam sekty.

— Nie, to się nigdy nie stanie. To akurat gwarantuję. Jesteśmy wolnymi ludźmi i nie pozwolę na rozwinięcie się bezmyślnego kultu jakiegoś nędznego bożka.

— Czy ty, wielki mistrzu, jesteś prawdziwym księdzem?

— A jak ty uważasz?

— Uważam, że nim nie jesteś.

— To prawda. Ale byłem nim dawno temu, przez dwanaście lat. Odszedłem, bo za mało było w moim kościele Boga, a zbyt dużo zła.

— Rozumiem.

— Nie pytaj mnie więcej o rzeczy osobiste. To nasza ostatnia rozmowa na ten temat.

— Tak jest.

— I... rzecz jasna zapomnij o tym, co tutaj usłyszałeś.

Nowy dzień zaczął się dla Jeana dosyć dziwnie i nietypowo. Oto został sam w wynajętej konferencyjnej sali hotelowej, w której po jakimś czasie zaczęli się zjawiać ludzie z całego świata, mówiący różnymi językami. Na szczęście wielki mistrz znalazł na wyspie dobrego lingwistę, który bardzo pomógł w pracy samotnemu templariuszowi. W pierwszej kolejności zakon potrzebował fachowców budowlanych, czyli murarzy, cieśli, kamieniarzy, elektryków, hydraulików, malarzy, stolarzy oraz brukarzy. Poza tym

niezbędni byli też tłumacze. Z tłumku zainteresowanych po kilku godzinach żmudnych przesłuchań Jean wyłowił tylko siedmiu ludzi. Byli to dwaj Amerykanie, jeden Australijczyk, Polak, Rosjanin, Francuz oraz Kanadyjczyk. Reszta według surowych ocen rycerza nie nadawała się do niczego pożytecznego. Wielki mistrz przybył po południu. Chciał osobiście poznać nowych kandydatów na rycerzy. Najpierw przywódca odwiedził w pokoju zatroskanego Jeana.

— Witaj, bracie. Kiepsko wyglądasz.

— Jestem wykończony.

— Ilu ludzi udało ci się wyłowić?

— Siedmiu.

— To i tak dobrze. Spodziewałem się co najwyżej trzech lub czterech. Mogę obejrzeć ich dokumenty?

— Proszę bardzo.

— Sprawdzę, czy nie są poszukiwani przez policję. To chwilę potrwa. Co teraz robią?

— Zgodnie z instrukcją dostali pokoje i odpoczywają. Za godzinę jest obiad. A jak tam idzie praca na budowie?

— Nieźle. Jutro będziemy mieć wodę. Dzisiaj kopujemy fundamenty oraz sieć piwnic i podziemnych przejść.

— Pewnie będą nam potrzebne.

— O tak. Nasi przodkowie wiedzieli, co robić. Czasy są zawsze niepewne.

Wielki mistrz przez kilkanaście minut sprawdzał dane kandydatów. Po dłuższej chwili wreszcie stwierdził, że są czysti. Wstał i udał się razem z Jeanem na spotkanie

przyszłych rycerzy. Uważnie przyglądał się każdemu mężczyźnie. Wszyscy kandydaci musieli znać podstawowy angielski lub francuski. Byli młodzi, wysportowani, a niektórzy mieli za sobą służbę w wojsku — ci byli najcenniejsi z uwagi na militarny charakter zakonu. Z każdym mężczyzną przywódca zamienił kilka słów, a jego umiejętność porozumiewania się biegle kilkoma językami ułatwiła mu to zadanie. Zadowolony zaprowadził całą grupkę na stołówkę mieszczącą się w podziemiach wynajętego hotelu.

— Jestem z ciebie zadowolony. To dobrzy kandydaci.

— Dziękuję. Staralem się. Jutro pójdą do pracy?

— Tak. W nocy przylatuje Sarah. Od rana oboje będziecie znowu przesiewać kandydatów. Przybędzie pięćdziesiąt kobiet i tyle samo mężczyzn.

— Ile osób musimy przyjąć?

— Dziesięć kobiet i trzynastu mężczyzn. Wiesz kogo szukamy?

— Tak, wiem.

— Sarah zajmie się kobietami.

— Rozumiem.

Podano obiad. Wielki mistrz zmówił krótką modlitwę, pobłogosławił pokarm i po chwili milczenia zaczął jeść, uważnie obserwując kandydatów na templariuszy.

— Ciekawe, jak zniosą tutejszy klimat.

— Poradzą sobie, nie mają innego wyjścia, to silni ludzie, wierzę w nich.

— Skąd bierze się fenomen naszego zakonu?

— Ludzie szukają czegoś innego, nowego, lepszego, mamy wysoki poziom życia, a w ludzkich duszach jest niezwykle wysoki poziom pustki, zatem legenda templariuszy rozpalona przez romantyków żyje i — jak widzisz — ma się dobrze. Przez lata obrosła mitami i legendami, ale jeśli się ją obedrze z tego wszystkiego, pozostaje nam zwykła dobrze zorganizowana i zarządzana formacja grupy wierzących w Boga. Nic więcej.

— Ale nam nie zależy na likwidacji tej otoczki, prawda?

— Oczywiście, że nie. Ta wyspa to nasze nowe centrum, stworzymy małą, dobrze zorganizowaną armię najemną i będziemy dalej walczyć w imię Boże tyle tylko, że nie w Europie, lecz tutaj na Czarnym Łądzie.

— Sprytnie pomyślane.

— Czeka nas wiele pracy, ale poradzimy sobie.

— Bóg nam pomoże.

— O tak, należy wierzyć i nie dać się wyrzucić z tego toku myślenia.

— Co mam robić po południu?

— Zajmiesz się naszym narybkiem, zapoznasz ich z naszą historią, zwyczajami i przekażesz chłopakom trochę informacji o naszej nowej Ojczyźnie.

— Tak jest.

— O dziewiętnastej mają być wolni. Muszą odpocząć, bo jutro przyjeżdża materiał budowlany, a czeka nas ciężka

fizyczna praca. Dla niejednego to będzie nie lada sprawdzian.

— A kiedy ja włączę się w prace budowlane?

— Wkrótce. Wszystko w swoim czasie.

Wielki mistrz spuścił wzrok, co oznaczało koniec rozmowy. W ciszy dokończył posiłek, po czym wstał i pomodlił się głośno, podał rękę Jeanowi, wyszedł na zewnątrz hotelu, wsiadł do starej, odkrytej terenówki i ruszył w stronę budowy.

Tymczasem Jean zebrał grupkę mężczyzn w jednym, dużym pokoju i zaczął wykłady z historii templariuszy. Początkowo kandydaci milczeli, nieco speszeni dziwnym, popielatym strojem rycerza, ale później zaczęli zadawać pytania, niektóre trudne, a inne niedorzeczne. Wreszcie, każdy z nich otrzymał obszerną broszurę w języku angielskim, z którą miał się zapoznać i znać na pamięć. W pewnej chwili kandydat z Australii zadał pytanie:

— Czy możemy mieć żony i dzieci?

— Tak, ale tylko w związkach nieformalnych.

— Dlaczego?

— Oczywiście mówimy o rycerzach, bo ta sprawa dotyczy tylko rycerzy. Bracia służebni mają prawo do oficjalnych rodzin.

— Nie rozumiem. Przecież życie w wolnym związku mężczyzny i kobiety to grzech śmiertelny.

— Owszem tak, ale to jest prawo kościelne, a my nie podlegamy papieżowi.

— Jak to? Dlaczego?

— Nie jesteśmy tym zakonem ani tymi templariuszami z trzynastego wieku. Nasz zakon jest organizacją prywatną. Oficjalnie zajmujemy się pracą charytatywną, pomocą na rzecz najbiedniejszych obywateli tego państwa. A ty dlaczego chcesz zostać templariuszem? Chyba nie dla rodziny i dzieci?

— Nie.

— Jaki jest więc twój cel? Sprecyzuj go.

— Walka z islamem.

— Tego w naszym zakonie ci nie zabraknie. Najpierw jednak musisz się nauczyć dyscypliny, porządku, posłuszeństwa, ciężkiej pracy i przejść profesjonalne szkolenie wojskowe i to takie samo, jak w przypadku żołnierzy służb specjalnych.

— Rozumiem.

— Kiedy się wykażesz siłą, odwagą i profesjonalizmem w walce, zostaniesz rycerzem.

— Ile to potrwa?

— To zależy tylko i wyłącznie od ciebie.

Chłopak umilkł. Jean streścił jeszcze kilka reguł nowych templariuszy i ogłosił czas wolny. Uparty Australijczyk jednak nie zrezygnował, podszedł do zmęczonego templariusza i nieco speszony zadał kolejne pytanie:

— Ilu pan zabił wrogów?

— Dlaczego o to pytasz?

— Chyba po to istnieje nasz zakon?

— I tu się mylisz. Mamy nieść posłanie miłości i współczucia dla zła tego świata.

— Ma pan sporo blizn, dlatego zapytałem.

— Kim ty właściwie jesteś?

— Elektrykiem i nigdy nie miałem prawdziwej rodziny, wychował mnie dom dziecka i rodzina zastępcza.

— Rozumiem. Tutaj chcesz odnaleźć utraconą miłość i dzieciństwo?

— Możliwe... sam nie wiem.

— Na pewno polubisz nasz zakon, a teraz idź odpoczywać, kolacja za pół godziny.

— Przepraszam za te moje natrętne pytania.

— To zrozumiałe, że kiedy znajdujemy się w nowym miejscu i otoczeniu, chcemy się dowiedzieć o nim jak najwięcej.

Jean odprowadził wzorkiem młodzieńca. Był opalony, miał piegowatą twarz i jasne, niebieskie oczy. Nie wyglądał na siłacza, ale był szybki i zdecydowany. Nadawał się na żołnierza, bo tacy byli najtwardsi i odporni na trudy walki. Mężczyzna wrócił do pokoju, przebrał się w normalne, letnie ubranie, wypił dwie szklanki soku pomarańczowego i zszedł na dół do stołówki, w której zastał walczących ze sobą małego Australijczyka z olbrzymim Amerykaninem, typowym mieszkańcem południowych stanów. Zaskoczony Jean przez chwilę obserwował walkę, po czym wkroczył do akcji. Po chwili obaj mężczyźni leżeli na podłodze, ciężko

dyszając, zaskoczeni szybkością i profesjonalizmem ich opiekuna.

— Wstawać! O co poszło?

— Różnica zdań... To wszystko.

— Dzisiaj jest pierwszy dzień, więc wam daruję, ale jeszcze jeden taki numer i wylądujecie w samolocie w drodze powrotnej do domu, rozumiano?

— Tak.

— Nie „tak”. Odpowiadajcie jak żołnierze.

— Tak jest!

— No właśnie, tak lepiej.

— Jak pan nas tak szybko załatwił?

— Wszystko w swoim czasie. Jeśli dacie radę zostać dłużej w zakonie, to nauczycie się.

— Tak jest!

— A teraz jeść i siedzieć cicho!

Kolejny dzień przyniósł nowe wyzwania. Jean i Sarah siedzieli przy stoliku obok siebie i przesłuchiwali kandydatki na siostry służebne dla nowych templariuszy. Scenariusz dnia był podobny do poprzedniego ze szczegółową weryfikacją. Tym razem nie był potrzebny tłumacz, bo dziewczyna знаła biegle kilka podstawowych języków, w tym nawet rosyjski. Okazało się, że z kobietami poszło szybko i łatwo. Po południu dziesięć młodych, silnych, a nawet urodziwych dziewcząt zostało wytypowanych do służby w zakonie. Po obiedzie należało



wyłowić jeszcze trzynastu mężczyzn z oczekujących pięćdziesięciu.

— Pomożesz mi Sarah?

— Chętnie.

— Jestem wyczerpany. Od wczoraj męczy mnie ten nabór.

— Rozumiem. A jak znosisz rozstanie ze starym krajem?

— Tak naprawdę to nawet nie mam czasu o tym pomyśleć, ciągle praca i obowiązki. To chyba najlepsze antidotum na tęsknotę.

— Tak, to prawda. Przepraszam, muszę się zająć kobietami. Spotkamy się na obiedzie.

— Raz jeszcze dziękuję.

Jean wrócił do swojego pokoju, spojrzał na idealnie pościelone łóżko Gotfryda oraz ogromny zapas wody pitnej i soków spoczywający obok stolika kolegi. Wziął do rąk zimną colę z niewielkiej lodówki i wypił brązowy słodki płyn jednym haustem. Postanowił przez godzinę poleżeć w łóżku. Na wszelki wypadek nastawił budzik w naręcznym zegarku. Kiedy zamknął oczy, natychmiast zasnął. Był zbyt zmęczony na spokojny sen, w którym widział przerażające kule ognia, pożary i wybuchy, setki trupów oraz morze krwi. Na szczęście z tej ponurej apokalipsy wyrwało mężczyznę przeraźliwie ostre wycie elektronicznego zegarka. Jean podskoczył, poszedł do łazienki, umył twarz w zimnej wodzie, spojrzał na swoje nędzne odbicie w lustrze i pobiegł do stołówki, gdzie zastał czekającą na niego Sarah.

— Odpocząłeś?

— Zdrzemnąłem się, ale męczył mnie koszmarne sen, krótki, ale wyraźny i straszny, istna apokalipsa.

— Musisz porządnie się wyspać. Wtedy to minie.

— Możliwe, ale na razie brak mi na to czasu.

— Wszystko się ułoży. Twój organizm musi się zaaklimatyzować do tutejszych warunków. Spójrz, posiłek wygląda nieźle. Smacznego.

— Dziękuję, owszem, nieźle wygląda to jedzenie. A ty jak znosisz tę ciężką pracę? Wyglądasz świeżo i zdrowo.

— Czy ja wiem? Prawdopodobnie to przyzwyczajenie.

— Niesamowite.

Po posiłku w hotelowej auli rozpoczął się ponowny nabór ochotników do zakonu. Po sześciu godzinach udało się wreszcie wytypować trzynastu zdrowych, nieźle wykształconych i sprawnych mężczyzn, którzy natychmiast dołączyli do pozostałej siódemki. Jean znowu przeprowadził szkolenie ideologiczne i historyczne oraz zapowiedział pobudkę o godzinie szóstej rano dnia następnego. Nie zjadł nawet kolacji, lecz po krótkim spotkaniu pobiegł do swojego pokoju, by wziąć szybki prysznic i położyć się na wąskim łóżku. Po chwili do pokoju wszedł Gotfryd, cały brudny i zakurzony.

— Jak się masz, bracie?

— Kiepsko. A ty?

— Jest nieźle. Wylaliśmy masę betonu i mamy wreszcie wodę. Ależ jest cholerny upał. Zwariować można. Masz tych

ludzi na jutro?

— Tak.

— Ilu? Potrzebujemy każdej pary rąk.

— Dwudziestu młodych, silnych pracowników i dziesięć kobiet.

— Ooo... będą i sikorki.

— Niektóre nawet niezłe.

— Masz coś dla mnie?

— A co cię konkretnie interesuje?

— No wiesz, jakaś taka ładna, silna, wysportowana, twarda baba z jajami.

— Takiej to raczej nie znajdziesz. To stuprocentowe kobiety.

Gotfryd spojrział uważnie na przyjaciela i po chwili roześmiał się głośno i głęboko niczym podpity nosorożec.

— Źle się wyraziłem, ale przecież wiesz doskonale, o co chodzi.

— Wiem. Jest taka jedna... czarna i piękna Słowianka, chyba Rosjanka czy coś takiego. Służyła w siłach specjalnych i jest zabójczą pięknnością.

— Serio?

— Serio, serio. Jest w sam raz dla ciebie. Wygląda na zawodową morderczynię.

— Hmm... interesujące. Jak ją rozpoznać?

— Ma charakterystyczne tatuaże na rękach. Zresztą... szukaj najładniejszej. Na pewno szybko ją znajdziesz. Ma na imię Tamara.

— Zobaczymy... zobaczymy... Idę się wykąpać. Jest tutaj jakaś pralka?

— Tak, na końcu korytarza w lewo, tam znajdziesz wszystko.

— Jesteś w porządku stary. Serio.

— Dzięki.

Ranek był jak zwykle suchy i gorący. Jean przeliczył dwudziestu ochotników, oznajmiając im, że cieszy się, iż nikt w nocy nie zdezerterował. Wszyscy zostali zapakowani do starego autobusu i odwiezieni na teren budowy. Kobietami zajęła się Sarah kierująca starym minibusem.

Plac budowy wyglądał jak po bombardowaniu lotniczym. Wszędzie widać było zwały brązowej ziemi wymieszanej z kamieniami, a potężna koparka bez przerwy wydobywała masy wulkanicznej gleby. Inna maszyna wyposażona w wielki, stalowy bęben przesiewała kamienie i tworzyła z nich ogromne sterty. Odzyskany tłuczeń był cennym materiałem budowlanym. Na miejscu budowy postawiono kilka prowizorycznych namiotów i baraków. Dzięki kilku ogromnym generatorom budowa miała prąd i wodę. Były też i miejsca noclegowe. Nowi rekruci zostali podzieleni na trzyosobowe zespoły, które sprawnie wykonywały pracę. Nadzór Gotfryda był wskazany, bo kandydaci pracowali wtedy bez zbędnych dyskusji i narzekań. Kobiety zajęły się kuchnią oraz utrzymaniem porządku w namiotach i barakach.

Wielki mistrz stał nad głębokim wykopem i nadzorował układanie zbrojenia w fundamentach kościoła. Na widok Jeana uśmiechnął się i podszedł do nieco speszonego brata.

— Witaj, dobrze się spisałeś, praca od razu ruszyła do przodu.

— Dziękuję. Sarah mi pomogła. Jest w tym dobra, zna się na ludziach.

— Skończyła psychologię.

— To widać.

— Dobry żart. Znasz się na budownictwie?

— Nieszczególnie. Brak mi doświadczenia.

— Nie szkodzi. Tutaj są elektroniczne przyrządy satelitarne. Będziesz nadzorował poprawności wymiarów. Instrukcja jest w naszym języku, więc powinieneś sobie poradzić.

— Sądzę, że tak.

— Dobrze. Dane na bieżąco podawaj Gotfrydowi.

— Rozumiem.

— Spotkamy się na obiedzie w tamtym odsłoniętym baraku. Nasz pierwszy posiłek w naszej nowej siedzibie.

— Ooo... to już nie potrzebujemy hotelu?

— Strata czasu.

Jean szybko zapoznał się z nowoczesnym elektronicznym sprzętem, dzięki któremu można było idealnie wytyczyć wymiary wszelkich budynków oraz murów i parkingów.

Wreszcie przyszła pora na obiad i godzinny odpoczynek. Wszyscy budowniczy nowej siedziby templariuszy

ubrani byli w jednakowe robocze ubrania, buty oraz czapki i rękawice. Kobiety i mężczyźni spożywali posiłek w oddzielnych odkrytych barakach. Jean usiadł obok wielkiego Gotfryda, który najpierw wypił trzy litry wody, zanim zaczął cokolwiek jeść. Gdy zauważył siadającego obok siebie Jeana, spytał z dużą dozą humoru:

— Jak tam, panie geodeto?

— Nieźle. Mamy naprawdę dobry sprzęt, więc jakoś sobie radzę.

— Bardzo dobrze. Dzięki tobie te mury mają szansę posiadać pion i równy plan, na którym staną.

— Nie przesadzaj.

— Jutro przyjedzie maszyna do obróbki kamienia i powoli zacznie się murowanie.

— A jak tam nowi rekruci?

— Nieźle. Połowa się wykruszy do końca budowy, ale jest paru dobrych chłopaków, silnych i zmotywowanych.

— Połowa, mówisz?

— Mniej więcej, to widać. Aha... wiem już, która to Tamara. Pracuje w kuchni. Jest jak rakietka, wierz mi. Moje uznanie, znasz się też dobrze na kobietach.

— To akurat przypadek. Trudno ją zapomnieć.

— To fakt. Dobra, to ja idę się walnąć do cienia, bo przed nami jeszcze sporo pracy. Upał w południe jest nie do zniesienia, a tu jeszcze trzeba machać zdrowo łopatą.

Przerwa minęła szybko. Grupy ludzi pracowały jeszcze kilka godzin, aż wreszcie zabrakło cementu i wielki mistrz

ogłosił koniec dnia roboczego. Nie chciał w pierwszym dniu zbyt zmęczyć rekrutów, z których część nigdy fizycznie nie pracowała. Autobusy odwoziły kobiety do hotelu, podczas gdy mężczyźni mieli pozostać na miejscu. Przygotowano prowizoryczne prysznice i toalety. Była nawet letnia woda.

Jean wziął prysznic, włożył dresy i usiadł na kamieniu. Utkwił wzrok przed siebie w kierunku linii morza. Nagle usłyszał czyjeś delikatne kroki. Dyskretnie dostrzegł Sarah.

— Ty tutaj? Sądziłem, że pojechałaś do hotelu.

— Nie. Wielki mistrz zawiózł nasz narybek i przeprowadzi kobietom teraz szkolenie. Ja wolałam zostać tutaj. Można się przysiąść?

— Tak, proszę.

— O czym myślisz?

— Jak daleko stąd do morza?

— A nie prościej sprawdzić odległość w sposób praktyczny?

— Racja, ale nie mam z kim. Samemu brak mi motywacji.

— No, to już masz. Chodźmy. Taka wycieczka dobrze nam zrobi.

— Jesteś pewna?

— Boisz się?

— Nie no, coś ty.

Wędrówka w jedną stronę trwała prawie godzinę, ale warta była wysiłku. Jean z Sarah znaleźli piękną piaszczystą

plażę, długą i całkowicie pustą. Postanowili przejść się kawałek linią oceanu, mocząc stopy w słonej wodzie.

— Dawno się tak dobrze nie bawiłam. Dziękuję ci, że pomimo zmęczenia zgodziłeś się na tę wyprawę.

— Przecież niewiele fizycznie pracuję, praktycznie w ogóle. Gnuśnieję.

— Bzdura. Czasami wysiłek intelektualny jest o wiele cięższy.

— Możliwe. Pięknie tutaj.

— Niedaleko jest kraina zieloności. Serio. W niedzielę załatwię samochód i pojedziemy obejrzeć ten raj. Zobaczysz, tam jest wspaniale.

— A co na to wielki mistrz?

— Nic, przecież jesteśmy wolnymi ludźmi.

— No, to pojedziemy.

Nagle kobieta zdjęła koszulkę oraz spodenki i buty. Pod spodem miała sportową bieliznę, szybko rzuciła się do wody i zaczęła walczyć z falami. Zaskoczony Jean patrzył na zgrabną figurę szczupłej Sarah, pełne piersi i uśmiech niczym u nastolatki. Po chwili jakby się ocknął. Wtedy usłyszał wesoły krzyk.

— A ty się nie kąpiesz?! Woda jest ciepła i wspaniale masuje ciało, usuwając zmęczenie.

— No dobrze, ale nie jestem superpływakiem!

— Poradzisz sobie.

— Odwróć się. Jestem nieco staroświecki.



— Mam ponad trzydzieści lat i sporo już w życiu widziałam.

— Domyślam się, ale ja mimo wszystko jestem speszony.

— Nawet mi się to podoba.

Jean wbiegł do wody i skoczył w kierunku niskiej fali. Dziewczyna miała rację, woda była cudowna, ciepła i słona, a mocne fale uparcie chciały wyrzucić śmiałków na brzeg. Po kwadransie dziecięcej zabawy oboje wyszli na brzeg, usiedli na wyrzuconej, starej czarnej kłodzie drzewa i suszyli bieliznę w ostatnich promieniach słońca.

— Mogę cię o coś spytać?

— Tak, proszę.

— Dlaczego twoja żona cię porzuciła?

— Skąd to wiesz?

— Weryfikowałam twoje dane do zakonu. Takie mam zadanie.

— No tak, zapomniałem, że też jesteś jedną z nas.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Sam nie wiem. Zawsze lubiła błyszczeć, posiadać piękne przedmioty, ciuchy, samochody, domy... Nie mogłem jej tego dać. Pochodzę z niezamożnej rodziny, nauczono mnie żyć skromnie. Trafił się jej facet, który miał to, czego potrzebowała. I tyle. Po prostu sobie poszła i koniec.

— Nie walczyłeś o nią?

— A po co? Nie była tego warta.

— To przykre.

— Nie, nawet to jakoś przeżyłem. Takie jest życie.

— A ta druga kobieta?

— To też wiesz?

— Tak. Starannie prześwietlamy każdego kandydata na rycerza. Kto jak kto, ale akurat ty powinienes to rozumieć... Względy bezpieczeństwa.

— To koleżanka z pracy. Panna. To wszystko. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

— Nic. Przepraszam za te pytania. To było niemądre. Coś mnie podkusiło.

— Dlaczego tak uważasz?

— Niektóre rzeczy boją ludzi, a najbardziej złe wspomnienia.

— Ładnie powiedziane, ale ja tak naprawdę nie mam złych wspomnień. A ty? Kim ty naprawdę jesteś?

— Sama nie wiem.

— Jak to?

— Jestem niedojrzałą kobietą, taką małą dziewczynką.

— Z tego co wiem, skończyłaś dwa uniwersytety z wyróżnieniem.

Dziewczyna spojrzała zdumiona wielkimi niebieskimi oczami na nieco zawstydzonego Jeana. Przez chwilę milczała, aż wreszcie wyszeptała:

— Zaskoczyłeś mnie swoją wiedzą o mnie.

— Jak widzisz, ja również czasem weryfikuję ludzi.

— To prawda.

— Czasami nawet jestem ciekawski.

Jean patrzył gdzieś w dal. Nadal oboje siedzieli na starym, czarnym pniu wyrzuconym przez fale oceanu. Nagle poczuł wilgotne usta dziewczyny na policzku. Zawstydzona swoją odwagą Sarah zerwała się i uciekła, zostawiając zaskoczonego mężczyznę. Ten nadal znajdował się w tym samym miejscu. Wreszcie wstał i poszedł w kierunku obozu. Kiedy tam dotarł, było już ciemno. Położył się na polowym łóżku i natychmiast zasnął.

Przez kolejne dni nic interesującego się nie wydarzyło, poza tym, że zgodnie z przypuszczeniami Gotfryda z pracy zrezygnowało czterech mężczyzn i jedna kobieta. Osoby te natychmiast zastąpiono nowymi rekrutami. Dzięki tak rozwiązanemu systemowi ekipa budowlana zawsze miała pełny skład, weryfikując w ten sposób stały skład zakonu. Mury kompleksu świątynnego szybko pięły się w górę, a dzięki funduszom niczego nie brakowało. Wielki mistrz był zadowolony i uśmiechnięty jak nigdy. Marzenie jego życia o budowie innego, lepszego, szczęśliwego świata spełniało się na jego oczach.

Jean pracował ciężko. Stawiano kilka budowli jednocześnie, zakładano instalacje. Obok kompleksu trwała również oddzielna budowa biologicznej oczyszczalni ścieków. Wytyczono wreszcie również drogę, którą planowano utwardzić i oznakować. Jean kładł się wieczorami zmęczony. Ktoś przywiózł jego rzeczy z hotelu i starannie poukładał obok łóżka. Ktoś inny zrobił za niego pranie i stale uzupełniał wodę w grawitacyjnym automacie.

Wreszcie przyszedł upragniony sobotni wieczór, kiedy wielki mistrz postanowił wydać święto z okazji szybkich postępów w budowie. Urządzono nawet coś w rodzaju potańcówki przy muzyce puszczonej z samochodowego odtwarzacza. Jean siedział nieco z boku na prowizorycznej ławce, gdzie razem z Gotfrydem zjadali pieczone mięso. Nagle obok niego usiadła Sarah. Przyjaciel zaskoczonego mężczyzny natychmiast się gdzieś po cichu ulotnił. Jean ukradkiem spojrzął na dziewczynę, która odwróciła w jego kierunku wielkie, niebieskie oczy i spytała:

— Zatańczymy?

— Dawno tego nie robiłem. Nie wiem, czy potrafię. Może zaczekamy na jakiś wolny kawałek?

— Spójrz na Gotfryda, on nie ma żadnych kompleksów.

— Faktycznie.

Ogromny templariusz szalał na prowizorycznej podłodze naprędce skleconej z budowlanych desek. Nieszczęśnik nie miał kompletnie poczucia rytmu, w przeciwieństwie do pięknej Rosjanki, której taniec imponował wszystkim kibicom. Dziewczyna nie zważała na swojego partnera. Widać było, że świetnie się bawi. Po chwili pojawiło się więcej par, nawet sam wielki mistrz całkiem nieźle zatańczył kilka kawałków.

— To jak, poszalejemy?

— No dobrze.

— Ależ jesteś zestresowany.

— Co zrobić, taki już jestem.

Ktoś włączył wolny utwór, więc Jean bez problemu balansował ciałem z nogi na nogę, przytulając się do jędrnego ciała partnerki. Po chwili milczenia Sarah zaczęła nieśmiało rozmowę:

— Przepraszam za tamto.

— Nie bardzo rozumiem.

— Zachowałam się jak gówniara.

— Dlaczego? Podobało mi się. Przez chwilę poczułem oddech dzieciństwa.

— To miło, że tak to odebrałeś.

— Mogę ci zadać pytanie?

— Tak, proszę.

— Co ty we mnie widzisz?

— Dziwne pytanie. Jesteś dobrym, inteligentnym i wrażliwym mężczyzną. Poza tym... masz w sobie coś.

— Nigdy nie zrozumieję kobiet.

— Hmm... A co z naszą umową?

— Co konkretnego masz na myśli?

— Mieliśmy w niedzielę zwiedzać wyspę.

— W sumie nie mam innych planów, więc zgoda.

Potrzebny jest nam tylko samochód.

— To już załatwione.

— Wobec tego jutro o ósmej pod magazynem.

— Nie ma sprawy.

— Dziękuję za taniec. Muszę teraz iść zająć się kuchnią.

— Do zobaczenia jutro.

Jean usiadł obok Gotfryda, który spocony opróżnił wielki kanister z wodą. Olbrzym wyglądał na zestresowanego, ale z godnością przyjmował uśmiechy całej ekipy.

— Wszyscy ze mnie kpią.

— Bzdura, nie wypadłeś najgorzej. Nie mają zbyt dużo rozrywek, to się do ciebie przykleili.

— Miły z ciebie facet, ale wiem, że nie potrafię tańczyć, śpiewać i takie tam.

— Ale masz inne zalety, o których oni wszyscy nie mają najmniejszego pojęcia. A jak Tamara?

— Ooch... jest wspaniała. Stary, co za figura... A widziałeś jej oczy? Przepiękna, cudowna kobieta. Każdy facet o takiej marzy.

— Polubiła cię?

— Nie mam pojęcia. W każdym razie kilka razy uśmiechnęła się do mnie. A jakie ma białe zęby! Ciekawe, jak radzi sobie z karabinem albo z nożem.

— Czy ty jesteś normalny?

— A co?

— To kobieta i tak masz na nią patrzeć. Kiedy zaczniesz musztrować rekrutów, wszystkiego się dowiesz.

— Masz rację, to fakt.

— Umówiłeś się z nią?

— Nie no, co ty! Ja i randka? Mam w sobie tyle romantyczności, co ten kamień, na którym stoi lampa gazowa.

— Twoja sprawa.

— A ty?

— Mam jutro rano spotkanie z kobietą.

— To co ja mam zrobić?

— Podejź do stołu i usiądź. Ona jest dzisiaj jedną z kelnerek, więc na pewno prędzej czy później do ciebie podejdzie. Wtedy ją zagadasz. No, idź już, nie bądź tchórzem.

— Nigdy mnie tak nie nazywaj, dobra?

— Dobra, przepraszam.

Olbrzym posłuchał rad swojego kolegi i pomaszerował w kierunku plastikowych stołów przykrytych foliowymi obrusami. Po chwili przysiadła się do niego piękna, czarnowłosa Rosjanka, która zalotnie rozpuściła włosy. Obydwoje długo ze sobą rozmawiali szkolnym angielskim.

— Piękny widok, prawda, bracie Alexandre?

— Tak, wielki mistrzu.

— Można się przysiąc?

— Jak najbardziej.

— Kości mnie bolą, dawno nie tańczyłem.

— Nieźle sobie poradziłeś, wielki mistrzu, byłem w szoku.

— Tak, to miłe słowa. Jak tam postępy w pracy?

— Nieźle. Mamy dobre tempo... chłopaki i dziewczyny bardzo się starają.

— To dobrze. Cieszę się, że może jednak zbudujemy nasz nowy, wspaniały świat.

— Dlaczego „może”?

— Tak bardzo bym pragnął, aby wszyscy byli tutaj szczęśliwi, że czasem się tego boję.

— Na razie wszystko przebiega gładko.

— To prawda. Ściągnęliśmy rozbitków z całego świata, każdy z nas czegoś szuka i mam nadzieję, że to tutaj znajdzie.

— Dlaczego, wielki mistrzu, opuściłeś stan kapłański?

— Szczerze?

— Tak, jeśli można prosić.

— Mogę ci zaufać?

— Tak.

— Ponieważ nie znalazłem tam Boga, tylko pustkę i nicość, codziennie czułem się, jakbym oszukiwał tych biednych, wpatrzonych we mnie ludzi.

— A teraz?

— Budujemy swój własny świat, ukryty na tej pięknej, surowej i dzikiej wyspie, gdzie nie dotarły jeszcze dzikie hordy przygłupich turystów z całego świata. Mamy szansę osiągnąć ideał... Tak mi się przynajmniej wydaje.

— To idealizm, nieco spłaszczony i pokryty bliznami.

— Prawda, ale to nasz własny idealizm, kruchy i słaby, ale żywy.

— Racja.

— Napijmy się za to.

— Czym?

— Sokiem ananasowym.



Zabawy i uczyty trwały do północy. Później wszyscy grzecznie położyli się spać. Jean szybko zasnął przykryty cienkim kocem. Nagle, wiedziony dziwnym instynktem, otworzył oczy i zdumiony dostrzegł, że przed nimi stoi jakaś postać. Ostrożnie sięgnął po broń, kiedy usłyszał delikatnie wypowiedane słowa po angielsku. Obok niego stała Tamara.

- Chciałam porozmawiać.
- Tutaj? Teraz?
- Nie, nie tutaj. Chodź za mną.
- Tylko włożę dresy.
- Poczekam.

Piękna Rosjanka odprowadziła Jeana kilkaset metrów od obozu. Stała akurat na warcie, więc miała przy sobie broń i latarkę. Usiedli na prowizorycznej ławce, którą ktoś zbudował dla wartowników.

- Czego chcesz, Tamaro?
- Pamiętasz moje imię?
- Owszem, mam dobrą pamięć. Więc, o co chodzi?
- Mam do ciebie pewną dość delikatną sprawę.
- Mów.
- Ty tutaj jesteś kimś ważnym, prawda?
- Być może. Do rzeczy, o co chodzi?
- Mamy w obozie szpiega.
- Co ty mówisz?
- Znam tego człowieka. Podał się za Amerykanina, a tak naprawdę jest Marokańczykiem. To terrorysta. Sprytnie się podszywa pod kogoś innego.

— Jesteś pewna?

— Przez wiele lat tropiłam takich ludzi.

— Który to?

— Ten od radia, taki mały, śniady. Musicie go aresztować i zabić.

— Musimy być absolutnie pewni i ostrożni.

— Jestem pewna tego, co mówię. Jeśli nie zdemaskujecie tego szpiega, możecie mieć problemy. On jest naprawdę niebezpieczny.

— Dobrze, porozmawiam o tym rano z wielkim mistrzem.

— Ale, kiedy nie ma czasu, trzeba działać natychmiast! Teraz!

— Zwariowałaś?

— On codziennie nadaje meldunki. Przygotowują akcję, chcą was zabić!

— Kto?

— Terrorysty, Al-Kaida.

— Przecież zostali zdziesiątkowani.

— W twojej telewizji tak, ale w mojej — nie. Nadal istnieją, ciągle stanowią wielką siłę i są groźni, wierz mi.

— Dobrze. Spróbuję ci uwierzyć, choć tego typu informacje wymagają dokładnego sprawdzenia. Nie możemy popełnić pomyłki. Zaczekaj tutaj. Obudzę naszego przywódcę.

— Tego wielkoluda też sprowadź. On jest dobrym żołnierzem, przyda się nam.

— A tu akurat masz rację.

Jean ostrożnie obudził wielkiego mistrza, który sypiał w oddzielnym namiocie. Mężczyzna przez chwilę był nieprzytomny i zamroczony pierwszym, mocnym snem. Po kilku minutach zrozumiał wreszcie zawile tłumaczenie templariusza. Obaj mężczyźni udali się do namiotu Gotfryda, który — jak zwykle — sypiał czujnie z bronią pod poduszką. Błyskawicznie zrozumiał, o co chodzi. Udał się do namiotu rekrutów i ogłuszył pięścią podejrzanego. Przyniósł nieprzytomnego mężczyznę na ramieniu i niedbale wrzucił do starej terenówki.

— Co robimy?

— Musicie go przesłuchać. On wam wszystko opowie — odpowiedziała szybko Tamara.

— A jak nie zechce albo jest niewinny? Co wówczas?

— Oddacie go mnie. Już ja się nim zajmę.

Zdumieni mężczyźni spojrzeli badawczo na drobną kobietę, która wyjęła z rękawa ostry i dziwnie zakrzywiony nóż. Wielki mistrz przez chwilę się wahał, aż wreszcie, jakby walcząc sam ze sobą, ciężko westchnął i wypowiedział następujące słowa smutnym głosem:

— Pojedziecie we trójkę w góry. Są dzikie i niezamieszkałe. Tam przesłuchacie szpiega, a później zlikwidujecie. Ukryjcie ciało tak, aby nigdy nie zostało odnalezione. Ale pamiętajcie, przed świtem musicie być z powrotem tu, na miejscu. Rekrutom powiemy, że sam zrezygnował i został odwieziony na lotnisko. No, wyruszacie natychmiast.

— Tak jest!

— Uważajcie na siebie.

Gotfryd kierował starą toyotą, która szybko mknęła po bezdrożach. Po godzinie dotarli do kamiennych wzgórz, zaparkowali samochód w dolinie i udali się pieszo w wysokie góry. Wreszcie znaleźli sporą grootę, gdzie postanowili się zatrzymać i przesłuchać więźnia, który powoli odzyskiwał przytomność. Niski i drobny człowiek nie miał więcej jak dwadzieścia lat. Kiedy otworzył oczy i ujrzał, w jakim znalazł się położeniu, natychmiast zaczął krzyczeć i wierzgać nogami.

— Trzeba uspokoić szczeniaka.

— Już się robi.

— No, teraz będzie grzeczny.

— Trochę za mocno mu przywaliłem.

— Trudno. Tamara, jest twój, ja wychodzę stąd, nie będę na to patrzył.

— W porządku. Szybko się z nim uwinę.

Jean wyszedł z jaskini, przez kwadrans siedział na płaskim kamieniu i zatykał uszy, gdy wreszcie usłyszał kroki swoich towarzyszy.

— Już po wszystkim?

— Tak, można powiedzieć, że załatwiliśmy sprawę.

— Co z nim?

— Nie żyje. Ciało wrzuciliśmy do kamiennej wnęki i przywaliliśmy kamieniami. Raczej nikt go tutaj nie znajdzie.

— Powiedział coś ciekawego?

— Wszystko wyśpiewał. Nasza Tamara ma swoje sposoby. Nawet mnie zszokowała, a to nie jest łatwe.

— Wracamy do bazy.

Wielki mistrz z uwagą wysłuchał relacji z przesłuchania szpiega, podziękował Tamarze i obiecał jej awans w najbliższym czasie. Kobieta w milczeniu opuściła namiot przywódcy, który uważnie zanotował w komputerze słowa Gotfryda. W końcu spojrzał na swoich zaufanych rycerzy.

— Co o tym sądzicie?

— Gdzieś nastąpił przeciek. Oni już wiedzą, że to my sprzedaliśmy ich tajne dane Rosjanom.

— To prawda. Co robimy?

— Tutaj jesteśmy w miarę bezpieczni. To katolicki kraj, poza tym jest wyspą.

— Dobrze mówisz, bracie Alexandre, ale jak widać wojna dla nas się nie skończyła. Brat Gotfryd od jutra rozpocznie intensywne szkolenie wojskowe naszych podopiecznych. Dzisiaj wieczorem ciężarówki przywiozą naszą broń i amunicję. Jak widać, żarty się skończyły. Nikomu nie wolno samotnie opuszczać terenu bazy.

— Tak jest!

— Wracajcie do swoich zajęć i nikomu ani słowa, zrozumiano?!

— Rozkaz!

Mężczyźni wrócili do namiotu, założyli robocze ciuchy, włożyli kapelusze i specjalne buty, po czym w milczeniu udali się na śniadanie. Usiedli nieco z boku i obserwowali

rekrutów. Zniknięcie jednego z nich nie zrobiło na nich większego wrażenia. Akurat ten człowiek nie miał przyjaciół ani znajomych, uchodził za odludka i samotnika.

— Wszystko w porządku?

— Tak. Wiesz, ta Rosjanka... to jest straszna baba. Diabeł wcielony w pięknym ciele.

— Co ty powiesz?

— Zarznęła tego chłopaka jak cielaka, fachowo i sprawnie. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Nie wiem, kto ją szkolił, ale zrobił z niej perfekcyjną morderczynię.

— Myślisz, że to prezent od Rosjan?

— Tak, chyba tak, przynajmniej takie można mieć wrażenie. Przesłuchiwać też potrafi. Znęcała się nad nim potwornie. Wie, gdzie wbić nóż, aby bolało.

— Dobrze, to już wiemy. Nadal ci się podoba?

— Jakby trochę mniej.

— Pasujecie do siebie. Wasze dzieci byłyby wspaniałymi mordercami.

— Daj spokój, stary. Moja cierpliwość ma swoje granice.

— Pogadaj z nią. Może nam pomóc w szkoleniu rekrutów.

— Racja. Zapytam wielkiego mistrza.

Zgodnie z zapowiedzią przywódcy trzy ogromne ciężarówki przywiozły wieczorem zapieczętowane kontenery i wyładowały metalowe skrzynie na środku obozu. Gotfryd sprawdził zawartość i samochody odjechały w tumanach brązowego kurzu.

Wielki mistrz odbył długą rozmowę z rosyjską pięknoscią. Dziewczyna miała uczestniczyć w weryfikacji kadetów i szkolić kobiety w sztuce zabijania. Obóz został starannie ogrodzony drutem kolczastym, ustawiono strażę, a także wybudowano kilka bunkrów polowych z worków z piaskiem na wypadek jakiejś strzelaniny. Namioty również zostały obłożone rzędami worków i kamiennych płotów w stalowych siatkach. W obozie trzymano regularne warty i wysyłano patrole. Obóz zmienił się nie do poznania. Zniknęła całkowicie sielskość, poczucie bezpieczeństwa oraz bez troski.

Dni mijały szybko w ciągłej pracy oraz na zajęciach wojskowych. Środków bezpieczeństwa nadal przestrzegano, choć nie wydarzył się żaden incydent. Rekruci powoli zamieniali się w żołnierzy, a Gotfryd szkolił najzdolniejszych z nich nawet do walki na miecze. Jean nadal zajmował się pomiarami, a także łącznością oraz działaniem sektora energetycznego w obozie. Kamienne mury klasztoru powoli pięły się do góry. Choć przybywało ich niewiele, to jednak ukończono wszystkie fundamenty oraz instalacje i gdzieś niedługo zarysowywały się już obrazy ścian, drzwi, bram oraz okien. Prace w obozowisku trwały pełne sześć dni. Siódmy dzień, niedziela, był dniem wolnym od pracy. Wtedy wszyscy wolni od służby wartowniczej udawali się do miasta lub nad ocean w małych grupach, nigdy pojedynczo. Wielki mistrz ciągle obawiał się płatnych morderców z byłego już Państwa Islamskiego.

Był sobotni gorący wieczór. Od godziny siedemnastej wszyscy w obozie, poza wartownikami oraz dyżurnymi, mieli wolne. Zmęczony Jean wziął zimny prysznic i postanowił trochę poleniuchować, kładąc się na łóżku. Ze względów bezpieczeństwa miał z Gotfrydem oddzielny namiot, przypominający bunkier. Dawało to pewny spokój i intymność. Nagle usłyszał delikatne pukanie do prowizorycznych drewnianych wzmocnioną blachą drzwi. Jean wstał i poszedł sprawdzić, kto zakłóca święte prawo jego drzemki.

— Witaj, Sarah. Jesteś nie do zdarcia. Wejdz, proszę!

— A gdzie Gotfryd? Jesteś sam?

— Tak. Ten maniak trenuje walkę na miecze. Znalazł sobie kilku wariatów na swoim poziomie i szaleją w każdej wolnej chwili.

— Przeszkadza ci to?

— Skądże. Jestem nawet zadowolony, bo wtedy mam wolne chwile dla siebie. Siadaj. Co cię sprowadza?

— Dawno nie rozmawialiśmy. Czy wydarzyło się coś, o czym nie wiem?

— Nie, nic się nie wydarzyło, skąd ten pomysł? Byłem po prostu ostatnio zbyt zajęty.

— Przejdziemy się nad ocean? Wieki nie opuszczałam obozu, bo jest tyle pracy.

— W tej chwili?

— Tak. No, chyba że jesteś zbyt zmęczony.



— A wiesz, zgoda. To też forma odpoczynku. Poczekaj. Tylko się przebiorę i przygotuję broń. Znasz zasady?

— Tak, przyjdę za kwadrans.

— Będę czekał.

Jean włożył wojskowy strój. Do plecaka schował pistolet i dwa zapasowe magazynki. Zabrał również dwie manierki wody i kilka pomarańczy. Do pasa przypiął bagnet i latarkę. W obozie panowała dyscyplina wojskowa. Dziewczyna była podobnie ubrana i zaopatrzona. Przy bramie otrzymali przepustkę i specjalne radio zastępujące telefon.

— A pamiętasz początki? Żyliśmy jak w raju.

— To fakt. Cóż, okoliczności zmusiły nas, że teraz jesteśmy mocno zmilitaryzowaną społecznością.

— Znowu będziemy walczyć?

— Tak, Sarah. Jak tylko wybudujemy naszą bazę. Przecież jesteśmy templariuszami.

— To nie ma sensu. Wojna się skończyła, Syria powoli dźwiga się z ruin.

— Wróg nie został jeszcze pokonany.

— Nie podoba mi się to. Za dużo krwi przelaliśmy we Francji. Teraz powinniśmy tylko pomagać biednym ludziom.

— Wielki mistrz miał początkowo takie plany, ale zaistniały nowe okoliczności.

— Tak, domyślam się. Szkolimy żołnierzy, zamienimy się w najemników, morderców. Gdzie jest w nas Bóg, skoro ciągle zabijamy?

— Działamy w jego imieniu.

— Dziwnie to brzmi.

— Masz rację, ale ja nie chcę o tym rozmawiać.

— Dlaczego?

— Nie ma to najmniejszego sensu. Nie mam na to wpływu, wykonuję jedynie rozkazy. Tak już jest ten nasz świat zbudowany.

— To bardzo okrutny i zimny, martwy świat, nieprzynoszący nadziei.

— Zawsze przemoc kreowała rzeczywistość.

Powoli zbliżali się do oceanu. Jego szum informował o falach bezustannie szturmujących brzeg. Tym razem nie odnaleźli starego pnia drzewa, ubrania i radiotelefony zostawili bezpośrednio na piaszczystym brzegu i przez kilkanaście minut wesoło kąpali się w słonej wodzie. Wreszcie zmęczeni wyszli na brzeg. Leżeli na złotym piasku w letnim słońcu. Nadeszła pora obiadowa i musieli wrócić do obozu. Poza tym kończyła się im ważność przepustki. Po krótkim i zdrowym obiedzie Jean postanowił odwiedzić wielkiego mistrza. Szczupły mężczyzna leżał na polowym łóżku i jak zwykle studiował Nowy Testament.

— Nie przeszkadzam, wielki mistrzu?

— Skądże, bracie Alexandre. Co cię sprowadza?

— Chciałbym prosić o możliwość skontaktowania się z rodziną.

— Czy to absolutnie konieczne?

— Tak. Minęły dwa miesiące. Na pewno się o mnie martwią.

— Do kogo chcesz zadzwonić?

— Do córki, tylko do niej.

— Dobrze. Oto telefon. Ale pamiętaj, to niezwykle ważne, masz dziesięć minut i nie możesz niczego wyjawiać, rozumiesz?

— Tak, znam zasady.

— Pamiętaj, tylko dziesięć minut.

— Dziękuję.

— Nie każdy ma taką możliwość. Robię taki wyjątek tylko dla ciebie ze względu na twoje zasługi dla zakonu.

— Rozumiem.

Jean wyszedł z namiotu, miał spocone dłonie. Pobiegł szybko za główny magazyn i wykręcił numer córki. Przez chwilę panowała cisza, aż wreszcie usłyszał charakterystyczny dźwięczny głos Marie:

— Słucham?

— To ja, moje dziecko, Jean, twój tata.

— Tatko?! O mój Boże, co się z tobą dzieje? Martwiliśmy się o ciebie!

— Wszystko w porządku. Jestem na misji z pracy. Mam mało czasu na rozmowę, tylko dziesięć minut. Zdrowie mi dopisuje. Jak tam Emma?

— Fatalnie znosi samotność.

— Wiem o tym.

— Bardzo płakała. Wytrzymała tylko miesiąc. Wiesz, jak to jest? Sądziła, że umarłeś. Aktualnie ma nowego faceta i nadal mieszka w tym waszym domku z Rufusem.

— Uhm... A co u was?

— Wszystko dobrze. Bardzo cię Kocham, tatku i tęsknię.  
Kiedy wrócisz?

— Nie wiem, dam znać.

— Bardzo cię Kocham, tatku i tak mi Ciebie brakuje... —  
głos Marie zaczął się niebezpiecznie łamać.

— Wiem. Mnie też Ciebie brakuje. Muszę już kończyć.  
Pozdrów ode mnie wszystkich znajomych.

— Dobrze.

— Zadzwonię, jak tylko będę mógł.

W tym momencie telefon wydał z siebie złowrogie mruczenie. Jean rozłączył rozmowę. Czuł, że ma mokre oczy. Kilka razy głośno westchnął, wziął się w garść i wrócił do namiotu przywódcy templariuszy, który uważnie i z niepokojem przyjrzał się podwładnemu, po czym sięgnął do lodówki i wyciągnął z jej wnętrza zimny koniak.

— Kieliszek?

— Przyznam, że nie odmówię. Dziękuję.

— Czasami trzeba się napić.

— To prawda.

— Co u rodziny?

— Córka ma się dobrze. Niedługo weźmie ślub, moja kobieta ma już innego. W zasadzie nie mam do czego wracać.

— Nikt nie lubi samotności. Przykro mi. Nie chciałem, by tak to się skończyło.

— Wiem, wszystko rozumiem.

- Sądzę, że jeszcze znajdziesz miłość.
- Na razie muszę się napić.
- W porządku. Należę drugą kolejkę.
- Zdrowie templariuszy!
- Zdrowie!

Mężczyźni opróżnili butelkę i rozstali się po przyjacielsku. Jean nieco chwiejnym krokiem poszedł prosto do swojego namiotu. Umył twarz w zimnej wodzie płynącej z prowizorycznego prysznica, położył się na łóżku i bezmyślnie patrzył w zielonkawy sufit namiotu. Nagle do wnętrza samotni wpadł Gotfryd:

- O, jesteś! Gdzie się podziewałeś?!
- Kąpałem się w morzu, a potem rozmawiałem z wielkim mistrzem.
- Cholera, piliście beze mnie?
- Dałeś słowo, że nie będziesz się alkoholizował.
- To prawda, ależ człowiek jest głupi.
- Jedziemy z Tamarą na przejażdżkę po okolicy. Chcesz się z nami zabrać?
- A w jakim to celu i charakterze? Jako przyzwoitka?
- Nie. Zabrałbyś ze sobą tę małą Sarah. Ona jest w tobie nieźle zabujana.
- Nie zauważyłem.
- Eech... Widzę, że nic z tego nie będzie. To trzymaj się w takim razie, wrócę na kolację.
- Baw się dobrze.

Gotfryd wybiegł z namiotu, zabierając ze sobą pistolet maszynowy i kilka zapasowych magazynków. Jean zamknął oczy i zasnął uśpiony wiejącym od oceanu chłodnym wiatrem. Śnił o Paryżu, swoim domku, Emmie i psie. Gdy otworzył oczy, czar prysł. Ujrzał tylko druty kolczaste i brązowy piach usiany milionami kamieni. Westchnął i spojrzął na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta. Nadchodził czas kolacji. Postanowił nie wychodzić z namiotu. Wziął zimny prysznic, zmył z siebie sól z oceanu, włożył wojskowe drelichy i postanowił, że spróbuje znowu zasnąć, ale ta sztuka nie udała się tak od razu. Poza tym po wieczornym posiłku wparował do namiotu cały zakurzony i brudny Gotfryd.

— Witaj, nie widziałem cię na kolacji. Pozwoliłem sobie zeżreć twoją porcję, nie gniewasz się?

— Skądże. Jesteś taki wielki, że mógłbyś zjeść trzy kolacje, a nie tylko dwie.

— Co ci odbiło?

— Przechodzę kryzys, uszanuj to i zrozum.

— Złe wieści z domu?

— Jakbyś zgadł.

— Przykra sprawa.

— Co ty możesz o tym wiedzieć?

— Cóż... moim domem był sierociniec, od dziecka walczę o przetrwanie. W sumie nie wiem, co to rodzina. Masz rację, co ja mogę o tym wiedzieć. W sumie, to ten obóz jest dla mnie jak jedna wielka rodzina.

— Nie chciałem cię urazić. Przepraszam. Jak było na patrolu?

— Super! Trochę strzelaliśmy do celów nieruchomych. Tamara jest naprawdę niezła.

— Cieszę się.

— Cholernie celnie strzela.

— Pasujecie do siebie. Macie wspólne zainteresowania...

— Kpisz sobie ze mnie?

— Skądże znowu. Mówię całkiem poważnie. Dobrze na ciebie działa ten związek. Jesteś innym człowiekiem odkąd zacząłeś z nią częściej przebywać. Nawet głos masz jakiś nieswój, radosny i dużo mówisz, jak nigdy przedtem.

— Znaczy się, że przestałem być twardym facetem?

— Tego bym nie powiedział.

— Jutro będę z nią trenował walkę na miecze. Obejrzysz nasz pojedynek?

— Z przyjemnością.

Potężny Gotfryd wszedł pod zimny prysznic, a Jean zamknął oczy i zasnął. Tym razem nie nadszedł upragniony sen. Widać ta część życia mężczyzny pozostała już tylko jego przeszłością.

Nowy dzień przyniósł kolejne obowiązki. Jean został przydzielony do odbioru materiałów budowlanych, a łącznie zajął się wielki mistrz. Przybył ogromny transport i każdy, kto tylko mógł, nawet kobiety, został przydzielony do rozładowywania wielkich ciężarówek. Praca przebiegała sprawnie i szybko. Gotfryd nadzorował

całą operację. Jako mistrz kamieniarski doskonale wiedział, gdzie należało złożyć materiał na dalszą budowę kompleksu. Rozładunek trwał do wieczora. Po kolacji wszyscy wraz z wielkim mistrzem zebrali się na placu apelowym, by obejrzeć walkę na miecze Gotfryda i pięknej Rosjanki. Oboje uczestnicy odrzucili tarcze, pokłonili się wielkiemu mistrzowi i pojedynek rozpoczął się. Wielki Gotfryd zadawał silne, proste ciosy, skutecznie wykorzystując swoją przewagę wzrostu i mocy, ale dziewczyna była sprytna i szybko. Były legionista kilka razy wzorowo zaskoczył przeciwnika, ale Tamara pozostawała czujna. Wreszcie tak silnie uderzył w jej miecz, że wytrącił go z jej ręki. Broń poszybowała kilka metrów dalej. W taki sposób pojedynek został zakończony.

Wściekła Rosjanka wzięła do ręki miecz i podeszła do zaskoczonego Jeana, wręczyła templariuszowi broń, mówiąc:

— Ty go pokonasz!

— To niemożliwe. Z nim jeszcze nikt nie wygrał.

— Bzdura. Wiem, że jesteś dobry. On mi to mówił. Idź i walcz. Może ktoś zmaże mu ten głupi zwycięski uśmiech z ust.

— Hmm... Mogę spróbować, ale niczego nie gwarantuję. Szykuje się niezła zabawa.

— Wierzę w ciebie.

— Dzięki.



Zdumiony Gotfryd ujrzał, że naprzeciwko niego staje do walki kolejny przeciwnik. Nawet wielki mistrz radośnie przyklasnął dłońmi, dając tym sygnał, że akceptuje walkę. Wielki templariusz uśmiechnął się na widok podchodzącego przeciwnika.

— Chcesz przegrać?

— Nigdy nikogo nie lekceważ.

— Nie masz szans.

— A jednak wyglądasz, jakbyś się bał.

— Co takiego?

— Masz dziwnie bladą twarz.

— O nie, teraz to przesadziłeś. Rozwalę cię po pierwszej minucie.

— Bardzo dobrze.

Mężczyźni podeszli do wielkiego mistrza, który ich pobłogosławił. Jean dostrzegł stojącą nieco dalej Sarah, która przyjaźnie pomachała do niego ręką, podnosząc do góry kciuk. Teraz nie wypadało mu przegrać. W grę wchodziła męska ambicja. Wielki mistrz spokojnym głosem oznajmił podopiecznym, że walka ma być czysta i uczciwa, po czym pojedynek rozpoczął się. Gotfryd był czerwony z wściekłości, z czego cieszył się w duchu Jean. Zdenerwowany przeciwnik zacznie popełniać błędy, a wtedy łatwiej będzie pokonać olbrzyma:

— Już przegrałeś, wiesz?

— To się okaże.

— Stary, nie masz szans!

- Jesteś zbyt pewny siebie.
- Jeszcze nikt mnie nie pokonał w walce na miecze.
- Kiedyś musi być ten pierwszy raz.
- Walcz!

Gotfryd zaatakował bardzo mocno. Jego potężny miecz bez przerwy uderzał w kierunku cofającego się Jeana, którego twarz zrobiła się czerwona od wysiłku. Pomimo wściekłych ataków olbrzym szybko dostrzegł, że ma do czynienia z twardym przeciwnikiem. Jego miecz bez przerwy uderzał w stal, nie czyniąc drugiemu templariuszowi krzywdy. Wreszcie, po około siedmiu minutach uników i ciągłej obrony, Jean zaatakował i to tak skutecznie, że zaskoczony Gotfryd potknął się i runął na piasek, wzniesając chmurę pyłu. Wszyscy oglądający zaczęli bić brawo, a Jean delikatnie skłonił się publiczności. Wielkolud zerwał się wściekły. Ktoś podał potężnemu mężczyźnie manierkę wody, ale ten odrzucił z pogardą podarunek. Mocno dyszał i przeklinał pod nosem. Tymczasem Jean w świetnym nastroju podszedł do Gotfryda.

- Poddajesz się?
- Nigdy! Walcz!
- Chcę ci zaoszczędzić upokorzenia.
- Jeszcze nie wygrałeś.
- Trudno, dałem ci szansę.

Walka rozpoczęła się na nowo, lecz Gotfryd powoli tracił siły, a Jean ciągle się bronił, wreszcie zadał szybki i

precyzyjny cios w stronę gardła przeciwnika, a ten przerażony z największym trudem się uchylił. Znowu stracił równowagę i runął po raz drugi na ziemię, uderzając twarzą o drobne kamienie. Zadowolony zwycięzca podszedł do wielkiego mistrza i skłonił się delikatnie.

— Brawo, bracie Alexandre, ale walka jeszcze nie skończona.

— Myślę, że mój przeciwnik zaraz się podda.

— Uważaj, stoi za tobą.

— Nie szkodzi. O to chodziło.

Nagle Jean odwrócił się błyskawicznie i zadał szybki cios. Zaskoczony Gotfryd upuścił z krzykiem miecz na ziemię. Pojedynek został zakończony, a wściekły przegrany kopał ze złości ziemię i rzucał przekleństwa na cały świat. Wreszcie dostrzegł surowy wzrok przywódcy, klęknął przed zwycięzcą i oddał hołd jego osobie. Z tyłu dobiegł go głos Jeana:

— Mówiłem, że przegrasz.

— Kto cię nauczył tak walczyć?

— Ojciec. Był mistrzem Francji w szermierce. Od dziecka mnie doskonalił w walce białą bronią. Nie wiedziałem, że kiedyś ta umiejętność na coś się przyda.

— Jesteś dobry, cholernie dobry, naprawdę.

— Wstań, to była dobra walka — powiedział wielki mistrz.

— Dziękuję.

Publiczność powoli się rozchodziła. Na placu ćwiczeń pozostał wielki mistrz, Gotfryd, Tamara, Sarah oraz Jean. Rosjanka podeszła do zwycięzcy i pocałowała templariusza mocno w usta, wzbudzając zdziwienie pozostałych osób.

— Czym sobie zasłużyłem?

— Pokonałeś tego pewnego siebie zarozumialca.

— Skąd wiedziałaś, że potrafię walczyć?

— Poznałam po chodzie. Masz bardzo sprężyste, kocie ruchy. Tak poruszają się urodzeni szermierze.

— Dziękuję.

Wielki mistrz skinął głową w kierunku Gotfryda oraz Jeana, prosząc braci o odwiedzenie namiotu przywódcy. Zaskoczeni templariusze natychmiast pobiegli w tamtym kierunku. Ten natychmiast rozkazał braciom usiąść i poczęstował zmęczonych walką rycerzy sokiem pomarańczowym z lodem. Kiedy nieco ochłonęli, wielki mistrz wstał i zaczął powoli przechadzać się po namiocie, sprawdzając, czy kogoś nie ma w pobliżu, aż wreszcie zaczął mówić:

— To była piękna walka i świetna lekcja dla ciebie, bracie Gotfrydzie. Pamiętaj, by trzymać w przyszłości nerwy na wodzy i nie dawać złego przykładu młodym rekrutom.

— Tak jest! Przepraszam, wielki mistrzu.

— No, już dobrze. Wczoraj odwiedził mnie tutejszy komendant policji.

Po tych słowach przywódca templariuszy usiadł i uważnie spojrział w twarze swoich milczących i skupionych na jego słowach podwładnych.

— Wie, kim jesteśmy i prosi nas o pomoc.

— Jak to?

— Poczekaj, bracie Gotfrydzie, nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany, jeszcze nie skończyłem opowieści.

— Wybacz, wielki mistrzu.

— To raczej spokojni ludzie o pogodnym usposobieniu, ale ostatnio przybywa tutaj trochę elementu ze stałego lądu i często są to niechciani i nielegalni przybysze, przemyceni nocą przez zorganizowane gangi.

— Mamy ich zlikwidować? Tak?

— Brawo, bracie Alexandre. Jak zwykle nie zawiodłem się na twojej inteligencji, ale do rzeczy. Otóż, ci przybysze, nawiasem mówiąc, najgorsze szumowiny z zachodniej części kontynentu afrykańskiego, utworzyły sobie tutaj, na naszym terenie, swoistą mafię, świetnie zorganizowaną i bezwzględnie zarządzaną. Nas się boją, więc mamy spokój, ale terroryzują okolicę. Mają broń, samochody, środki łączności. Policja jest zbyt słaba i nie ma wystarczających środków na ich pokonanie, dlatego poprosili nas, abyśmy ich niejako wyręczyli w tym zadaniu.

— A konkretnie?

— Trzeba ich wszystkich zabić, ale tak, by wyglądało to na walki gangów.

— I co my zrobimy?

- Nic. Wykończymy bandytów.
- Co z tego my będziemy mieli?
- Wdzięczność okolicznej ludności oraz władz i policji.
- Trochę mało.
- Mylisz się, bracie Gotfrydzie, to bardzo dużo.
- Nie rozumiem.
- Nieważne. Kiedyś to zrozumiesz. Co o tym sądzicie?

Obaj bracia milczeli, aż wreszcie brat Alexandre wstał i podszedł do dużej mapy wyspy wiszącej na jednej ze ścian namiotu. Przez chwilę studiował kolorową kartę, aż wreszcie zaczął zadawać pytania:

- Ilu ich jest?
- Około stu żołnierzy i paru przywódców.
- Co jeszcze o nich wiemy, wielki mistrzu?
- Znamy ich siedzibę. Wiemy, gdzie ukrywają się główni organizatorzy gangu. To spory i komfortowy oraz dobrze chroniony budynek.
- Jaką mają broń?
- Głównie radzieckie AK-47. Poza tym posiadają trochę pistoletów maszynowych.
- Kiedy zaatakujemy?
- Kiedy będziemy gotowi.
- Jaki jest stan przygotowań na dzisiaj?
- Niech brat Gotfryd się wypowie.

Zaskoczony wielkolud wstał niezgrabnie, spojrzął na wielkiego mistrza oraz Jeana i zaczął referować swoim charakterystycznym językiem:

— To banda patałachów, która nic nie potrafi, poza Rosjanką, naszymi ludźmi oraz kilkoma rekrutami, którzy służyli w wojsku. Reszta jest do niczego, możemy z trudem zmontować drużynę najwyżej z dwunastu żołnierzy. Nic więcej nie da się wycisnąć z tego, co mamy.

— Wystarczy na atak?

— Nie. Proszę spojrzeć na zdjęcia lotnicze domu. To istna twierdza. Ktokolwiek to projektował, znał się na rzeczy. Budynek w centralnym miejscu posesji, na dole otwory strzelnicze, wieżyczka górująca nad okolicą, na pewno wzmocniona specjalną stalą. Do tego cztery wartownie flankujące główną budowlę. Tego nie da się zdobyć w konwencjonalny sposób i z tymi naszymi amatorami.

— Ma jakieś słabe punkty?

— Nie, według mnie ani jednego. Przykro mi, wielki mistrzu.

— Co proponujesz?

— Wykończyć bandytów pojedynczo. Przynajmniej raz na miesiąc muszą opuszczać tę twierdzę. Żyją tam z całymi rodzinami, dziećmi, żonami, krewnymi...

— Na pewno mają kuloodporne limuzyny.

— Nic nie szkodzi. Posiadamy specjalną broń na takie okazje. To istne dzieło sztuki, rozwali każdy samochód, nawet lekki pojazd wojskowy.

— No dobrze, to od czego zaczniemy?

— Od obserwacji, wielki mistrzu.

Przywódca templariuszy ponownie wstał i zaczął się swoim zwyczajem przechadzać po namiocie. Wreszcie podszedł do niewielkiego okienka wentylacyjnego i zaczął cicho mówić:

— Brak nam ludzi.

— To prawda.

— Prowadzimy ogromną i kosztowną inwestycję, każdy mężczyzna jest na wagę złota.

— Mamy też kobiety.

— Co powiedziałaś, bracie Alexandre?

— Możemy wykorzystać nasze siostry służebne. Rosjanka czy Sarah to dobre wojowniczkki i znają się na pracy szpiegowskiej. Ufam, że sobie poradzą.

— Faktycznie. Porozmawiam z nimi, to dobry pomysł.

— Poza tym Tamara jest świetnym snajperem, damy dziewczynie dobrą spluwę. Rozwali bandytów bez mrugnięcia okiem.

— Nieźle. Bracie Gotfrydzie, zawołaj tutaj nasze piękne panie.

— Tak jest!

Potężny templariusz szybko wybiegł z namiotu. Tymczasem wielki mistrz ciężko usiadł na składanym fotelu, wypił szklanekę mrożonego soku i zaczął przeglądać zdjęcia dostarczone przez policję.

— Jest ich czterech.

— To znaczy? Nie zrozumiałem.



— Główni przywódcy tej mafijnej organizacji. Spójrz na to zdjęcie, bawią się przy stole.

— Sami czarni.

— Właśnie. Mają jednego białego. Siedzi tutaj. Wygląda na Włocha, może Hiszpana.

— Raczej pochodzi z Italii. Stawiam, że to ich księgowy.

— Wszyscy muszą zginąć. To są sami źli ludzie.

— Wykonamy zadanie, wielki mistrzu.

— Dobrze, że tak mówisz, dodaje mi to sił.

— A jak już pokonamy mafię, to co dalej będzie się działo na wyspach?

— Nic. Zrobimy porządek i przejmujemy władzę, oczywiście legalnie i demokratycznie.

— Jak to?

— Stworzymy swoje państwo. Koniec dyskusji, wraca Gotfryd z paniami.

Jean wypił szklanekę zimnego soku i zanurzył się w myślach. Jakby przez mgłę słyszał naradę wojenną templariuszy. Dyskutowano o sposobie obserwacji, zakupie dwóch dobrych osobowych samochodach oraz dostawczym mercedesie potrzebnym do stworzenia mobilnego punktu łączności i nasłuchu. Wreszcie, z odrętwienia wyrwał męczyznę głos wielkiego mistrza:

— Jeśli okaże się, że nasz policjant jest zamieszany w ten mafijny proceder, to zostanie zastrzelony jako ostatni.

— Tak jest!

— Macie tydzień na obserwację tych bandytów, później przechodzimy do akcji.

— Rozkaz!

— Czy wszystko jasne?

— Jak najbardziej.

— Zaczynacie od jutra, jak tylko przyjadą samochody. Rozejść się. Bracie Alexandre, zostań.

Wielki mistrz znowu zaczął nerwowo krążyć po namiocie. Wreszcie spojrzął z góry na spokojnie siedzącego na drewnianym taborecie Jeana i rzekł spokojnym głosem:

— Nie podobają ci się moje plany wobec tego państwa?

— Tego nie powiedziałem, wielki mistrzu.

— No to o co chodzi?

— Zastanawiam się, czy już przekroczyliśmy kruchą granicę pomiędzy dobrem a złem?

— Bzdura. Musimy przejąć to państewko. Poza tym zapewnimy ludności rozwój ekonomiczny i socjalny, zbudujemy państwo idealne.

— To mrzonki.

— Twoja wiara się wypaliła, bracie.

— Nie, ja po prostu jestem realistą.

— Zgoda. Jeśli uznasz, że jesteśmy złem i zniszczyliśmy ten kraj, pozwolę ci, bracie, bez żadnych konsekwencji, opuścić nasz zakon.

— Dobrze.

— Ale do tego czasu będziesz lojalnym templariuszem, moim zastępcą i doradcą.

- Tak jest.
- Wobec tego, wracaj do pracy.
- Rozkaz!

Jean zaskoczony szczerością tej rozmowy wybiegł z namiotu przywódcy, jakby był ścigany przez stado lwów. Zatrzymał się dopiero przy pnącym się w górę klasztorze, gdzie miał rozstawione przyrządy miernicze. Natychmiast zajął się pracą, co powoli pozwoliło zapomnieć o wszystkich innych myślach i zwątpieniach w słuszność sprawy ich zakonu. Wreszcie dzień pracy powoli dobiegł końca. Kompleks klasztorny rósł w oczach. Gotfryd zatrudnił pięćdziesięciu miejscowych robotników chętnych do pracy. Niektórzy znali się na kamieniarstwie. Niewiele też kosztowali — a to było ważne. Pracowali dziesięć godzin dziennie, nie potrzebowali posiłku ani transportu. Wszystko organizowali we własnym zakresie. Nie zadawali żadnych pytań, wykonując polecenia. Teraz ustawili się po dniówkę, którą jak zwykle wypłacała Sarah. Kiedy kolejka zmęczonych ludzi znikła, dziewczyna podeszła do Jeana, który w skupieniu czyścił i pakował do specjalnych szczelnych pojemników przyrządy geodezyjne.

- Witaj. Ostatnio mnie unikasz.
- Nieprawda. Potrzebuję tylko odrobiny spokoju.
- Masz jakiś problem?
- Tak, czasami muszę coś przemyśleć, to wszystko.
- Od jutra rusza nowa akcja. Będę bardzo zajęta.
- Wiem o tym.

— No dobrze, porozmawiamy o nas później. Teraz widzę, że i tak nic z tego.

— Przepraszam.

Dziewczyna zabrała sporą torbę zawierającą gotówkę, laptopa oraz sporą ilość papierowych dokumentów i znikła w namiocie administracyjnym. Jean ze spuszczoną głową udał się do swojego namiotu, ustawił w rogu swoje narzędzia pracy, wziął zimny prysznic i położył się na łóżku. Nie poszedł nawet na kolację, nie czuł takiej potrzeby. Leżał w milczeniu kilkanaście minut, nie mogąc zasnąć. Ciszę w namiocie zakłóciło pojawienie się Gotfryda, który jak zwykle hałasował, przeklinał i swoim dziwnym zwyczajem właśnie wewnątrz niewielkiego namiotu zawsze otrzepywał ciuchy z nagromadzonego przez cały dzień brązowego kurzu.

— Stary, dobrze się czujesz?

— Tak, a dlaczego pytasz?

— Nie byłeś na kolacji.

— Jakoś nie jestem głodny.

— Masz chyba depresję czy coś takiego.

— Tak, zwłaszcza gdy widzę, że kurzysz pyłem i piachem na moje świeżo wyprane ubrania, mam ochotę cię zabić w afekcie.

— Przepraszam, to ostatni raz, obiecuję.

— Codziennie tak mówisz.

— Nie zauważyłem.

— Świat składa się z idiotów.

— Co powiedziałaś?!

— Nic. Takie tam moje luźne spostrzeżenia filozoficzne.

— Ty mnie obrażasz.

— Bzdura.

— Możemy to zaraz załatwić jak mężczyźni.

— Znudziło mi się wieczne wygrywanie z tobą. Nie jesteś godnym przeciwnikiem.

Po tych słowach twarz Gotfryda zrobiła się czerwona, chciał runąć na ciało Jeana, ale nadzieją się na potężny pistolet przystawiony do czoła. Natychmiast powoli usiadł i uspokoił się. Jean powoli opuścił broń i spokojnie położył się na łóżku.

— Ufam, że chciałaś jedynie sprawdzić mój refleks.

— Tak, nic między nami nie zaszło.

— Cieszę się. Idę spać. Pogadamy rano.

— Okej, to ja idę pod prysznic.

Gotfryd uważnie spojrzał na leżącego na polowym łóżku Jeana. Ten człowiek coraz bardziej zastanawiał olbrzymiego templariusza. Pozornie flegmatyczny i dziwnie zamyślony, potrafił nagle zmieniać się w świetnie wyszkolonego zabójcę. Był wytrzymały, silny, odporny i inteligentny. Poza tym potrafił świetnie władać bronią, a tego nie uczą na studiach informatycznych.

Ranek wstał jak zwykle gorący i leniwy. Jean sprawnie się umył, ubrał i poszedł w kierunku jadalni. Wziął tacę z jedzeniem i usiadł na swoim ulubionym miejscu. Po chwili

zjawił się Gotfryd, który przysiadł się do swojego współlokatora.

— Witaj. Wypałeś się? Jak dzisiaj nastrój?

— Tak. Dobrze, nie narzekam.

— Głupio się wczoraj zachowałem.

— Nie pamiętam. Poszedłem wcześniej spać. A coś się stało?

— Każdy ma czasami gorsze dni.

— To prawda. Jak tam budowa klasztoru?

— W przyszłym tygodniu zaczniemy robić dach, zamówiliśmy już materiał. Dzięki nowym robotnikom skończymy budowę dużo wcześniej i wreszcie będziemy mieszkać jak ludzie.

— To dobrze.

— Znowu zrezygnowało kilku młodych rekrutów. Jutro przybędą nowi. Sam wielki mistrz ich przesłuchuje, więc będziesz miał spokój.

— Odpowiada mi to. Nie lubiłem tej funkcji.

— Dlaczego? Dobrze ci szło.

— Nie przepadam za pracą z ludźmi.

— Rozumiem. No, muszę już kończyć.

— Nie żartuj sobie. Nie jesz więcej?

— Muszę zająć się murarką. Moje dzieci już na mnie czekają. Co dzień jest ich więcej.

Gotfryd wstał i szybko wyszedł z prowizorycznej jadalni. Jean został jeszcze kilka minut i spokojnie udał się do

swojej pracy. Nadal miał kiepski humor, ale kryzys powoli mijał.

Obserwacja prowadzona przez kobiety dała pierwsze rezultaty. Okazało się, że główny boss mafii bardzo często i chętnie opuszcza swoją siedzibę, spotyka się z prominentnymi urzędnikami, policjantami oraz biznesmenami na wyspie. Czuł się pewnie i bezpiecznie chroniony przez opancerzoną limuzynę i dwa samochody eskorty. Niestety, policjant, który wydał na niego wyrok, był jego bliskim przyjacielem. Wielki mistrz miał rację, całe państwo było przeżarte korupcją.

Wreszcie zapadła decyzja o zastrzeleniu przywódcy mafii. Wyrok miały wykonać kobiety. Strzelać miała Tamara z potężnego amerykańskiego karabinu snajperskiego. Asystowała jej Sarah w roli obserwatora. Po kwadransie zespół snajperów zlikwidował bossa wraz z jego eskortą. Wszyscy zostali zabici, nie pozostawiono żadnych rannych. Kobiety spokojnie wróciły do obozu, gdzie otrzymały specjalne podziękowania od wielkiego mistrza.

Wyeliminowanie przywódcy spowodowało walkę o władzę pomiędzy poszczególnymi grupami bandytów. Walki przeniosły się na ulicę. Musiała interweniować policja i wojsko oraz templariusze. Po kilku dniach zastrzelono większość przestępców, a pozostali zostali aresztowani lub wydaleny z wysp na kontynent. Teraz policja wraz z kilkoma politykami przejęła biznes mafijny. I tych właśnie ludzi postanowił zlikwidować wielki mistrz. Oczywiście zadanie

otrzymały kobiety, które po kilku dniach zastrzeliły dwóch komendantów policji i trzech polityków. Na wyspie zapanował strach. W obozie templariuszy pojawił się sam premier wyspiarskiego państwa zaniepokojony ostatnimi wydarzeniami. Został przyjęty w już nowo wybudowanej siedzibie wielkiego mistrza.

— Witam pana, panie premierze, w czym mogę służyć?

— Radośnie oczekiwałem tej chwili. Chciałem osobiście poznać wielkiego mistrza.

— Dziękuję. Usiądźmy. Co pana do nas sprowadza?

— Ostatnie wydarzenia mnie martwią. Pan i pańska organizacja likwiduje moje rządzące elity.

— Bo to są skorumpowani ludzie, źli i działają na szkodę waszego państwa.

— Zgadzam się z panem, ale to moi obywatele.

— Co to zmienia?

— Podlegają naszemu prawu. Pan nie jest sędzią, nie wolno panu ferować wyroków i ich potem jeszcze realizować.

— Coś panu pokażę.

— Słucham?

— Niech pan spojrzy. To jest film z dokonanych przez nas obserwacji.

— Szpiegujecie nas?

— Nie, tylko obserwujemy.

Wielki mistrz włączył projektor. Starannie zmontowany film wyraźnie ukazywał zgniliznę demokratycznego rządu,



przekupstwo, łapówkarstwo, lewe kontrakty, a także wpływy partyjnych bonzów na kreowanie rzeczywistości w mediach. Premier z każdą chwilą robił się coraz bardziej czerwony na twarzy. Widział własnych doradców, przyjaciół i politycznych popleczników spiskujących za jego plecami. Po chwili zrozumiał, że jest otoczony stadem chciwych i bezwzględnych hien. Projekcja filmu dobiegła końca. Gość siedział przygnębiony ze spuszczoną głową. Wreszcie podniósł wzrok i wypowiedział następujące słowa do przywódcy templariuszy:

— Teraz wszystko rozumiem.

— No właśnie. Widzi pan, że miałem rację?

— Co pan proponuje?

— Zlikwidujemy pana przeciwników, złodziei i zwykłych bandytów.

— Boję się zamieszek.

— Niepotrzebnie. Zginą w różnego rodzaju wypadkach, na zawały serca, podczas nieudanych operacji chirurgicznych, czyli w sposób naturalny.

— No dobrze, ale co dalej? Co ja z tego będę miał?

— Władzę i grupę ślepo oddanych zwolenników, a opozycji po prostu fizycznie nie będzie.

— A co na to cały wolny świat?

— Nic. Przecież odbędą się demokratyczne i wolne wybory.

— A co, jeśli przegram?

— To absolutnie niemożliwe. Nieważne, jak zagłosuje naród, tylko kto te głosy policzy i opublikuje w mediach. To też jeden z kanonów demokracji.

— Nie jestem już młodym i naiwnym człowiekiem. Czego pan oczekuje w zamian?

— Odrobiny władzy.

— Co to znaczy?

— Mam kapitał... Powiedzmy, że rozwinę gospodarczo wasz kraj, zreformuję system oświatowy, ekonomiczny, społeczny, służbę zdrowia, policję i system administracji państwowej, szkolnictwo, infrastrukturę oraz rybołówstwo.

— To niemożliwe. Są na to potrzebne potężne fundusze. Nie wierzę, że posiada pan... pańska organizacja aż takie pieniądze. Zresztą, po co ktoś chciałby wydawać na mój kraj takie pieniądze? W imię czego?

— Powiedzmy, że jestem dobrym człowiekiem.

— Pan wybaczy, ale to bzdura. Trochę już na tym świecie żyję i nie wierzę w taką bezinteresowną filantropię.

— Chcę stworzyć państwo doskonałe, a pan mi w tym pomoże. Oczywiście nie za darmo.

— Słucham?

— Będzie pan dożywotnim prezydentem republiki.

— Interesujące. Proszę mówić, cały zamieniam się w słuch.

— Będzie rządził mój zakon, ale nieoficjalnie. Wszelkie zasługi spadną na pana.

— No dobrze, ale potrzebuję jakiegoś kapitału zaufania.

— Na początek taka kwota w złocie... Proszę, tu napisałem. Interesuje pana?

— No, owszem, czemu nie.

— Jutro otrzyma pan prezent od naszego człowieka.

— Co mam robić?

— Nic. Czekać, aż zlikwidujemy opozycję.

— Jak długo to będzie trwało?

— Kilka miesięcy. Później ogłosi pan wybory i wszystko się ułoży.

— Nigdy pana nie zrozumiem.

— To akurat nic nie szkodzi.

Zadowolony premier wyszedł z namiotu wielkiego mistrza, który przez chwilę obserwował odjeżdżające limuzyny rządowe, po czym wrócił do namiotu i nadał sygnał do swoich żołnierzy od zadań specjalnych.

Akcja „krucjata nowej władzy” rozpoczęła się. Czołowi politycy, biznesmeni i działacze partyjni, mocno tkwiący w korupcji i nielegalnych interesach, szybko i sprawnie znikali ze świata żywych. Jakoś nikt ich nie żałował, tym bardziej że wszyscy wiedzieli, kim są naprawdę. Ostatecznie po kilku miesiącach scena polityczna została oczyszczona, ogłoszono nowe wybory prezydenckie i parlamentarne, a stary prezydent wspaniałomyślnie ustąpił, co miało swoją cenę i za co niemało zapłacili templariusze. Nowym przywódcą został namaszczony przez poprzednika dotychczasowy premier, który błyskawicznie stworzył nowy

gabinet i rząd, a wszystko to odbyło się demokratycznie i przejrzysto.

Teraz popłynęły pieniądze szerokim strumieniem. Najpierw rozpoczęto budowę nowoczesnego lotniska oraz portu, a także sieci nowoczesnych dróg oraz linii energetycznych. Następnie stworzono sieć niewielkich państwowych banków udzielających skromnych pożyczek dla ludności na symboliczny procent, co pozwoliło wyzwolić w rolnikach pewną przedsiębiorczość oraz złagodziło panującą biedę i stagnację.

Za pieniądze zakonu zbudowano sieć przychodni zdrowia, zatrudniono wielu specjalistów z Europy oraz Północnej Afryki, założono uniwersytet oraz politechnikę, zaczęto również rozbudowywać skromny przemysł metalowy i maszynowy. Dbano przy tym o podstawowe bolączki ludności, rozwijając wodociągi, kanalizację oraz sieć bezprzewodowego internetu.

Po roku wielki mistrz z dumą patrzył na świetnie rozwijający się kraj, premiera obwołano cudotwórcą, a Portugalia, która zwiększyła obroty handlowe z byłą kolonią o przeszło tysiąc procent, dbała o dobre imię wysp na arenie międzynarodowej.

\* \* \*

Przywódca templariuszy siedział w nowym budynku swojego kompleksu sakralnego i przeglądał akta przyszłych rycerzy. Zakon rozwijał się i potrzebowali rekrutów. Obecnie przywódca templariuszy miał do dyspozycji

czterdziestu braci służebnych, dwudziestu rycerzy oraz osiemnaście kobiet, ale potrzeby były znacznie większe, a nowe mury mogły pomieścić czterystu rycerzy. W pewnym momencie wielki mistrz usłyszał delikatne pukanie do drzwi. Zawołał:

— Wejść!

Ujrzał nieco speszonego brata Alexandre'a.

— A, to ty, bracie. Czy coś złego się wydarzyło?

— Nie, przeciwnie.

— Chodź, bracie, usiądź.

— Dziękuję.

— Napij się czegoś? Może zimnej wody z cytryną?

— Tak, proszę. Dzisiaj jest bardzo gorąco.

— Z czym przychodzisz?

Jean spojrzał na surową twarz wielkiego mistrza. Szeroko rozstawione duże oczy przywódcy templariuszy spokojnie obserwowały przybysza.

— Chciałem przeprosić.

— A to za co?

— Rok temu przyszedłem w kiepskim stanie do wielkiego mistrza, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w namiotach i zachowałem się niegodnie. Pozwoliłem sobie na zwątpienie i złe słowa. Teraz za to przepraszam. Wyspy kwitną, ludzie są zachwyceni, a kraj rozwija się. Miałeś rację, przywódcu. Ukaż mnie, bo zgrzeszyłem.

— Każdy z nas popełnia błędy. Bóg kazał wybaczać, wstań więc i nie grzesz więcej.

— Dziękuję. Czy mogę pozostać w zakonie?

— Oczywiście. Masz wielkie zasługi dla zakonu i dla mnie. Uratowałeś mi życie. No i... jesteś przecież moim zastępcą.

— Wybacz mi mą pychę.

— Daj już spokój. Usiądź, porozmawiamy.

— Tak jest.

— Zadowolony jesteś ze swojej nowej funkcji?

— Tak, funkcja marszałka całkowicie mnie zadowala.

— To dobrze, cieszę się. Wracaj do swoich zajęć. Ogłoś też wszystkim, że dziś o godzinie dwudziestej w dolnej kaplicy odbędzie się zebranie rycerzy. Obecność obowiązkowa.

— Tak jest!

— Mamy wiele spraw do omówienia.

Jean powoli wyszedł z celi wielkiego mistrza, po czym przyspieszył kroku, udając się do naczelnej jadalni zakonu, gdzie wywiesił informację dla rycerzy o wieczornym zebraniu. Był pewien, że każdy przeczyta informację podczas wieczornego posiłku. Następnie wrócił do swoich zajęć. Udał się do zbrojowni, gdzie trwała inwentaryzacja, przejrzał uważnie dokumenty z przeprowadzonych spisów broni, wydał rozkaz zamówienia kilkuset tysięcy sztuk amunicji. Potem postanowił przyjrzeć się szkoleniu strzeleckiemu kobiet.

Na niewielkim poligonie wybudowanym na terenie zakonu pod nadzorem Tamary ćwiczyło osiem kobiet.

Rosjanka zdumiała się na widok idącego w jej kierunku marszałka zakonu.

— Witaj, Tamaro.

— Bóg z tobą. Co sprowadza na poligon tak zacnego sługę zakonu?

— Dbalność o bezpieczeństwo świątyni.

— A tak naprawdę?

— Chęć ujrzenia pięknej i niebezpiecznej kobiety.

— Ciszej, bo jeszcze Gotfryd usłyszy.

— A gdzie on się podziewa?

— Nadzoruje budowę nowej drogi gdzieś na południu wyspy. On w murach nie wysiedzi.

— To prawda. Jak tam wygląda sprawa naszego wojska?

— Tak sobie.

— Dlaczego tak uważasz?

— Zbyt mało ćwiczeń, tych na poligonie również.

— Co proponujesz?

— Wydzielić najlepszych ludzi do utworzenia plutonu specjalnego, zdolnego działać na terytorium wroga.

— Dobry pomysł. Szczegóły przedstawiś na dzisiejszym spotkaniu rycerstwa.

— Nie mam prawa zasiadać przy okrągłym stole.

— Już masz. Dobrze się przygotuj.

— Poważnie?

— Tak, zostaniesz dzisiaj pasowana na rycerza. Otrzymasz biały płaszcz z czerwonym krzyżem.

— To niemożliwe.

- A jednak cuda się zdarzają.
- Dziękuję.
- Zasłużyłaś na to. Wiesz może, gdzie jest Sarah?
- Tak, jest w szpitalu, szkoli kilka pielęgniarek.
- Przygotuj projekt tego oddziału, to ważne.
- Rozkaz.

Marszałek zakonu opuścił taktyczny poligon i wolnym krokiem udał się do położonego nieco z boku szpitala templariuszy. Wszedł do środka po wąskich kamiennych schodach na pierwsze piętro. Sarah akurat kończyła szkolenie. Na widok Jeana drgnęła i kazała dziewczętom udać się do swoich cel. Podeszła do nieco niepewnie stojącego z boku mężczyzny.

- Witaj, Sarah.
- Co cię sprowadza?
- Mam dla ciebie dobre wieści.
- Czyżby? Ostatnio mnie unikasz.
- Byłem zajęty
- Powiedzmy.
- No dobrze, przepraszam, nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.
- Czy wyrzuciłam ci jakąś krzywdę?
- Nie, miałem problem z depresją, to wszystko.
- No dobrze. Mam mało czasu. Co cię sprowadza?
- Dzisiaj jest spotkanie w kaplicy. Obecność obowiązkowa.
- Nie jestem rycerzem.



- Dzisiaj nim zostaniesz, razem z Tamarą.
- To... to niemożliwe.
- Otrzymasz biały płaszcz, miecz oraz prawo głosu.
- Poważnie?
- Jak najbardziej.

Dziewczyna rzuciła się na szyję zdumionemu Jeanowi i mocno i namiętnie pocałowała go prosto w usta, po czym błyskawicznie uciekła wąskim korytarzem. Templariusz wrócił do swojej celi i przez godzinę sprawdzał pocztę internetową, aż do momentu, gdy zegar na wieży oznajmił porę obiadu. Zszedł do nisko położonej jadalni, gdzie powoli gromadzili się bracia i rycerze, usiadł na swoim miejscu tuż obok wielkiego mistrza, który przybył punktualnie i jak zwykle dał pięć minut dla spóźnialskich, po czym rozpoczął długą modlitwę wraz z błogosławieństwem pokarmu. Kiedy skończył, wszyscy usiedli i rozpoczęli główny posiłek dnia. Wielki mistrz spytał Jeana:

— Czy już ogłosiłeś naszym paniom dobre nowiny, bracie Aleksandrze?

— Tak jest.

— To dobrze. Mam nadzieję, że nie popełniamy błędu.

— Nie, wielki mistrzu, nasze siostry na to zasłużyły. Są dobrymi służkami naszego zakonu.

— Prawda. Czasami mam wrażenie, że są równie dzielne jak mężczyźni.

— Dlatego zostaną rycerzami.

— Bóg nad nami czuwa.

— Amen.

Przywódca templariuszy był jakiś zamyślony i nieobecny, co martwiło Jeana. Wiedział, że taki humor wielkiego mistrza nie oznacza niczego dobrego. Albo problemy, albo misja wojskowa. Nie odważył się jednak spytać. Wiedział, że prawdopodobnie nie doczekałby się odpowiedzi, a za swoją ciekawość mógłby być ukarany. Dalsza część obiadu minęła w milczeniu. Wreszcie odbyła się kolejna modlitwa i wszyscy udali się do swoich zajęć.

Jean poszedł prosto do magazynu broni i amunicji. Miał przygotować obszerny raport na temat stanu uzbrojenia zakonu.

Podziemna kaplica była obszerna i miała regularne kształty. Na jej środku ustawiono wielki granitowy okrągły stół, dookoła którego mogło zasiąść pięćdziesięciu pięciu rycerzy. Każdy templariusz posiadał własny wysoki dębowy fotel z wygrawerowanym imieniem. Wszystkie siedziska były identyczne. Poza tym kaplica była skromnie urządzona. Wisiały w niej wszystkie sztandary zakonu templariuszy, miecze i płaszcze rycerskie, a także zbroje, tarcze, kolczugi oraz hełmy służące do ćwiczeń oraz pojedynków. Wielkie i uroczyste zebranie odbyło się punktualnie. Wszyscy rycerze mieli jednakowe popielate garnitury, na które zarzucone mieli płaszcze z przypasanymi mieczami.

Najpierw odbyło się uroczyste pasowanie na rycerzy dwóch kobiet, które musiały zamienić swoje piękne fryzury na krótkie wojskowe. Nie mogły się również malować ani

nosić żadnej biżuterii, poza sygnetami rycerskimi i broszkami templariuszy. Uroczystość odbywała się sprawnie i szybko. Podziemia oświetlone były setkami świec, co powodowało niesamowitą atmosferę, którą potęgował dźwięk organów zamontowanych w sali i używanych podczas specjalnych okazji. Wreszcie uroczystość dobiegła końca, kobiety usiadły przy okrągłym stole, a wielki mistrz rozpoczął swoje przemówienie, wstając i oddając hołd nowym rycerzom.

— Bracia rycerze, obecnie jesteśmy syci i silni, mamy własną komandorię, klasztor, zapasy kruszcu, gotówki oraz aktywa. Posiadamy broń, amunicję i środki łączności, a także flotę śmigłowców transportowych i bojowych. Ćwiczymy i szykujemy się do walki, ale też gnuśniejemy i tracimy wartość bojową, a przecież jesteśmy zakonem rycerzy wojowników! Co o tym sądzicie? Czekam na opinie!

Zapanowała cisza. Po chwili wstał jeden z młodych templariuszy, wielki i potężny, prawie jak Gotfryd. Z jego postawy było widać, że jest gotowy na wszystko. Rycerz rzekł:

— Wielki mistrzu i wy bracia templariusze, wstąpiłem do zakonu, aby walczyć, jak i wy! Myślę że, teraz czas na krucjatę. Oto obok nas jest Afryka, a tam wróg w ciągłym natarciu. Trzeba stanąć w obronie wiary! Do mieczy, bracia!

— Do mieczy!

Okrzyk wojenny odbił się od kolebkowych sklepień kaplicy i zabrzmiał jak dźwięk bitwy. Wielki mistrz po raz pierwszy od kilku dni się uśmiechnął, wstał i ruchem ręki poprosił o głos. Po chwili zapanowała cisza. Wszyscy wpatrzyli się w przywódcę, który rzekł:

— Dziękuję naszemu młodemu bratu za to przemówienie. Oto mamy nową misję do wykonania. Oddaję głos bratu Gotfrydowi. Niechaj on poinformuje was wszystkich o naszym zadaniu.

— Amen.

Olbrzymi templariusz wstał i włączył projektor. Na wielkim ekranie templariusze ujrzeli mapę Zachodniej Afryki z zaznaczonym na niebiesko Senegalem.

— Bracia, oto jest nasz cel. Niewielkie państwo, całkiem niedaleko nas. W latach 1982-2004 toczyła się tam krwawa wojna domowa w regionie Casamance, położonym na południu od Gambii. To bardzo zróżnicowane etnicznie miejsce, zamieszkane głównie przez chrześcijan i muzułmanów. W pozostałych prowincjach Senegalu dominują muzułmanie. Tutaj jednak było inaczej. W Casamance dominuje dobrze rozwinięte rolnictwo, co spowodowało napływ ludności z innych północnych prowincji. Doszło do demonstracji i tworzenia bojówek partyzanckich.

— Do rzeczy, bracie — wielki mistrz przywołał Gotfryda do porządku.

— Tak jest, wielki mistrzu. Rozpoczęta wojna domowa trwa do dziś. Poproszono nas o pomoc w działaniach militarnych, a także w rozmowach pokojowych. Wyślemy oddział specjalny, który wspomogę tamtejszą partyzantkę, a także sfinansujemy tworzenie armii w Casamance, która otrzyma czołgi i wozy transportowe oraz śmigłowce i instruktorów szkoleniowych.

— Kto dostarczy broń i sprzęt?

— Rosjanie. Odbyliśmy już kilka spotkań w tej sprawie. Są gotowi w każdej chwili przystąpić do akcji dostarczania broni, amunicji oraz doradców.

— Czy to nie jest zbyt wielkie zadanie, jak na nasze siły?

— Na to pytanie odpowie wielki mistrz.

Zapanowała cisza. Wielki mistrz tym razem nie wstawał. Patrzył w milczeniu na ogromną mapę Senegalu, wreszcie odwrócił głowę i powoli uniósł miecz na znak zgody na wojnę.

— Bracia, kiedy region Casamance ogłosi się niepodległą republiką, stanie się naszą kolonią, a rozwinięty gospodarczo stanie się spichlerzem Zachodniej Afryki. My wtedy będziemy mieli zaplecze finansowe do dalszej wojny z terrorystami. Ta krucjata to nasza przyszłość. Kto ma inne zdanie, niechaj się wypowie!

— Co będzie, jeśli poniesiemy klęskę lub wywołamy konflikt międzynarodowy?

— Brat Alexandre to człowiek rozsądny i przewidujący. Otóż wziąłem to pod uwagę, dlatego też przekupimy

polityków i wojskowych północnego Senegalu. Po krótkiej walce zgodzą się na secesję, poza tym nasze działanie zapewni pokój tak potrzebny temu krajowi.

— Na czym polegałaby nasza misja?

— Na pomocy materiałowej i logistycznej, szkoleniowej, a także tworzeniu zrębów nowego państwa.

— Jesteśmy zbyt słabi.

— To prawda, ale mamy ogromne fundusze, co nam pomoże, a także... Rosjanie.

— No komu, jak komu, ale im nie można ufać. Jak wejdą do tej prowincji, to już z niej nie wyjdą.

— Nie będzie tam żadnych żołnierzy, tylko stu doradców i szkoleniowców.

— No dobrze, nie mam więcej pytań.

— Głosujemy, bracia.

Na specjalnym stole ustawiono dwie skrzynie, w których oddzielnie znajdowały się kule białe i czarne. Każdy z rycerzy podchodził i wybierał jedną kulę, którą wrzucał do specjalnego pojemnika w kształcie amfory. Po kwadransie opróżniono zawartość pojemnika. Przeliczono głosy. Większość rycerzy opowiedziała się za wojną. Wielki mistrz tryumfował. Rozkazał przynieść wino i srebrne kielichy. Wzniesiono toast za nową krucjatę. Jean siedział smutny i milczący. Nie wypił nawet toastu za nową wojnę. Nie głosował za wojną — był jej wrogiem. Dlatego wielki mistrz zlecił przygotowanie operacji militarnej Gotfrydowi, bo

wiedział, że na marszałka w tej sprawie nie będzie mógł liczyć. Powiedział jedynie, spoglądając na Jeana:

— Bracie Alexandre, zapraszam cię na rozmowę do swojej celi po zakończeniu dzisiejszej uroczystości. Wyczuwam, że coś cię gnębi.

— Tak jest, wielki mistrzu.

— Nie obawiaj się. Nadal jesteś moim zaufanym bratem.

— Rozumiem.

Wielka uroczystość dobiegła końca, odśpiewano głośno hymn zakonu, wypito jeszcze jedną beczkę wina i wszyscy zgromadzeni wrócili do swoich cel. Pozostał jedynie wielki mistrz i brat Alexandre. Siostry służebne szybko i sprawnie posprzątały resztki po biesiadzie.

Mężczyźni siedzieli obok siebie, w milczeniu obserwując odchodzące młode kobiety w czarnych strojach.

— Porozmawiamy tutaj?

— Nie, bracie, chodźmy do mojej kwatery. To jest zbyt wielkie pomieszczenie, posiada wiele zakamarków i ktoś mógłby niespodziewanie usłyszeć naszą rozmowę, a wolałbym tego uniknąć.

— Dobrze, tylko zostawię płaszcz i miecz.

— Będę czekał w mojej celi.

Jean wypił ostatni puchar wina i odniósł kielich do kuchni, gdzie zastał Sarah rozmawiającą z ożywieniem z koleżankami. Na widok rycerza zgodnie ze zwyczajem kobiety umilkły i spuściły wzrok. Templariusz szybko wycofał się z pomieszczenia i ruszył szybko do kwatery

przełożonego. Ten oczekiwał gościa przy rozłożonej mapie Zachodniej Afryki.

— Witaj, przyjacielu. To teraz mów, co cię trapi?

— Jestem przeciwny tej operacji.

— Domyśliłem się tego, dlatego przeznaczyłem dla ciebie za zadanie logistykę. Tamara będzie twoim tłumaczem. Jutro przylatują Rosjanie. Lista zakupów jest już w twoim komputerze.

— Po co nam ta wojna?

— To kruczata, a ty jesteś minimalistą, bracie.

— Nieprawda.

— Chciałbyś, byśmy byli jedynie klasztorem charytatywnym, tak?

— Między innymi.

— Wiesz, że jesteśmy zakonem wojowników, rycerzy Boga?

— Obawiam się, że ta wojna będzie dla nas zgubą i militarną, i finansową.

— Więcej wiary.

— Opamiętaj się, wielki mistrzu, póki jest jeszcze czas.

— Dość tego. Zostajesz zdegradowany. Straciłeś wiarę w zwycięstwo!

— Nie rozumiem.

— Od teraz masz się zajmować tylko sprawami sierocińca, szkoły oraz nadzorem administracyjnym. To wszystko. Poza tym nie masz prawa głosu na zwołanych zebraniach kapituły.



— Tak jest.

— Straciłem do ciebie zaufanie.

Zdegradowany templariusz spojrział zimno na nieruchomą twarz wielkiego mistrza. Człowiek, którego szanował i podziwiał, nie był już dla niego zbawcą świata, lecz chciwym na władzę i wpływy kacykiem. Jean powoli wyszedł z celi, domykając za sobą szczelnie drzwi. Nie wiedząc co ze sobą zrobić, postanowił się przewietrzyć. Wszedł na najwyższą wieżę kompleksu, otworzył ciężki wąż i znalazł się sam na szczycie kwadratowej baszty. Przez chwilę patrzył w niebo, obserwował wielki księżyc, aż wreszcie, jakby otrząsnął się i spojrział w dół. Wszędzie panowała cisza, dziwna, zła i okrutna. Usłyszał ciche kroki na wąskich drewnianych schodach. Odsunął się na bok i wyciągnął broń, którą po chwili opuścił.

— Co tutaj robisz, Sarah?

— Nic. Chciałam z tobą porozmawiać.

— Dzięki, ale nie mam już żadnej władzy, właśnie zostałem zdegradowany.

— Jak to? Dlaczego?!

— Nie popieram tej najnowszej awantury w Senegalu.

— No, to nie jesteś sam, mam podobne zdanie.

— Przegraliśmy losowanie, decyzja zapadła. Obiecuj mi, że nie dasz się w to wciągnąć.

— To znaczy?

— Proszę cię, to się źle skończy, nie leć tam.

— Nie zamierzałam, ale mogę przecież otrzymać rozkaz.

— Jesteśmy za słabi, mamy kiepski wywiad, nie poradzimy sobie z całą Afryką.

— Ta interwencja to zguba dla całego zakonu.

— Nic nie możemy zrobić.

— Wiem, tylko na to patrzeć i czekać, co z tego wyniknie. Wracajmy, to miejsce nie jest bezpieczne. Za kwadrans przyjdzie tutaj wartownik. Spotkamy się jutro.

— Gdzie i o której godzinie?

— Dam znać.

Jean powoli dotarł do swojej celi, ostrożnie otworzył drzwi. Na niewielkim, prostym, drewnianym stole leżało oficjalne pismo w sprawie degradacji oraz utraty prawa głosu. Jean został także odsunięty od wszelkich wojskowych spraw zakonu. Mężczyzna starannie złożył pismo i schował do biurka, wziął prysznic i poszedł spać.

Wstał jak zwykle o piątej trzydzieści rano, udał się na nabożeństwo do klasztoru, a później w samotności zjadł śniadanie w niewielkiej lokalnej jadalni dla spóźnialskich, po czym udał się do szkoły prowadzonej dla okolicznej ludności. Tam zastał Sarah, która prowadziła zajęcia z biologii. Uważnie obejrzał klasy, bibliotekę, halę sportową, basen oraz internat i sierociniec. Usiadł w samotności w swoim nowym gabinecie, napisał krótki raport na temat swoich spostrzeżeń oraz proponowanych zmianach. O dziwo wszystko to zostało zaaprobowane później przez wielkiego mistrza, co nieco zaskoczyło Jeana.

Wprowadził dla wszystkich dzieci jednakowe mundurki, buty oraz tornistry. zaproponował i wprowadził w życie plan dożywienia najuboższych. Dla sierot opracował program rodzin zastępczych w weekendy — ludzie w zamian za skromne dodatki finansowe mieli obowiązek w sobotę i niedzielę opiekować się sierotami. Wreszcie porządnie zaopatrzył bibliotekę oraz ograniczył ilość zajęć z religii w szkole na rzecz nauki języków obcych.

Tymczasem zakon przygotowywał się na wojnę. Przyjmowano i szkolono młodych ludzi, tworzone w pośpiechu nową armię najemną, która nie była niczym więcej niż jako tako wyszkoloną bandą zabijaków z całego świata.

\* \* \*

W któreś popołudnie Jean udał się do stołówki na obiad. Jak zwykle usiadł na uboczu. Nagle przysiadł się do niego Gotfryd, nowy marszałek zakonu. Olbrzym w milczeniu zajął miejsce naprzeciwko spokojnie spożywającego posiłek templariusza. Nagle ogromny rycerz nie wytrzymał i wypalił trochę za głośno:

- Stary, co się z tobą dzieje?!
- Zamknij się, bo odstrzelę ci łeb — wycedził cicho Jean.
- Daj spokój, chciałem tylko pogadać.
- Dobrze, ale mów półgłosem, inaczej cię wyrzucę od mojego stolika.
- Przygotowujemy wielką operację, mamy dwa bataliony żołnierzy...

— Wdziałem ich. Banda amatorów. Regularne oddziały rządowe rozwalą was. Nie macie szans.

— Co ty mówisz? Żadnych bezpośrednich starć nie będzie.

— Kto stoi na czele wywiadu?

— Ja. Jestem marszałkiem.

— No, to już po was.

— Jak to? Czy ty mnie czasem nie obrażasz?

— Jesteś świetnym żołnierzem frontowym, ale zarówno o planowaniu i strategii, jak i o działaniu wywiadowczym na terenie wroga nie masz pojęcia.

— No tak, chyba masz rację, ale tym ostatnim zajmuje się wielki mistrz.

— Ta misja to samobójstwo. Wszyscy zginiecie.

— Bzdura. Mamy poparcie Rosjan.

— Tylko, jeśli chodzi o dostawy broni. Jeśli popełnicie błąd lub generałowie was zdradzą, będziecie zgubieni.

— Wielki mistrz ma rację — straciłeś wiarę w zwycięstwo. Idę, a ty baw się dalej z dziećmi w szkole.

— Przynajmniej robię coś pożytecznego.

Gotfryd nie odpowiedział, wstał i zabrał tacę ze swoim posiłkiem, po czym usiadł przy wielkim stole z grupą młodych rekrutów, którzy nigdy nie wachali prochu. Jean skrzywił się na widok dzieciaków, którzy chcieli bawić się w wojnę. Operacja „Jerozolima” miała się rozpocząć za kilka dni. Wielki mistrz miał osobiście brać w niej udział. Planowano wielkie zwycięstwo.

W opactwie miał pozostać tylko Jean oraz dziesięciu braci, dziesięć sióstr z Sarah na czele. Reszta nałożyła mundury i popłynęła statkiem na tę dziwną wojnę. Jean zagadnął dziewczynę:

— Jesteśmy sami.

— Ty tutaj teraz dowodzisz.

— Nie mów tak, to już nie jest obóz wojskowy, ale wartę będziemy trzymać nadal.

— To dobrze, bałam się, że duch pacyfizmu opętał cię na dobre.

— Nie mów tak. Przemawia przeze mnie głos rozsądku.

— Naprawdę nie wierzysz w tę operację?

— Słuchaj Sarah, to nie operacja wojskowa, to amatorszczyzna, musi się źle skończyć. Sama się przekonasz.

— Dlaczego tak mówisz?

— Znam się dobrze na pracy w sztabie, logistyce i przygotowaniach do operacji specjalnych. Nie pytaj, skąd mam tę wiedzę. Wierz mi, to wszystko wymaga czasu, skrupulatnego planowania i poparcia miejscowych partyzantów. Inaczej jest koniec.

— Sadziłam, że to wszystko zostało starannie zaplanowane i przygotowane.

— Bzdura. Sama się przekonasz, niestety.

— Mam nadzieję, że się mylisz.

— Ja też, ale, niestety, obawiam się, że mam rację, że mam cholerną rację.

— Późno już, idę spać.

\* \* \*

Niestety, wszystkie przewidywania Jeana sprawdziły się, choć początkowo nic na to nie wskazywało. Lądowanie wojsk zakonu templariuszy odbyło się bez przeszkód. Statek z bronią już czekał. Rosjanie wyładowali sprzęt na plaży i natychmiast odpłynęli, pozostawiając stu doradców wojskowych. Całkowicie zawiedli secesjoniści, którzy mieli przyprowadzić pięć tysięcy ochotników i partyzantów. Na miejsce dotarło niespełna tysiąc mężczyzn, z tego tylko stu miało jakieś przeszkolenie wojskowe. Naprędce zaczęto szkolić pozostałych i szykować uderzenie na stolicę prowincji, która, o dziwo, nie udzieliła poparcia ruchowi partyzanckiemu, a jej władze poprosiły o pomoc rządową, którą otrzymały, choć miało być zupełnie inaczej. Generałowie zdradzili wielkiego mistrza, rosyjscy doradcy stwierdzili, że walka jest przegrana, brakuje ludzi oraz ciężkiej broni, lokalne oddziały wojskowe odmówiły pomocy partyzantom, choć wcześniej takową gwarantowały. Przybyły śmigłowce transportowe, które ewakuowały Rosjan na czele z Tamarą, która stwierdziła, że wojna jest przegrana.

Wielki mistrz miał pod bronią tysiąc partyzantów oraz tysiąc ośmiuset templariuszy. Postanowił wycofać się na plażę i ewakuować się na wyspy, ale wojska rządowe ostrzelały transportowców i zmusiły do ucieczki pozostałe jednostki na morzu.

Do tego wszystkiego rozpoczęła się ofensywa lądowa wojsk rządowych, dobrze wyposażonych i wyszkolonych. Oddziały partyzanckie poszły w rozsypkę. Templariusze walczyli dzielnie. Mieli spore zapasy amunicji i żywności, ale nie posiadali broni ciężkiej oraz lotnictwa. Kiedy przybyły czołgi, walka dobiegła końca — z ośmiuset templariuszy zginęło ponad sześćuset, stu rannych dostało się do niewoli, pozostali chcieli uciec, lecz zostali otoczeni w lasach i zmuszeni do obrony. Ich los był przesądzony.

Po tygodniu wszyscy zostali zabici. Zginął też wielki mistrz. Gotfryd oraz kwiat rycerstwa zostali skazani na długoletnie więzienie lub śmierć. Awantura w Senegalu trwała dwa tygodnie i kosztowała zakon mnóstwo złota, żywej gotówki oraz stratę niepotrzebnie utraconych ludzkich istnień.

Jean chciał sprowadzić ciała zabitych braci i pochować je na wyspie, ale władze Senegalu odmówiły. Templariusze zamówili symboliczny nagrobek w Europie. Rzeźba naturalnych rozmiarów przedstawiająca leżącego założyciela nowych templariuszy w pełnej zbroi z tarczą i mieczem spoczęła w kaplicy.

Sarah odnalazła testament w rzeczach brata, w którym na nowego wielkiego mistrza sygnował Jean. Brat Alexandre nie chciał się zgodzić, jednak wreszcie przyjął na siebie ten obowiązek. Zakończył militarną działalność zakonu, skupiając się na pomocy najuboższym mieszkańcom wyspy. Wycofał się z walki politycznej oraz gospodarczej na

wyspie, zrezygnował z wszelkich wpływów, podpisał umowę na trzysta lat dzierżawy obszarów przyznanych zakonowi. Sprowadził trzech braci zakonnych z Europy, którzy zajęli się sprawami duchowymi kompleksu, zwiększył nieco liczbę rycerzy oraz sióstr. Zreformował Regułę i statut zakonu. Nie chciał, by kiedykolwiek znowu połała się krew.

\* \* \*

Jean siedział na ławeczce przy boisku szkolnym i obserwował dzieci grające w piłkę nożną. Właśnie minął rok od klęski templariuszy w Senegalu. Rany powoli się zablizniały. Do mężczyzny podeszła Sarah.

— Co dalej, wielki mistrzu?

— Nic. Spójrz na te uśmiechnięte dzieciaki, ich radość. To nasz największy sukces.

— Kiedy przyjeżdża twoja córka z mężem?

— W sobotę. Marie spodziewa się dziecka. Hmm... zostanę dziadkiem...

— Tutaj urodzi?

— Chciałbym, ale nie wiem, jak długo zechcą przyjąć gościnę w naszym zakonie.

— Cieszysz się?

— Bardzo. To były niezwykle długie dwa obfitujące w różne wydarzenia lata, kiedy nie widziałem mojego dziecka.

— Zmieniłeś się. Ciekawe, co powie na to twoja córka.

— Chcę tylko być dobrym człowiekiem, nic więcej.

— Dlatego cię kocham.

— A co to jest miłość?



— Nie wiem. Liczę na to, że ty mi odpowiesz na to pytanie.

\* \* \*

Jean siedział w terenowym samochodzie i czekał na córkę i zięcia. Marie z Thomasem przylecieli punktualnie. Dziewczyna na widok ojca popłakała się i długo nie można było jej uspokoić jej. Thomas był dzielny i z uwagą wypytywał o zakon, którego przełożonym był jego teść. Wreszcie dotarli na miejsce. Młodych ludzi zaskoczyła wielkość świątynnego kompleksu. Potężny budynek klasztoru oraz przylegającego doń kościoła z kaplicami górował nad okolicą. Poza nimi wznosiły się jeszcze gmachy sierocińca, internatu, hotelu dla gości, kuchni połączonej z jadalnią, szkoły, hali gimnastycznej i biblioteki, a także magazyny, boiska, garaże i blok energetyczny.

— Ależ to jest wielkie! Pan to wybudował?

— Nie, mój poprzednik. Miał bardzo ambitne plany.

— Rozumiem. Całość sprawia wrażenie twierdzy.

— To prawda. Mamy nawet mury obronne oraz fosy.

— Imponujące.

— Dziękuję. Możecie zostać tutaj, jak długo chcecie. Mamy szpital wraz z fachowym personelem.

— Niestety, dostałem urlop tylko na tydzień.

— Szkoda, ale i to musi wystarczyć. Chodźcie, zaprowadzę was do pokoju. Odpocznijcie. Spotkamy się o czternastej trzydzieści na obiedzie. Ktoś po was przyjdzie i zaprowadzi do jadalni.

— Do zobaczenia na obiedzie zatem.

Gości zakonu zszokowała skromność i prostota hotelowych pokoi. Były pomalowane na biało. Na ścianach wisiał jedynie niewielki krzyż. Poza tym były dwa twarde łóżka, drewniane taborety oraz taki sam stół i prosta szafa. Brakowało telewizora, radia oraz dostępu do internetu.

— Jak twój ojciec tutaj żyje? Przecież to istny koniec świata.

— Ale on wygląda na szczęśliwego. Widziałeś jaki jest spokojny, wyciszony i zadowolony? Nie pamiętam go takiego.

— Wiem, że robi sporo dobrego dla tutejszej społeczności, ale wygląda na jakiegoś dziwnego mnicha. Wszyscy spacerują tutaj w tych popielatych garniturach, z symbolami templariuszy w klapach. To jest jakieś nienormalne.

— Nie zgadzam się z tobą. Każdy ma prawo do wyboru w życiu. A to, że uciekł od dzisiejszej komercyjnej cywilizacji, nie oznacza, że jest dziwakiem.

— Przepraszam. Weźmy prysznic i chodźmy powoli na obiad. Nieładnie się spóźniać.

— Racja.

W wielkiej jadalni Marie i Thomas usiedli na honorowych miejscach obok wielkiego mistrza oraz Sarah. Dziewczyna z zainteresowaniem przyglądała się córce przełożonego.

— Pani jest Marie?

— Tak.

— Mam na imię Sarah. Jestem zastępcą wielkiego mistrza.

— Kobieta?

— Tak. Nasz zakon ma swoje własne reguły, nie jesteśmy żywcem przeniesieni ze średniowiecza.

— Przepraszam, nie chciałam pani urazić.

— Nic się nie stało.

— Gdzie jest mój tata?

— Modli się w internacie wraz z naszą młodzieżą.

— Odkrył swoje nowe powołanie.

— Tak. Jest uwielbiany przez tutejsze dzieciaki, które rozpieszcza jak może.

— Znam to z dzieciństwa. O, już idzie.

Na widok wielkiego mistrza wszyscy zgromadzeni w jadalni wstali i pokłonili się, co całkowicie zdumiało Thomasa. Przywódca zakonu najpierw zmówił modlitwę, następnie przedstawił rycerzom, braciom oraz siostrom służebnym swoją córkę i zięcia, po czym życzył biesiadnikom smacznego.

— Tatku, ty tutaj jesteś naprawdę kimś.

— Nie córeczko, tylko skromnym rycerzem i bratem.

— Ilu ma pan podwładnych?

— W tej chwili, drogi Thomasie, trzydziestu rycerzu oraz siedemdziesiąt osób pomocniczych, a także około dwudziestu pracowników tubylczych.

— Sporo.

— Pod naszą opieką jest w tej chwili przeszło trzysta sierot w różnym wieku i to jest sporo. Poza tym prowadzimy szkołę. W przyszłym roku przyjmę jeszcze około trzydzieści osób.

— Nie ma problemu z rekrutacją?

— Żadnego.

— Skąd tylu chętnych?

— Nie wiem. Może ludzie potrzebują trochę ciszy i spokoju, którą u nas znajdują? A może chcą pomagać innym i coś im w życiu dać?

— To prawda.

Podano obiad. Pierwszym daniem była zupa jarzynowa. Na drugie podano zrazy wołowe z ryżem i warzywami oraz sok owocowy. Potrawy należały do zdrowych i smacznych, podane były w takiej ilości, aby nic się nie zmarnowało. Po obiedzie Marie z Thomasem zwiedzili kompleks świątynny, a następnie pojechali wraz z wielkim mistrzem na plażę.

— Tatku, czy jesteś tutaj szczęśliwy?

— Tak, bardzo.

— Nie tęsknisz za Paryżem, za tamtym życiem?

— Już o nim zapomniałem.

— Potrzebujesz czegoś z Francji?

— Tak, dam wam pieniądze, a wy kupicie dla mnie i przysłacie samolotem szczeniaka owczarka niemieckiego, takiego z rodowodem, z mocnym charakterem, dobrze?

— Oczywiście, tatku.

— Po co panu tutaj taki pies?

— Każdy potrzebuje posiadać przyjaciela, chociaż jednego.

— Ale to tylko pies.

— Mylisz się, drogi Thomasie, to aż pies.

Chłopak zamilkł, ale dotrzymał słowa.

\* \* \*

Wielki mistrz Alexandre w miesiąc po powrocie córki do Francji odebrał klatkę ze szczeniakiem owczarka niemieckiego, który otrzymał imię Rufus i szybko stał się największą i najbardziej rozpieszczoną szelmą na terenie klasztornym.

Wielki mistrz nigdy się nie ożenił z Sarah, chociaż zostali przyjaciółmi oraz kochankami. Dożył dziewięćdziesięciu lat. Schedę po nim objął nowy wielki mistrz pochodzący z Nowej Zelandii. Zakon pozostał pokojowo nastawiony, skupił się na dobroczynności. Na pewno przetrwa jeszcze nie jeden wiek, albowiem każdy potrzebuje odrobiny dobra, a kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

Amen.

Jelna-Judaszkówka 6.03.2016 rok

# Spis treści

[Od redakcji:](#)